

JONATHAN

NASAW

Agent Pender w pościgu
za najbardziej przerażającym seryjnym mordercą
od czasów Hannibala Lectera.

Czy można
umrzeć
ze strachu?



Lęk
pierwotny

JONATHAN
NASAW

**Lęk
pierwotny**

Przełożyła
Emilia Skowrońska

FILIA

Ta jest dla Mamy

Sześć suit na wiolonczelę solo

1

Wayne Summers otworzył oczy i zrozumiał, że znajduje się w ciemnościach, otoczony ptasim trajkotaniem i trzepotem skrzydeł. Nic nie widział. Próbował wmówić sobie, że to tylko sen, jednak chropowaty materac, na którym leżał, i amoniakalny, przyprawiający o mdłości smród piór, starych gazet i ptasich odchodów świadczyły o czymś zupełnie przeciwnym.

Wayne próbował po omacku wstać, gdy zaledwie kilka centymetrów od swej głowy usłyszał przeraźliwy szum, a potem przy uchu poczuł ciche uderzenie ciężkich skrzydeł i gwałtowny ruch powietrza. Rzucił się z powrotem na materac i skulił się, chowając głowę w rękach – nie był świadomy tego, że krzyczał, dopóki nie przestał i nie usłyszał ciszy.

Po chwili ciszę ponownie wypełniło niemożliwe do zniesienia świergotanie i trzepotanie, nerwowy stukot twardych szponów w podłoża klatek, przyprawiający o drżenie odgłos stroszenia i czyszczenia piór. I, od czasu do czasu, stłumione, ukryte w ciemności uderzenia ciężkich skrzydeł zaledwie kilka metrów od niego.

Chyba że wcale nie było ciemno. Wayne przybliżył dłoń do twarzy, aż wreszcie dotknął swego nosa, a mrok wciąż był tak samo nieprzenikniony. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że być może oślepl. Ale skąd mógł to wiedzieć, jak to sprawdzić? Starał się przypomnieć sobie, w jaki sposób się tutaj znalazł, jednak jego wspomnienia były bardzo mgliste, a próby cofnięcia się pamięcią do minionych wydarzeń przypominały łapanie pierścieni dymu: im mocniej starał się je schwytać, tym szybciej się rozwiewały.

Wayne zaczął cicho łkać i dotknął rozdartego płotka ucha. Został gładko rozcięty ostrym dziobem lub szponem. Najprawdopodobniej była to robota jakiegoś drapieżnego ptaka. Wayne, ornitofob, wiedział z zajęć będących częścią terapii desensytyzacyjnej doktor Taylor, że mógł to być drapieżnik albo padlinożerca, a z tej dwójki tylko drapieżnik ma skrzydła, które nie wydają dźwięku podczas lotu. Dla padlinożerców hałas nie stanowi problemu – ich ofiary nigdzie się już nie wybierają.

W tym czasie materac pod jego uchem zdążył przesiąknąć krwią. Panika nadchodziła falami, jeden atak silniejszy od drugiego. Wayne wiedział, że jest w stanie zapobiec utracie przytomności wywołanej paniką (czy też omdleniu wazowagalnemu, jak nazywała to doktor Taylor), musiałby tylko oddychać powoli przeponą, napinając i rozluźniając mięśnie. Wiedział również, że mógłby powstrzymać krwawienie, ściskając opuszkami palców brzegi rany. Jednak wcale nie był pewien, czy tego chce. Tracąc przytomność, uznał, że na świecie są przecież gorsze rzeczy niż wykrwawienie się na śmierć we śnie – jeśli nie wiedział tego wcześniej, to wiedział to już teraz.

Śmierć z powodu utraty krwi nie wchodziła jednakże w grę – przynajmniej na razie. Po zaledwie kilku minutach z omdlenia wyrwało go gwałtowne i bolesne szarpnięcie za lewy płatek ucha. A ponieważ za to samo ucho zwykła ciągnąć go matka, by ocucić go po kolejnej, jak to zwała, „małej niedyspozycji”, pozwolił sobie na krótkotrwałą luksus udawania, że jest w domu, w mieszkaniu przy Fillmore Street, zemdlał, a matka próbuje przywrócić go do przytomności.

Potem otworzył oczy i zrozumiał, że nadal leży w ciemnościach, tyle że tym razem jego ręce są skute na plecach, a ktoś lub coś rzeczywiście ciągnie go za ucho. Gdy spróbował odsunąć głowę, uścisk stał się mocniejszy.

– Kim jesteś? – spytał Wayne w ciemność.

– Ciii, cicho bądź.

Głos brzmiał, jakby należał do starszego, białego mężczyzny. Był znajomy, ale Wayne nie wiedział, z kim miał do czynienia.

– Dlaczego mi to robisz?

Uścisk zelżał.

– Wygląda na to, że krwawienie ustąpiło.

Wygląda na to? O mój Boże, nie.

– Czy ja jestem ślepy? Oślepiłem? Błagam, muszę to wiedzieć.

Żadnej odpowiedzi, tylko sygnał pagera w ciemności, a następnie odgłos oddalających się kroków.

– Proszę, nie możesz mi powiedzieć nawet tego?

Kroki, wchodzenie po schodach.

– Proszę, ja...

Wtedy otrzymał swoją odpowiedź. U szczytu schodów otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wpadło akurat tyle światła, by mógł upewnić się, że wciąż widzi. Następnie drzwi się zamknęły, a on został z jednym powidokiem, przedstawiającym upiornie białe, sercowate oblicze olbrzymiej płomykówki przywiązanej łańcuchem do belki nad jego głową.

2

Nijaki trzypiętrowy budynek na lekko zalesionym wzniesieniu wyglądał z autostrady tak jak każdy inny nowy biurowiec na przedmieściach Wirginii na zachód od Waszyngtonu.

I o to chodzi – stwierdziła specjalistka śledcza Linda Abruzzi, wcześniej agentka specjalna, zatrzymując się przed budką strażnika w swym geo pryzmie rocznik '93. Jeśli całą rządową architekturę można podzielić na dwa okresy: przed i po Oklahoma City, to architektura i projekt niedawno otwartego budynku pomocniczego Departamentu Sprawiedliwości zdecydowanie należały do epoki „po”, ponieważ jego najważniejszą, najtańszą i najsukuteczniejszą linią obrony była anonimowość. Żadnych znaków, gości, prasy, żadnych wyjątków.

Kilka trudnych do zauważenia szczegółów można było zobaczyć dopiero, gdy podeszło się bliżej. Na przykład za budką znajdowały się dwie wzmocnione stalowe bramy. Budka strażnicza była położona na samym początku drogi do budynku, liczącej niecały kilometr, natomiast parking znajdował się niemal pół kilometra na zachód. Pod ten budynek federalny nikt nie mógł podjechać samochodem-pułapką.

Do środków ostrożności należało dodać wzmocnione zewnętrzne ściany i dach, akrylowe okna o szybach dostatecznie grubych, by mogły wytrzymać bezpośredni atak małego przenośnego moździerza, dodatkowe ściany nośne, dzięki którym budynek się nie zawali, jeśli trafi go rakietą, i samowystarczalne środowisko, które można było zamykać piętro po piętrze w razie ataku bronią chemiczną. Całe wyposażenie było tak odporne i praktyczne, jak to tylko możliwe w naziemnej konstrukcji.

Gdy Linda machnęła dokumentami tożsamości zawierającymi pozwolenie na parkowanie w garażu podziemnym, a nie na odległym parkingu, była przekonana, że natychmiast zostanie skierowana w odpowiednie miejsce. Zamiast tego strażnik zaczął dokładnie porównywać jej twarz z fotografią w dowodzie, a potem porównał ją ze zdjęciem na ekranie komputera w budce. Następnie poprosił o przyłożenie palca wskazującego do ekranu dotykowego, tak żeby komputer mógł dopasować odciski palców i zapisać je w pamięci, na wypadek gdyby jednak okazała się nie być agentką śledczą Abruzzi.

– Dziękuję – powiedział, oddając jej etui z dokumentami. – Czy mogłaby pani otworzyć bagażnik?

– Nie stąd – odparła, wyjęła kluczyk ze stacyjki i podała mu go. – W tym modelu nie ma takich bajerów.

Kupiła pryzma sześć lat temu, gdy była początkującą agentką i pracowała w biurze terenowym w San Francisco. Biorąc pod uwagę panujące tam temperatury, nie było konieczności kupowania samochodu z klimą, więc zrezygnowała z pakietu deluxe, zawierającego również bagażnik otwierany na pilota, i w ten sposób oszczędziła kilka tyśiątków. Oczywiście trzy miesiące później biuro wysłało ją do San Antonio, gdzie klimatyzacja była wręcz niezbędna. Abruzzi zachowała samochód z czystej przekory.

Po sprawdzeniu bagażnika pod kątem materiałów wybuchowych strażnik użył lusterka na wysięgniku, by obejrzeć podwozie, a następnie wrócił do budki i wcisnął przycisk otwierający bramę po prawej stronie.

– Proszę jechać prosto do budynku i się nie zatrzymywać. Przy bramie do garażu znajduje się klawiatura numeryczna. Kod na dzisiaj to: trzy, dwa, zero, cztery. Proszę tego nie zapisywać. Proszę zjechać na drugi poziom i zaparkować na miejscu numer dziewięć.

– Trzy, dwa, zero, cztery, drugi poziom, miejsce dziewięć. Dziękuję, zapamiętałam.

– Nie ma sprawy. – A gdy niebieski pryzm przejechał przez bramę i zaczął wtaczać się pod górę, strażnik mruknął pod nosem: – Ciekawe, komu dałaś dupy, że pozwolili ci tam zaparkować.

Wewnątrz budynku przestrzegano zasad bezpieczeństwa równie rygorystycznie. W garażu Lindę odebrał strażnik, który odprowadził ją do windy, dojeżdżającej jedynie do poziomu holu, a następnie przekazał agentkę Cynthii Pool, kompetentnej, idealnie zakonserwowanej sekretarce sporo po pięćdziesiątce, ubranej w kostium kobiety sukcesu z początku lat osiemdziesiątych – dopasowany granatowy garnitur, białą bluzkę z kokardą i czarne buty na słupkach marki Naturalizer.

– Ochrona robi wrażenie – napomknęła Linda, gdy panna Pool prowadziła ją do drugiej windy, w której, ku zaskoczeniu agentki, znajdowały się przyciski sześciu pięter – trzy z nich znajdowały się pod ziemią.

– Kotku, to nie dla nas. Jesteśmy tutaj tylko dlatego, że w centrali potrzebowali więcej miejsca i przejęli nasze pomieszczenia.

Drzwi windy cicho się otworzyły. Linda zaczęła iść za swą przewodniczką labiryntem białych, porażających nijakością korytarzy. Wszystkie drzwi były niebieskie, zamknięte i pozbawione tabliczek. Na ścianach nie wisiał ani jeden obraz, oznaczono tylko wyjścia ewakuacyjne.

– Skup się na trasie – ostrzegła ją panna Pool i skrzyła najpierw w prawo, potem w lewo, a następnie jeszcze raz w prawo. – Jeśli się zgubisz i wylądujesz tam, gdzie nie powinnaś, możesz skończyć w kontrwywiadzie na przesłuchaniu, podczas którego użyją gumowego węża. Nagle przystanęła i wsunęła swój identyfikator do szczeliny znajdującej się przy kolejnych anonimowych drzwiach.

– Żartujesz, prawda?

– Tylko co do węża. Ostatnimi czasy kontrwywiad stał się trochę delikatniejszy. Ty pierwsza.

Gdy wykończona długą drogą Linda przekroczyła próg, poczuła, że nogi się pod nią uginają, i w myślach szybko zaczęła się modlić: Boże, proszę, tylko nie tutaj, nie pierwszego dnia. Ostatnio Bóg miał ją gdzieś, stwierdziła więc, że był jej winien tę przysługę.

I w pewnym sensie jej modlitwy zostały wysłuchane. Tuż za drzwiami stała szafka kartotekowa, dostatecznie wysoka, by Linda mogła się o nią nonszalancko oprzeć i dać odpocząć swoim nogom. Wydało jej się to dziwnym miejscem na taką szafkę, ale potem zobaczyła, że mały przedpokój był cały zastawiony metalowymi szafkami, białymi kartonami na dokumenty, chwiejącymi się stosami dziurkowanych wydruków i wałącymi się górami czerwonych, brązowych lub wypłowiałych teczek harmonijkowych, tak że pozostało już tylko niewiele miejsca na biurko i krzesło dla sekretarki.

Panna Pool bez słowa precyzyjnie się obok Lindy i ostrymi knykami zapukała do drzwi.

– Przyjechała Linda Abruzzi.

– Już? Chryste, a ciało jeszcze nawet nie ostygło. – Głos był trochę zbyt donośny jak na dziewiątą rano, co pasowało do zasłyszanych przez agentkę opowieści na temat swojego poprzednika: jego problemów z alkoholem stanowiących część legendy opiewającej jego gabaryty, ekscentryczne stroje, mistrzostwo w przeprowadzaniu tak zwanego „wywiadu współczującego”, bohaterski udział w sprawie Maxwella i nieskrywaną pogardę dla Biuro-kracji. – Proszę wejść.

Odsunąwszy się od szafki, Linda z ulgą stwierdziła, że jej nogi odzyskały siłę. Przeszła przez zagracony przedpokój, otworzyła drzwi i ujrzała olbrzymiego, łysiego mężczyznę w sportowej marynarce w szkocką kratę, klęczącego przed kolejną szafką kartotekową.

– Jedno pytanie – zaczął agent specjalny FBI E.L. Pender, który wkrótce miał przejść na emeryturę. Lewą ręką przytrzymał się dolnej szuflady szafki, a prawą wyciągnął do Lindy. – Jak bardzo musiałś coś spieprzyć, żeby cię tutaj przysłano?

– Zakładam, że nie czytałeś moich akt – odrzekła. Nawet gdy klęczał, był tak wielki, że nie musiała się schylać, by ucisnąć jego dłoń rozmiarów gofrownicy.

Pender rozejrzał się znacząco po pozbawionym okien biurze, jeszcze bardziej zapełnionym wydrukami, teczkami, kartonami i szafkami kartotekowymi niż przedpokój, po czym wzruszył ramionami.

– Gdzieś tu są. Ale nie przywiązuję zbytnej wagi do dokumentów pracowniczych. Zrozumiałabyś dlaczego, gdybyś kiedykolwiek zobaczyła moje.

– Słyszałam, że na półce w BOZ masz własny kubek na kawę – zażartowała Linda. Biuro Odpowiedzialności Zawodowej było odpowiednikiem Departamentu Sprawiedliwości i zajmowało się sprawami wewnętrznymi.

– To tylko plotki. Ale wiedzą, że lubię czarną. Usiądź.

Zawahała się. Jedyne krzesło w pomieszczeniu stało za biurkiem przywalonym haładą wydruków i teczek.

– Tak, droga pani – powiedział Pender, czytając w jej myślach. – To twoje krzesło i biurko. To jest teraz twoje biuro. – Włożył przeglądane dokumenty do szuflady, a następnie wstał.

– A ty? – Sprawdziła, czy krzesło jest stabilne, a następnie ostrożnie na nim usiadła, łapiąc równowagę obiema rękami, jak nauczył ją fizjoterapeuta w San Antonio.

– Mnie już nie ma. Jestem historią. Pod koniec miesiąca dostanę kasę, ale uzbierałem trochę urlopu i albo go wykorzystam, albo przepadnie. Przyszedłem tu tylko dzisiaj, żeby odświeżyć swoją pamięć dzięki tym starym dokumentom. Jakiś debilny wydawca chce mi zapłacić kupę kasy za moje wspomnienia. Na szczęście za ich spisanie płacą komu innemu.

– Ale czy nie powinieneś mnie przeszkolić czy coś?

– Przeszkolić do czego? Pod koniec roku, gdy Steve McDougal przejdzie na emeryturę, zamykają dział Wsparcia łączności. Stał się zbędny. W dzisiejszych czasach wszyscy mają kontakt ze wszystkimi. Dlatego zapytałem, co aż tak bardzo spieprzyłaś. Nie miałem zamiaru cię obrazić.

– Nie obraziłeś mnie. Właśnie czegoś takiego się obawiałam.

– Ale teraz podejrzewam, że ma to związek raczej z tym, jak się poruszasz. – Zrzucił część papierów z biurka i położył jeden wielki policzek na jego brzegu. Udo agenta było prawie tak szerokie jak talia Lindy. – Co się za tym kryje?

Agentka wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Równie dobrze można to mieć już za sobą.

– SM – powiedziała. – Kilka miesięcy temu zdiagnozowano u mnie pierwotnie postępującą postać stwardnienia rozsianego.

– Cholera. Nienawidzę, kiedy coś takiego się zdarza – odparł bez namysłu. Nie spodziewała się takiej reakcji i zaśmiała się zaskoczona.

– Tak, ja też – rzekła po chwili, a potem szybko zmieniła temat. – To na czym polega moja praca? Co mam robić?

– Robić? – Parsknął szyderczo. – Szczerze mówiąc, moja droga, nikogo to nie obchodzi. Nikt nawet nie pierdnie w twoim kierunku.

3

– Skarbie, wszystko w porządku? – Simon Childs zapukał cicho do drzwi łazienki. Czasami Missy po prostu chciała upewnić się, że pager działa, innym razem wzywała go dla draki.

– Ciep siej, ciep siej.

„Ciepleszej”. Simon nigdy nie miał problemu ze zrozumieniem słów młodszej siostry. Otworzył drzwi i ujrzał Missy wyciągniętą w głębokiej wannie, machającą nad głową swoim różowym plastikowym pagerem i uśmiechającą się od ucha do ucha. Och, jak ta dziewczyna uwielbiała się kąpać. Ale trzeba było mieć ją na oku. Jeśliby jej pozwolić, siedziałyby w wannie do chwili, aż jej skóra stałaby się jedną wielką zmarszczką, a po wystygnięciu wody zaczęłyby bawić się kurkami, niezależnie od tego, ile razy jej tego zabraniano. W efekcie albo zalałyby łazienkę, albo by się poparzyła.

Gdy podchodził do wanny, przez jedną dziwną, nierzeczywistą chwilę, ujrzał swą siostrę nie taką, jaka była teraz, lecz taką, jaką wciąż miał w pamięci: najdroższą, jasnowłosą, pięcioletnią laleczkę o okrągłej buźce, kochającym sercu, wiecznie zadziwioną światem. Ale kiedy znów zaczęła domagać się: „ciep siej!” głębokim, monotonnym głosem, czar prysł. Simon zamrugał i spojrzał na nagą, mokrą, chorobliwie otyłą czterdziestodwuletnią idiotkę o rzadkim owłosieniu, wywalonym języku i oczach ukrytych między fałdami tłuszczu. Jej blada skóra miała niebieskawy odcień ze względu na chorobę serca, która, jak przepowiedział lekarz, w ciągu roku zbierze tragiczne żniwo.

Lepiej było o tym nie myśleć. Simon i Missy zostali porzuceni przez matkę po śmierci ojca. Wychowywał ich dziadek po mieczu, bogaty tyran. Po jego śmierci zostali tylko we dwoje, razem z funduszami powierniczymi i wynajętą pomocą. Simon miał pięćdziesiąt jeden lat, od czterdziestu ośmiu Missy była jedyną stałą wartością w jego życiu i niezależnie od tego, jak często powtarzał sobie, że byłoby dla niej lepiej, gdyby zmarła przed nim, w głębi serca wiedział, że bez niej będzie zgubiony.

Dlatego mimo ostrzeżeń lekarzy Simon straszliwie rozpieszczał siostrę. Po co zmuszać ją do diety, skoro i tak wkrótce ma umrzeć? Podobnie jak wtedy, gdy po śmierci dziadka zarządcy majątkiem chcieli wysłać ją do szkoły specjalnej. Mówili, że w przeciwnym razie nigdy nie wykorzysta w pełni swojego potencjału. Co oni mogli wiedzieć o jej potencjale – albo o jej szczęściu? Skoro Missy uszczęśliwiałó jedzenie, kąpiele, filmy z Audrey Hepburn i siedzenie w domu z Simonem, to właśnie to powinna mieć

zapewnione. Kazał zainstalować wielki bojler, żeby mogła kąpać się przez cały dzień, jeśli tylko chciała, miała też nieograniczony dostęp do kuchni. Dbał o to, by lodówka zawsze była pełna, co nie było łatwym zadaniem. Och, ile ta dziewczyna potrafiła zjeść i jak potrafiła przytyć!

Ale przecież Missy zawsze była pulchna. Tak naprawdę, kiedy byli dziećmi, Simon myślał, że otyłość to po prostu kolejny objaw zespołu Downa obok twarzy jak księżyc, ukośnego czoła, zmarszczek nakątnych, tęczywek z żółtymi plamkami, płaskiego, zmarszczonego nosa, wystającego języka oraz nisko osadzonych i zawiniętych uszu.

Teraz oczywiście wiedział więcej.

– Już dobrze, dobrze, naleję ci jeszcze trochę gorącej wody. Zabieraj swoje kulasy.

Missy podwinęła nogi. Simon pochylił się i wyciągnął staromodny gumowy korek na zardzewiałym łańcuchu.

– Hej, hej, ty smarkaaa – powarkiwała monotonie.

– Uspokój się, wypuszczam zimną wodę, żeby zrobić miejsce dla gorącej. – Włożył korek, odkręcił lewy kurek i zaczął ręką mieszać ciepłą i zimną wodę, tak jak robiła to ich stara niania, Granny Wilson, którą nazywali Grania. A potem ochlapał siostrę i zażartował: – Uważaj na to, kogo nazywasz smarkaczem, smarkulo.

Missy zachichotała i również zaczęła go chlapać, uderzając w wodę swoimi pulchnymi dłońmi o jednej bruździe.

– Lepiej? – spytał, a następnie zakręcił wodę i wytarł ręce o dywanik łazienkowy. Podszedł do umywalki, by przynieść Missy myjkę, spojrzął w lustro i przyglądał swoje falowane siwe włosy, które zaczęły rzednąć, tworząc atrakcyjny wdowi szpic.

– Elehansik.

„Elegancik”.

– Dobrze. – Wrzucił myjkę do wanny. – Muszę wracać do piwnicy. Wezwij mnie, gdy będziesz chciała wyjść. I nie zapomnij umyć siuski. – Tak Grania nazywała zbiorczo żeńskie i męskie genitalia.

– Taak, taak, siśka, ty smarkaa! – krzyknęła gniewnie Missy – ostatecznie nie była już dzieckiem – i myjka trafiła w drzwi, które zamknęły się za Simonem.

4

Ostatni dzień w pracy. Dla skrytego sentymentalisty takiego jak Pender cały poranek był bardzo doniosły. Budzik: ty mały sukinsynu, nie będziesz mi już potrzebny. Golenie: a może po tych wszystkich latach zapuścić brodę? Tak czy siak trzeba jakoś ukryć te dodatkowe podbródki. Ubranie: ostatnia szansa na przypiętowanie swojej reputacji najgorzej ubranego agenta w historii FBI. Sportowa marynarka w szkocką kratę, budząca ogólną niechęć, spodnie od Sansabelta, które spędziły noc na podłodze, oraz najwygodniejsza i niewymagająca prasowania biała koszula z krótkim rękawem – prana i noszona tyle razy, że prawie się rozpadała. Oczywiście bez krawata. Dziwnie było myśleć, że to ostatni raz, kiedy niezłożenie krawata ma jakiegokolwiek znaczenie.

Być może najdziwniejszym momentem tego poranka było uświadomienie sobie, że po raz ostatni zapina naramienną kaburę z cielecej skóry. Postanowił już, że nie wystąpi o pozwolenie na broń. Na kursie golfa glock kaliber .40 był mu zbędny. Zresztą tak naprawdę nigdy się do niego nie przyzwyczyił po tym, jak Biuro zabrało mu jego SIG-Sauera P226, by umieścić go na wystawie w muzeum FBI. A przecież to kabura naramienna powinna znaleźć się za szkłem. Pender był jednym z ostatnich agentów federalnych, którzy nosili coś takiego. Wszyscy przerzucili się na zatwierdzone ostatnio kabury biodrowe.

Jak większość ukrytych sentymentalistów, Pender podejrzewał sentymentalizm również u innych. Wiedział wprawdzie, że poza Pool reszta starej ekipy z Wydziału Łączności albo była na emeryturze, albo Biuro rozpędziło ją na cztery wiatry, jednak w drodze do pracy poćwiczył udawanie zaskoczonego, tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś zdecydował się urządzić dla niego imprezę pożegnalną.

Jednak jedynym zaskoczeniem było odkrycie, że zastąpiono go niepełnosprawną kobietą, która nawet nie była już agentką specjalną. Ale nawet wtedy poczuł, jak ostatni element układanki wskakuje na swoje miejsce. Oczywiście Wydział Łączności, pod koniec lat siedemdziesiątych będący jednostką dla ambitnych młodych agentów, w swych ostatnich dniach stał się miejscem zsyłki dla pracowników, z którymi Biuro nie miało co począć.

Kiedy Pender powiedział Lindzie, że jej praca nie będzie tutaj nikogo obchodzić, wiedział, że była to cała prawda. Jednak gdy zobaczył zawód w jej oczach, szybko dodał: – To dobre i złe wieści.

– W jakim sensie dobre?

– Masz dwa i pół miesiąca na to, żeby zrobić z tym miejscem, co ci się żywnie podoba, bez Drugiego Steve'a włączającego ci w dupę.

– Steve'a jakiego?

– Steve'a Maheu, zastępcy Steve'a McDougala i jego numeru dwa. Nazwisko Maheu znajduje się w encyklopedii pod hasłem „świętszy od papieża”. A ponieważ McDougal przechodzi na emeryturę, Maheu jest zbyt zajęty szukaniem sobie nowej ciepłej posadki, by zwracać uwagę na ciebie, więc w dużej mierze będziesz miała wolną rękę.

– Ale po co? Co mam robić?

– Szukać seryjnych morderców, których nikt inny nie szuka.

– A są jacyś?

– Dziecko, to jest bardzo dynamiczny rynek. – Zachichotał. – Dynamiczniejszy niż kiedykolwiek.

Potem się zreflektował i jego uśmiech zgasł.

– Przepraszam, pieprzę głupoty.

– Dlaczego tak mówisz?

– Gdy ponad dwadzieścia lat temu założyliśmy Wydział Łączności, obiecałem sobie, że nigdy nie zapomnę o ofiarach. Nawet jak szedłem na ryby, powtarzałem sobie, że nigdy nie zapomnę, o co chodzi w tej pracy. I właśnie zapomniałem.

Poruszona pasją i oddaniem Pendera Linda odwróciła wzrok. Może jednak się okaże, że jej nowa praca wcale nie jest pozbawiona perspektyw.

– Co w takim razie tu mamy? – spytała szorstko, kiedy odzyskała panowanie nad głosem. Pełen profesjonalizm.

– Chcę, żebyś rzuciła okiem na list, który otrzymałem w zeszły piątek. Przeczytałem go i przeszedł mnie dreszcz. – Zaczął przeszukiwać stertę papierzyk na biurku. – A jeśli w tej pracy czegoś się nauczyłem...

– Usiadł z powrotem na podłodze i jedną ręką zaczął przetrząsać poźółkłe teczki, a drugą próbował powstrzymać stos przed osunięciem się. – ...To tego, że należy ufać dreszczowi. – Potem, wciąż przeszukując dokumenty, spytał z roztargnieniem: – Lindo, a co ciebie przeraża? Czego się boisz?

– Masz na myśli coś innego niż postępujący paraliż zakończony śmiercią? – Próbowała zneutralizować te gorzkie słowa śmiechem. Gdy postanowiła walczyć o prawo do pracy, obiecała sobie, że jeśli jej się uda, biuro będzie strefą wolną od uzalania się nad sobą.

A była to cholernie trudna walka. Regulamin FBI jasno określał, że agenci specjaliści muszą być w „doskonałej kondycji fizycznej, bez wad, które przeszkadzałyby w korzystaniu z broni palnej, przeprowadzaniu akcji lub obronie”. Ostatecznie jednak góra zgodziła się pójść na kompromis, który oznaczał zmianę z agenta specjalnego na fikcyjne stanowisko specjalisty śledczego. Odznaka, brak broni, takie same zarobki, praca przy biurku, comiesięczne badania lekarskie i, co najbardziej niepokojące, comiesięczna ocena psychologiczna – jakkolwiek przejaw zaburzenia poznawczego, jednego z częstych symptomów SM, i ostatecznie wywalą ją z pracy.

– Chodzi mi o okres sprzed SM. Gdy byłaś dzieckiem. Powiedz, czego najbardziej się bałaś?

– Masz na myśli jakąś fobie?

– Właśnie.

– To proste. Bałam się węży.

– Jak bardzo?

– Nie rozumiem.

– Na przykład czy węże przyprawiały cię o gęsią skórkę, a może bałaś się spacerów po lesie albo...

– Tam, gdzie dorastałam, nie mieliśmy zbyt dużo lasów. Ale z pewnością nie miałam zamiaru przekraczać progu terrarium w zoo na Bronksie. Zemdlałam przed nim podczas wycieczki na studiach.

– Zatem gdybyś... Mam. – Znalazł kopertę, której szukał, i rzucił ją na biurko. – Gdybyś pomnożyła swój strach przed węzami o jakiś tysiąc, mogłabyś zrozumieć, jak wygląda życie Dorie Bell.

– O rety, dzięki.

– Nie ma za co. Jak skończysz czytać, to mnie zawołaj, będę gdzieś w pobliżu.

Suity na wiolonczelę solo Jana Sebastiana Bacha przez długi czas były uznawane za punkt odniesienia dla wiolonczelistów. Pablo Casals, który w wieku lat dziewiętnastu natknął się na suity w antykwariacie nutowym w pobliżu portu w Barcelonie, ćwiczył je dzień w dzień przez dwanaście lat, zanim zebrał się na odwagę, by zagrać jedną z nich przed publicznością, a potem minęło kolejnych trzydzieści pięć lat, zanim poczuł, że jest gotowy na nagranie całej serii.

Od tej pory każdy światowej klasy wiolonczelista próbował swoich sił w suitach, ale tylko najbardziej utalentowanym, pokroju rock'n'rollowych The Jacqueline's i The YoYos, udało się wyjść z tej próby zwycięsko, więc to prawdopodobnie czysta arogancja spowodowała, że drugorzędny wiolonczelista, jakim był Wayne Summers, zdecydował, by się z nimi zmierzyć.

Wayne, biedny i czarny, pochodzący z dzielnicy Fillmore w San Francisco, odkrył ten instrument dość późno, jednak jego nauczyciel, pan Brotsky, zawsze bez śladu kpiny powtarzał, że człowiek nigdy nie wie, jak dobry może się stać i jak daleko może zajść.

I dlatego każdego dnia przez ostatnie sześć lat, niezależnie od tego, czy Wayne chodził do pracy, miał próbę w orkiestrze symfonicznej, czy grał muzykę kameralną – czy wręcz wszystko jednocześnie, jak to się czasami zdarzało – znajdował czas na przećwiczenie choćby jednego z tańców któreś ze suit. Jego ulubioną częścią była sarabanda z pierwszej suity – było w niej coś cholernie uroczego i budzącego nadzieję.

I to właśnie ją Wayne wybrał teraz do przećwiczenia, gdy leżał w ciemnościach z rękami skutymi na plecach. Próbował się na czymś skupić, żeby nie zwariować. Na początek przypomniał sobie całość sarabandy, lewa dłoń z tyłu ciała napinała się i poruszała palcami, mięśnie ręki, którą trzymał smyczek, rytmicznie naprężały się i rozluźniały. W połowie utworu zaczął wystukiwać rytm, co ponownie pobudziło uwięzione ptaki do śpiewu i ćwierkania. Jednak sowa zachowała spokój – cały czas była cicho.

Gdy skończył, usłyszał grzeczny aplauz – gdzieś w pomieszczeniu jakiś mężczyzna zaczął klaskać. Ale magia Bacha zdążyła zadziałać. Umysł Wayne'a stał się jaśniejszy niż po pierwszym przebudzeniu, chociaż od tamtego czasu minęło już wiele godzin.

– Kim jesteś? – spytał w ciemność. – Dlaczego mi to robisz?

Żadnej odpowiedzi. Nawet ptaki siedziały cicho. Ale mężczyzna się przybliżył – Wayne to wyczuł. Napastnik pachniał płynem do kąpieli. Tanim, truskawkowym płynem do kąpieli.

– Chcesz mnie zabić? – spytał Wayne. Wydawało mu się dziwne, że w takiej chwili potrafi zachować spokój.

– Nie. – Głos był oddalony o kilka centymetrów.

Dzięki ci, o Jezusie.

– To co masz zamiar zrobić?

– Pozwolę, by w końcu uczynili to za mnie nasi pierzaści przyjaciele.

Na zewnątrz Wayne zachował spokój, może dlatego, że w jego wnętrzu już coś umarło – prawdopodobnie była to nadzieja – i nie widział innego wyjścia, jak ponownie zapytać:

– Dlaczego to robisz?

Nie otrzymał odpowiedzi, natomiast poczuł smród, a potem nieprzyjemne uczucie, kiedy mężczyzna zaczął wcierać mu coś zimnego i lepkiego w powieki. To wszystko było tak dziwaczne i niesamowite, że dopiero po kilku sekundach Wayne rozpoznał zapach, a po kilku kolejnych złożył wszystko w całość. Wątroba – ten popaprany skurwiol właśnie wcierał wątrobę w jego oczy.

Nawet wtedy nie zdawał sobie sprawy z tego, co się właśnie stało. Aż wreszcie usłyszał dźwięk, który wypędził z jego świadomości wszelkie myśli i odczucia, pozostawiając jedynie miejsce na czystą panikę: był to brzęk łańcucha poruszanego przez siedzącą na swej żerdzi płomykówkę.

Chwilę później usłyszał machanie skrzydłami. Nastąpił atak. Przy pierwszym ciosie Wayne mocno uderzył tyłem głowy o materac. Ból był nie do opisanego. Mężczyzna przewrócił się na brzuch i zaczął rzucać głową na boki, by chronić oczy. Sowa, wygłodniała i rozjuszona, przeskakiwała i przelatowała z jednej na drugą stronę, uderzając dziobem i starając się dostać do zapachu wątroby, zapachu krwi.

Wtedy dostrzegła ucho, które wcześniej przypadkowo dziobnęła, i zadowolona się szarpaniem za nie, aż wreszcie mężczyzna odciągnął ją od ofiary i zarzucił ptakowi jutowy worek na łeb.

– Kim jesteś? – krzyknął znowu udręczony Wayne.

– Dam ci wskazówkę – padła odpowiedź. – Znasz taki psychologiczny termin „lęk pierwotny”? No więc,

stary, to właśnie ja. To ja jestem lękiem pierwotnym.

6

Dorie siedzi gdzieś na sofie, kolana pruderyjnie złożone. Po drugiej stronie pokoju gra telewizor, ale kobieta nie dostrzega tego, co jest na ekranie. Za telewizorem znajduje się okno. Które to piętro? – zaczyna się zastanawiać. To ma duże znaczenie: jeśli znajduje się kilka pięter nad ziemią, jest bezpieczna, ale jeśli to jest pierwsze albo drugie piętro, nie wolno jej patrzeć w górę, nie wolno patrzeć na okno.

Przed nią, na znajomo wyglądającym stoliku do kawy leży wielkie, błyszczące wydawnictwo albumowe. Kobieta pochyla się do przodu i otwiera książkę na przypadkowej stronie, ale nie rozumie słów, nie potrafi się na nich skupić.

Są tam też jednak ilustracje. Pierwsza, na jaką zerka, z początku zdaje się przedstawiać ptaka. Obraz jest jedynym kolorowym obiektem w czarno-białym świecie Dorie, jest tak żywy, że prawie trójwymiarowy. Kobieta pochyla się bardziej i ku swemu przerażeniu odkrywa, że nie jest to rysunek prawdziwego ptaka, a ptasia maska – jedna z tych podłużnych, opierzonych masek, którą mógłby założyć znachor lub szaman.

Szybko zamyka książkę i wtedy słyszy pukanie w okno. Nie patrz tam – mówi sobie. Zrób cokolwiek, tylko nie patrz w górę.

A jednak tam patrzy. Zawsze tak robi. I widzi to, co zwykle – twarz za szybą. A raczej maskę. Z pustymi oczodołami. Nie ma za nią twarzy.

Jak zwykle Dorie Bell obudziła się z powracającego koszmaru z echem własnego krzyku w uszach. I jak zwykle nie wiedziała, czy krzyczała na głos, czy tylko we śnie. Na szczęście nie miało to żadnego znaczenia – mieszkała sama.

Z około trzydziestu milionów Amerykanów cierpiących na fobie poważne na tyle, by w którymś momencie życia skorzystać z porady profesjonalisty; czterdzieści dwa procent boi się choroby i/lub kontuzji; osiemnaście procent – burzy; czternaście procent – zwierząt; osiem procent cierpi na agorafobię pierwotną. Boją się przestrzeni publicznych, w głównej mierze ze strachu przed dostaniem przy ludziach ataku paniki, kończącego się niekiedy omdleniem. Oczywiście ten element agorafobii jest kojarzony z prawie wszystkimi konkretnymi fobiami – obawa przed dostaniem ataku paniki zawsze jest bardziej wycieńczająca niż sam strach związany z daną fobią. Zaskakująco mało osób, bo tylko siedem procent, boi się śmierci, pięć procent – tłumów, a kolejnych pięć procent – wysokości. W pozostałym jednym procencie mieszczą się bardziej egzotyczne fobie, takie jak: amatofobia, czyli lęk przed kurzem, siderodromofobia – lęk przed pociągami i prosoponofobia – lęk przed maskami.

Dorie Bell, lat pięćdziesiąt dwa, pochodząca z Carmel-by-the-Sea w Kalifornii, panicznie bała się masek od trzeciego roku życia. Próbowwała wszystkiego – modlitwy, analizy, terapii desensytyzacyjnej, modyfikacji behawioralnej, jeszcze większej ilości modlitw – ale nigdy nie odkryła ani przyczyny swego lęku, ani lekarstwa na to. Widok maski wywoływał w niej silne ataki paniki, strach przed przypadkowym kontaktem z maską wciąż decydował o jej planie dnia, a koszmary z maską w roli głównej prześladowały ją nocami.

A niekiedy także podczas popołudniowych drzemek. Usnęła na sofie w pracowni, czekając na Wayne'a Summersa, który tego popołudnia miał przyjechać do niej z San Francisco. Poznali się poprzedniej wiosny w Las Vegas, gdzie podczas specjalnego zjazdu spotkało się blisko sto fobów, a raczej, jak woleli być nazywani, Osób o Specyficznym Zaburzeniu Fobicznym. Dwójkę szybko połączyła przyjaźń mimo kilku raczej ogromnych różnic dotyczących między innymi wieku, rasy, religii i orientacji seksualnej.

Wciąż starając się otrząsnąć z resztek snu, Dorie poszła do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbaty i sprawdzić godzinę. W pracowni celowo nie umieściła żadnego zegara. Z zaskoczeniem stwierdziła, że była już prawie czwarta, co postawiło ją przed niewielkim dylematem, ponieważ z niecierpliwością oczekiwała odpowiedzi na swój list od agenta Pendera, a tego dnia nie zdążyła jeszcze skoczyć na pocztę. W Carmel listonosze nie dowozili korespondencji do domów, ponieważ na budynkach nie było numerów. Miasto skutecznie wypracowywało sobie opinię o dziwaczności.

Z drugiej strony Wayne mógł przyjechać w każdej chwili – już był spóźniony o kilka godzin – i z pewnością zemdlałby, gdyby musiał czekać na nią na zewnątrz z tymi wszystkimi sójkami, wronami,

drozdami, junkami i ptakami śpiewającymi, które zamieszkiwały na wiecznie zielonym dębie w ogrodzie przed domem Dorie.

Sąsiedzi mieliby o czym gadać, gdyby na trawniku zemdłał czarny facet – pomyślała Dorie i szybko nabazgrała notatkę: „Wayne, wchodź do środka, ja zaraz wrócę”. Przyczepiła kartkę do drzwi, które zostawiła otwarte – w Carmel nadal można było sobie na to pozwolić. Potem szybko poszła na pocztę. Dla większości ludzi droga wynosiła osiem przecznic, dla Dorie – dwanaście, ponieważ wybierała dłuższą trasę, żeby uniknąć mijania afrykańskich masek w oknie Galerii Sztuki Ludowej i Etnicznej.

W październiku 1999 roku w Carmel było dziewięćdziesiąt sześć galerii sztuki i czterdzieści jeden sklepów z upominkami. Z konieczności Dorie zapamiętała położenie wszystkich miejsc, w których pojawiały się – lub mogły się pojawić – maski widoczne z ulicy. Wiedziała, że – zwłaszcza w porównaniu z trasami, jakie musiał pokonywać Wayne w celu uniknięcia swoich bestii – prosoponofobia nie jest najgorszym specyficznym lękiem, jaki może spotkać człowieka. Pomijając okres Halloween, który, jak Dorie niedługo miała się przekonać, tego roku rozpoczął się w Carmel dwa tygodnie wcześniej.

Nikt, kto widział Dorie Bell, idącą energicznym, pewnym krokiem, nie podejrzewałby jej o żadną fobię. Była wysoką kobietą o szerokich ramionach i pełnej figurze. Szła szybko w klapkach marki Birkenstock, trochę poplamionych farbą ogrodniczkach i brązowym meksykańskim szalu, z uniesioną głową, rytmicznie poruszającymi się ramionami, kolorowym słomianym koszem z Gwatemali i warkoczem do pasa.

Ale gdy skręciła na zachód w Piątą Aleję, by okrężną drogą pójść ulicą San Carlos i uniknąć Galerii Sztuki Ludowej i Etnicznej, wpadła w zasadzkę. W nocy na wystawie ekskluzywnego butików Verbeny na rogu Piątej i Dolores pojawił się biały manekin bez twarzy ubrany w średniowieczny kostium nazywany dominem (szata z kapturem i maska na oczy, tym bardziej przerażająca dla Dorie, że bardzo prosta: biało-czarna, przedstawiająca istotę masek).

Znieruchomiała przed wystawą, niezdolna do odwrócenia wzroku, tak jak we śnie. Dorie poczuła, jak włosy stają jej dęba, krew odpływa z twarzy, a przed jej oczami pojawiły się kolorowe mroczki. Wiedziała, co się dzieje – baroreceptor łukowy, mechanizm odpowiedzialny za omdlenia wazowagalne, kompensował sobie nagły wzrost ciśnienia krwi poprzez równie nagłe jego obniżenie. Ale po wszystkich tych latach wiedziała już, jak przejąć nad tym kontrolę, jak odwrócić proces.

Oddychaj – rozkazała sobie, zamykając oczy i nie patrząc już na „m” – obiekt, który spowodował atak. – Głęboooooo i powooooo, głęboooooo i powooooo. Teraz wespnij się na palce i opadnij, na palce i w dół, oddychaj głęboko. Długo i powoli kręć ramionami, przywróć krążenie krwi, nie zwracaj uwagi na to, że robisz cyrk na ulicy, byłby większy, gdybyś zemdłała i w dodatku znowu złamała sobie nos. Grzeczna dziewczynka, dopóki się boisz, nie możesz być nieustraszona. A teraz odwróć się od obiektu, powoli, nie ulegaj hiperwentylacji. Możesz otworzyć oczy... zrobić jeden krok... teraz możesz zrobić drugi...

I niebezpieczeństwo odsunęło się w czasie i przestrzeni. Nie zmieniła planów, lecz wybrała jeszcze inną trasę i obeszła trzy kolejne przecznice, tylko po to, by wrócić z pustymi rękoma – w jej skrzynce nie było listu ani od Pendera, ani od nikogo innego – do pustego podjazdu pod pustym domem. Wayne’a też nie było.

Około szóstej Dorie zaczęła się niepokoić. O ósmej była już zmartwiona. Do dziesiątej zostawiła na sekretarce Wayne’a trzy wiadomości, a kolejne dwie na sekretarce jego matki.

Kilka minut po jedenastej zadzwonił telefon. Dorie zerwała słuchawkę z widełek i warknęła:

– Gdzie ty jesteś, do jasnej cholery?

W odpowiedzi usłyszała, że powinna bardziej uważać na słowa.

Vera Summers pracowała na dwie zmiany jako prywatna pielęgniarka, wykrzykiwała chwałę Pana, śpiewała hymny, była wielką miłośniczką picia herbaty i przeciwną przeklinaniu baptystką w wieku Dorie.

– Przepraszam, Vero, myślałam, że to Wayne.

– Przepraszaj Jezusa, nie mnie. Ale skarbie, słuchaj, nie widziałam Wayne’a od wczorajszego porannego nabożeństwa. Nie wrócił do domu na noc, nie dzwonił, nic. Jeśli zobaczysz go pierwsza, ostrzeż go, żeby zrobił unik, jak spotka swoją mamę. Kiedy się pojawi, to ma do mnie zadzwonić. Ja w tym czasie zobaczę, czy będę mogła złapać mojego brata Ala, który pracuje w policji, może da się to jakoś przyspieszyć.

– Dobrze, pozostanemy w kontakcie.

– Jasne. Ale nie martwiłabym się zbytnio. To nie pierwszy raz, gdy chłopak nie wrócił na noc, bo poderwał kogoś w okolicy.

Jednak Dorie martwiła się, ponieważ wiedziała o czymś, o czym Vera nie miała pojęcia. Szlag by to trafił – pomyślała, ponownie podnosząc słuchawkę. Ilu z nas musi jeszcze zginąć, zanim ktoś mnie wysłucha?

– Słucham? – Mężczyzna po drugiej stronie wydawał się rozzłoszczony.

– Cześć, tu Dorie. Obudziłam cię?

Głos złagodniał:

– Och, cześć. Nie, nic się nie stało, jestem nocnym markiem. Co się dzieje?

– Pamiętasz Wayne'a Summersa?

– Przypomnij mi.

– Był jedynym czarnym facetem na zjeździe.

– Tak, racja, to ten z ornitofobią. I co z nim?

– Zaginał – powiedziała Dorie. – Miał do mnie dzisiaj przyjechać, ale się nie pokazał.

– Może zapomniał. Z tego, co sobie przypominam, jest trochę postrzelony.

– Nie, rozmawiałam z jego matką. Ona też nie wie, gdzie on jest. Powiedziała, że wczoraj nie wrócił na noc do domu.

– Zgłosiła jego zaginięcie?

– Jeszcze nie, ale jej brat, wujek Wayne'a, jest policjantem i próbuje czegoś się dowiedzieć.

Zapadła cisza, potem rozległ się trzask zapalniczki i syk zaciągania się (którego nie da się pomylić z niczym innym), a następnie gwałtowny kaszel (od zakrztuszenia się dymem).

– Wszystko w porządku? – spytała Dorie.

– Tak, tak – wydusił z siebie. – Próbuję się uspokoić. – Dorie miała wrażenie, że jego wysiłki spęły na niczym. – Dorito, posłuchaj. Przykro mi z powodu Wayne'a. Jestem pewien, że niedługo się odnajdzie. Ale muszę zadać to pytanie: po co ty do mnie z tym dzwonicz?

Do tej pory – do sytuacji z Wayne'em – Dorie powstrzymywała się przed zdradzaniem swych podejrzeń któremukolwiek spośród nowych przyjaciół z OSZF. Społeczność z fobiami to ostatnia grupa ludzi, w której chcesz zacząć siać panikę. A jej teoria, że ktoś jeździ po kraju i morduje ludzi z fobiami, pozorując ich samobójstwa, brzmiała trochę paranoicznie, wręcz nieprawdopodobnie, nie tylko dla władz, z którymi się skontaktowała, lecz także dla Dorie. List, który wysłała do Pendera, był już kolejną próbą, i żeby go wysłać, zanim się rozmyśli, musiała zakleić kopertę i wrzucić ją do skrzynki na rogu ulicy, nie przeczytawszy go w całości po jego napisaniu.

Jednak wieczorem okazało się, że poranne rozsądne podejście do sprawy było tylko formą zaprzeczenia buzującym w niej emocjom. Dorie westchnęła z rezygnacją i wyrzuciła z siebie wszystko. Opowiedziała mu o śmierci Carla, Mary i Kim, o korespondencji z policją z Las Vegas, Fresno i Chicago, o liście do Pendera. Gdy skończyła, cisza po drugiej stronie słuchawki była tak idealna, że przez chwilę kobieta myślała, że jej rozmówca się rozłączył.

– Hej? Hej, jesteś tam?

– Tak, tak, tylko szukam swojego Valium.

– Ej, uważaj z lekarstwami – pouczyła go. – Nie mam zamiaru stracić kolejnego przyjaciela.

– Bardziej martwię się o ciebie. Jeśli twoje podejrzania są prawdziwe, a nie wiem, czy tak jest, jestem zbyt zdenerwowany, żeby się nad tym zastanawiać, znajdujesz się w większym niebezpieczeństwie niż ja. Samotna kobieta i te sprawy.

– Myślę, że nikt z nas nie jest bezpieczny – odparła. – Tak naprawdę, to zastanawiam się nad napisaniem o tym na czacie.

– Nie! – padła kategoryczna odpowiedź. – Na czat wchodzi mnóstwo niestabilnych osób. Taka informacja mogłaby doprowadzić niektórych z nich na skraj szaleństwa. Wywołać ataki paniki, agorafobię, może nawet popchnąć do samobójstwa.

– To co...

– Po pierwsze się uspokój. Spróbuję coś zdziałać. Wykonam kilka telefonów, skontaktuję się z odpowiednimi osobami. Poinformuję cię, co udało mi się ustalić, a ty daj mi znać, jeśli coś się zmieni. A na razie niech to pozostanie między nami, nie chcemy wybuchu paniki w całej grupie.

– Tak myślisz? – spytała z powątpiewaniem w głosie.

– Ja to wiem. Słuchaj, muszę już kończyć, chyba Missy się obudziła.

– Pozdrów ją ode mnie. I, na litość boską, uważaj na siebie.

– Ty też. Dobranoc, Dorito.

Poniedziałek był dla Missy dniem przepelnionym samotnością. Simon dał tydzień wolnego Tashy, jej opiekunce, a potem cały poranek spędził zamknięty w piwnicy. Po lunchu, zamiast zabrać siostrę na obiecany spacer, zostawił ją w sypialni z ulubionymi filmami z Audrey Hepburn (Szarada, Śniadanie u Tiffany'ego, Doczekać zmroku), tacą z przekąskami i surowym zakazem opuszczania pokoju, chyba że do toalety.

Podczas obiadu był jakiś nieobecny i prawie nie zwracał uwagi na Missy. A przecież obiad był wspaniały: hamburgery, tater tots, sok jabłkowy, a na deser ciastka Little Debbie – pożarła trzy sztuki, zanim zauważył, i nie kazał jej jeść żadnych zielonych warzyw. Poza tym Simon sam to wszystko dla niej ugotował, więc było bardzo smaczne.

Po obiedzie wysłał Missy z powrotem na piętro, potem zszedł do piwnicy i nie wychodził aż do połowy „Wiadomości o dziesiątej”. Missy zawsze je oglądała. Strasznie kochała się w Dennisie Richmondzie, przystojnym czarnoskórym prezenterze telewizyjnym. Pewnego razu Simon zabrał ją na akcję charytatywną Telethon, gdzie spotkała Dennisa osobiście i dała mu dolara na te biedne dzieci na wózkach inwalidzkich.

Nawet po powrocie z piwnicy Simon nie zwracał uwagi na siostrę. Po prostu poszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi. Czekala, aż przyjdzie i pocałuje ją na dobranoc, ale się nie zjawił. Usnęła przy włączonym świetle i telewizorze, ale gdy się obudziła, światło i telewizor były już wyłączone. Ze snu wyrwał ją dzwonek telefonu. Usłyszała, jak w drugim końcu korytarza Simon z kimś rozmawia. Wstała i zapukała do drzwi głównej części domu. Żadnej odpowiedzi. Mimo wszystko otworzyła drzwi, przeszła przez sypialnię i wsadziła głowę do małego gabinetu brata. Siedział przy komputerze.

– Kto dzwonił? – Ktoś obcy usłyszałaby „to-zwo”, ale Simon bez problemu rozumiał Missy.

– Dorie. Kazała cię pozdrowić.

Missy postanowiła trochę się z nim podroczyć.

– Rozmawiałeś z dziewczyną! Simon rozmawiał ze swoją dziewczyną!

– Missy, nie jestem w nastroju do wygłupów. Wracaj do łóżka, zanim stanę się poważny.

Oj! Gdy Simon mówił „poważny”, miał na myśli „wściekły”. A kiedy Simon był wściekły, czasami robił rzeczy, za które później przeproszał. Ale przeprosiny nic nie dawały, jeśli byłeś jedną z osób, której robił te rzeczy.

– Kocham cię – szepnęła ostrożnie.

– Ja ciebie też kocham – odparł, odwracając się tyłem do drzwi.

On także miał za sobą kiepski dzień. Tak to jest, jak się próbuje zrobić za dużo i za szybko – pomyślał. Totalna ciemność, potem ten popis z wątroba. Chciwy Simon, chciwy. A teraz, skoro Dorie Bell zaczyna mieszać, będzie musiał to zakończyć szybciej, niż planował. I z Wayne'em, i z Dorie.

Bądź co bądź mleko się rozlało. A gdyby Wayne wiedział, że nadchodzi koniec...

Na tę myśl tętno Simona podskoczyło. Tak, to jest to – pomyślał. To po to tu jesteśmy. A potem uświadomił sobie, że zasmucona Missy wciąż stoi w drzwiach. Ponownie obrócił się na krzesło.

– Hej, siora, co powiesz na naleśniki na śniadanie?

– Elegancko – odparła Missy, wyobrażając sobie butlę z mieszanką do naleśników Mrs. Butterworth, i, jak zwykle, zachichotała na tę myśl. – Kocham naleśniki.

– Wiem. A teraz idź do łóżka. Ja wracam do piwnicy.

– Nie lubię piwnicy. Jest straszna.

– Wiem – odparł. – Dlatego nigdy nie wolno ci tam wchodzić.

– Tobie wolno – powiedziała wyraźnie. Kiedy się postarała, jej „o” brzmiało całkiem niezłe. Jak Simon wiedział, problemy z mową wynikały z wrodzonego krótkiego podniebienia twardego – przez co musiała wystawiać język – ale wcale nie świadczyły o jej mniejszym stopniu zrozumienia otaczającego ją świata.

– Muszę – powiedział.

– Faf się obze – odparła, machając pulchną dłonią.

„Baw się dobrze”. Gdy założył swoje nowe gogle noktowizyjne, model D-303, z pojedynczą tubą, dwoma okularami i wbudowanym dwustopniowym oświetlaczem podczerwieni, zaczął się zastanawiać,

czy Missy przypadkiem nie rozumiała dużo więcej, niż myślał.

8

Coś się nie zgadzało.

Odkąd odzyskał przytomność, ostatnie kilka godzin spędził na przerabianiu suit Bacha według numerów – o ile oczywiście pozwalały mu na to ból, pragnienie i głód – i szło mu całkiem nieźle, dopóki nie utknął na numerze piątym, który Casals nazywał suitą burzliwą. Nie chodziło o to, że nie miał przy sobie muzyki – znał partyturę na pamięć. Po prostu nie potrafił sobie przypomnieć, jak to leciało.

A potem usłyszał w głowie głos starego Brotsky'ego: „strojenie, panie Summers, strojenie”. Zapomniał opuścić strunę A do G. Bach stosował ten trik w celu zwiększenia możliwości wiolonczeli. Potem już wszystko poszło względnie gładko, chociaż uczynił ciekawe spostrzeżenie: nawet podczas gry na zmyślonym instrumencie trudność sprawiały mu interwały, z którymi nie radził sobie w rzeczywistości.

Jego powieki cały czas były zaciśnięte. To zabawne, jak nieprzebrane ciemności sprawiają, że chcesz zamknąć oczy – pomyślał. W przeciwnym razie wszystko wydaje się zbyt rozległe – masz wrażenie, że jeśli odpuścisz, to wpadniesz w to na zawsze.

Jednak nawet z zamkniętymi oczami był na tyle wrażliwy na światło, że wiedział, kiedy otworzyły się drzwi u szczytu schodów, chociaż poświata była krótkotrwała i słaba. Robił, co mógł, by to zignorować, z całych sił skoncentrował się na Bachu.

W kwestii ptaków wydarzyło się coś ciekawego. Być może był to skutek tak ekstremalnego zastosowania terapii desensytyzacyjnej doktor Taylor. Zanurzenie – tak nazywała się technika zalewania osoby z fobią obiektem jej lęków. Niektórzy psychiatry uważali ją za najefektywniejszą formę leczenia fobii, jednak odważyło się na to niewielu pacjentów czy psychiatrów, uzdrowiciele również nie szaleli za tą metodą – jeśli coś się nie udawało, to od razu było o tym głośno. A może miało to coś wspólnego z faktem, że on i ptaki byli teraz uwięzionymi towarzyszami niedoli. Niezależnie od powodu, ornitofobia Wayne'a zniknęła. Odkrył, że ptaki już go nie przerażają. Pomijając sowę, ale nie był to już niczym nieuzasadniony lęk, nie można było zakwalifikować go jako fobii.

Ktoś powinien zamknąć mnie w pomieszczeniu z chmurą ptaków całe lata temu – stwierdził Wayne, gdy na chwilę odzyskał zdolność jasnego myślenia. Zaczął nawet chichotać.

Pomyśl o pieniądzach na leczenie, które byś zaoszczędził.

Teraz zaczął śmiać się w głos. LOL, jak to piszą na czacie OSZF.

„Cudowne wyleczenie z ornitofobii. Terapia nie była tania – kosztowała go ucho i oko”.

LOL, trochę głośniej.

Przy okazji masz zagwarantowane postępy w grze na wiolonczeli. Zagrasz nawet najtrudniejsze kawałki z rękami skutymi na plecach.

Zaczął piszczeć z radości. Przestał trzeźwo myśleć. Nie potrafiłby przestać się śmiać, nawet jeśli zależałoby od tego jego życie. Ptaki zaczęły latać po swoich klatkach.

Moi nowi przyjaciele.

Pisk i szloch.

Moi wspaniali, nowi, pierzeni przyjaciele.

Musiał się wypłakać. Potem wrócił do Bacha. Numer sześć – sielanka.

Tym razem, panie Summers, niech pan pamięta o przestrojeniu instrumentu przed rozpoczęciem gry.

Tak jest dużo lepiej – pomyślał Simon, gdy Wayne zaczął tracić panowanie nad sobą. Lęk ma różne oblicza, ale im jest bardziej czysty, tym lepiej. Nic nie przegoni ślepego szczura ani nie sprawi, że Simon będzie się czuł lepiej, niż strach wynikający z czystej fobii. No i te gogle drugiej generacji były naprawdę świetne – w Internecie kosztowały 1 899 dolarów, ale były warte każdego centa. Szczegółowość obrazu zaskakiwała, zwłaszcza po włączeniu opcjonalnego strumieniowego lub punktowego oświetlacza podczerwieni, przeznaczonego do wykorzystania w całkowitej ciemności. Widać było każdy tik, każde drgnięcie, każdą łzę i kroplę potu, a nawet najciemniejszą krew. Oczywiście wszystko w odcieniach zieleni, ale szybko można było się do tego przyzwyczaić, a miękki ochraniacz na głowę równomiernie rozkładał ciężar gogli ważących siedemset gramów, dzięki czemu można było je wygodnie nosić. Simon uważał, że ma długą, arystokratyczną szyję i delikatną budowę ciała.

Wtedy jednak Wayne przestał szlochać i wrócił do tego niemożliwego do przyjęcia, cholernego

poruszania palcami, które Simon przerwał po raz pierwszy od ataku sowy.

– Chyba pozwolę, by dorwały cię mniejsze ptaki – powiedział cicho.

– Pierdol się, Simon – odrzekł Wayne. Wciąż niewiele pamiętał z tego, co wydarzyło się po recitalu w niedzielę wieczorem, ale głos mężczyzny, który nazywał siebie lękiem pierwotnym, a zwłaszcza sposób, w jaki wypowiedział słowo „stary”, przywołał jedno z owych słabych, ulotnych wspomnień. Stał na ulicy Van Ness ze swą wiolonczelą w futerale, odwrócił wzrok od gołębi przy Civic Center i czekał na taksówkę. Przy krawężniku zatrzymał się lśniący srebrny mercedes kabriolet, za którego kierownicą siedział Simon Childs.

– Cześć, stary, tak myślałem, że to właśnie ty, co za zbieg okoliczności, może gdzieś cię podrzucić?

Wayne zawsze miał świra na punkcie srebrnowłosych mężczyzn, nie wspominając o srebrnych kabrioletach. Podczas zjazdu OSZF nieomal zrobił pierwszy krok, ale nie potrafił rozszyfrować zdecydowanie sprzecznych sygnałów wysyłanych przez starszego mężczyznę.

Sygnały seksualne nie były jedyną sprzecznością, którą zauważył Wayne. Simon Childs należał do trzeciego pokolenia bogaczy, ewidentnie był w śmietance towarzyskiej, ale chociaż ładnie się wystawiał, jego mowa była naznaczona słownictwem z ulicy, co sugerowało, że jakiś czas spędził, szlajając się po ciemnych zaułkach. Mimo to nigdy nie przeklinał. Wayne jeszcze nie słyszał, żeby z tych ładnie wykrojonych ust wydostało się jakieś „do diabła” czy „cholera”.

Poza tym Wayne nigdy nie widział Simona w krawacie, nawet podczas bankietu zamykającego zjazd w Vegas. Strój mężczyzny zawsze był swobodny i wygodny, ale też kosztowny, bo taki efekt mógł zostać osiągnięty tylko dzięki krawcowi. Simon Childs, wyglądający jednocześnie elegancko i łobuzersko, inteligentny i czytany, chociaż odebrał niewielkie formalne wykształcenie, był również najbardziej zrównoważonym fobem, jakiego Wayne kiedykolwiek spotkał. Nie było to opanowanie sztywnego białasa, ale luzackie, niedbałe i swobodne odprężenie, tak idealne, że należało je zbadać.

Jednak sygnały wysyłane przez Simona zeszłego wieczoru musiały być dostatecznie jasne – pomyślał Wayne. W jego pamięci majaczyły niewyraźne wspomnienia szaleńczej jazdy kabrioletem, dzikiego śmiechu i szampana na balkonie, rozbierania się w sypialni. Ale potem urwał mu się film. Oczywiście Childs wrzucił do jego kieliszka pigułkę gwałtu – Rohypnol.

„Pierdol się, Simon”? Mimo rozczarowania spowodowanego tak szybkim rozpoznaniem przez ofiarę, Simon nie zniżył się do poziomu Wayne’a. Szczycił się tym, że nie przeklinał, niezależnie od stopnia prowokacji. Chodziło o jego prywatne psychiczne zdyscyplinowanie, wymuszone w dzieciństwie przez kilka porządnych lań spuszczonej mu przez dziadka Childsa, który również nie bluźnił, i wzmocnione przez Missy, która w pewnym momencie zaczęła powtarzać po bracie brzydkie wyrazy.

Jednak Simon poczuł się jak głupek, uświadomiwszy sobie, że Wayne go przejrzał. W celu przygotowania się do ostatniej rundy gry strachu (przygotowanie było tak samo ważne i niemal tak samo trzymające w napięciu jak sama gra) Simon przeczytał książkę o kręceniu Ptaków Hitchcocka i dowiedział się, że praktycznie niemożliwym było nakłonienie mniejszych gatunków ptaków, nawet tych agresywniejszych, do zaatakowania kogoś na komendę. W filmie wykorzystano odpowiednie ujęcia i blue box. A Simon miał później sprzątać cały ten bałagan i łapać je do klatek.

– Wayne, posłuchaj mnie, to ważne.

– Pierdol się – powtórzył Wayne, zamknął oczy i wrócił do Bacha. Pod wieloma względami szósta suita sprawiała najmniejszą satysfakcję podczas grania, może dlatego, że pierwotnie została napisana dla jakiegoś nieznanego pięciostunowego instru...

Łup! Mocny cios w skroń. Wayne przewrócił się na bok na materacu, ale nie próbował się podnieść. Pierdolić to – pomyślał, przestrajając w wyobraźni górną strunę z powrotem do A. Gdy grasz na wymyślonej wiolonczeli dłońmi skutymi na plecach, to fakt, czy siedzisz, czy też leżysz, nie ma aż takiego znaczenia.

„Njeh pan zaatakuj koncert, panie Summers, njeh pan sje do njego nje zakrada”. Gdy Wayne skoncentrował się dostatecznie mocno, prawie słyszał rosyjsko-żydowski akcent Brotsky’ego. „To tianiec, panie Summers, njeh pan uczyni z njego tianiec!”.

Więc Wayne go zaatakował i uczynił z niego taniec. W jego wyobraźni gra smyczkiem nigdy nie była bardziej wolna, radosna czy – paradoksalnie – bardziej opanowana. Nie zdołał jednak utrzymać koncentracji, gdy Simon zaczął go bić.

– Wayne! Wayne, posłuchaj, musisz coś dla mnie zrobić.

To zwróciło jego uwagę. Hucpa, jak powiedziałyby Brotsky. Najzwyklejsza hucpa.

- Co?
- Musisz coś dla mnie napisać.
- I wtedy zostawisz mnie w spokoju? – Z jakichś względów Wayne odczuwał potrzebę jak najszybszego dokończenia całego cyklu suit.
- Tak.
- Kłamiesz.
- Tak. Ale możemy się dogadać. Jeśli zrobisz to, o co proszę, obiecuję, że wszystko pójdzie szybko i bezboleśnie.

Ostatecznie nic nie poszło ani szybko, ani bezboleśnie, chociaż gdy Simon składał obietnicę, szczerze wierzył, że mówi prawdę. W grze strachu chodziło o sam strach – przedłużanie cierpienia Wayne'a nie przynosiło żadnych korzyści.

Ale gdy Wayne pisał notatkę dla Simona, ten miał trochę czasu na dojście do wniosku, że Wayne był dla niego rozczarowaniem, i na wmówienie sobie, że po takim poświęceniu czasu, wysiłku i dużej gotówki ostatnia próba odzyskania chociaż części tego wszystkiego byłaby całkowicie uzasadniona.

Jednak wszystko na nic – mniejsze ptaki mogłyby równie dobrze być z papieru, nie wywarły żadnego wrażenia na tak zwanym ornitofobie. Simon posunął się nawet do próby wepchnięcia jednego z kanarków do ust Wayne'a – żadnej reakcji poza tymi szaleńczymi skurczami palców za plecami. Sowa też nie chciała zaatakować po raz trzeci, nawet gdy znowu poląła się krew.

Simon nie potrafił powiedzieć, jak długo bił swą ofiarę. Gdy tracił panowanie nad sobą, tracił też poczucie czasu. Ale przez kilka minut po tym, jak opadł na zakrwawiony materac, próbując złapać oddech, palce Wayne'a nadal drgały. To było jak koszmar, coś rodem z opowieści Edgara Allana Poe'go. Simon, uważający się za nieustraszonego, próbował wczuć się w klimat grozy, wyobrażając sobie, że te przeklęte palce poruszałyby się jeszcze długo po tym, jak obciąłyby Wayne'owi ręce.

Jednak ku mieszanym uczuciom Simona skurcze ustały same z siebie po kilku minutach. I nastąpił koniec, zostało tylko sprzątanie, które jednak musiało poczekać do rana. Z jednej strony Simon był wykończony fizycznie i psychicznie, z drugiej – mimo tego, że wytłumił piwnicę na wszelkie możliwe sposoby, hałas i wibracje wydobywające się z młota pneumatycznego mogły wydostać się przez otwory wentylacyjne i obudzić Missy.

Ślepy szczur

1

W Georgetown, gdzie Linda Abruzzi zamieszkała ze swoją współlokatorką z koleżdu Glorią Gee i jej mężem Jimem do czasu, aż uda jej się znaleźć mieszkanie, nastał jasny i słoneczny poranek – jeden z tych, w które zapominasz, że zima już czai się za rogiem. Dojazd do pracy również nie był tak kiepski jak w poniedziałek. O ósmej Linda siedziała już przy biurku, po kolejnej kontroli przy bramie. Pierwszą rzeczą, jaką uczyniła, było ponowne przeczytanie listu Dorie Bell.

1 października 1999 rok

Dorie Bell
Box 139
Carmel-by-the-Sea, CA 93921
(831) 555-1914

Drogi agencie,

nie wiem, czy ten list w ogóle do Pana dotrze, a nawet jeśli tak, to czy zwróci Pan na niego uwagę, ale w zeszytygodniowym artykule w „Heraldzie” na temat sprawy Maxwella opowiadał Pan o tym, jak Pański wydział pomaga w schwytaniu seryjnych morderców, którzy jeżdżą po kraju i zabijają ludzi w różnych miejscach. Piszę do Pana właśnie w takiej sprawie. Zresztą i tak nie wiem, do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić. Muszę zacząć od tego, że nie jestem wariatką. Wiem, że wszyscy szaleńcy, którzy do Pana piszą, zaczynają listy tymi słowami, ale nic na to nie poradzę. I żeby Pan sobie nie pomyślał, że coś przed Panem ukrywam, to przyznam bez ogródek, że cierpię na chorobę psychiczną zwaną SZF (specyficzne zaburzenie fobiczne), co oznacza niewytłumaczalny lęk przed konkretną sytuacją bądź obiektem, dostatecznie poważny, by mieć negatywny wpływ na codzienne życie.

Wiem – komuś takiemu jak Pan prawdopodobnie trudno jest zrozumieć fakt, że ktoś ma świadomość niedorzeczności swych obaw, a mimo to osiąga taki stan, ale jak powie Panu każdy psychiatra, to właśnie charakteryzuje fobię.

Ja cierpię na prosoponofobię, co oznacza, że boję się (z trudem zmuszam się nawet do napisania tego słowa) masek. Prawdopodobnie brzmi to dla Pana jak błahostka i z pewnością nie jest to najgorszy rodzaj fobii, jaki można mieć, ale proszę mi wierzyć, to nie bułka z masłem, zwłaszcza w okresie Halloween.

Jednak nie dlatego do Pana piszę. Chodzi o to, że zeszłej wiosny brałam udział w zorganizowanym dla OSZF (Osób o Specyficznych Zaburzeniach Fobicznych) zjeździe w Las Vegas. Ogólnie rzecz ujmując, było to jedno z najbardziej pozytywnych doświadczeń w moim życiu. Nie tylko poznałam wiele technik radzenia sobie z chorobą, lecz także podbudowałam się psychicznie, widząc, ile różnych fobii istnieje. Według jednego z prelegentów schorzeniem tym dotkniętych jest jedenaście procent populacji.

I teraz przechodzę do sedna. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy co najmniej trzy osoby biorące udział w zjeździe rzekomo popełniły samobójstwo. Piszę „co najmniej”, ponieważ może być więcej przypadków, o których nie mam pojęcia, i „rzekomo”, bo moim zdaniem to wcale nie były samobójstwa. Uważam, że te osoby zostały zamordowane – ale podam Panu fakty, które znam, a Pan sam dokona oceny. I tak Pan by to zrobił.

Pierwsza osoba: Carl Polander. Las Vegas. Akrofobia. Lęk wysokości. 12 kwietnia, ostatniej nocy zjazdu, wyskoczył, spadł albo został wyrzucony z okna na dwunastym piętrze. Według policji wyskoczył, ale my go znaleźmy i uważamy inaczej. Co Carl robiłby na dachu jakiegokolwiek budynku, skoro nawet nie potrafił zmusić się do jazdy windą ani do wejścia wyżej niż na drugie piętro?

Druga osoba: Kimberly Rosen. Chicago. Pnigofobia. Lęk przed uduszeniem się. 15 czerwca matka znalazła ją w jej mieszkaniu w wannie z plastikową torbą na głowie. Zostawiono tam list pożegnalny, rzekomo napisany jej ręką, ale ja tego nie kupuję.

Trzecia osoba: Mara Agajanian. Fresno. Hemofobia. Strach przed krwią. 17 sierpnia znaleziona w wannie. Z podciętymi żyłami.

Hemofob nie podciąłby sobie żył, pnigofob nie założyłby sobie reklamówki na głowę, tak samo jak akrofob nie rzuciłby się z dachu. Agencie Pender, dzieje się coś bardzo dziwnego i alarmującego, ale nikt nie chce mnie słuchać. Być może policja z tych trzech miast nie bierze mnie na poważnie ze względu na moją przynależność do OSZF, ale proszę mi wierzyć, fakt, że ktoś jest fobem, nie czyni z niego paranoika. SZF i schizofrenia paranoidalna to dwa zupełnie osobne zaburzenia, które mają ze sobą tyle wspólnego, co, powiedzmy, odra i zapalenie wyrostka robaczkowego.

Nie wiem, co jeszcze napisać, poza tym, że bardzo Pana proszę, agencie Pender, czy mógłby Pan chociażby przyjrzeć się tym trzem sprawom? Jeśli Pan nie zbada trzech śmierci w trzech różnych jurysdykcjach, to nie wiem, kto to robi. Jeśli Pan tego nie uczyni, to obawiam się, że wkrótce więcej moich przyjaciół „popełni samobójstwo”.

Z poważaniem
Dorie Bell

I to było na tyle. Nie miała ochoty zabierać się za to owego chłodnego, bardzo jasnego poranka bez Pendera będącego w pobliżu i zachęcającego ją do działania. Ale nie miała nic innego do roboty, więc resztę przedpołudnia spędziła na wydzwanianiu do policji w Vegas, Fresno i Chicago w celu sprawdzenia faktów, potem zarejestrowała się na stronie stowarzyszenia OSZF Phobia.com, żeby poczytać o różnych przypadkach fobii, i tuż przed południem – o dziewiątej rano czasu kalifornijskiego – „zainicjowała kontakt telefoniczny z korespondentką”, jak odnotowała w swym dzienniku.

- Słucham?
- Czy to Dorie Bell?
- Tak, przy telefonie.
- Panno Bell, mam nadzieję, że pani nie obudziłam.
- Nie. Czy chodzi o Wayne'a?
- Nie, z tej strony Linda Abruzzi z Federalnego Biura Śledczego. Dzwonię w sprawie pani listu do agenta specjalnego Pendera.
- Och, dzięki Bogu.

Nie do takich odpowiedzi Linda była przyzwyczajona, gdy dzwoniła do kogoś o dziewiątej rano jego czasu i się przedstawiała. Mimo wszystko nadal przestrzegająca języka urzędowego Biuro-kracji:

- Agent specjalny Pender przekazał mi pani list, dlatego muszę zadać pani kilka...

Kobieta przerwała jej w pół zdania.

- To się znowu wydarzyło.
- Co się znowu wydarzyło, panno Bell?
- Mój przyjaciel Wayne zniknął w sobotę wieczorem. Miał być u mnie wczoraj wieczorem, ale nie...
- Panno Bell, chwileczkę, zwolnijmy i zacznijmy od początku.

I zaczęły od samego początku, a kiedy skończyły, Linda wierzyła we wszystko. Obiecała Dorie, że oddzwoni, gdy tylko uzyska jakieś informacje, przyjęła wylewne i przesadne podziękowania za nawiązanie kontaktu, rozłączyła się i zadzwoniła do starego przyjaciela, Bobby'ego Emmetta, który nadal służył w biurze terenowym w San Francisco.

W dziewięćdziesiątym trzecim Linda i Bobby pracowali razem nad sprawą Polly Klaas – to była jedna wielka kupa gówna. Stary truizm FBI: im więcej agentów przydzielonych do śledztwa w sprawie porwania, tym mniejsze szanse na sukces – jeśli pod pojęciem „sukcesu” rozumiemy odnalezienie ofiary żywej. Wpadki FBI nagłaśniano i upubliczniano, zwycięstwa często były przemilczane i świętowane prywatnie – oczywiście tak właśnie musiało być.

Bycie agentem na niskim stanowisku w bardzo wyróżniającej się grupie pracowniczej to nie jest prosta rzecz. Ale jeśli człowiek musiał spędzać osiemnaście godzin dziennie na przeczesywaniu sąsiedztwa, przepytывaniu ludzi, wyłapywaniu telefonów wariatów i osób pragnących sławy albo, już pod koniec, krążeniu w tę i z powrotem po stojedynce w poszukiwaniu nieoznaczonych grobów, to nie było lepszego towarzystwa niż Bobby Emmett.

Tak jak się spodziewała, Bobby zgodził się wykorzystać jeden ze swoich kontaktów w policji z San Francisco i wkrótce oddzwonił. Nie miał dobrych wieści – nie dla Wayne'a Summersa i z pewnością nie dla pierwszego dochodzenia Lindy prowadzonego w Wydziale Łączności.

- Okazuje się, że pan Summers ma w policji San Francisco wysoko postawionego wujka – wyjaśnił. – Zajęli się tym i według nich twój chłopak się utopił. Dzisiaj rano znaleziono jego futerał z wiolonczelą na Ocean Beach, razem z ubraniami i listem pożegnalnym. Jeszcze nie mają ciała, ale wiesz, że tam są silne prądy odpływowe.

- Czy list wygląda na prawdziwy?
- Matka potwierdziła charakter pisma.
- Możesz go dla mnie załatwić?
- Niestety nie. I tak masz szczęście, że w ogóle mnie złapałaś, za kilka godzin wyjeżdżam do Seattle. Wypożyczają mnie do antyterrorystów, próbują się wzmocnić, zaraz będzie pluskwa milenijna.

- To może pogadamy po południu? Fakt, że to wygląda jak samobójstwo, pasuje mi do profilu.
- Lindo, muszę już lecieć. Na twoim miejscu nie angażowałbym się w to zbyt mocno. Wiesz, że zbiegi okoliczności się zdarzają, prawda? A samobójstwa czasami występują w grupach.

- Może i masz rację – odparła rozkojarzona. Próbowała przypomnieć sobie Ocean Beach z czasów, gdy pracowała w San Francisco. Psie gówna, potłuczone szkło, morderczy prąd odpływowy, tuziny fok na skałach poniżej restauracji Cliff House i setki mew krążących, wrzeszczących, walczących o śmieci i resztki z pikników. Mewy zachodnie, kalifornijskie, popielate, śniade. Jeśli rzuciło się do góry frytkę, w dziewięciu przypadkach na dziesięć nie spadała na ziemię.

- Dzięki za pomoc.

Gdy przygotowywała się psychicznie na mało przyjemną rozmowę z Dorie Bell i poinformowanie jej o przyjacielu, nadal była daleka od pewności co do prawdziwego przebiegu wydarzeń. Pewnie, że samobójstwa czasami występują grupowo, i pewnie, że historia zna różne zbiegi okoliczności.

Morderstwa też zna. A Ocean Beach nie jest miejscem dla ornitofoba – pomyślała Linda. Zwłaszcza dla takiego, który chce popełnić samobójstwo.

2

– Uważaj! – krzyknęła Missy. Wiedziała, że za drzwiami ukrywał się mężczyzna z niebezpiecznym narzędziem, i gdy tylko Audrey Hepburn je otworzy, on...

Dryń, dryń, dryń, Simonie, to ja, odbierz!

Missy rzadko odbierała telefony, po części dlatego, że Simon sobie tego nie życzył, a po części dlatego, że to było dla niej ogólnie frustrujące przeżycie. Ale przez cały ranek rozlegało się dryń, dryń, dryń, Simonie, to ja, Dorie, dryń, dryń, dryń, mam dla ciebie wieści i wreszcie miała tego dość. Zatrzymała Szaradę i odebrała.

– Słucham?

– Cześć Missy. Tu Dorie. Pamiętasz mnie?

Oczywiście, że pamiętała, przytulasy od Dorie były najlepsze.

– Och, cześć.

– Cześć. Czy Simon jest w domu?

– Jest w piwnicy.

– Co? Przepraszam, kochanie, gdzie jest?

– Piwnica. Jest w piwnicy. – Ale mogła powtarzać to przez cały dzień, a i tak nikt by jej nie zrozumiał. Głupi język. Głupia buzia. – Poczekaj.

Chociaż piwnica była bezpiecznie zamknięta i zaryglowana, to i tak Missy nie chciałyby przejść obok, nawet gdyby ciągnano ją wołami. Puściła Simonowi sygnał na pagera i wróciła do oglądania filmu, nie odłożywszy słuchawki. Kilka minut później w drzwiach stanął niezadowolony brat w ochraniaczach na kolana i gumiakach. Czuć było od niego zapach mokrego cementu. Missy machnęła pagerem w kierunku telefonu.

– Słucham? Och, cześć, Dorie, co za... Och, nie. Dorie... Dorie, posłuchaj, przejdę do innego pokoju... Tak, nie ma sensu denerwować dzieciaka. – Podał telefon Missy. – Odbiorę w swoim pokoju, odłożysz ją?

Odłożyła. Simon uniósł dłoń, jakby chciał ją uderzyć. Potem jego wąsy zadrgały. Roześmiał się.

– Chodziło mi o to, żebyś ją odłożyła, kiedy podniosę drugą słuchawkę.

– To dlaczego tego nie powiedziałaś?

Rzekła to spokojnym tonem, nie odrywając wzroku od ekranu telewizora, na którym Cary Grant (w oczach Missy bardzo podobny do Simona z tymi siwymi włosami i dołeczkiem w brodzie) zsuwał się stuku-puku, stuku-puku po śliskim, stromym dachu Audrey Hepburn.

Simon, który był na nogach od świtu – pojechał do San Francisco, żeby wyrzucić na Ocean Beach list i futerał, a potem przez cały ranek wykonywał iście niewolniczą pracę – cały czas zastanawiał się, co zrobić z ptakami, gdy Missy wyciągnęła go z piwnicy, by odebrał telefon od Dorie.

I chociaż tym razem najnowsze wieści od nieznośnej panny Bell nie były takie złe – według agenta FBI, z którym się kontaktowała, policja z San Francisco kupiła wersję z listem, hakiem, liną i ciężarkiem – niepokojący był fakt, że w pierwszej kolejności kobieta zwróciła się właśnie do FBI. Będzie musiał trochę przyspieszyć swój plan – oczywiście najpierw czekała go podróż samochodem.

Jednak nie mógł zostawić Missy samej, a opiekunce dał tydzień wolnego, żeby móc się w spokoju zająć Wayne'em. Teraz musiał ściągnąć Tashę z powrotem, ale najpierw trzeba było pozbyć się ptaków z piwnicy. I to wszystko po trzech godzinach snu. Robota, robota, robota, ale przynajmniej się nie nudził. To było bardzo ważne. Simon nigdy nie spotkał nikogo, kto cierpiałby z powodu nudy w takim stopniu jak on, może za wyjątkiem dziadka Childsa, który znał ten stan na tyle, że nadał mu nazwę: ślepy szczur.

Tylko że w dzieciństwie Simon wyobrażał go sobie bardziej jako larwę, grubą, ślepa, łysą, zjadającą go od środka, rabującą mu spokój, odpoczynek, a jeśli zbyt długo nie otrzymywała dostatecznych bodźców – także zdrowie psychiczne.

Ponieważ jednak w niedalekiej przyszłości miała nastąpić kolejna gra strachu, ślepy szczur nie stanowił problemu, który by trzeba było jak najszybciej rozwiązać. Poza tym ta gra będzie łatwa w przygotowaniu. Wszystko, czego tak naprawdę potrzebował, to trochę Rohypnolu, a miał go już przecież pod dostatkiem, i kilka masek, których zdobycie nie powinno nastęrczyć zbyt dużych trudności,

zwłaszcza że, jak sobie przypominał, Halloween będzie za niecałe dwa tygodnie.

3

Mieli go. Naprawdę go mieli.

Najpierw trochę się nad nim poznęcali. Żadnych gratulacji w pracy w poniedziałek, żadnej imprezy pożegnalnej, żadnego złotego zegarka.

Jednak Pender z determinacją tego do siebie nie dopuszczał. W drodze do domu zatrzymał się w niedużym centrum handlowym Potomac, wypożyczył filmy: Guadalcanal Diary, The Sands of Iwo Jima i The Best of Mimi Miyagi, wziął na wynos tyle chińszczyzny, że mógłby wykarmić Armię Czerwoną, a na popitkę kupił Jima Beama. W szufladzie biurka Abruzzi zostawił pół litra. Upierała się, że nie pije, ale obstawiał, że zmieni zdanie, to tylko kwestia czasu.

Od czasu rozwodu, czyli od dziesięciu lat, Pender mieszkał w walącym się domu na zboczu góry nad służą Tinsmana numer 22 na kanale Chesapeake i Ohio, na federalnej ziemi pierwotnie nadanej byłym niewolnikom po wojnie secesyjnej. Pender dzierżawił teraz ten teren od Służb Parków Narodowych.

Do zalet mieszkania przy służie Tinsmana należały gęsty las, brak sąsiadów, wspaniałe widoki na kanał, rzekę i wiejską okolicę Wirginii po drugiej stronie. Poza tym było tanio. Jednak główną wadę stanowił powód, dla którego dom był tani: zgodnie z warunkami dzierżawy wszystkie widoczne ulepszenia poza podziemną siecią elektroenergetyczną i liniami telefonicznymi musiały mieć historyczny charakter, jakby pochodziły z okresu między 1850 i 1890 rokiem. Jak się zdawało, niewielu ludzi miało ochotę płacić hrabstwu Montgomery za dom rodem z Tobacco Road.

Jeśli chodzi o wnętrze, to w ciągu dziesięciu lat więcej, niż jedna kobieta próbowała swych sił w dekoracji, ale żadna z nich nie wytrzymała dostatecznie długo, by nadać mu kształt domowego zacisza. Jak kiedyś zauważył jego stary przyjaciel Sid Dolitz, dom przypominał Pendera – był duży, brzydki i z każdym rokiem niszczał coraz bardziej.

Więc gdy już przekonał samego siebie, że nie potrzebuje żadnej pieprzonej imprezy, pierwszy wieczór na emeryturze Pender spędził na oglądaniu filmów, pożeraniu chińszczyzny i ćwiczeniu wylegiwania się na przestronnym, chociaż krzywym ganku z tyłu, przygotowując się w ten sposób na prezent od Sida z okazji przejścia na emeryturę – wycieczkę do Kalifornii, dwa dni gry w golfa na Pebble Beach i dwie noce w hotelu The Lodge.

We wtorek rano impreza-niespodzianka była ostatnią rzeczą, jaką zaprzętał sobie głowę. Spał do dziesiątej, łknął klina na kaca (bo i czemu nie? Przecież już nie pracował), zjadł pozostałą chińszczyznę na późne śniadanie i wyjechał swoją kruczczoarną dumą – barracudą rocznik '64 – odratowaną i odrestaurowaną kiedy dochodził do siebie po rozwodzie, by spotkać się z Sidem Dolitzem w jego klubie country na nader kulturalnego golfa o pierwszej.

Pod wieloma względami Dolitz był przeciwieństwem Pendera, takim anty-Penderem. Niski, drobny koneser dobrego jedzenia i świetnego wina, wierny mąż, ślepo wpatrzony w swą ukochaną i potwornie bogatą Esther, dopóki śmierć ich nie rozłączyła, swego rodzaju elegant, przynajmniej jak na standardy Biura (nawet w czasach, w których konserwatywny zestaw: garnitur, biała koszula i krawat były obowiązkowe, nosił idealnie dopasowane garnitury oraz koszule z egipskiej bawełny, a do swoich krawatów firmy Countess Mara zawsze dobierał pasujące poszetki). Przez ponad dwadzieścia lat Sid stanowił całkowite przeciwieństwo Pendera.

Dzisiaj założył bladozieloną popelinową wiatrówkę i idealnie uprasowane w kant spodnie khaki z dwucentymetrowym mankietem. Orzeźwiający jesienny wiaterek nie potargał jego stalowoszarego tupecika.

– Pięć docłów za dołek! – krzyknął, gdy Pender zbliżył się do pierwszej podkładki.

– Dziesięć – odrzekł Pender, który pierwszą piłkę posłał w derenie po lewej stronie toru.

Chociaż Sid był dziesięć lat starszy od Pendera, wolał chodzić po torach. Być może wiedział, że im bardziej zmęczy przyjaciela, tym trudniej będzie mu celować w dołki. Po raz kolejny Pender ledwie się zgrzał. Spłacił zobowiązania przy dziewiętnastym dołku. Sid zapłacił przy barze i kilka rund później zaczął się upierać, że zostawi swój samochód w klubie i odwiezie Pendera do domu jego cudą.

Podstęp ten nie był z gatunku najbardziej wyrafinowanych. Później przyszło Penderowi do głowy, że

nawet gdyby niczego nie podejrzewał w chwili, w której wtargał swoją torbę do golfa przez drzwi wejściowe, z przedsionka i salonu nagle doskoczyło do niego trzydzieści lub czterdzieści osób (oczywiście tych, które były jeszcze na tyle młode, by móc skakać) i wszyscy z całych sił wrzasnęli „niespodzianka!”, i tak był prawdopodobnie zbyt pijany, by w ogóle móc prowadzić.

Gdy tłoczyli się wokół niego, z trudem powstrzymywał łzy.

– Macie mnie – powtarzał. – Naprawdę mnie macie.

4

Pogoda we wrześniu i październiku była typowa dla Monterey Peninsula. Po Świącie Pracy zwinęli się nie tylko turyści, lecz także mgła. Jeśli tylko nie padało, można było liczyć na dwa miesiące słońca.

Dorie była zbyt wstrząśnięta informacją o śmierci Wayne'a, by we wtorek zabrać się za jakąkolwiek pracę. Wiedziała, że ostatecznie przeleje wszystkie uczucia na płótno i ukryje strach, smutek i żalobę w jednym ze swych pejzaży – byle nie podczas typowej słonecznej pogody.

Jednak około szóstej wieczorem, gdy poszła na Carmel Beach, pożałowała, że nie zabrała swoich akcesoriów malarskich. Nie potrzebujesz deszczu, żeby nosić żalobę – pomyślała. Zachód słońca nad zatoką w Carmel też świetnie się do tego nada. W takim pięknie jest tyle smutku, zwłaszcza jeśli wszystko kończy się tak szybko. Potem przypomniała sobie, że w chwili swej śmierci Wayne Summers miał tylko dwadzieścia siedem lat.

Dwadzieścia siedem! Był zdrowy, kochał swoją pracę, jego kariera nabierała tempa. Jak nigdy wcześniej był bliski przejęcia kontroli nad swoją ornitofobią. Jakby i to nie było wystarczającym powodem do życia, jeszcze chadzał na randki o wiele częściej niż Dorie i to przeważnie z zapierającymi dech w piersiach przystojniakami. Dlaczego miałby popełnić samobójstwo? I to w dodatku się utopić?

Przecież nie umiał pływać. Pamiętała, jak żartował, że można było odnieść do niego tylko ten jeden z trzech stereotypów dotyczących czarnoskórych. Pozostałe dwa, dodawał, to wycucie rytmu i to-nie-twoja-sprawa.

Na to wspomnienie Dorie roześmiała się przez łzy. A po łzach pojawiła się złość i postanowienie: nie podda się. Będzie próbować, podwoi wysiłki, będzie upierdliwa na każdym etapie egzekwowania prawa, aż zyska pewność, że ktoś otworzy dochodzenie i się tym zajmie. Ktoś taki jak ta agentka FBI. Wprawdzie Abruzzi nie wierzyła jeszcze w to, co Dorie jej powiedziała, ale przynajmniej brzmiała, jakby chciała uwierzyć. A to już było coś.

5

Na wsi w Maryland panowała pełnia jesieni, wszędzie było żółto, czerwono i pomarańczowo aż do przesady. Jak w pudełku płatków Froot Loops albo jak w starej kreskówce Disneya w technikolorze – pomyślała Linda.

Panna Pool okazała się tak skuteczna w wyznaczaniu tras, jak w zarządzaniu Biurem (wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę miejscem tym rządzą urzędnicy FBI). Z Virginii jedź drogą numer 495, potem Beltway, na północny wschód do Maryland, potem wjedź na 190, River Road, na północ do Potomaku i skręć na zachód na drogę do śluzy Tinsmana. Dojazd do domu Pendera to pierwsza (i ostatnia) droga po lewej, daleko od znaku wyznaczającego wejście do Narodowego Parku Historycznego nad kanałem, na którym znajduje się wyczerpujący regulamin parku.

Gdy Linda wjechała na długi, zaśmiecony podjazd, było już ciemno. Inni imprezowicze zaparkowali na parkingu nad kanałem i wspięli się na wzgórze, żeby nie zepsuć niespodzianki. Na podjeździe stał tylko stary, czarny, podrasowany samochód. Linda stanęła za nim.

Usłyszawszy śmiech i muzykę, dochodzące z wielkiego drewnianego domu, uświadomiła sobie, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Miała trzydzieści pięć lat, od siedmiu pracowała w FBI, a i tak perspektywa wejścia na imprezę, na której praktycznie nikogo nie знаła, wciąż sprawiała, że czuła się jak pięcioletnia dziewczynka.

Już dobrze – upomniała siebie. – Nie jesteś tutaj, by udzielać się towarzysko. Znajdź Pendera, zapytaj go o to, o co chcesz go zapytać, życz mu szczęścia na emeryturze, może złap kawałek kraba w cieście

francuskim. A potem arrivederci, Abrootz, i wynosisz się stąd.

Drzwi wejściowe były uchylone. Pender, trzymający w jednej dłoni szklanekę Jima Beama, a w drugiej przewiązany wstążką kij golfowy marki Callaway, brylował w towarzystwie w najdalszym kącie salonu utrzymanego w stylu rustykalnym, stojąc w otwartych przesuwanych szklanych drzwiach prowadzących na ganek z tyłu domu. Zobaczył ją i zaczął dumnie wywijać kijem nad głową.

– Lindo, co sądzisz o moim złotym zegarku? – a potem dodał: – Uwaga, wszyscy! Tamta zdolniacha to Linda Abruzzi, która zajmie miejsce mojego grubego cielska w Wydziale Łączności.

– To znaczy, jeśli uda mi się odnaleźć w tym bajzlu w biurze – odparła Linda i uśmiechnęła się grzecznie. Pierwsza riposta, jaka przyszła jej do głowy, dotyczyła zajmowanej przez niego przestrzeni i zostawiania wielkich odcisków stóp, ale nie chciała, żeby ludzie zaczęli patrzeć na jej stopy. Wielkie szyny na kostkach wbudowane w brzydkie buty ortopedyczne cały czas trochę wprawiały ją w zakłopotanie, nawet jeśli miała na tyle długie nogawki, by je zakryć.

Zanim zdążyła poprosić Pendera o rozmowę, ktoś popukał ją w ramię. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z kolejną legendą Biura, zastępcą szefa FBI, Stephenem P. McDougalem. Według plotek kilka lat wcześniej McDougal otarł się o stanowisko szefa, miał zostać mianowany zamiast Louisa Freeh. Przystojny starszy mężczyzna o wspaniałej prezencji i siwych włosach, tak grubych, że miało się ochotę przejść po nich na bosaka.

– Abruzzi, jak tam, zaaklimatyzowałaś się już?

– Tak, sir. Pierwszorzędnie.

– Biuro w porządku? Masz jakieś specjalne wymagania?

– Nie, sir, wszystko w porządku.

– Prawidłowa postawa – odrzekł. – W razie problemów zgłoś się do mnie.

– Dziękuję, sir.

Poczuła wielką ulgę, gdy się odwrócił. Czowała się jak w liceum, kiedy spotkała dyrektora szkoły w spożywczaku. Kiedy ja się przyzwyczaję do dorosłości? – Zaczęła się zastanawiać. A teraz jeszcze zniknął Pender. Rozejrzała się i zobaczyła go na ganku z tyłu, pogrążonego w poważnej rozmowie z energicznym starszym facetem, mającym na głowie coś, co przypominało jeden ze starych tupecików Sinatry. Ściągnęła na siebie wzrok Pendera. Pomachał do niej, żeby do nich dołączyła.

– Lindo Abruzzi, to jest Sid Dolitz. Najlepszy psychiatra sądowy, jaki kiedykolwiek nosił odznakę. Mimo że nie leczył pacjentów ani przez jeden dzień.

– Szaleńcy niezbyt mnie obchodzili – wyjaśnił Dolitz. – W zawodzie psychiatry była to przeszkoda, ale Biuro widziało w tym same zalety.

– Miło mi cię poznać.

– Mnie ciebie również. – Dłoń Dolitza była wypielęgnowana i mała, niewiele większa niż Lindy, i z dużo lepszym manikiurem. – Rozumiem, że masz SM.

– Tak? – I co z tego? W ciągu kilku krótkich miesięcy od postawienia diagnozy spotkała zbyt wielu ludzi, którzy widzieli jej kalectwo, jeszcze zanim ujrzeli ją samą.

– Chorowała na to moja zmarła żona. Czy nie miałabyś nic przeciwko, żebym coś zasugerował?

– Nie wiem – odparła z powątpiewaniem.

– Kup sobie laskę, zanim wykończysz sobie plecy.

– Rozważę to.

– Przepraszam, jeśli cię obraziłem.

– Nie szkodzi.

– Zgoda?

– Zgoda.

– Czy w takim razie mogę ci zaproponować kieliszek wina? Właśnie idę do kuchni po cudownie wyglądające bordeaux. Jeśli chcesz się napić dobrego wina u Pendera, sama musisz je sobie przynieść.

– Prowadzę. Ale dziękuję.

Dolitz sobie poszedł. Linda przechyliła się przez drewnianą balustradę. Pod nią znajdowało się ciemne zbocze góry i lśniąca, czarna wstęga kanału.

– Ed, posłuchaj, przepraszam, że rozwalam ci imprezę, ale muszę zadać ci kilka pytań, a panna Pool powiedziała, że jutro rano wyjeżdżasz z miasta i że mogę dzisiaj do ciebie wpaść.

– No cóż, skoro Pool tak stwierdziła, to z pewnością tak właśnie jest. Jak mogę ci pomóc?

– Chodzi o list Dorie Bell.

Opowiedziała mu o zniknięciu Wayne'a Summersa i jego rzekomym samobójstwie.

- O rety – brzmiał jedyny komentarz Pendera, ale było to elokwentne „o rety”.
- Problem polega na tym – mówiła dalej Linda – że po prostu nie kupuję tego samobójstwa. A wszyscy w nie wierzą. Wszyscy oprócz Dorie Bell. Policja z San Francisco mówi, żebym dała spokój, Bobby mówi, żebym dała spokój, a zastępca szefa FBI z San Francisco nawet nie chciał ze mną rozmawiać. Odłożył słuchawkę, gdy tylko się dowiedział, że dzwoni Wydział Łączności.
- A ten zastępca nie ma przypadkiem na nazwisko Pastor?
- Thomas Pastor. Znasz go?
- Natknąłem się na niego kilka razy podczas sprawy Maxwella. To efekciarz, nie umiałby wysledzić ślonia ze sraczką, ale wyglądałby rewelacyjnie na konferencji prasowej po całej akcji.
- Więc co mam zrobić?

Akademia nie prowadziła kursu, na którym można byłoby się dowiedzieć, jak nawiązywać współpracę w ramach śledztwa, którego nikt inny nie chce się podjąć, ale gdyby taki kurs istniał, to z pewnością prowadziłby go Pender.

- Masz jeszcze jakieś kontakty w biurze terenowym?
- Bobby był ostatnim z mojej starej paczki.
- A policja z San Francisco?
- Nie.
- No to masz przesrane – powiedział Pender. – Chyba że... – Beztróska oparł ręce na podejrzenie wyglądającej balustradzie i przeniósł cały ciężar ciała na łokcie. Z jakichś względów wydawał się niezwykle z siebie zadowolony.
- Co? Chyba że co?
- Chyba że przypadkiem znasz dwóch starych przyków o nazwisku Pender i Dolitz, którzy zupełnym przypadkiem wylatują jutro do Pebble Beach. Będziemy pięć minut drogi od Carmel. Mogę tam podskoczyć i uciąć sobie pogawędkę z panną Bell, przynajmniej dowiem się, czy należy do MSO.

Spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc.

- Gdy po raz pierwszy przyjechałem do Waszyngtonu, panowała wielka panika, bo chodziły słuchy, że ktoś planuje wysadzić pomnik Waszyngtona – wyjaśnił. – Metro dostał cynk o nowej grupie o nazwie MSO. Antyterrorysty zamykają pomnik, rozmieszczają snajperów w centrum handlowym, we wszystkich dziewięciu budynkach. Potem ktoś wychodzi, żeby spotkać się z informatorem. Okazuje się, że MSO to Marsjańskie Siły Obronne. Facet przechwytywał informacje z Marsa przy pomocy swoich plomb.

Linda zmusiła się do uśmiechu.

- Nie wydaje mi się, by Dorie Bell trzymała z MSO. Jakby nie było, i tak nie mogę prosić cię o...
- O nic mnie nie prosiłaś, zgłosiłem się na ochotnika.
- Ale przecież jesteś już na emeryturze.
- Nie do końca – odparł. – Oficjalnie przejdę do cywila dopiero za dwa tygodnie.
- Nie chcę, żebyś miał przeze mnie jakieś kłopoty.

Wzruszył ramionami.

- I co mi zrobią? Zwolnią mnie?

6

Jako chłopiec Simon Childs często był bity przez dziadka za lenistwo, między innymi. Ale on nie był leniwy, po prostu zapadał w swego rodzaju paraliżującą, niemożliwą do wytrzymania i pełzającą po skórze apatię.

Jednak poza tymi okresami posiadał zdolność do niemal nadludzkiego wysiłku. W tej smukłej sylwetce znajdowały się niewyczerpane zapasy sił, a w tych długich rękach i nogach kryła się ogromna krzepa. Pracował cały dzień aż do wieczora, a gdy skończył, w piwnicy było tak czysto, że można było tam urządzić spotkanie modlitewne.

Pomijając te... pieprzone... ptaszyska. Próbował, jak tylko się dało, ale nie potrafił zmusić się do wyrządzenia krzywdy któremukolwiek z nich. Najpierw chciał zabić z litości kanarka ze zranionym skrzydłem – tego, którego wpychał Wayne'owi do ust – ale gdy wziął stworzenie w złożone dłonie, poczuł jego ciepło, miękkość, pogładził swymi długimi kciukami drżące żółte piórka, poczuł tę samą pełnię

w swych piersiach i gardle, to samo bolesne, zaprawione goryczą, a jednak przyjemne uczucie, które czasami nadochodziło go, gdy nalewał gorącej wody do wanny Missy lub w nocy kładł ją do łóżka.

W związku z tym, chociaż wiedział, że było to o wiele bardziej niebezpieczne niż zwykłe pozbycie się ptaków, a może dlatego, że było to bardziej niebezpieczne i przez to mniej nudne, postanowił je uwolnić.

Pierwszym krokiem było podzielenie ptaków według gatunków – papużki długonogie, gołębie i wszystkie kanarki co do jednego – i umieszczenie ich w trzech klatkach, które potem – razem z niepokojąco apatyczną papugą w worku z juty – załadował do mercedesa, zaparkowanego w garażu graniczącym z wytłumioną piwnicą rezydencji Childsów, którą zaprojektowała Julia Morgan. Klatki z kanarkami i papugami ledwo zmieściły się w bagażniku; klatkę z gołębiami ustawił na tylnym siedzeniu kabrioletu i przykrył ją kocem, a worek z sową wrzucił na przednie siedzenie i złożył dach kabrioletu.

Wrócił na górę niewiele przed wpół do dziesiątej wieczorem. Missy wciąż się kąpała. Pomógł jej, wycierał ją flanelowym ręcznikiem tak długo, aż sinoniebieska skóra stała się przyjemna w dotyku i różowa, posypał talkiem uda, żeby nie powstały otarcia, założył kombinezon do spania i zaprowadził do łóżka na „Wiadomości o dziesiątej”.

– Teraz Simon musi wyjść na godzinę albo trochę dłużej, ale ty jesteś grzeczna i nie będziesz psocić, mam dla ciebie wyjątkowy prezent.

Niewiele słów mogło oderwać Missy od Dennisa Richmonda, ale słowo prezent zdecydowanie się do nich zaliczało.

– Co, co?

– Nigdy nie zgadniesz, nawet za milion lat.

– Zgadnę.

– Hmmmm. Zobaczmy... Co jest małe... żółte... i ma pióra... – Z biegiem lat Simon nauczył się przeciągać podawanie siostrze wskazówek w taki sposób, by miała ochotę przerwać mu w połowie zdania, dzięki czemu zawsze wydawała się sobie mądra.

– Ptaszek Tweety! Ptaszek Tweety!

– Jeśli będziesz bardzo grzeczna i nie będziesz robić czego...?

– Psocić.

– Właśnie.

– Obiecuję.

Missy dotrzymywała słowa tak samo jak Simon. Pojechał w kierunku Walnut Creek, ukradkiem wypuścił całą pierzastą menażerię na zewnątrz Muzeum Przyrodniczego Lindsay, które specjalizowało się w ratowaniu rannych ptaków, i wrócił do Berkeley na czas, by dać Missy jej prezent – najzdrowszego i najbardziej rozśpiewanego kanarka z całej zgrai – a potem położył ją spać.

– Kocham ją – powiedziała Missy. Ustawił klatkę tuż przy jej łóżku.

– Jak ją nazwiesz?

– Tweety, głuptasie.

– Tweety Głuptasek? – zaczął się z nią droczyć. – Co za śmieszne imię.

– Smarkacz – powiedziała Missy.

– Smarkacz – odparował Simon.

Gdy nachylił się, by pocałować ją w czoło na dobranoc, kanarek zaczął śpiewać. Simon wyłączył lampkę, ale przez półotwarte drzwi wpadało światło z korytarza.

– Dobranoc, siora.

– Dobranoc! – krzyknęła Missy. – Słodkich snów.

– Oby – mruknął Simon, gdy kanarek zamilkł. – Mój Boże, oby.

Manie Sans Délire

1

Rankiem po imprezie u Pendera upiornie skuteczna panna Pool wykonała jeden telefon i dwadzieścia minut później – co można było nazwać cudem Biuro-kratycznym – zjawiło się dwóch przysadzistych facetów w białych kombinezonach, którzy wywieźli teczkę Pendera.

Potem Linda musiała uporać się z zadaniem uporządkowania biurka poprzednika i znalazła butelkę Jima Beama, którą dla niej zostawił. Zastanawiała się nad wyrzuceniem jej do śmieci, ale w końcu zdecydowała inaczej. Według plotek kontrwywiad regularnie przeszukiwał kosze na śmieci FBI, próbując odkryć szpiega, który wsypał główną operację – budowę tunelu pod ambasadą rosyjską – o czym było wiadomo również tylko dzięki plotkom.

Dwie godziny później, gdy surfowała po Internecie i przeglądała zawartość archiwum Phobia.com, tych samych dwóch mężczyzn w kombinezonach, w towarzystwie agenta specjalnego Steve'a Maheu wróciło z wózkami, na których poukładano białe pudła na dokumenty. Maheu, ogolony na jeża członek mormońskiej mafii w FBI, który – zdaniem Pendera – nosił szary garnitur skrojony tak, by ukryć parasol tkwiący w jego dupie, poinformował Lindę, że została wypożyczona do kontrwywiadu.

– Właściwie to pracuję nad czymś obiecującym w...

Przerwał jej w pół zdania.

– Właściwie to pracujesz nad tym, nad czym ci rozkażę, Abruzzi. Chyba że jesteś fizycznie niezdolna do pełnienia obowiązków, do których cię wyznaczono. W takim razie sugeruję, żebyś oddała swoją odznakę i skończmy ten cyrk, zanim jeszcze bardziej ośmieszysz Biuro.

Masz szczęście, że zabrali mi broń – miała na końcu języka. Zamiast tego policzyła po włosku do dziesięciu (w dzieciństwie tego triku nauczyła ją matka, pochodząca z sycylijskiej strony rodziny, tej z temperamentem) i powiedziała:

– Dobry Boże, naprawdę pan w to wierzy, prawda? Że ośmieszam Biuro?

– W tych pudłach – ciągnął dalej, jakby nigdy nic – znajdują się wydruki komputerowe każdej transakcji na wszystkich kontach bankowych powiązanych z opieką społeczną, należących do wszystkich agentów, urzędników czy sprzętaczek, posiadających wiedzę na temat najnowszej operacji, której być może grozi niebezpieczeństwo od wewnątrz.

– Ma pan na myśli tun...

Znowu jej przerwał.

– Słucham? Udam, że tego nie słyszałem – odrzekł ostro.

– Tuńczyki. Powiedziałam, że przy tej ilości pracy będę mieć pewnie czas tylko na jedzenie tuńczyków z puszki.

– Tak lepiej. Nie wiem, co robiłaś w San Antonio, Abruzzi, ale w Waszyngtonie nie zajmujemy się plotkami, zwłaszcza dotyczącymi bezpieczeństwa.

– Przepraszam. – Linda, przemądrzała z natury, z trudem powstrzymała się od uwagi, że technicznie rzecz biorąc, nie znajdowali się w Waszyngtonie, tylko w Wirginii.

– Twoje zadanie polega na przeanalizowaniu tych transakcji konto po koncie. Nazwiska zostały zmienione, a numery kont podstawione. Jeśli znajdziesz jakiegokolwiek wpłaty albo ślady po wpłatach, które mogłyby wzbudzać podejrzenia, spisz numer na kartce papieru.

– I to wszystko?

– I to wszystko.

– Naprawdę pan sądzi, że gdyby ktokolwiek szpiegował dla Rosjan, to pozwoliłby na jakiegokolwiek wpłaty na swój rachunek bieżący, tak żeby wszyscy się o tym dowiedzieli?

– Nie. Gdyby to w ogóle było prawdopodobne, to zleciłbym to prawdziwemu agentowi. I kto mówił coś o Rosjanach?

Uno, due, tre, quattro...

Jakieś dziesięć kilometrów od Kansas, Pender zwrócił się do Sida Dolitza:

– No i?

Sid dokończył swój koktajl krabowy, ponownie napił się darmowego szampana i wytarł usta płócienną serwetką – zawsze latał pierwszą klasą.

– Jaja sobie robisz, prawda?

– Dlaczego miałbym sobie robić jaja? Siedzę obok człowieka, który wynalazł profilowanie kryminalne.

– Myślę, że Brussel, Teten, Mullany i inni mieliby więcej do powiedzenia na ten temat.

– Ale ich tu nie ma – zauważył Pender.

– Gdyby byli, powiedzieliby, że tylko idiota może próbować stworzyć profil psychologiczny na podstawie tak szczątkowych informacji.

– W takim razie ułóż mi profil szczątkowy.

– Nie zajmuję się szczątkami – odparł Sid.

Pender wziął go na przeczekanie.

– Już dobrze, dobrze. Zakładając, że to ten sam sprawca, a wszystkie rzekome samobójstwa to w rzeczywistości morderstwa, i dzieląc to przez wielkość twojej dupy, strzelam w ciemno: antyspołeczne zaburzenie osobowości, znane szerszej grupie ludzi jako psychopatia, ale powiązane z zaburzeniem fobicznym, manifestacją kontrfobiczną.

– A po ludzku?

– Moja teoria jest taka: największym problemem naszego psychopaty jest nuda. – Płeć zabójcy uznali za pewnik. Pomijając seryjnych trucicieli, według ostrożnych szacunków dziewięćdziesięciu siedmiu na stu seryjnych morderców to mężczyźni. – Cechą charakterystyczną psychopatów jest wyjątkowo niski poziom pobudzenia korowego, więc cały czas szukają stymulacji. Stymulacji ekstremalnej. Żeby osiągnąć ten sam poziom satysfakcji i przyjemności co ty lub ja podczas oglądania dobrego filmu, przeciętny psychopata musi torturować kota albo wdać się w walkę na pięści. A żeby osiągnąć poziom pobudzenia korowego, jaki u normalnego człowieka występuje podczas zajmowania się swoją pasją, na przykład seksem czy – w naszym wieku – golfem...

– Mów za siebie.

– ...psychopata musi kogoś zabić. I właśnie w tym momencie robi się ciekawie. Biorąc pod uwagę fakt, że wszystkie ofiary cierpiały z powodu różnych fobii, oraz uwzględniając sposób, w jaki zginęły, moim zdaniem wysoce prawdopodobne jest, że nasz chłopak to fobofob.

– Co to znaczy?

– Strach przed strachem. Fobofob boi się samego strachu. Ale jego fobia zdaje się przejawiać zachowaniami kontrfobicznymi. Innymi słowy, poszukuje tego, czego się boi, co z kolei pasuje jak ulał do cech psychopatycznych. Zwalcza nudę, karmiąc się strachem.

– To chyba straszny skurwiel – odrzekł Pender.

– Twoje słowa prawdopodobnie sprawiłyby mu ogromną radość.

– Nie chcę sprawiać mu radochy, tylko go złapać.

– Jesteś na emeryturze.

– Formalnie jeszcze nie.

– Nie jesteś na czynnej służbie.

– To tylko kwestia techniczna.

– Naprawdę masz zamiar się w to łądować?

– Jasna sprawa. A co myślałeś?

– W takim razie mam dla ciebie radę: nie lekceważ tego gościa. Oryginalna nazwa psychopatii to manie sans délire, czyli „obłąd moralny”. Może być pieprznięty jak diabli, ale jego umysł jest co najmniej tak jasny i skupiony jak twój. Prawdopodobnie nawet bardziej, biorąc pod uwagę ilość alkoholu, jaką ostatnio w siebie wlewasz.

– Myślisz, że za dużo piję? – Pender był autentycznie zaskoczony.

– Jak na małe hrabstwo w Irlandii – nie. Jak na jednego człowieka – tak.

W środę rano Simon Childs próbował załagodzić cios, zabierając siostrę do Denny's na śniadanie, które powaliłoby nawet boksera wagi ciężkiej. Dopiero potem poinformował ją, że znowu musi wyjechać na jakiś czas.

– Na jak długo? – spytała tak ponuro, jak tylko mogła spytać z ustami pełnymi smażonych ziemniaków. Przechylił się przez stół i otarł kącik jej ust. Nienawidziła, gdy robił to publicznie, ale była zbyt przygnębiona, by zaprotestować.

– Góra na dzień, dwa. Mam też dobre wieści: dzisiaj rano rozmawiałem z Granią Wilson i jeśli chcesz, możesz zostać u niej do mojego powrotu.

Twarz Missy pojaśniała.

– Elegancko. Kocham Granię.

– A Grania kocha ciebie. Ale wiesz, jest już całkiem stara. Ma co najmniej osiemdziesiąt lat. Będziesz musiała być grzeczna i nie sprawiać jej żadnych problemów.

– Żadnych psot – przyrzekła Missy z powagą. Ale w głębi duszy chichotała. Grani Wilson nie przeszkadzały psoty, kazała tylko trzymać się z dala od zapalek.

„Księżniczko, możesz robić co ci się tylko podoba, bylebyś nie spaliła domu – mawiała. – Wszystko inne Grania naprawi”.

Dwie godziny później, po tym, jak pomógł Missy spakować różową walizkę i podrzucił siostrę – oraz Tweety – do małego wiejskiego domku Grani Wilson na równinie West Berkeley, musiał zmienić zdanie na temat wieku ich byłej gospodyni: trzęsąca się stara czarnoskóra kobieta wyglądała, jakby dobijała do dziewięćdziesiątki.

Z pewnością było to niepokojące – Missy bywała niesforna nawet u najlepszego opiekuna – ale gdy mercedes toczył się w dół Mostową Zatoką, a z głośników ryknęły wszechobecne Cztery pory roku Vivaldiego, Simon przypomniał sobie, że tak naprawdę Dorie nie pozostawiła mu wyboru. Musiał się do niej dostać, zanim uda jej się skontaktować z FBI albo z kimkolwiek innym.

Na myśl o Dorie puls Simona przyspieszył po raz pierwszy od śmierci Wayne'a Summersa. Już od pierwszego spotkania podczas zjazdu czekał z niecierpliwością na urządzenie jej gry strachu – można powiedzieć, że najlepszy kąsek zostawił sobie na koniec. Zastanawiał się, czy lepiej będzie kupić kilka różnych masek w jednym sklepie, czy jeden rodzaj w kilku sklepach? A jeśli tak, to gdzie?

Cały czas nad tym rozmyślał, gdy nagle stacja w radiu zmieniła się z grającej muzykę klasyczną na komercyjną. Wcisnął „Szukaj”, usłyszał, jak na stacji ze starymi przebojami Tab Hunter łagodnie śpiewa o „młodej miłości, pierwszej miłości”, i szybko jeszcze raz wcisnął „Szukaj”. Nie miał ochoty słuchać, jak ktoś idealizuje pierwszą miłość, ponieważ jego pierwszy romans, z Nerwowym Nelliem Carpenterem, zakończył się największym laniem w jego życiu.

Jednak z drugiej strony, jeśli nie byłoby tego związku z Nelliem, być może nigdy nie odkryłby swej drogi, swej obsesji, jedyne pewnego lekarstwa na ślepego szczura i, poza Missy, jedyne powodu do życia, więc może stary Tab aż tak bardzo się nie mylił.

Ed Pender nie był religijny, ale gdy podchodził do osiemnastej podkładki na Pebble Beach, ogarnęło go obezwładniające uczucie zdumienia i zachwytu. Głęboka zieleń na horyzoncie, okrągłość i biel piłeczki, pomarańczowe słońce nad zatoką Carmel – była to perfekcyjna chwila na nieperfekcyjnym świecie.

Wykończony długim lotem Pender, który za dwa miesiące kończył pięćdziesiąt sześć lat, miał dwadzieścia dwa kilogramy nadwagi i do tej pory dwadzieścia trzy uderzenia nad dołkiem. Był jednocześnie Jackiem, Arniem i Tigerem doświadczającymi jednej z największych prób charakteru w wielkim świecie golfa. Zagraj bezpiecznie, od prawej, rozegraj bogey, zdobądź setkę. Albo podejmij ryzyko, duże ryzyko, i na tych zmęczonych nogach spróbuj zagrać duck hook – nich piłka polecą nad wodą, strzeli normę, zgarnie setkę.

Oczywiście musiał spróbować. Tylko nie wpadnij do wody! – rozkazał piłce, biorąc zamach. Nie wpadnij, nie wpadnij, nie wpa...

Uderzenie, kwakanie, plusk.

– Spróbuj jeszcze raz, dzieciaku – namawiał go Sid, który prowadził w punktacji na tyle, by móc sobie pozwolić na wielkoduszność. – Nikt nie musi o tym wiedzieć.

– Ja będę wiedzieć – odrzekł Pender, a jego caddy ze smutkiem podał mu kolejną piłkę: założył się z drugim caddym, że wygra ten większy, młodszy koleś.

W czasie gdy piłka Pendera omijała osiemnasty dołek, Dorie Bell, która gardziła golfem w ogóle, a uważającymi się za elitę, zagarniającymi ziemię, prorozwojowymi i marnującymi wodę bydłakami z Pebble Beach w szczególności, kończyła właśnie obraz przedstawiający zachód słońca.

Pracowała z paletą na kolanach, pędzlem w lewej ręce, ścierką w prawej, a o sztalugę oparła gruby kij do odganiania psów. Nie był to najlepszy zachód słońca, jaki udało jej się namalować. Uchwyciła wprawdzie wodę i słońce, ale ta różowoperłowa poświata na niebie w ogóle jej nie wyszła. Zachody słońca były trudne do namalowania – należało pracować szybko i w pośpiechu uchwycić kolory – ale dobrze się sprzedawały, przynajmniej zachody Dorie, której olejne plenery na świeżym powietrzu chodziły od pięciuset do pięciu tysięcy dolarów, w zależności od rozmiaru. Oczywiście, o ile się sprzedawały – ale nie mogła narzekać. Nie zarabiała kokosów, jednak była w stanie się utrzymać, co jak na artystę i tak było nie lada osiągnięciem.

Malowała aż do zmroku, potem schowała płótna do skrzyni z przegródkami, w której przenosiła mokre obrazy. Musiała obrócić dwa razy, żeby załadować cały sprzęt na tył swojego kombi, starego buicka roadmastera. Pojechała prosto do domu, chwyciła coś do jedzenia i właśnie przebierała się na górce, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Lubiła to nazywać przymiarkami przed występem. Zaczynała próby już na co najmniej godzinę przed wydarzeniem towarzyskim, a gdy pod drzwiami stanął facet, z którym miała się spotkać, lub gdy koniecznie musiała już wyjść, zostawała w tym stroju, który akurat miała w danej chwili na sobie.

Dzisiejszy zwycięski zestaw był prosty, ale elegancki: niebieska męska koszula džinsowa (odpięte dwa górne guziki – nie trzy, a dokładnie dwa), włożona w miękkie jak ircha i nieprzyzwoicie stare wranglery przytrzymywane szerokim skórzanym paskiem ze srebrną sprzączką z rodeo, który otrzymała od uroczego, młodego kowboja w czasach, gdy prowadziła uroczę, kowbojskie życie.

– Zaraz schodzę! – krzyknęła, przeglądając się w wysokim lustrze za drzwiami sypialni. Niezle – stwierdziła, a potem zaczęła się zastanawiać, po co w ogóle zawracała sobie tym głowę. Przecież to nie była randka ani nic takiego – a już na pewno nie na dłuższą metę.

Pokazać albo nie pokazać – oto było pytanie, nad którym właśnie głowił się Pender. Stojąc bez odznaki w dłoni na progu domu obcej osoby, czuł się dziwnie, był wytrącony z równowagi. Miał w portfelu swoją starą odznakę Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych (orzeł, waga i Temida z przewiązanymi oczami i fryzurą na pazia) na wypadek awaryjnej sytuacji, na przykład zatrzymania za przekroczenie prędkości, ale wiedział, że machanie nią tutaj nie miało sensu. Ta wizyta była nieoficjalna, po prostu wyświadczał przysługę przyjacielce.

Gdy tylko otworzyły się drzwi, zrozumiał słuszność tej decyzji. Dorie Bell była wysoka, atrakcyjna, miała obfite kształty i chabrowe oczy. Chociaż na jej długim brązowym warkoczku nie było śladu siwizny, po głębokich zmarszczkach od uśmiechu w kąciakach oczu poznał, że była dostatecznie posunięta w latach, żeby – jeśli sprawy potoczą się w odpowiednim kierunku – mógł z nią flirtować, nie czując się przy tym jak obleśny staruch. Nie żeby skrupuły kiedykolwiek go przed czymś powstrzymały.

– Panna Bell?

– Agencie Pender, proszę wejść.

– Proszę mówić do mnie Ed, jestem tu nieoficjalnie.

Gdy wszedł do przedsiionka, z przyzwyczajenia zaczął zdejmować nakrycie głowy, brązowy baskijski beret, ale potem zmienił zdanie i w nim został. Wciąż czuł skrępowanie, nie ze względu na łąsą głowę (zaczął tracić włosy w wieku osiemnastu lat), lecz na poszarpaną bliznę w kształcie trójzębu przecinającą jego czaszkę w poprzek – była to pamiątka po wcześniejszym dochodzeniu w sprawie seryjnego mordercy.

– W takim razie jestem Dorie. – Pamiętała, żeby zamknąć drzwi; rdzennemu mieszkańcowi miasta Carmel przyzwyczajenie się do tego zajmowało trochę czasu. – Co to znaczy, że jest pan tu nieoficjalnie?

– Tak jak mówiłem przez telefon, jestem już tak jakby na emeryturze, dochodzenie przejmuje agentka Abruzzi, ale gdy zeszłego wieczoru wspomniałem jej, że będę w pobliżu, poprosiła mnie, bym się tutaj zatrzymał i cię odwiedził.

- Odwiedził czy przesłuchał?
 - I jedno, i drugie – przyznał bez ogródek. Ta kobieta wciąż mogła okazać się wariatką, ale najwyraźniej nie była głupia.
 - W porządku, nie mam nic przeciwko. Cieszę się, że ktoś w ogóle chce mnie wysłuchać. Gdzie porozmawiamy?
 - Gdzie będzie ci najwygodniej.
 - Może w kuchni?
 - Świetnie – odparł. – Moja matka zawsze powtarzała, że kuchnia to najważniejsze pomieszczenie w domu.
 - A gdzie dorastałeś?
 - Na zapadłej wsi – odrzekł, a gdy zauważył brak zrozumienia, dodał: – Cortland. Północna część stanu Nowy Jork. A ty?
 - Tutaj.
 - Masz na myśli Carmel?
 - Tutaj, w tym domu.
 - Serio? W dzisiejszych czasach i w twoim wieku to rzadko spotykane.
 - Dobrze o tym wiem – odrzekła. – Mój przyjaciel Simon, z Berkeley, jest jedynym znanym mi człowiekiem po pięćdziesiątce mieszkającym w domu, w którym się wychował.
- Gdy szedł za Dorie do kuchni, przyłapał się na tym, że w myślach nuci sobie pierwsze takty *Something in the Way She Moves*. Jest po pięćdziesiątce – pomyślał. Patrząc stąd, nigdy bym nie powiedział...

5

Tak jak jego siostra, Simon Childs niemal zawsze był nienasycony. Ale w przeciwieństwie do niej musiał zwracać uwagę na swój wygląd. Poza tym lubił doprowadzać się na skraj głodu. Sytość prowadziła do nudy, a nuda do ślepego szczura.

Czasami jednak przesadzał. Gdy dojechał do Monterey, w jego pustym brzuchu głośno burczało. Miał jeszcze trochę czasu do zabicia, więc postanowił sprawić sobie krabową ucztę w Fisherman's Wharf. Stolik przy oknie w Domenico's, wydry, foki i lwy morskie dostarczające rozrywki, teatralny wręcz zachód słońca.

Trochę go to kosztowało, na szczęście pieniądze nigdy nie były zmartwieniem dziedzica fortuny Childs Electronics, zwłaszcza gdy po dwudziestych pierwszych urodzinach otrzymał dostęp do funduszu powierniczego, dzięki któremu miał dostatecznie dużo pieniędzy, by móc palić, wciągać, łykać, speedować i wstrzykiwać sobie różne substancje, niemal doprowadzając się do śmierci, na próżno jednak próbując oddalić się od ślepego szczura.

Jednak w tym przypadku Simon znowu miał szczęście. W przeciwieństwie do większości uzależnionych osób rozumiał, że to nie działało, zanim zdążył się zaćpać. Miał jeszcze więcej szczęścia, ponieważ istniało coś, co działało – gra strachu. Nadal lubił hasz, amfę i wino, od czasu do czasu chętnie sięgał po łagodniejsze psychodeliki takie jak MDA czy ecstazy oraz po szeroką gamę środków uspokajających lub tabletek nasennych potrzebnych mu do życia jak tlen, ale to głównie strach był jego narkotykiem z wyboru. Oczywiście chodziło o strach innych ludzi. O sobie wolał myśleć jak o nieustraszonym.

Siedział przy kawie i deserze do chwili, gdy z nieba zniknął ostatni kolor. Dał kelnerowi porządną napiwek, ale nie za wysoki, żeby nie zapaść w pamięć, i w drodze do samochodu kupił w sklepie z pamiątkami uroczą maskotkę wydry morskiej do kolekcji pluszaków Missy.

Wtedy nadszedł czas, by zabrać się do pracy. Pojechał na południe do Carmel i zaparkował mercedesa w centrum, gdzie mniej rzucał się w oczy. Pod górkę do domu Dorie, gdzie mieszkali razem z Missy podczas odwiedzin w czerwcu, miał jakieś dziesięć do piętnastu minut piechotą. Cała ich trójka zwiedziła akwarium w Monterey, pojechała wzdłuż wybrzeża do Big Sur, a ostatniego dnia udała się do latarni morskiej w Pacific Grove, gdzie przewodnik pozwolił Missy na uderzenie drewnianym młotem w wielki dzwon. Była w siódmym niebie. Zasłużyła sobie na to. Wycieczka stanowiła nagrodę za grzeczne zachowanie podczas tygodniowego pobytu z opiekunką, podczas gdy Simon pojechał do Chicago.

Jednak cała ekscytacja i wysiłek okazały się dla Missy prawie zabójcze. Gdy wychodziła z kardiologii w Alta Bates, lekarze zabronili jej długich podróży samochodem. Powiedzieli Simonowi, że jeśli chce

cieszyć się towarzystwem swej siostry przez następny rok, musi wprowadzić jej ostrą dietę i zapewnić spokój. I jak zwykle zapewnili go, że przeszczep serca nie wchodzi w grę. Ludzie z zespołem Downa w jej wieku nie byli nawet na liście.

Cztery miesiące później Simon wciąż wściekał się na myśl, że serce dawcy prędzej wyładowałoby w śmieciach niż by dokonano przeszczepu u Missy. To nie czas na złość – upomniał siebie, gdy rozkładany dach z jękiem przysłonił gwiazdy. Zmusił się do opanowania, zdjął z lusterka naklejkę z wózkiem inwalidzkim (otrzymaną po tym, jak Missy przeszła atak serca), żeby nie mogła zostać użyta jako dowód, potem zamknął samochód i wyruszył na spokojny spacer uroczymi uliczkami Carmel-by-the-Sea. Był po prostu kolejnym turystą, ubranym na czarno, z przewieszoną przez ramię torbą na zakupy.

Podczas przechadzki przypominał sobie układ domu Dorie. Na piętrze były dwie sypialnie. Salon z przodu na parterze, kuchnia z tyłu po lewej, pracownia po prawej. Szukaj oświetlonego pomieszczenia – oszczędna panna Bell nigdy nie zostawiała zapalanej żarówki w pustym pokoju. Łatwiej byłoby wejść przez drzwi pracowni po prawej stronie domu – podczas ostatniej wizyty zauważył popsuty zamek.

Już prawie był na miejscu. Jeszcze jedno strome podejście. Założył kaptur i skręcił za róg. Drugi dom. Gdy przechodził obok, zerknął niezobowiązująco w prawo. Z przodu było ciemno, okna w salonie zasłonięte, żaluzje w jej sypialni opuszczone.

Przeszedł przez trawnik i obszedł dom z boku, jakby był jego mieszkańcem. W kuchni paliły się światła. Stał na palcach i spojrzał ponad wysoki parapet. Dorie tam była, jasne, ale nie sama. Naprzeciwko niej przy stole siedział jakiś wielki, łysy facet w brązowym berecie i jasnoniebieskiej koszulce ze znaczkiem Pebble Beach. Jeśli w tej chwili popatrzyłby w okno, ich spojrzenia by się spotkały.

Simon schował się za krzewem puzyrnika rosnącym pod kuchennym oknem. Jego serce waliło jak szalone, a żołądek ścisnął się tak, jak w czasach, gdy jego życie było jednym wielkim ryzykiem – gdy wspinał się po skałkach, jeździł na harleyu i skakał ze spadochronem, w czasach, gdy szukał zagrożeń stanowiących antidotum na ślepego szczura i uczył się, że wrażenia po adrenalinie są tak samo krótkotrwałe jak po prochach. Szczur nieuchronnie powracał, dziesięć razy bardziej głodny niż wcześniej.

Oczywiście gdyby miał broń, mógłby rozwiązać ten problem dwoma strzałami i o północy być już w Berkeley. Jednak sześć tygodni wcześniej z przerażeniem wyrzucił swój krótkolufowy rewolwer kalibru .38, gdy był o mały włos od użycia go podczas ataku wyjątkowo złośliwego ataku szczura. Przed władowaniem sobie kulki w łeb powstrzymywała go tylko myśl o Missy, która wciąż potrzebowała jego opieki. Aż wreszcie pewnej nocy ocknął się przy jej łóżku, gdy klęczał i próbował zebrać się na odwagę, by zabić ją pierwszą. Na szczęście w porę odzyskał świadomość.

A więc żadnej broni. Będzie musiał poczekać, aż łysy sobie pójdzie, i miał nadzieję, że wkrótce to nastąpi. Wtedy rozpocznie się gra. Jeśli nie – a przecież istniała możliwość, że Dorie z nim sypiała, w czerwcu prawie rzuciła się na Simona – poczeka, aż oboje zasną, a potem zabije ich i zwieje, co jest zupełnie nie w jego stylu.

Ale czekanie, aż zrobią ci śmiercionośny zastrzyk, również nie było w jego stylu.

6

Przytulna kuchnia, dzbanek świeżo zaparzonej czerwonej herbaty Typhoo, która zawierała dostatecznie dużo kofeiny, żeby można było dostać po niej drgawek jak po metamfetaminie, przyjemna rozmowa z atrakcyjną kobietą. Są gorsze sposoby na spędzenie wieczoru – pomyślał Pender.

– Dlaczego maski? – brzmiało jego pierwsze pytanie.

Wzruszyła ramionami.

– Quién sabe? Kto wie? Poddawano mnie hipnozie, regresji, przerobiłam swoje poprzednie życia – tak, wiem, witamy w Kalifornii – i nadal nie mam pojęcia dlaczego. Spytaj tuzin psychiatrów, dostaniesz tuzin odpowiedzi. Jeden mówi, że przyczyną jest jakaś zmiana lub strata, inny, że trauma, jeszcze inny, że wcale nie musi być żadnej przyczyny. Jedni mówią, że genetyka, inni, że to kwestia chemii w mózgu. Poniekąd zostało to udowodnione – ludzie z fobiami mają większe ciśnienie krwi po prawej stronie mózgu i nadaktywne ciało migdałowate.

– A co ty o tym sądzisz? Jak ci się wydaje?

– Dla mnie to nieistotne. Przyczyny są dla mnie bez znaczenia. Wystarczy, że wiem, iż jeśli zobaczę maskę, znowu najdzie mnie ten okropny stan. Będę się czuła, jakbym znalazła się w jakimś koszmarze,

jakby możliwe było wszystko, co tylko w koszmarze mogłoby się wydarzyć. Moje serce zacznie walić, oddech się skróci, nastąpi hiperwentylacja. Będę się czuła, jakbym umierała albo była sparaliżowana i będę mieć świadomość tego, że zrobię z siebie pośmiewisko, może zemdleję i złamię sobie nos, co spotkało mnie już dwa razy, jak możesz wnioskować po tym zygzaku. – Dotknęła swego nosa ze smutkiem. – Zwróć uwagę, że nie boję się samych masek. Chodzi o sam napad lęku i świadomość, że może on nadejść w każdej chwili. Podczas zjazdu jeden z prelegentów określił to jako chodzenie z odbezpieczoną bronią. Ktoś inny powiedział, że fobia to jak dziura w twoim życiu, w którą możesz wpaść w każdej chwili.

– Opowiedz mi o zjeździe – poprosił.

– Tak jak napisałam w liście: było fantastycznie. Cudownie. Mieliśmy spotkania z psychiatrami, sympozja, całodniowe wycieczki. Wszyscy mieszkaliśmy w Olde Chicago. Pełen luksus, Ed, pierwsza klasa pod każdym względem.

– To musiała być bardzo droga impreza.

– I to było najlepsze: każdy zapłacił, ile mógł, resztę dorzucało Stowarzyszenie OSZF.

– A w jaki sposób ono pozyskuje pieniądze? Ze składek?

– Z samych datków.

– Czyli musicie mieć tam nieprzyzwoicie bogatych fobów.

– Między nami mówiąc... – Pochyliła się do przodu. Siłą woli Pender powstrzymał się przed gapieniem się w jej dekolt. – Większość wydatków zjazdu pokrył mój przyjaciel Simon. Ten, który mieszka w domu, w którym się wychował, w...

– W Berkeley. – Chciał jej pokazać, że słuchał z uwagą.

– Właśnie. To Simon Childs, jak w Childs Electronics. Firmę założył jego dziadek. Obstawiam, że ma po nim jakiś fundusz powierniczy albo coś w tym stylu. Ale przy całej swej fortunie jest bardzo wyluzowany. Nikt nie powinien wiedzieć, że to on wspiera stowarzyszenie. Chce być traktowany na równi z wszystkimi.

– To postawa godna podziwu. Jak długo się znacie?

– Spotkaliśmy się na zjeździe i utrzymaliśmy kontakt. Pod koniec czerwca on i jego siostra przyjechali do mnie na weekend. Ona ma zespół Downa, a on tak uroczo ją rozpieszcza!

– Nie chcę być wścibski – zaczął – ale czy wy dwoje... czy łączy was coś więcej?

– Nie, tylko się przyjaźnimy.

Odpowiedź była dostatecznie szybka, jednak wrodzony „wykrywacz bzdur” Pendera drgnął. Może druga strona nią wzgardziła?

– Jesteś pewna?

Uniosła brwi, jej niebieskie oczy pociemniały. Podniósł dłonie w geście poddania się.

– Dobrze, już dobrze. Ale musisz coś zrozumieć. W mojej branży jest pewna zasada oparta na doświadczeniu: jeśli chcesz złapać drapieżnika, najpierw znajdź stado. Stado było w Vegas, w związku z czym – zakładając, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą, a twierdząc inaczej na tym etapie bylibyśmy idiotami – szanse na to, że był obecny na zjeździe, wynoszą, powiedzmy, dziewięćdziesiąt dziewięć na sto, a na około dziewięćdziesiąt pięć procent był on jednym z uczestników – inaczej za bardzo by się wyróżniał.

– Z tego, co mówisz, wynika, że znam zabójcę.

– To bardziej niż prawdopodobne.

– Boże, to przerażające.

– Ale dzięki temu go złapiemy. Na pewno go złapiemy. Gdy tylko ruszy dochodzenie, wszystko pójdzie jak po maśle. Przyda się trochę ludzi. Będziemy musieli przesłuchać każdego uczestnika i znaleźć wszystkich, którzy nie mają alibi na... jakie to były daty?

– Dwunasty kwietnia, piętnasty czerwca i siedemnasty sierpnia – odparła bez wahania.

– Pójdzie jak po maśle – zapewnił i zerknął na zegarek.

Ósma czterdzieści pięć. O dziewiętej on i Sid mieli rezerwację w Klubie XIX, czterogwiazdkowej restauracji w The Lodge, na co Sid ślinił się przez cały dzień. Pender wyjął telefon, żeby zadzwonić po taksówkę, ale Dorie nie chciała o tym słyszeć. Uparła się, żeby go odwieźć.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić – powiedziała, zdejmując z fotela pasażera starego roadmastera butelki z wodą, opakowania po kanapkach, ścierki, stare szczotki i puste tubki po farbie, które musiała zbierać przez jakieś dwa tygodnie. – Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

- Jeszcze nic nie zrobiłem – odrzekł.
- Wysłuchałeś mnie i dałeś mi nadzieję. To bardzo dużo. – Usiadła za kierownicą. Jak zwykle zaczęła mocować się z pasami bezpieczeństwa. Nigdy nie pasowały na wysokie kobiety z dużymi piersiami i włożyła kluczyk do stacyjki. – No, dalej, Mary, dasz radę – ponaglała. I Mary dała radę, odpaliła. – Dobra dziewczynka.
- Nazwałaś swój samochód Mary? – Gdy jechali ciemnymi, zalesionymi ulicami dzielnicy w Carmel, Penderowi wreszcie udało się zapiąć pasy, które nie pasowały również na osoby o jego rozmiarach i kształtach.
- Po Mary Cassatt. Wiesz, tej impresjonistycznej malarce. Ale samochód jest już taki stary, że zastanawiam się nad przechrzczeniem go na Babcię Moses.
- Nie rób tego – odparł. – Nigdy nie zmieniam imienia samochodu, to przynosi pecha.
- Myślałam, że to dotyczy łodzi.
- Samochodów też. Po rozwodzie moja była żona dostała mojego starego t-birda. Zmieniła imię z Loli na Daisy, oczywiście imię samochodu. Trzy tygodnie później ją skasowała.
- Coś jej się stało?
- Przecież mówię, że skasowała.
- Chodziło mi o twoją żonę. – Spojrzała na niego i zobaczyła szeroki uśmiech. Bezwiednie zauważyła, że gdy się uśmiechał, nie był już taki brzydki.
- Stanęli przy bramie do Pebble Beach i powiedzieli strażnikowi, dokąd się udają, żeby uniknąć bandyckiej opłaty w wysokości siedmiu dolarów.
- Boże, jak ja nienawidzę tego miejsca – mruknęła Dorie przez zaciśnięte zęby.
- Zakładam, że nie grasz w golfa.
- Nie, jestem malarką. A te bydlaki uważają, że mają na własność niektóre z najwspanialszych widoków na świecie. Widziałeś Samotnego Cyprysa?
- Jest cudowny – odparł.
- A wiesz, że sprzedawanie jakichkolwiek zdjęć bądź obrazów z nim jest wbrew prawu? Wystarczy, że powiesz w galerii obraz przedstawiający to drzewo, a Korporacja Pebble Beach zaciągnie cię do sądu.
- Stanęli przed The Lodge na kilka minut przed dziewiątą. Dorie musiała wysiąść i wypuścić Pendera, ponieważ drzwi pasażera nie otwierały się od środka.
- Nie wiem, co na to protokół – zaczęła. – Czy wolno uścisnąć agenta FBI?
- Zwykle trzeba wypełnić kilka wniosków w trzech egzemplarzach i złożyć je w...
- Ale ona już zarzuciła ręce na jego szyję.
- Dziękuję.
- Cała przyjemność po mojej stronie. – Nie kłamał. Przytuliła się do niego całym ciałem. To nie był żaden z tych niepewnych uścisków, w których ludzie ledwo co stykają się ramionami i klatkami piersiowymi. I była dostatecznie wysoka, by dobrze do siebie pasowali. – Dbaj o siebie i za bardzo się nie martw. Seryjni mordercy działają w cyklach. Przerwy między nimi z reguły się skracają, ale sądząc po tym, co mi powiedziałaś, zanim znowu zabije, minie około dwóch miesięcy. W tym czasie prawdopodobnie zdążą go złapać.
- Na swój sposób to pocieszające – odrzekła. – Ale będziesz ze mną w kontakcie, prawda?
- Zadzwoń do ciebie jutro.
- Będę w domu cały dzień.

I tak to planowała. W lutym miała odbyć się wystawa w Galerii Plein Air w Carmel. Miała już dużo obrazów, ale знаła siebie dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że przed otwarciem zacznie panikować, bo wybrane pejzaże wydadzą jej się beznadziejne, w związku z czym dla świętego spokoju powinna mieć w zanadrzu jakieś awaryjne płótna. A ponieważ jej obrazy schły co najmniej trzy miesiące, nadeszła pora, by zabrać się do roboty.

W związku z tym jutrzejszy dzień planowała spędzić na wykańczaniu zachodu słońca Wayne'a, gruntowaniu płócien i przygotowywaniu się na malarski maraton. Pięć komercyjnych pejzaży w pięć dni, zacząć od dzwonnicy Misji w Carmel, której – po wykluczeniu Samotnego Cyprysa – wizerunek kupowano najczęściej.

Problem polegał na tym, że Dorie namalowała już tę cholerną dzwonicę pod każdym możliwym kątem i o każdej porze roku, dlatego musiała nastawić się na to psychicznie. Utrzymywanie się z malowania,

o którym marzyła od dzieciństwa, okazało się kompromisem, ale co nim nie było.

Wracając do ciemnego domu i przekręcając klucz w zamku, zaczęła zastanawiać się nad swoją przesadną oszczędnością w zakresie oświetlenia. Przecież ukrycie się w krzakach i napadnięcie na nią na ciemnym progu to była prościsna. Może mogłaby zainstalować sobie jeden z tych czujników ruchu, wtedy światło zapalałoby się tylko w razie potrzeby. Oczywiście wprowadzanie jakichkolwiek środków bezpieczeństwa należało zacząć od naprawy zamka w drzwiach do pracowni, zepsutego od trzech czy czterech lat.

Jednak już w środku poczuła się komfortowo ze znajomą ciemnością domu, w którym dorastała. Nie musiała zapalać światła w korytarzu, żeby znaleźć drogę do kuchni, w ciemności postawiła czajnik na gazie, nie w celu oszczędzania elektryczności, po prostu lubiła patrzeć na tańczący niebieski język ognia. W dużej mierze była wzrokowcem. Kiedyś jako dziecko powiedziała ojcu, że błękit gazowego płomienia jest najpiękniejszym odcieniem niebieskiego na świecie.

– Nie, kochanie, obawiam się, że nie mogę się z tobą zgodzić – odparł w zamyśleniu trzymając cybuch fajki w ustach. Jego głos brzmiał soczyście. – Najpiękniejszy błękit na całym świecie jest w oczach mojej małej dziewczynki.

Och, tatusiu – pomyślała teraz – jakie to wspaniałe słowa. Nie było go z nią już dwanaście lat, ale nadal za nim tęskniła. Za mamą też – przeżył ją zaledwie o sześć miesięcy. Bez niej po prostu się poddał. Pochowano ich razem na starym cmentarzu w Monterey niedaleko El Estero, obok wielkiego placu zabaw Dennis the Menace Park. Drugi pogrzeb, który uczynił z niej sierotę, był wstrząsającym przeżyciem nawet dla czterdziestodwuletniej kobiety.

Z jakiegoś powodu tego dnia niebieski płomień nie był tak zachwycający. Bił od niego chłód niczym od odległej gwiazdy. Zapaliła lampę wiszącą nisko nad stołem kuchennym i wtedy rozpoczął się jej koszmar.

Najpierw przyszło jej na myśl, że śni, bo oto na umiejscowionym wysoko w ścianie oknie znajdowała się maska w typie Jeźdźca znikąd, z pustymi oczodołami, takimi, jakie Dorie zawsze widziała we śnie.

Ale nie zaczęła krzyczeć, tak jak to zawsze wtedy robiła, ani się nie obudziła, jak to zwykle miało miejsce. Zamiast tego poczuła mrowienie skóry głowy, a przed jej oczami zaczęły latać wielokolorowe mroczki. Runęła w ciemność.

7

W ciągu siedmiu lat pracy dla Biura Linda Abruzzi miała do czynienia z większą ilością gównianych zadań i większą biurokracją niż inni. Sprawdziała federalne przeglądy historii zatrudnienia, zajmowała się międzystanowymi sprawami kradzieży samochodów i porównywała na wydrukach numery VIN, ustalała pochodzenie pieniędzy w sprawie RICO – ale nigdy nie robiła niczego tak nieprawdopodobnie nudnego, męczącego wzrok i wywołującego senność, jak sprawdzanie czterestu pudeł z niechlujnymi fotokopiami wyciągów z banku.

Z początku chciała to olać. Przejrzała pierwszych kilka pudeł, spisała na chybił trafił kilka kodów, a potem zadzwoniła do panny Pool i poprosiła ją o podanie numeru do chicagowskiego Wydziału Zabójstw.

– Zaraz przyjdę – odpowiedź zabrzmiała trochę zagadkowo.

– Nie, ja tylko potrzebuję...

Chwilę później panna Pool stanęła w drzwiach biura Lindy. Zdjęła marynarkę, pod którą miała czarną bluzkę bez rękawów. Niezłe ramiona jak na kobietę w jej wieku – pomyślała Linda. Na pewno ćwicz.

– Nie musiałaś wstawać, chciałam tylko numer telefonu.

– Wiem, skarbie. Ale może jednak chcesz najpierw skończyć przeglądanie pudeł?

– Dlaczego miałabym chcieć to robić? Wiesz tak samo jak i ja, że to całkiem bezsensowne.

– Bo Maheu oczywiście nie chce, żebyś to robiła.

– No, to zgłupiałam do reszty – odrzekła Linda. – Dlaczego Maheu nie chce, bym przejrzała pliki, których przejrzenie mi zlecił?

– Bo nie chce, żebyś coś znalazła.

– Ale tam nie ma nic do znalezienia!

– Doprawdy? – spytała Pool tajemniczo, uniosła lewą dłoń z rozmachem, dotknęła raczej męskiej onyksowej obrączki na serdecznym palcu i wróciła do swojego biurka.

Doprawdy. To podstęp – oczywiście. Pool właśnie ostrzegła ją, że zarówno Maheu, jak i inni byliby zdolni do umieszczenia fałszywych wyciągów gdzieś w tych aktach. Czegoś tak oczywistego, żeby sumienny oficer śledczy nie mógł tego przegapić, a zarazem podejrzanego, żeby nie zgłosił tego tylko ktoś, kto jest podwójnym agentem.

Linda skończyła pracę na podłodze. Łatwiej było pracować tam, niż dźwigać pudła na biurko. W porze wyjścia czuła ból od stóp aż po tyłek, a jej nogi zeszywniały do tego stopnia, że musiała pomóc sobie wstać, podciągając się na rogu biurka. Panna Pool, która stanęła w drzwiach jej biura, żeby się pożegnać, pośpieszyła jej z pomocą.

– Nie pozwól, żeby te bydlaki cię złamały – szepnęła i pomogła koleżance usiąść na krześle. Była jeszcze silniejsza, niż Linda podejrzewała.

– Nigdy – odparła i obróciła krzesło do komputera z zamiarem ponownego zalogowania się na Phobia.com. Miała teraz chwilę dla siebie.

Pool z żalem pokręciła głową.

– Przykro mi, nie ma nadgodzin.

– Nie zgłoszę ich.

– Maheu kazał mi rejestrować godziny twojej pracy. Mogłabym tego nie robić, ale twój dowód osobisty rejestruje cię i wyrejestrowuje za każdym razem, gdy przechodzisz przez drzwi. Poza tym jeszcze rejestrują cię przy bramie i...

– Okej, rozumiem. I dzięki za cynk na temat... wiesz... – Linda dotknęła własnego serdecznego palca, na którym nie było żadnego pierścionka.

– Nie mówmy już o tym.

– Nie, ja...

– Chodziło mi o dosłowne znaczenie – rzekła Pool. – Nie mówmy już o tym.

Powrót do Georgetown był typowym koszmarem przeżywanym na obwodnicy. Przy labiryncie skrzyżowania 66/495 jakiś SUV przeciął pas Lindy, niemal zahaczając o przedni zderzak geo, a gdy zatrąbiła, kierowca pokazał jej środkowy palec. Przez chwilę zastanawiała się nad błysnięciem mu odznaką, żeby go postraszyć, ale potem przypomniała sobie, że czasy, w których można było przywołać kogoś do porządku blachą, już dawno minęły. Teraz, żeby osiągnąć ten efekt, trzeba było mieć broń.

Nie żeby ruszyła na cywila z pistoletem z powodu głupiej sprzeczki na drodze, nawet gdyby była uzbrojona. Jednak w ciągu dziesięciu lat Linda nauczyła się, że posiadanie broni zmieniało sposób, w jaki kobieta, zwłaszcza drobna, myślała o sobie w odniesieniu do całego świata. A teraz, gdy nie miała już ani tyle siły, ani oparcia w nogach, żeby wykorzystać sztuki walki, które trenowała w Akademii, zdawało się jej, że Biuro powinno nalegać, by nosiła broń, przynajmniej do czasu wystąpienia problemów ze wzrokiem lub zaburzeń kognitywnych.

Przypomniała sobie, że myślenie o tym nie miało sensu. FBI było nie fair, choroba była nie fair i życie było nie fair – wielkie rzeczy, to żadne odkrycie. Lepiej skupić się na pracy. Miała przecież jeszcze coś do zrobienia, i to coś ważnego. Jedyne utrudnienie polegało na tym, że dopóki Bóg w swej nieskończonej, kurwa, mądrości, nie postanowi sprawić, by Maheu odwalił się od Lindy, będzie musiała pracować w czasie wolnym.

Gdy wróciła do domu, w oknach budynku z piaskowca w Georgetown było ciemno, co w sumie nie stanowiło żadnego zaskoczenia. Jim i Gloria Gee byli prawnikami, DUPK-ami (Dzieci Uniknęli Przepuszczającą Kasę) i częściej jadali na mieście niż w domu. Na stole w kuchni Gloria zostawiła dla Lindy karteczkę – „Obiad i kino, wrócimy późno” – oraz gazetę, z rozmysłem otwartą na stronie z ogłoszeniami o wynajmie mieszkań. Mało subtelne – pomyślała Linda. W którymś momencie sprawy przeszły od „zostań tak długo, jak potrzebujesz” do „uważaj, żeby drzwi nie przytrzasnęły ci tyłka, jak będziesz wychodzić” i to bez żadnych etapów pośrednich.

Włożyła zapiekankę do mikrofalówki i zaczęła przeglądać ogłoszenia, ale nie miała większych nadziei. Wiedziała już, co znajdzie w swoim przedziale finansowym: nic. Znowu zastanowiła się, czy czasem nie powinna skorzystać z oferty Pendera, który pod koniec imprezy (ostatecznie Lindzie nie udało się wyjść wcześniej) zaproponował jej wolny pokój u siebie, w starym domu nad kanałem. Było tam przyjemnie i spokojnie. Oczywiście o ile emerytowany agent nie miał żadnych ukrytych motywów. Potem spojrzała na siebie i wybuchnęła śmiechem. Tak, jasne, bo jesteś pieprzoną femme fatale. To przez te usztywniacze na stopy – dostają od nich świra.

Po obiedzie Linda przeszła do salonu, zalogowała się na komputerze gospodarzy, utworzyła fałszywy profil na Netscape, weszła na Phobia.com i zarejestrowała się do chat roomu pod nazwą użytkownika Przestraszonykot, hasło: Buuu. Licznik na czacie zmienił się z zero na jeden – była sama. Kliknęła na archiwum, przeczytała wiadomości z ostatnich kilku tygodni, żeby wczuć się w klimat, i zrobiła pierwszy wpis w oknie dialogowym:

Cześć wszystkim. Tu Przestraszonykot. Jeśli zrobię coś nie tak, to pliz nie flejmujcie, to mój pierwszy raz. To pierwszy czat, do którego chcę się przyłączyć. Czytam wasze historie i mam wrażenie, że piszecie o mnie. Czuję, że jestem w domu. Oto moja historia. Jestem...

Nie powinnaś jeszcze podawać wieku ani płci. Jeśli połknie haczyk, możemy ustalić spotkanie i wybierzemy przynętę na miejscu.

...osobą samotną i odkąd pamiętam, śmiertelnie boję się...

W sumie możesz wykorzystać węże – będzie to bardziej wiarygodne, niż gdybyś coś zmyśliła.

...węży. Pewnie większość z was wie, że to się nazywa ofidiofobia. Najgorsze jest to, że mieszkam...

Bądź nieprecyzyjna, jeśli ktoś się zainteresuje, będziesz mogła później improwizować.

...sama i czasami dostaję obsesji, że gdzieś tam na zewnątrz może być jakiś wąż, i nie umiem zmusić się do wyjścia z domu. Chętnie pogadam i może kiedyś spotkam się z kimś, kto wie, co czuję. Więc jeśli ktoś...

Jak to napisać? Żeby nie było zbyt oczywiste... Ale jeśli morderca trolluje na stronie OSZF, to będzie chciał przejść na PW najszybciej, jak tylko się da.

...chce się ze mną skontaktować, mój adres mailowy to przestraszonykot@netscape.com.

Coś jeszcze? Na razie nie. W końcu ty też trollujesz. Pora na grzeczne pożegnanie się.

W każdym razie dzięki, że jesteście, wszyscy jesteście bardzo dzielni. Mam nadzieję, że wkrótce ktoś się do mnie odezwie. DZ, Kot.

Przeczytała swój wpis, wprowadziła kilka niewielkich poprawek, najechała kursorem na przycisk „Wyślij”, wzięła głęboki oddech, a potem jednym kliknięciem zamieniła biednego Kota w kawałek przynęty na haczyku wiszący gdzieś w cyberprzestrzeni.

8

Dorie otworzyła oczy i zaczęła szczegółowe rozważania. Bolało ją czoło i czuła na nim niewielkie zgrubienie – musiała uderzyć głową w podłogę albo, upadając, zahaczyła o róg stołu – jednak nie było ani krwi, ani guza, tylko wrażliwsze miejsce ponad linią włosów. Przynajmniej nie złamałaś sobie po raz kolejny nosa – pomyślała – więcej i tak już by nie zniósł.

Była wstrząśnięta, ale spróbowała powoli usiąść, pilnując, żeby cały czas być tyłem do okna. Śniła o maskach, unikała ich i mdlała na ich widok, odkąd tylko sięgała pamięcią. Ale halucynacje i trwanie przytomności z powodu masek, których nie ma, to byłby nowy, niepokojący objaw.

Chyba że rzeczywiście w oknie była maska. Jednak jedynym sposobem, żeby się o tym przekonać, było odwrócenie się, a ona nie była na to gotowa, nie z wciąż pulsującym bólem głowy, walącym sercem i uciskiem w żołądku...

Oho, no i proszę. Odwróciła głowę na bok, żeby nie pobrudzić ubrania. Gdy skończyła wymiotować, podpełzła kilka metrów dalej i padła całym ciałem na bok, z jedną ręką wyciągniętą w geście Adama z sufitu Kaplicy Sykstyńskiej.

Potem przypomniała sobie, że bóle i zawroty głowy oraz mdłości to też objawy wstrząsu mózgu, więc ostatnią rzeczą, jaką należało uczynić, było poddanie się chęci zaśnięcia. Próbowwała wstać, podpierając się rękami i kolanami, ale miała wrażenie, jakby walczyła z grawitacją na Jupiterze – jakimś cudem planeta pod nią przyciągała z niewiarygodną siłą i wciągała ją w tę pozbawioną snów ciemność.

Walcz z tym – powiedziała do siebie i opadła na podłogę w kuchni, kładąc głowę na zgiętych rękach. Musisz z tym walczyć. Ale nie mogła sobie przypomnieć, z czym miałyby walczyć ani dlaczego. Mimo to obudziło się w niej niejasne poczucie winy.

– Później, mamó – szepnęła, gdy ciemność ponownie się nad nią zamknęła. – Obiecuję, że później posprzątam.

Później.

Wciąż leżała na podłodze, tyle że na plecach, z głową ułożoną na czyichś kolanach. Na czole miała mokry, chłodny kompres, jej ust dotykało obrzeże szklanki. Poczła zatechło-ostry aromat brandy, przypominający zapach syropu na kaszel. Napila się, przełknęła, zakasłała słabo. Potem jej oczy otworzyły się i poczuła na ustach męską dłoń, mającą stłumić jej krzyk. Chociaż organizm kobiety przeżył głęboki szok, który wstrząsnął duszą, nie była zbyt zaskoczona, ujrzawszy, że zaledwie kilka centymetrów nad jej twarzą pochyla się maska z teatru kabuki o złym spojrzeniu. W pewien sposób Dorie zdawała sobie sprawę, że było to nieuniknione.

To tylko kolejne nagie ciało

1

W czwartek, wczesnym rankiem Missy otworzyła oczy i zorientowała się, że leży w dziwnym pokoju i w obcym łóżku. Przerazona i zdezorientowana zaczęła wołać Simona, ale potem przypomniała sobie, że spała na rozkładanej sofie w salonie Grani Wilson i że obiecała jej naleśniki na śniadanie. Tyle że Grania nazywała je podpłomykami – czasami różni ludzie mieli różne nazwy na tę samą rzecz.

Gdy tylko Missy zaczęła myśleć o jedzeniu, poczuła ból brzucha i zrozumiała, że to właśnie on ją obudził. Wszystko, co dobra Grania dla niej ugotowała – duszony na patelni kurczak, placuszki kukurydziane, okra w panierce (Missy zjadała samą panierkę, bez okry), słodka babka ziemniaczana i wszystkie te małe ciastka (ciastunia, jak nazywała je Grania) z sezamem, które zdołała w siebie wepchnąć po kolacji – nagle zapragnęło się wydostać.

– Oho – powiedziała Missy do kanarka Tweety, który krzątał się w małej sześciokątnej klatce stojącej na telewizorze. – Będzie śmierdzieć.

Kolejne „oho” wymknęło jej się, gdy usiadła i przerzuciła nogi przez brzeg sofy – nie pamiętała, gdzie znajduje się nocnik.

– Graniu! Graniu, chcę kupę!

Żadnej odpowiedzi. Parcie było coraz silniejsze. Przyłożyła dłonie do skroni, żeby spróbować sobie przypomnieć, gdzie stał nocnik. Myśl, głuptasie, przecież w nocy robiłaś siku. Tylko Grania nazywa to toaletą. Różni ludzie mają różne...

I wtedy ją olśniło – musiała przejść przez sypialnię Grani. Zgięta wpół od skurczy zaczęła szurać po pokoju, trzymając górę spodni od piżamy, żeby nie spadły. Proszę, nie pozwól mi narobić w piżamę – zaczęła błagać Jezusa. W jej własnym domu nie wolno było prosić o nic Jezusa, ponieważ Simon mówił, że go tam nie ma, ale w domu Grani można było to robić, bo był tutaj wszędzie. W każdym pokoju znajdowały się święte obrazki i figurki: Dzieciątko Jezus w kołysce, dorosły Jezus na krzyżu i śpiący Jezus na kolanach swej mamusi. Missy praktycznie nie pamiętała własnej mamusi, ale Simon ją pamiętał.

Modlitwy Missy zostały wysłuchane. Przeszła na palcach przez pokój Grani, nie obudziwszy jej, zrobiła kupę i poczuła się dużo lepiej. Gdy wyszła z łazienki, Grania wciąż spała. Leżała na boku, twarzą do ściany, przykryta kołdrą.

– Łyzeczki? – spytała Missy.

Uznawszy milczenie kobiety za zgodę, wgramoliła się do łóżka i przytuliła się do jej pleców. Ale coś się nie zgadzało. Grania była tak sztywna, że Missy miała wrażenie, jakby wtulała się w drewniane krzesło.

– Jesteś chora? – spytała Missy, dotykając czoła Grani tak, jak ona to robiła, gdy Missy źle się czuła. – Nie, jesteś zimna jak lód... No dalej, Graniu, obudź się.

Ale Grania się nie budziła. Missy delikatnie szarpnęła za koszulę nocną na karku opiekunki.

– Graniu, jestem głodna.

Żadnej odpowiedzi. Missy ściągnęła kołdrę i zobaczyła, że na koszuli nocnej na pupie niani znajdowała się wodnista plama koloru kawy. Oho. Teraz już wszystko rozumiała – Grania narobiła w łóżko i była tak zawstydzona z tego powodu, że udawała sen. Missy zrobiła tak pewnego razu, gdy była mała, i Grania od razu się tym zajęła: ściągnęła jej piżamę, zaniosiła dziewczynkę do łazienki, umyła ją, zmieniła pościel i Missy mogła z powrotem wrócić do łóżka. Opiekunka nigdy potem nie wspomniała o tym ani słowem.

Missy postanowiła więc zadziałać w ten sam sposób – a przynajmniej w podobny. Wyczołgała się z łóżka, podciągnęła kołdrę do pasa Grani i zostawiła kobietę samą, żeby mogła w spokoju się umyć.

Ale gdy Missy wróciła do sypialni po bardzo długim, jak jej się zdawało, czasie, w którym zdążyła wsunąć sześć małych donatów z cukrem pudrem, Grania wciąż leżała w bezruchu. Cichutko, bo jakimś cudem Missy rozumiała, że miała do czynienia z czymś bardzo uroczystym, chociaż nie była pewna, co to jest, obeszła łóżko i zobaczyła, że jedna strona twarzy Grani, ta, na której leżała, jest czarna i napuchnięta, a chociaż kobieta ma otwarte oczy, to nimi nie patrzy.

Przerazona, zafascynowana i jeszcze niegotowa na to, by pozwolić sobie to zrozumieć, Missy przybliżyła

się i zobaczyła, że lekko rozchylone usta starszej kobiety są poprzecinane pajęczyną cienkich, białych nici wysuszonej śliny, jakby małe wróżki próbowały zszyć obie wargi.

– Biedna Grania – powiedziała tak miękko, jak tylko potrafiła, bo Simon zawsze powtarzał, że zbyt głośno mówi.

Wiedziała, że musi coś zrobić – ale co? Nie mogła zadzwonić na policję, chociaż umiała wykręcić 911. Simon wbił jej do głowy, że jeśli policjanci kiedykolwiek przyjdą do ich domu, zabiorą ją od niego albo jego od niej i w obu przypadkach Missy wyląduje w zakładzie dla opóźnionych.

„Opóźnieni” – takiego właśnie słowa używał za każdym razem, gdy dawał jej wykład, aż wreszcie zaczęła tak strasznie się go bać, że często zaczynała płakać już przy „w obu przypadkach”. Wtedy on przerywał, ocierał jej łzy i obiecywał, że zawsze będzie przy niej, a ona w zamian przyrzekała, że nigdy, przenigdy, nie zadzwoni na policję.

Czyli telefon alarmowy nie wchodził w grę. Nie wolno jej było również rozmawiać z nieznajomymi. W sytuacjach takich jak ta mogła zwrócić się tylko do jednej osoby – do Simona.

Pierwszą rzeczą, jaką musiała zrobić, to się ubrać. Nie, najpierw się rozebrać. Zdjęła piżamę i wyrzuciła zawartość swojej torby podróźnej na rozłożoną sofę. Znalezienie majtek było łatwe – wszystkie były białe i miały czarną metkę, która musiała być z tyłu. Ze skarpetami również poszło szybko – nieważne, którą zakładasz na którą stopę, ważne tylko, żeby obie skarpety były tego samego koloru.

Jeśli chodziło o spodnie i bluzkę, to Missy wiedziała, że gdy chciało się wyjść na dwór, trzeba było dopasować strój do pogody panującej na zewnątrz. Z niejakim trudem udało jej się odryglować drzwi kuchenne. Wyszła na skąpane w słońcu podwórko Grani w samych skarpetkach i majtkach i poczuła na swej nagiej skórze ciepłe, jesienne promienie słońca. Na pewno mogła założyć koszulkę z krótkim rękawem i szorty. I okulary przeciwsłoneczne.

Wykorzystywała każdą okazję, by je założyć. Nie tylko miały ładne grube, różowe oprawki w kształcie poziomych kropli łez, ale też zakrywały jej oczy wystarczająco, żeby obcy ludzie nie mogli zauważyć, że ma Downa (przynajmniej czasami tak myślała). Poczłapała z powrotem do środka, zostawiając otwarte drzwi. Ze stosu na sofie wygrzebała parę bermudów w kratę i koszulkę z olimpiady specjalnej, po czym zniosła je do kuchni, żeby podczas ubierania się móc patrzeć na kwiaty w ogrodzie Grani.

Były to purpurowe wilce, które wspinały się na tył ogrodzenia i połyskiwały w promieniach słońca, oraz złote słoneczniki, wyższe od Missy, zaczynające właśnie dawać nasiona.

Po kilku próbach udało jej się założyć „didisy” – białe adidas – na właściwe stopy, wyciągnąć języki tak, by nie przeszkadzały, i ściągnąć rzepy, ale nie za mocno. Gdy skończyła, przerzuciła przez ramię różową plastikową torebkę, pasującą do okularów, wzięła klatkę z Tweety i wyszła z domu przez frontowe drzwi, ponura i zdeterminowana.

– Graniu, zostań tutaj! – krzyknęła na odchodnym. – Przyprawdzą Simona.

2

Pebble Beach była pełna powabu późnym popołudniem, ale jeszcze bardziej czarowała wczesnym rankiem, ze smugami i fragmentami mgły na zielonych, lśniących rosą torach. I jakby chciała przeprosić Pendera za swoje zachowanie z poprzedniego dnia – a może ta piękna zdzira po prostu chciała mieć go na swym haczyku trochę dłużej – zasypywała go względami. Wilgotne powietrze sprawiało, że piłki nie leciały za daleko, bryza, wiejąca od zatoki, wysuszała je, a zroszona zieleń powstrzymała niejedną zbyt mocno uderzoną piłeczkę przed prześlizgnięciem się obok dołka i dotoczeniem do Maui.

Mgła rozplynęła się tuż przed dziesiątą, ukazując świeżo oczyszczone, błękitne niebo. Pender podszedł do osiemnastej podkładki i strzelił osiemdziesiąt cztery, bezpiecznie uderzył na prawo, zaatakował green na trzy i dwa razy puttował piłkę, by osiągnąć wspaniałe, bezwstydnego bogey. Pokonał granicę dziewięćdziesięciu.

Po partyjce i eleganckim lunchu u Roya w Zatoce Hiszpańskiej – carpaccio z wołowiny z Kobe, pokrojone tak cienko, że plastry były prawie przezroczyste – Pender i Dolitz udali się do swego apartamentu z dwoma sypialniami w The Lodge. Dla Sida nadeszła pora drzemki, dla Pendera – pora pracy. Najpierw zadzwonił do Lindy Abruzzi.

– Lindo, tu Pender.

– Cześć, Ed, jak tam wypoczynek?

- Nieźle, całkiem nieźle. Mamy rewelacyjną pogodę, a dzisiaj rano zdobyłem dziewięćdziesiąt w golfie.
- To dobrze?
- Tak, jeśli twój handicap jest wyższy niż wiek, od kiedy można zacząć pić alkohol.
- Rozmawiałeś już z Dorie Bell?
- Byłem u niej wczoraj wieczorem.
- MSO?
- Nie, to poważna sprawa.

Zaczął wyklądać jej plan działania, który zarysował Dorie poprzedniego wieczoru, ale Linda przerwała mu, żeby opowiedzieć o Maheu i kontaktach bankowych.

– Cóż to za nieprzeciętny sukinsyn – rzekł, gdy skończyła. – Spróbuję skontaktować się z McDougalem. Wydział łączności jest jego dzieckiem od samego początku, może pozwoli nam na to ostatnie przedsięwzięcie.

- Jeszcze nie skończyłam swojego pierwszego – odparła.
- Taaa, dobrze, dziecko, trzymaj ze mną.

Potem zadzwonił do biura McDougala. Poinformowano go, że zastępca dyrektora jest na konferencji przez całe popołudnie. Pender podejrzewał, że towarzyszyć mu będą agenci: Kierowca, Las, Kij i Golf. Zostawił wiadomość i zadzwonił do Dorie, której również nie było w domu.

– Tu Ed Pender – nagrał się na sekretarkę. Nie powiedział „agent Pender”, postanowił zaprosić Dorie na randkę. – Zadzwoń, gdy tylko będziesz mogła.

Zostawił jej numer pokoju, w którym mieszkał w The Lodge, i numer swojego telefonu komórkowego. Gdy skończył pracę, zmęczenie, wywołane różnicami czasowymi, wreszcie dało o sobie znać. Postanowił, że utnie sobie krótką drzemkę. Wszedł do łóżka w bokserkach i podkoszulce i, czekając na sen, zaczął myśleć o Dorie Bell. Mądra i zabawna, robiła wszystko, co w jej mocy, żeby przezwyciężyć problemy, ale nie miała co liczyć na zwyczajne życie. Poza tym była atrakcyjna, nawet z połamanym nosem. Nie wspominając już o „tym czymś” w sposobie jej poruszania się.

3

Simon Childs wrócił do swojej sypialni o świcie. Był wykończony wieczornym wysiłkiem, ale wiedział, że sen nie przyjdzie łatwo. Nigdy nie przychodził. Był niespokojnym i bardzo ruchliwym dzieckiem jeszcze przed odejściem matki, potem pojawiła się bezsenność. Zaburzenia snu objawiały się różnymi rodzajami dyssomnii: trudnościami z zasypianiem i spaniem, oraz parasomnii: lękami nocnymi i somnambulizmem. Pomagały lekarstwa. Potrójna rotacja wodzianu chloralu, seconalu i nembutalu, przepisywana przez ulegających dziadkowi lekarzy, przeprowadziła go przez okres dojrzewania, a jako dorosły był na bieżąco z każdym postępowaniem farmakologicznym, legalnym czy nielegalnym.

Jego obecnym faworytem był Halwane, eksperymentalna benzodiazepina o krótkotrwałym działaniu, niezatwierdzona jeszcze do oficjalnego użytku. Dowiedział się o niej przez Internet, gdzie nazywano ją Halloween, i przekonał swojego lekarza do umieszczenia jego nazwiska na liście ochotników testujących nowy preparat, obiecując odstawienie wszystkich innych leków na trwające trzy miesiące badania przeprowadzane przez Agencję Żywności i Leków. Nie miał najmniejszego zamiaru dotrzymać obietnicy, za to lekarstwo okazało się być strzałem w dziesiątkę – piętnaście minut, i bum, traciłeś kontakt ze światem; trzy godziny później, i bum, się budziłeś.

Gdyby wynaleźli coś chociaż w połowie tak skutecznego na syndrom ślepego szczura – myślał Simon – mógłbym prowadzić proste, zwyczajne życie. Oczywiście proste i zwyczajne jak na bogatego człowieka.

Uzmysłowił sobie jednak, że bez majaczącego w oddali widma ślepego szczura nigdy nie poznałby ekstazy gry strachu, nigdy nie doświadczyłby chwili tak promieniującej perfekcji jak zeszłego wieczoru, gdy Dorie spojrzała w górę z jego kolan i ich spojrzenie, oddzielone maską, się spotkało. Ciemność i światło, okrucieństwo i tkliwość, strach i nadzieja – wszystko to choć jeden raz w idealnej równowadze. Simon zastanawiał się, jak u diabła świat mógł dalej się kręcić.

Uświadomił sobie, że wciąż był zbyt podekscytowany, by zasnąć, i że nie pomoże mu nawet Halwane, postanowił więc podejść Morfeusza podstępem. Najpierw wziął długi, gorący prysznic, potem wypalił grubego jointa z super sinsemilli (czego Agencja Żywności i Leków nie widzi, tego jej sercu nie żal) na piętrze, przy apartamencie zajmowanym przez dziadka Childsa od 1924 roku, czyli odkąd wybudowano

dom, aż do kilku dni po tym, jak własnoręcznie poderżnął sobie gardło. Simon, który miał wtedy czternaście lat, wprowadził się na piętro na stałe.

Lepiej nie myśleć o tym starcu – powiedział sobie – to nie pomaga w relaksowaniu się. Zamiast tego pomyśl o pozytywach: o tym wspaniałym haszu, o tym zachwycającym jak milion dolarów widoku na zatokę San Francisco (a wartym może nawet więcej niż dziesięć milionów dolarów), i o całym domu tylko dla siebie – żadnej Missy biadolącej „ciep siej, ciep siej” z łazienki.

Ups, ta myśl wcale nie była taka relaksująca. Zaczął się zastanawiać, jak Missy i Grania dają sobie radę. Czy opieka nad niepełnosprawną siostrą nie przekraczała możliwości staruszki? Czy było za wcześnie, żeby do nich zadzwonić? Starzy ludzie raczej nie śpią do późna.

Nie, do diabła! Jeśli ktokolwiek zasługiwał na dzień wolnego, to był to Simon Childs. Poza tym były pewnie szczęśliwe jak świny w błocie. W razie jakichś problemów Grania z pewnością by zadzwoniła. Nie była na tyle zniedołężniała, żeby nie móc korzystać z telefonu.

Zadowolony swe sumienie, które, jak wiedział, było zwykłą tanią dziwką, Simon skończył palić jointa i wyrzucił go do otwartej urny, w której kiedyś znajdowały się prochy jego dziadka. Popił niebieską tabletkę Halwane kieliszkiem Hennessy. Ustawił budzik na dziesiątą rano, zdjął szlafrok i wszedł nagi do łóżka, wzdychając z przyjemności, gdy chłodna perłowoszara pościel dotknęła jego nagiej skóry. Aby się zrelaksować podczas oczekiwania na działanie leku, zaczął przeszukiwać swoją pamięć i odnalazł prawdziwą perełkę.

Lato 1959 roku. Podczas obiadu dziadek Childs oznajmia, że będą mieli nowych sąsiadów.

– Chłopak wygląda na twój wiek, Pro. – To skrót od „Prosty”, który z kolei jest skrótem od „Prosty Simon”. – Może mógłbyś się z nim zaprzyjaźnić. Chociaż wątpię.

To czuły punkt dziesięcioletniego Simona – z trudem nawiązuje nowe znajomości. Kilka tygodni później, gdy przed dom obok podjeżdża samochód do przeprowadzek, Grania piecze powitalne ciasto, a Simon zostaje wyznaczony do jego dostarczenia. Pan i pani Carpenter przypominają chłopakowi cukierkowe postacie jakby wyrwane z serialu telewizyjnego z lat pięćdziesiątych. Wołają Nelsona. Okazuje się, że jest o rok młodszy od Simona. W ósmej klasie, podczas czytania Wielkich nadziei, opis bladego młodzieńca będzie w Simonie rozbrzmiewał wspomnieniem Nelsona Carpentera: jego nerwowe manieryzmy, cera tak ziemista i jasna, aż miało się wrażenie, że gdy się jej dotknie, pozostanie na niej ślad, oczy o czerwonych obwódkach i długawe włosy koloru słomy.

Pani Carpenter, niepewna siebie, nadopiekuńcza matka, odkrawa dla każdego z nich duży kawał ciasta, odpakuje kuchenne stołki, szklanki do mleka i czekoladowe słomki, a potem niechętnie odchodzi, żeby przypilnować ekipę od przeprowadzek. Po zjedzeniu ciasta Simon oznajmia, że teraz idą bawić się do jego domu, potem zeskakuje ze stołka i idzie w kierunku tylnych drzwi. Nie odwraca się, żeby sprawdzić, czy Nelson za nim idzie – jakimś cudem to wie.

Przedstawia Nelsona Grani i Missy. Na szczęście dla płochliwego młodego chłopca dziadek Childs jest w biurze. Błady młody dżentelmen zdecydowanie zdaje test Missy: nie naśmiewa się z niej ani – to wielkie słowo, ale Simon wie, co ono oznacza – nie traktuje jej protekcyjnie. Tak naprawdę Nelson i Missy dogadują się ze sobą aż za dobrze. Simon prowadzi chłopca na górę do swojego pokoju, żeby mieć nowego przyjaciela tylko dla siebie.

– Chcesz zobaczyć Chudzielca? – pyta.

– A kto to jest Chudzielec?

– Moje zwierzę.

– Czy to jest pies albo kot? Trochę się ich boję.

– Nie.

– Ptak?

– Nie.

– Ryba?

– Bzzzz – Simon naśladuje brzęczek z quizu w telewizji. – Skończyły ci się strzały. – Wyciąga spod łóżka klatkę z Chudzielcem.

– To wąż! – mówi niemal bezgłośnie Nelson.

– Ta. Prawdziwa mamba w paski, najbardziej jadowity wąż na całym świecie. Jedno ukąszenie i odpada ci fiut, a potem umierasz.

Oczywiście Chudzielec to zwykły zaskroniec, pończosznic prążkowany. Dni, w których Simon będzie zajmował się jadowitymi węzami, miały dopiero nadejść – ale naturalnie Nelson nie ma o tym pojęcia.

Jest sztywny ze strachu, cichy i tylko drży, tak jak Kaczor Daffy na Biegunie Północnym. Gdyby go uderzyć, rozpadłby się na milion małych kawałeczków. Simon czuje, że zaczyna mu stawać. Odpina spodnie khaki i wali konia przez rozporek białych slipów, aż zaczyna wystawać przez szczelinę.

– Pocałuj go – mówi do Nelsona. – Tylko raz. Jeśli go pocałujesz, nie pozwolę, by Chudzielec cię dorwał.

– Obiecujesz? – pyta Nelson, wciąż zeszywniały i drżący.

– Zaufaj mi – odpowiada Simon.

Trzy godziny po połknięciu Halwane Simon obudził się tak wyspany, jakby przespał całą noc, i z porządnym, porannym wzrodem. Nie miałem takiego od lat – pomyślał, podziwiając swe niespotykane pobudzenie w lustrze sypialni. Ten Halwane to dobry towar, trzeba zachować go trochę do awaryjnej torby.

A może to nie Halwane spowodował erekcję. Może to myśli o Nelsonie przed zaśnięciem. Kiedyś musi znowu odwiedzić starego Nellięgo. Ostatnim razem, gdy Simon to sprawdzał, Nelson wciąż mieszkał w Concord, w domu, który kupił po śmierci rodziców. Ta cała sprawa z dziadkiem Childsem już pewnie uległa przedawnieniu – w najgorszym razie poszłoby o nieumyślne spowodowanie śmierci – co oznaczało, że niepewna równowaga, dwustronny szantaż, który trzymał ich z dala od siebie przez te wszystkie lata, przestał już obowiązywać.

A może to nie Nelson ani Halwane, może Simon był tak podekscytowany perspektywą porannej gry. W takim przypadku miał prawo zachować na koniec to, co najlepsze, powiedział sobie. Albo przynajmniej na później. Czując oddech ślepego szczura na karku, Simon wiedział, że tak naprawdę koniec nigdy nie nastąpi.

4

Ból głowy. Ten rodzaj bólu głowy, który czujesz aż w trzewiach. I ból na całym ciele, jak po wypadku samochodowym. Jak wtedy, gdy skasowała samochód tatusia.

– Przepraszam. Przepraszam, tatusiu.

A tatuś mówi:

– Najważniejsze, kochanie, że nic ci się nie stało, reszta jest bez znaczenia.

– Ale chrysler jest skasowany.

– Skarbie, po to właśnie mamy ubezpieczenie. Odpocznij teraz.

– Dobrze, tatusiu.

Kilka minut albo kilka sekund, albo kilka godzin później Dorie otworzyła oczy na ciemność, prawdziwą, nieprzebraną ciemność. Jako malarka wiedziała, że to niezwykle rzadkie zjawisko. Nieczęsto spotykało się je w naturze, przynajmniej nie na powierzchni ziemi.

Materac śmierdział wybielaczem. Usiadła powoli, próbując odzyskać orientację. Ból głowy, suchość w ustach. Potłuczona i poturbowana. Zimno. Nie mam ubrań, gdzie są moje...

Pojawiły się dwie maski. Nie było ich wcześniej, a teraz – to przecież niemożliwe – nagle się ukazały. Tragedia i komedia, twarz wykrzywiona i uśmiechnięta, świecące w powietrzu, otoczone ciemnością. Dorie jęknęła i zakryła oczy, które same by się nie zamknęły, potem policzyła do dziesięciu i rozsunęła palce, spojrzała przez nie w ciemność i ujrzała tylko ją. Żadnego uśmiechu, żadnych zmarszczonych brwi – czy one w ogóle tutaj były?

Dorie podciągnęła kolana i skrzyżowała ręce na piersi, próbując się ogrzać. Jakoś to zrozumieć. Ostatnia rzecz – jaką ostatnią rzecz pamiętasz? Przymiarki przed występem. Zmieniasz ubrania na piętze. Niebieska koszula, moja niebieska dżinsowa koszula. Ale po co? Wychodzisz gdzieś? Nie, ktoś przychodzi do mnie. Kto? Pamięć przewinęła się do przodu. Dzwonek do drzwi. Na progu stoi łysy facet. Brązowy beret, luzacki uśmiech, koszulka z logiem Pebble Beach, koszarne spodnie w kratę. I jego nazwisko, jego nazwisko brzmi Pender, i jest tutaj, jest tutaj, jest tutaj, ponieważ...

Wtedy sobie przypomniała. Przypomniała sobie wszystko. Carl, Kim, Mara, Wayne. Psychopata, który poluje na fobów, karmi się przerażeniem. Carl, Kim, Mara, Wayne, a teraz ona. Znowu jęknęła i objęła się jeszcze mocniej. Próbowała bowiem wmówić sobie, że to się nie dzieje, że to niemożliwe, ponieważ takie rzeczy się nie dzieją. Za to zdarzają się koszmary senne. Obudź się wreszcie, ty skończona idiotko. Wiesz, jak się obudzić. Wystarczy przecież otworzyć...

Ale jej oczy były otwarte. Poza tym w snach ludzie nie trzęśli się aż tak bardzo z zimna, nie mieli gęsiej skórki i zeszywniałych sutków, nie byli obolali i nie odczuwali pulsujących bólów głowy. W koszmarach był strach, ale nie było bólu – dlatego było się w stanie je znieść. I jeszcze dlatego, że dało się z nich obudzić.

Nadal chroniona utrzymującym się niedowierzaniem, Dorie próbowała przypomnieć sobie, co stało się później. Po spotkaniu z Penderem, gdy nagle w ciemności usłyszała jakieś kliknięcie i maski ponownie się pojawiły: komedia i tragedia, białe z fioletową poświatą, około półtora metra nad ziemią. Kolejne kliknięcie i natychmiast zniknęły. Czarne światło – pomyślała. – Lampy UV i farba fluorescencyjna. I zamiast strachu poczuła przyływ gniewu. Karmi się strachem, prawda? To niech, kurwa, zdycha z głodu.

Simon dosyć szybko zorientował się, że kliknięcie włącznika na ścianie kontrolującego lampy UV zdradziło jego metodę. Od stóp do głów był ubrany na czarno, od jedwabnych skarpetek po lekką kominiarkę, jak w japońskim teatrze nō. Starał się działać z rozwagą, pragnąc uniknąć tych samych problemów co z Wayne'em. Oczywiście zamiast tego popełnił mnóstwo innych błędów. Wcześniej używał lamp UV tylko raz, dla sześćdziesięcioletniej ailurofobki o imieniu Constance, a to miało miejsce prawie dziesięć lat temu. W piwnicy było pełno kotów (większość z nich kilka godzin wcześniej została wykąpana w roztworze farby fluorescencyjnej i świeciła jak szalona), a Constance od początku do końca darła się jak opętana.

Ale Dorie nawet nie pisnęła. Mimo to jej pierwotna reakcja nie była ani odrobinę mniej elektryzująca. Szok i przerażenie były niemal namacalne; dotknęły czegoś w głębi Simona, czegoś głębokiego i świętego. Czuł to w swej głowie, w kościach, w całym wnętrzu, w sercu, a najbardziej poczuł tę tajemniczą moc duchową gdzieś między podstawą swego kutasa i dołem kręgosłupa. Uczucie było tak intensywne, tak wspaniałe, że prawie bolesne, jak w miłości.

Ale za drugim razem, gdy włączył i wyłączył lampę UV, Dorie szarpnęła głową na prawo, śledząc odgłos kliknięcia. Przez chwilę był kompletnie zaskoczony – zdawała się patrzeć prosto na niego, w noktowizorze na podczerwień jej oczy błyszczały jasną, intensywną zielenią, jak u pantery. Podniósł na chwilę okular – nie, wszystko było czarne jak smoła. Nie mogła go zobaczyć, ale z pewnością wyczuwała jego obecność.

Szkoda – pomyślał. Bądź co bądź mieliśmy chwilkę tylko dla siebie, prawda, kochanie? Czysty, intensywny, dziewiczy strach – tak ulotny, jak to tylko możliwe, nic innego nie może się z tym równać. Ale to tak jak z dziewictwem – gdy znika, to już nie wróci.

Jednak nadal można chociaż spróbować odzyskać element zaskoczenia. Cały czas patrzył na Dorie, która siedziała teraz z podciągniętymi kolanami i rękami skrzyżowanymi na piersiach. Skromność – pomyślał Simon. Jakie to wzruszające, jakie nieistotne. Ponownie włączył światło UV. Zadrzała, zamknęła oczy, pochyliła głowę. Przeszedł cichutko na palcach po pokoju, uklęknął (powoli, ostrożnie, jego pięćdziesięciokilkuletnie stawy bywały grymaśne, lubiły skrzypiec i trzeszczeć) i po cichu wyjął z kontaktu wtyczkę przedłużacza. Teraz wystarczyło tylko poczekać, aż Dorie podniesie głowę, i włożyć wtyczkę z powrotem. Żadnych kliknięć, żadnego ostrzeżenia.

Nie musiał długo czekać. Jej broda zaczęła się powoli unosić w górę. Dorie wolno odwróciła głowę w prawo, tam, gdzie usłyszała kliknięcie przełącznika w ścianie, a potem spokojnie, świadomie, obróciła głowę z powrotem i zaczęła patrzeć dokładnie na wprost. Jej oczy pantery były szeroko otwarte i nie mrugały – tak jakby prowokowała go, by spróbował jeszcze raz.

Bardzo proszę, laleczko – pomyślał, bezgłośnie wkładając wtyczkę do kontaktu. Maski ponownie się pojawiły, a on cały czas patrzył na Dorie. Zaczęła drzeć na całym ciele. Jej oczy wyróciły się i widać było tylko białka – w noktowizorze upiornie zielone i puste jak szklane kulki.

Simon stłumił jęk, podkradł się bliżej, aż był dostatecznie blisko, by poczuć jej strach. Teraz kucała, kołyszac się na piętach, porzuciła skromność. Chciał ją objąć, przytulić ją, uderzyć, ssać jej piersi, gryźć jej piersi, posiąść jej strach. Jednocześnie pragnął wszystkiego i niczego – niczego, poza tą chwilą, zastygłą w czasie...

Teraz, gdy miała więcej czasu na przemyślenia, Dorie zmieniła zdanie. Pender powiedział, że jemu chodzi o strach. Skoro pożąda przerażenia, to je dostanie. Nie każ mu głodować, tylko go nakarm. Zachęć go, by utrzymał cię przy życiu. Prędzej czy później popełni błąd, a wtedy przekona się, do czego zdolna jest duża, silna kobieta...

Prędkiej: miało to nastąpić prędkiej. Pojawiły się maski, więc zaczęła udawać przerażenie. Wywróciła oczy, przykucnęła, by walczyć z omdleniem, bujała się na piętach, ścisnęła i rozluźniała pięści. Wyczuła, że zaczął się przybliżać – słyszała jego oddech, szelest odzieży w ciemności, ciepły ludzki kształt w czerni. W jej głowie pojawiły się słowa piosenki Blżej. Podejdz bliżej. Pozwól mi szepnąć...

Teraz! Skoczyła do przodu, zaczęła wymachiwać pięściami, spudłowała, uderzyła znowu i znowu, trafiła w coś miękkiego, a potem w coś twardego i metalowego. Jej palce zamknęły się na... aparacie fotograficznym...? Miał aparat fotograficzny na...

Nie, to gogle. Noktowizor. Oczywiście. Zerwała je i zamachnęła się nimi tam, gdzie przed sekundą była jego głowa. Zrobił unik, pochylił się i uderzył głową w jej brzuch, przewracając ją na plecy. Uniosła nogi i próbowała go kopać, ale był zbyt blisko, nie dała rady. Znowu się zamachnęła. Złapał ją za nadgarstki i przypiął do materaca.

Teraz był na górze, leżał na niej, przyciskał swoje ciało do jej ciała, a jego twarz znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od twarzy Dorie. Wyczuła, że zaczął opuszczać głowę. Wiedziała, że chciał ją pocałować. Zmusiła się do udawania bezwładnej. Poczekala, aż na swej twarzy wyczuje jego ciepły oddech o miedzianym zapachu, a potem z całych sił podniosła głowę.

5

– Musiał być malutkim człowieczkiem – skomentował Pender. On i Sid stali przed ołtarzem kościoła misyjnego San Carlos Borroméo del Rio Carmelo, znanego jako Misja w Carmel, i patrzyli na sarkofag ojca Junípero Serry, mający zaledwie około stu pięćdziesięciu centymetrów długości.

– A mimo to ten prosty, pokorny mnich, ten „malutki człowieczek”, jak go elokwentnie nazwałeś, był odpowiedzialny za ludobójstwo. Z jego polecenia wymordowano w Kalifornii dziesiątki tysięcy Indian.

Do chłodnej, kamiennej kaplicy weszła rodzina turystów i zebrała się wokół sarkofagu. Pender postanowił podpuścić Sida.

– No, już, już, Sidney. Jasne, to trochę kiepsko.

– Jeden z największych ludobójców w historii Kościoła katolickiego – rzekł Sid. – Nikt mu nie dorównał. A teraz gadają o beatyfikacji tego nikczemnego karła. Przepraszam, po prostu mnie to wkurza.

Po kaplicy przyszedł czas na mauretańską dzwonnice. Pender wykorzystał fakt, że znajduje się na wzniesieniu, i zadzwonił do Dorie. Próbował też podczas przechadzki po ogrodach za kościołem.

– Nie rozumiem, powiedziała, że cały dzień będzie w domu.

– Cały czas to powtarzasz.

– Może jej telefon jest poza zasięgiem.

– Może. A może po prostu na ciebie spojrzala i postanowiła uciec, gdzie pieprz rośnie.

– Zawsze zazdrościłeś mi powodzenia u kobiet – odrzekł Pender.

– Tak, tego i twojego stylu ubierania się. Słuchaj, jeśli chcesz przejechać obok jej domu i sprawdzić, czy wszystko w porządku, przestań chrzanić i po prostu to powiedz.

– Świetny pomysł – odparł agent, jakby nie sugerował tego już od godziny, odkąd wyszli z Pebble Beach.

– Gdzie Mary? – spytał, gdy wjechali na podjazd Dorie. Sid prowadził wynajęty samochód.

– Kim jest Mary?

– Mary Cassatt to samochód Dorie. Roadmaster. Powinien stać pod wiatą.

– Sprawdźmy to, dobrze? – Sid przełączył silnik na parkowanie, ale go nie wyłączył. – Kobieta nie odbiera telefonów, a jej samochód nie stoi na podjeździe. Stary, o czym to świadczy?

Ale Pender już odpiął pasy.

– Zaraz wracam.

– O tym, że kobiety nie ma – wyjaśnił Sid pustemu już fotelowi pasażera i wyłączył silnik. – To świadczy o tym, że kobiety nie ma w domu.

Pender dzwonił, próbował otworzyć zamknięte frontowe drzwi, potem sprawdził okna pod kątem włamania i przeszedł na drugą stronę domu. Tylne drzwi również były zamknięte. No dobrze, może jednak postanowiła wyjść – pomyślał. A może problem tkwi we mnie, może wziętem jej słowa zbyt dosłownie, kiedy powiedziała, że będzie w domu przez cały dzień.

Gdy jednak zaczął iść wzdłuż pracowni (będącej niegdyś gankiem, teraz przeszklonej, z zamkniętymi

okiennicami), dłuższego boku domu, gdzie obok wąskiej ścieżki wylanej z zatechłego cementu wzniesiono wysoki płot z desek porośnięty bluszczem, i z przyzwyczajenia patrzył w ziemię w poszukiwaniu śladów krwi, odcisków stóp, czegokolwiek, prawie wszedł w otwarte drzwi do pracowni blokujące przejście.

Zajrzał do środka. Przytłumione światło, zasłonięte okiennice, zapach farby, terpentyny, oleju lnianego.
– Dorie?

Żadnej odpowiedzi. Wszedł do pracowni i rozejrzał się. Wszystko wyglądało tak samo jak poprzedniego wieczoru, gdy go oprowadzała. Płótna, które miała dzisiaj zagruntować, wciąż znajdowały się na biurku, a przyrządy do malowania na świeżym powietrzu. Przenośna sztaluga, składany taboret, laska były oparte o ścianę przy drzwiach.

– Dorie? – krzyknął znowu, głównie dla formalności.

Był pewien, że nie było jej w domu – po prostu czuł, że budynek jest pusty – ale i tak poszedł korytarzem do kuchni, a gdy zobaczył na parkiecie kałużę zaschniętych wymiocin, zyskał pewność – nieznaną temu, kto nie spędził całego dorosłego życia w organach ścigania – że właśnie nieomal władał się w sam środek miejsca zbrodni.

6

Klimat wewnątrz Departamentu Sprawiedliwości był tak przytłaczająco idealny, że pod koniec drugiego dnia w towarzystwie góry przejrzanых transakcji Linda Abruzzi zabiłaby za odrobinę świeżego powietrza lub światła słonecznego, a nawet burzy. Przyjemność zaczęło jej sprawiać fantazjowanie o Hrabim Monte Christo. Mogłabym wystukiwać na ścianie wiadomości alfabetem Morse'a – pomyślała – i nawiązać kontakt z innymi zamkniętymi w biurze nieszczęśnikami. Może razem udałoby nam się wykopać tunel i wydostać się na wolność.

Około czwartej po południu, gdy po skorzystaniu z toalety myła ręce w łazience dla pań, poprosiła swe odbicie w lustrze ze stali nierdzewnej (ze względów bezpieczeństwa w budynku nie było szklanych luster), by jeszcze raz przypomniało jej, dlaczego się w to wpakowała, skoro mogła wypoczywać w nowym domu rodziców na Long Island i być rozpieszczana przez mamę.

Jednak wszystko, co udało jej się wydobyć z mizernej brunetki w lustrze, wyglądającej jakby próbowała podważyć drugą część powiedzenia o tym, że nie można być zbyt bogatym ani zbyt szczupłym – alarmująco wystający nos i broda, którą można byłoby otwierać butelki piwa – było wzruszenie ramion oznaczające: „nie mam zielonego pojęcia”.

– Dobra, jazda do roboty – nakazała sobie. – Jeszcze tylko godzina, a potem możesz iść do domu i się nad sobą użalać.

Czterdzieści pięć minut później miała ochotę świętować, ponieważ natknęła się na wyciąg z federalnego rachunku kasy oszczędnościowo-kredytowej tak ewidentnie podrobiony, że to cud, że nie prześmierdło nim całe biuro. Oceniając po wielkości depozytu, było to jakieś GS-13^[1], automatycznie wpłacane co miesiąc na czyjeś konto, poza tym kilka wysokich wpłat w ciągu ostatnich trzydziestu miesięcy.

– Bingo! – krzyknęła do panny Pool, która była w drugiej części biura. – Albo znalazłam sama-wiesz-co, albo zdemaskowałam najdurniejszego podwójnego agenta w historii szpiegostwa.

– Gratulacje. – Pool stanęła w drzwiach. Miała już na sobie płaszcz.

– Mam zadzwonić do Maheu teraz czy poczekać do jutra rana?

– Ani jedno, ani drugie.

– To kiedy?

– Dolicz sobie dwa tygodnie od wczoraj.

– Dlaczego?

– Bo tyle czasu zostało przewidziane na to zadanie.

– A jeśli skończę wcześniej, on po prostu dowali mi więcej takiej gównianej roboty?

– Podejrzewam, że taki właśnie jest plan.

– Dzięki, Pool. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Kochana, nigdy nie chciałabyś się tego dowiedzieć.

Gdy Linda wróciła do domu kilka minut po szóstej, znowu zastała pusty budynek w Georgetown. Zamiast liścika na stole w kuchni na komputerze w salonie przyklejono różową samoprzylepną karteczkę z informacją: „Wolałabym, żebyś nie korzystała z komputera, L. Dzięki, G.”.

Dobrze – pomyślała Linda. Rozumiem aluzję. Mimo wszystko, gdy sięgała po telefon do torebki, była zaskoczona tym, jak podle się poczuła. W jej oczach stanęły łzy, w gardle pojawiła się klucha, poczuła ścisk w żołądku. Oj, Abrootz, dorośnij wreszcie – rozkazała sobie. Po prostu dorośnij, do kurwy nędzy.

– Pender.

– Ed, tu Linda. Ja...

– Linda! Dobra robota, dzięki, że tak szybko do mnie oddzwoniłaś. Pierwsza sprawa: zapomnij o Maheu. Zasada numer jeden, umożliwiająca przetrwanie w Biurze, brzmi: „lepiej prosić o przebaczenie niż o pozwolenie”. Dobrze?

– Tak, ale ja...

– Świetnie. Teraz chcę, żebyś zrobiła, co następuje: zaloguj się na tę stronę...

– Ed.

– ...i zobacz, czy możesz skontaktować się z webmasterem albo administratorem systemu, jakkolwiek to nazywają, i dowiedz się, czy...

– Ed!

– Co?

– Nie ma mnie w biurze i nie dostałam od ciebie żadnych wiadomości. Dzwonię, żeby spytać, czy twoja propozycja zamieszkania w wolnym pokoju nadal jest aktualna.

– Oczywiście. Pod kamiennym Buddą na tylnym ganku jest klucz. Wybierz sobie którąkolwiek sypialnię poza pierwszą, bo ta jest moja, i korzystaj ze wszystkiego, czego tylko potrzebujesz.

– Wielkie dzięki. A wracając do tego, co mówiłeś...

– Dorie Bell zniknęła.

– Niech to szlag.

– Moim zda... – Przerwał w pół słowa.

W tle usłyszała czyjś wrzask, potem krzyk Pendera:

– FBI! Jestem z FBI, nie strzelać!

– Ed? Ed, co tam się dzieje?

– Linda? Jesteś tam?

– Jestem, Ed.

– Właśnie zjawił się jakiś policjancik. Wygląda na to, że będziemy musieli porozmawiać później.

– Ed, poczekaj...

– Muszę kończyć.

Kilka krzyków w tle, potem cisza.

7

Mówią, że gdy człowiek zostaje postrzelony lub dźgnięty nożem, nie czuje bólu od razu. W przypadku złamanego nosa tak to nie działa, jak Dorie mogła poświadczyć nawet jeszcze przed tym najnowszym złamaniem. Ból jest natychmiastowy. Z początku ostry i scentralizowany, potem rośnie i rozprzestrzenia się, aż obejmie całą głowę, która staje się wielka jak platforma na Święto Dziękczynienia. A kiedy myślisz, że gorzej już być nie może, zaczyna się pulsowanie. Powolne, nabierające tempa fale z praktycznie niewyczuwalną przerwą między przyływami i odpływami, zbyt krótką na ułożenie modlitwy bez słów, nie mówiącej już o jakimkolwiek zebraniu myśli.

Teraz, gdy leżała w ciemności na plecach, ledwo świadoma tego, że zalewa ją własna krew, do jej umysłu przedostała się jasna myśl, kompletna, wyraźna, wypowiedziana z oddali przez jakiś znajomy głos, który jednak nie należał do Dorie: „W życiu są gorsze rzeczy niż wykrwawienie się na śmierć”.

– Jasne, i niż utopienie się – odpowiedziała szybko, zanim fala znowu ściągnęła ją w dół.

Dzięki niebiosom za ten łut szczęścia – pomyślał Simon, pocierając ponuro czoło tuż pod linią włosów na lewo od wdowiego szpica. Wiedział, że tylko przypadkiem Dorie podniosła głowę, by go uderzyć, akurat wtedy, gdy chciał zanurzyć się w jej piersiach, więc zamiast uderzyć czołem w jego nos, uderzyła nosem

w jego czoło. I znowu go złamała, wnosząc po ilości krwi.

Zaczął czołgać się w kierunku jęku – niesamowitego, bulgoczącego dźwięku. Im bardziej się zbliżał, tym więcej krwi było wokół. Jego dłonie kleiły się, gdy dotarł do Dorie, spodnie miał przesiąknięte krwią na kolanach, a gdy obrócił kobietę na bok, żeby się nie udusiła, poczuł, że jej naga skóra jest mokra i śliska od ciepłej krwi.

To wcale nie było tak nieprzyjemne uczucie, jak mógłby się spodziewać. W rzeczywistości przypominało mu to trochę kąpienie Missy – dotyk miękkiego, poduszkowatego ciała pod śliską skórą – tyle że oczywiście bez towarzyszącego temu tabu. W przeciwieństwie do ciała siostry z ciałem Dorie mógł robić, co mu się żywnie podobało, w dodatku tak długo, jak tylko zdoła utrzymać ją przy życiu i, jak zwykle, w zależności od ilości strachu, jaką uda im się razem wydobyć.

Ponieważ bez strachu, żywe czy martwe, to tylko kolejne nagie ciało, a nagie ciała same w sobie nigdy nie były dla Simona aż tak fascynujące. Myśl ta zmusiła go do zastanowienia się nad tym, co zrobić z Dorie. Oczywiście powstrzymać krwawienie. Trochę ją umyć. Spętać ją, przywiązać dłonie do stóp, powstrzymać przed psoceniem. I żadnego knebla: będzie oddychać ustami przez całe dni, o ile tyle wytrzyma. Może powinien dołożyć dodatkowy materac na boczne drzwi prowadzące do garażu: to był słaby punkt wygłuszenia pomieszczenia.

Ale po tym nie będzie już sensu przedłużać zabawy. Przez lata Simon nauczył się czegoś, o czym większość ludzi nigdy nie będzie miała pojęcia: podczas gdy przewidywane cierpienie wywoływało strach, rzeczywisty ból stanowił na niego antidotum. Przez kilka kolejnych godzin, gdy agonია będzie w pełnym rozkwicie, Dorie nie poczuje prawdziwego strachu.

Fakt, stanowiło to jakąś niedogodność, ale Simon był tylko trochę rozczarowany. Z powodów problemu z ejaculatio praecox, który nękał go od początku wieku dorosłego, powodując, że miał kłopoty z penetracją, a długi stosunek płciowy był praktycznie niemożliwy, nie potrafił zaspokoić się seksualnie na dłuższy czas. Za to gdy rozpoczynała się gra strachu, Simon Childs stawał się prawdziwym mężczyzną, nieprzerwanie w stanie gotowości, mogącym wytrwać całą noc. Im dłużej był w stanie przeciągać grę, tym bardziej był z siebie zadowolony.

A ponieważ złamany nos Dorie zmusił go do przełożenia swego zaspokojenia na około od dwunastu do dwudziestu czterech godzin, Simon, czołgając się po podłodze w poszukiwaniu noktowizora, uświadomił sobie, że jutro o tej porze, gdy już pokona wszelkie komplikacje, będzie bardzo, bardzo zadowolony.

8

– Powiedziałem, ręce do góry!

Pender wyłączył swój telefon z klapką i powoli się odwrócił. Młody policjant z Carmel stał w podręcznikowej pozycji: pistolet w obu dłoniach, stopy na szerokość ramion, lekko ugięte kolana.

– A ja powiedziałem, że jestem z FBI – odrzekł Pender jak najbardziej władczym tonem. – Której litery nie zrozumiałeś?

Dzieciak zaczął drzeć w niewygodnej pozycji, Pender przestawił się więc z trybu rozkazującego na swojski.

– Synu, posłuchaj, obaj wiemy, że nie będziesz do mnie strzelać – powiedział, przeciągając samogłoski, tak jak nauczył się tego w Arkansas jako niedoświadczony agent, pracujący w biurze terenowym w Little Rock. – Sama praca papierkowa zajmie ci miesiąc, nie mówiąc już o przesłuchaniach. Potem, zakładając, że zachowasz pracę, zaczniesz doradztwo. Będziesz opowiadać jakiemuś psychiatrze, że zastrześliłeś tego przyjaznego staruszka z FBI, bo kiedy miałeś pięć lat, tatuś nie podarował ci pod choinkę wymarzonego czerwonego autka. Więc bardzo proszę, przestań celować w moją klatkę piersiową, pokażę ci blachy, przybijemy piątkę i wrócimy do zabijania złych facetów zamiast strzelania do siebie nawzajem.

Trochę przegiął? Być może, ale odniósł pożądaną skuteczną – do pewnego stopnia.

– Dobrze, powoli i grzecznie – odrzekł policjant. – Rozepnij marynarkę i pokaż odznakę. – Cały czas celował w pierś Pendera, stojąc w pozycji jak na poligonie strzelniczym, choć obaj wiedzieli, że chodziło raczej o zachowanie twarzy niż o podejrzenia, jakoby Pender stanowił jakieś zagrożenie.

Agent dał się wciągnąć w zabawę i odegrał tę scenę w mistrzowski sposób. Powoli rozpiął marynarkę w kratkę, dwoma palcami delikatnie wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni i upuścił go tak, by ukazał

starą odznakę Departamentu Sprawiedliwości, którą jeszcze dwa dni wcześniej uznał za bezużyteczną.

– W porządku?

– Tak, przepraszam. – Dzieciak zabezpieczył glocka i wsunął go do kabury. – Wie pan, jak to jest.

– Oczywiście – odrzekł Pender uspokajająco. – Jak się nazywasz, synu?

– Mackey. Wynn Mackey.

Elegancki chłopak o łagodnym głosie, ze schludnie przystrzyżonymi wąsami i w dobrze skrojonym mundurze – już samo uściśnięcie mu dłoni sprawiło, że Pender poczuł się stary i zmęczony.

– Ed Pender. Miło mi cię poznać.

– Pender! Jasne, jasne. Był pan tutaj w lipcu, sprawa z seryjnym mordercą, który uciekł z hrabstwa. Tak sobie myślałem, że skądś pana znam, ale spodziewałem się, że raczej z listu gończego albo listy osób, które trzeba mieć na oku.

– Jasne, taką już mam twarz. – Pender wskazał podbródkiem na kaburę Mackeya. – Nie zapominaj, że masz nabój w komorze. – Potem coś mu się przypomniało. – Hej, co się stało z Sidem?

– Kim jest Sid?

– Staruszkim, który został w samochodzie.

– W samochodzie nie było żadnego sta...

Przerwał. Obaj usłyszeli trzask drzwi od pracowni. Chwilę później Sid stanął w drzwiach kuchni.

– Gdzieś ty do diabła był? – spytał ostro Pender.

– Musiałem się odlać.

– Prawie odstrzelono mi tyłek.

– Do tego trzeba byłoby co najmniej strzelby – odrzekł Dolitz, patrząc wymownie to na broń w kaburze, to na pośladki Pendera.

Mackey zmierzył nowego wzrokiem od stóp do głów: białe sznurowane półbuty, beżowe luźne spodnie, biała koszulka polo Ralpa Laurena z kołnierzykiem postawionym na karku, zawadiacki tupecik.

– Niech mi pan nie mówi, że też jest pan z FBI.

– Już nie. Od dawna jestem na emeryturze. Co się dzieje?

– Właśnie miałem zadać agentowi Penderowi to samo pytanie.

– Panna Bell skontaktowała się z nami kilka tygodni temu – powiedział Pender i przerwał. Miał zamiar uzyskać jak najwięcej informacji, podając jak najmniej danych. Ale Mackey wziął go na przeczekanie. Był młody i pochodził stąd, jednak najwyraźniej nie był głupi, więc zamiast marnować czas, Pender podsumował mu dotychczasowe wydarzenia. Powiedział mu wszystko poza tym, że, technicznie rzecz biorąc, on również był już na emeryturze. Uznał, że to by tylko zaciemniło obraz, zwłaszcza że już pokazał policjantowi odznakę.

Ku swojemu zaskoczeniu, zanim jeszcze skończył wyjaśniać, dlaczego było mało prawdopodobne, żeby Dorie zostawiła na parkiecie zaschnięte wymiociny i tak po prostu wyszła na cały dzień, Mackey już mówił przez krótkofalówkę przypiętą do przedniej kieszeni munduru na lewym obojczyku.

– Tu Mackey. Przełącz mnie do Smitty'ego... Al, tu Wynn. Pamiętasz tego buicka nad oceanem, którego spisałeś...? Tak, no więc... nie odholowuj go. Nawet go nie dotykaj, to może być miejsce zbrodni... Nie, nie pieprzę... Słuchaj, po prostu oznacz go taśmą, a ja zaraz u ciebie będę.

Wyłączył walkie-talkie i zwrócił się do Pendera.

– Samochód Dorie Bell został porzucony zeszłej nocy w strefie płatnego parkowania. Znam tę kobietę od bardzo dawna, opiekowała się mną, gdy byłem dzieckiem. Pomyślałem, że może jej stary rupiec się zepsuł i przyjechałem tutaj, żeby dać znać, że ma zostać odholowany. Na podjeździe stał dziwny samochód, boczne drzwi były otwarte...

– Były już otwarte, kiedy tutaj przyjechaliśmy – rzekł Pender. – Prawie w nie wlałem.

– Dotykał pan czegoś?

– Nawet nie dotknąłem drzwi.

– A pan? – Mackey spytał Sida.

– Odląłem się w krzakach.

Młody policjant spojrzał na niego z niesmakiem.

– Czy wy z FBI zawsze lejecie w miejscach zbrodni?

Dolitz wzruszył ramionami.

– W moim wieku człowiek powinien się cieszyć, że w ogóle jeszcze może lać.

Bez Missy kuchnia – jak i cała rezydencja – zdawała się pusta i ogromna. W przeszłości to zawsze Simon wyjeżdżał, a Missy zostawała. Próbował sobie wmówić, że cieszy się z tego, iż ma do wyłącznej dyspozycji cały dom, ale nie potrafił przestać martwić się o siostrę. Gdy to on wyjeżdżał, wiedział, że była bezpieczna w znajomym otoczeniu i z opiekunką, którą lubiła, a której on ufał.

Skoro Dorie została już spacyfikowana w piwnicy i trzeba było wstrzymać grę, nie było powodu, dla którego nie mógłby sprowadzić Missy do domu. Zadzwoił do Grani z kuchni – żadnej odpowiedzi. Dokończył lunch, poszedł na górę, zadzwonił jeszcze raz z biura sąsiadującego z sypialnią. Nadal nic z tego. Może poszły na „iiiiiii” – lody.

Simon zalogował się na podłączony do modemu DSL komputer, wyłączany bardzo rzadko, o ile w ogóle. Z czystego przyzwyczajenia zaczął przeglądać chat na sponsorowanej przez OSZF stronie Phobia.com. Nowy dzieciak, Przestraszonykot był potwornie kuszący. Simon natychmiast napisał do Zapa Struma, hakera i dilerka narkotykowego z dzielnicy South of Market, który stworzył stronę i nadal nią administrował, z prośbą, by poszperał w realnym świecie i znalazł prawdziwe nazwisko i adres Przestraszonegokota.

Gdy się wylogował i ponownie zadzwonił do Grani – wciąż bez skutku – przyszło mu na myśl, że może czerpał z tego źródła już za dużo. Dorie kontaktowała się z FBI jeszcze przed zniknięciem Wayne’a, potem po jego śmierci. A teraz ona również zaginęła – to by oznaczało śmierć pięciu członków OSZF w ciągu sześciu miesięcy. Gliniarze byli głupi, ale nie aż tak.

Im głębiej się nad tym zastanawiał, tym bardziej doceniał ogrom ryzyka, jakie ostatnio poniósł. Gdyby był tak nieostrożny przez cały czas, to nie uprawiałby swego niebezpiecznego hobby przez trzydzieści lat bez zwrócenia na siebie uwagi wymiaru sprawiedliwości. Może zaczynał tracić grunt pod nogami, może przymus organizowania gry co kilka miesięcy zamiast raz na rok zaczynał mieć na niego negatywny wpływ. Tylko że alternatywę stanowił szczer – który nie był żadną alternatywą.

Westchnął. Stowarzyszenie OSZF było jego dziełem, ale nie dało się ukryć, że stało się już niepotrzebne. Ponownie podniósł słuchawkę.

Automatyczna sekretarka Zapa zgłosiła się po dwóch sygnałach. „Nagraj wiadomość” – zażądała oschle.

– To ja, Simon. Wiem, że sprawdzasz, kto dzwoni. Odbierz, to ważne.

– Cooo tam, staaary? – przeciąganie niektórych samogłosek tego surfingowca z Ridgemont High i absolwenta Instytutu Technologicznego w Massachusetts było jedną z jego bardziej irytujących cech.

– Pamiętasz, że kiedy zakładaliśmy Stowarzyszenie OSZF, powiedziałeś, że gdy nadejdzie czas, możesz sprawić, by zniknęło?

– No i?

– Nadszedł czas.

– Strony, archiwa, rejestry bankowe, wszystko, jak leci?

– Jakby nigdy nie istniały. Możesz to zrobić?

– Nigdy nie pytaj Zapa, czy może coś zrobić. Pytaj tylko za ile i na kiedy.

– Za ile i na kiedy?

– Zwykła stawka godzinowa i tyle, ile mi to zajmie. To nie powinno być zbyt trudne. Zap stworzył, Zap może sprawić, że zniknie. Coś jeszcze?

– W tej chwili nie. Daj mi znać, gdy skończysz.

– Stary, zaloguj się za kilka godzin. Jeśli tego nie będzie, to skończyłem.

Chociaż wzgórze Berkeley były sporo oddalone od równin, to jazda samochodem od jednych do drugich trwała bardzo krótko. Po tym, jak kolejną godzinę spędził na bezskutecznych próbach dodzwonienia się do Grani i doprowadził się do stanu, w którym podejrzewał, Bóg wie co, krew na ścianach i poćwiartowane ciała, w pięć minut był na miejscu. Zaparkował mercedesa na ulicy przed domkiem Grani, założył blokadę, ale jej nie zamknął – i tak by ją przecięli.

Zadzwoił do drzwi – cisza. Nacisnął klamkę – otwarte. Wszedł, zobaczył różową torbę podróżną Missy na rozłożonej sofie, wszystkie rzeczy porozrzucane. Czuł się jak w koszmarze. Poczł, że wbrew jego woli coś pcha go do sypialni. Usłyszał brzęczenie much.

To, co tam zastał – ciało Grani wyglądające jak zмумifikowane, leżące na boku w ciemnym pokoju, przykryte po szyję tak, jakby ktoś z miłością je otulił – było jeszcze gorsze niż wszystkie sceny apokalipsy, które wyobrażał sobie podczas jazdy.

Odrętwiały niczym lunatyk oczami wyobraźni widział Missy zaginioną albo porwaną, chorą lub raną, przerażoną i samotną. Przeszedł na oślep do kuchni, która przypominała fabrykę kokainy po wybuchu. Wszędzie rozsypany był biały proszek, a na stole leżało puste opakowanie po minidonatach.

Ten głupi kawałek folii rozwalił go do reszty. Simon opadł na jedno z krzeseł w kuchni, zanurzył twarz w dłoniach i wydobył z siebie bolesny szloch, tak głęboki, że wydawało się, jakby wraz z nim na wierzch miały wyjść wszystkie wnętrzności. Tylko jeden szloch. Potem zaczął się rozglądać i przez otwarte tylne drzwi, w odległym zakątku ogrodu, ujrzał Missy zwiniętą w kłębek pod płótem. Tyczkowate słoneczniki pochylały nad nią swe złote głowy.

10

Pakowanie się nie stanowiło żadnego problemu. Linda żyła na walizkach od czasu, gdy wyprowadziła się do Waszyngtonu. Wiedziała, że większy sens miałyby przeniesienie się do Pendera w weekend, ale chciała uniknąć swej byłej przyjaciółki Glorii. Nie miała pewności, czy zna dostatecznie dużo liczebników po włosku, żeby uniknąć powiedzenia rzeczy, których później mogłaby żałować.

Ograniczyła się jedynie do zostawienia swojego nowego adresu na samoprzylepnej karteczce. Rozważała zrobienie im takiego psikusa, jaki zrobili jej chłopcy z San Antonio – zmiana strony startowej w przeglądarce z Yahoo na SSN, Scat Sex Network, dzięki czemu po zalogowaniu się na ich ekranie pojawiłoby się mnóstwo zdjęć osób zjadających odchody – ale rozmyśliła się w ostatniej chwili.

Zamknęła za sobą drzwi, wrzuciła klucz do skrzynki na listy i załadowała walizkę do geo. O tak późnej porze prawie już nie czuła nóg. Chowając walizkę do bagażnika, niemal straciła równowagę. Mięśnie jej ud drżały, położyła więc lewą stopę na hamulcu na wypadek, gdyby musiała nagle się zatrzymać. Wiedziała, że kiedyś skończy, obsługując samochód jedynie rękami – oczywiście jeśli będzie mieć szczęście.

Była w połowie drogi, gdy jej telefon zaczął ćwierkać. Wyjęła go z torebki, nie odrywając oczu od drogi.

– Abruzzi.

– Tu Pender.

– Wszystko w porządku?

– Mieliśmy tutaj małe nieporozumienie, ale teraz już wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

– Co się stało z Dorie Bell?

– Wiemy tylko, że zniknęła. Pytanie, czy ma ją nasz zabójca i czy w związku z tym jego cykl skrócił się z jednej ofiary na dwa miesiące do dwóch ofiar w ciągu tygodnia. Musimy, a właściwie ty musisz, spróbować dotrzeć do kogoś w Stowarzyszeniu OSZF, poprosić o przefaksowanie kopii listy członków, która zaczyna wyglądać jak lista potencjalnych ofiar. Potem ustal, kto jest ich webmasterem, i dowiedz się, czy na stronie można umieścić ostrzeżenie.

– Zabiorę się za to jutro rano – odparła.

– Lepiej od razu. Dam ci numer do Thoma Daviesa. Pracuje w Clarksburgu w Wydziale Informacji FBI, może będzie mógł ci pomóc.

Linda zaparkowała za barracadą Pendera przykrytą plandeką, zostawiła walizkę przy głównym wejściu i przeszła kamienistą ścieżką na drugą stronę domu.

– Up the Wooden Mountain – zanuciła sobie z powątpiewaniem, przyglądając się nie tylko chybotliwym schodom prowadzącym na ganek, lecz także przypadkowej plataninie belkowania, podpór i krzyżaków podtrzymujących sam ganek. Gdy przypomniła sobie imprezę, zadrżała. W pewnej chwili, późnym wieczorem na tym tarasie ze dwa tuziny ludzi śpiewały złote przeboje – to cud, że nic się nie zawaliło.

Na szczęście schody miały też poręczce osadzone wystarczająco blisko siebie, by trzymać się ich z obu stron jednocześnie. Skoro mogą utrzymać Pendera, to mogą utrzymać i mnie – powiedziała sobie. Gdy wdrapała się na ganek, miała ochotę wbić flagę zdobywcy w podłogę.

Pamiętała Buddę z imprezy. Pochodził z Tybetu i był pierwszym zagniewanym Buddą, jakiego widziała. Gdyby Pender usiadł przed rzeźbiarzem, jego wizerunek wyglądałby tak samo.

– To jedyna rzecz, jakiej moja eks nie dostała po rozwodzie – wyjaśnił. – I to tylko dlatego, że nie

chciała.

Gdy znalazła klucz, zeszła z drewnianej góry, obeszła dom z powrotem i wtaszczyła walizkę do środka. Była gotowa paść na pomarańczową sofę.

Ale Pender miał rację – trzeba było działać od razu. W Akademii nauczono ją, że seryjni mordercy dzielili się na dwie grupy: przestępców zorganizowanych i niezorganizowanych. Zabójca fobów, jak zaczęła o nim myśleć (gdy upublicznią dochodzenie, będą musieli wymyślić jakieś barwniejsze określenie – oczywiście o ile do tej pory będą już mieli podejrzanego), był w oczywisty sposób zorganizowany, a jedną z najbardziej kłopotliwych cech seryjnych morderców, jak wyjaśnił słuchaczom wykładowca Wydziału Nauk Behawioralnych, było to, że z czasem stawali się lepsi. Coraz ostrożniej wybierali ofiary, coraz skrupulatniej planowali ataki i – co szczególnie niepokojące z policyjnego punktu widzenia – uczyli się na własnych błędach.

Jednak to, że zabójca fobów był zorganizowany, nie oznaczało, że jego stan nie mógł ulec pogorszeniu, a skrócony cykl mógł świadczyć o kryzysie. Bardziej aktywny oznaczało bardziej szalony, bardziej szalony oznaczało bardziej aktywny – dosłownie błędne koło.

Dlatego właśnie poszła na kompromis. Wyjęła telefon z torebki, wybrała numer podany przez Pendera, a potem opadła na sofę przy kominku w salonie.

– Davies. – Brytyjski akcent.

– Panie Davies, z tej strony Linda Abruzzi. Chyba spotkaliśmy się na pożegnalnej imprezie u Eda Pendera. Zasugerował, żebym...

– Przykro mi, Tom wyszedł z domu. Prawdę mówiąc, odebrała automatyczna sekretarka. Po sygnale proszę nagrać wiadomość, oddzwoni rano. Biiip.

– Proszę, to sprawa...

– Jeśli powie pani „sprawa życia i śmierci”, to się zrzygam.

– Miałam zamiar powiedzieć, że to bardzo pilna sprawa. Ale właściwie to...

– Lindo, kochanie, gdy wróciłem tamtego wieczoru do domu z imprezy u Pendera, zebrałem swą małą rodzinę przy kominku i powiedziałem: „Od tej pory tatuś będzie spędzał wieczory i weekendy w domu. Będzie pomagać wam w odrabianiu lekcji, chodzić na występy taneczne i mecze Młodej Ligi. Będzie miał nawet czas, żeby nauczyć się waszych imion”. Moja kochana żona szlochała ze szczęścia, Lindo. Naprawdę, szlochała.

– To co pan robi w biurze o tej godzinie?

– Przy szóstce dzieci to jedyne miejsce, w którym, kurwa, mogę zaznać ciszy i spokoju.

– Świetnie. Pierwszorządnie. A więc szukamy...

11

Dorie obudziła się po raz piąty lub szósty tego dnia – albo wieczoru, albo nocy. Opuchlizna zeszła na tyle, by kobieta mogła otworzyć oczy. Nie żeby to robiło jakąś różnicę – tak czy siak otaczała ją ciemność. Trochę łatwiej jej się oddychało, ale tak naprawdę to też zmieniło niewiele poza tym, że coraz bardziej chciało jej się pić i siku. Gdyby nie miała dłoni przywiązanych do kostek, mogłaby rozprawić się z tymi problemami za jednym zamachem, pijąc własny mocz – w końcu pewien słynny fotograf z Big Sur twierdził, że co rano pije szklanekę własnej uryny – ale wyglądało na to, że odmówiono jej możliwości skorzystania nawet z tak nieprzyjemnego środka doraźnego.

Dorie widziała i czytała dostatecznie dużo historii porwań i jeńców wojennych, by wiedzieć, co robić, by przetrwać. Zachowaj czujność, orientację i pozytywne nastawienie. Jasne. Ha, ha, ha i jeszcze raz: ha. Chociaż już samo zachowanie świadomości, czujności i orientacji w absolutnej ciemności i zupełnej ciszy było bardzo trudne, to prawdziwym wyzwaniem okazało się niepopadnięcie w rozpacz.

Możesz tutaj leżeć, litować się nad sobą i czekać na śmierć – mówiła sobie – albo możesz wykorzystać każdą minutę świadomości i każdą odrobinę energii na obmyślanie planu wydostania się z tego... „Trudne położenie” było jej drugą myślą, pierwszą był „koszmar”. Ponieważ w obecnej sytuacji słowa były jedyną rzeczą, nad jaką Dorie miała względną kontrolę, wybrała wersję o mniejszym naładowaniu emocjonalnym. „Trudne położenie” było niezłe, dzięki niemu mogła trzymać panikę w ryzach. Ponieważ, mimo wszystko, z trudnego położenia można się jakoś wydostać – pomyślała, ponownie zamykając oczy. A z koszmaru można się tylko obudzić.

Albo i nie.

[\[1\]](#) GS (General Schedule) – schemat wysokości pensji wypłacanych pracownikom służb cywilnych: od G-1 (pensja najniższa) do G-15 (pensja najwyższa).

Ciepła woda, żadnego bólu

1

– Ed, wstałeś? – Sid zapukał do drzwi Pendera, a potem wszedł do pokoju. – Obudź się i posłuchaj.
– Wal się.

Nawet nie otworzył oczu. Nie miał zamiaru wstawać z łóżka ani teraz, ani kiedykolwiek. Nawiedził go najgorszy możliwy kac – nie od zbyt dużej ilości alkoholu, ale właśnie od jego niedostatecznej ilości. A przecież Pender, przybity sytuacją z Dorie, starał się, i to bardzo, wypić wystarczająco wiele. Próbował pozbyć się serca i jednego czy dwóch płatów wątroby. Nie potrafił jednak zapomnieć o kobiecie. O jej uśmiechu, uścisku, o tych chabrowych oczach, a nawet o tym krzywym nosie.

Na świecie nie było dostatecznej ilości Jima Beama, żeby mógł zapomnieć ich ostatnią rozmowę.

Dorwiemy go – mówi słynny agent. Proszę się nie martwić – mówi słynny agent. Zanim znowu zabije, miną kolejne dwa miesiące. Na pewno to wszystko powiedziałaś, słynny agencie. Finezyjny Bohater i Ikona? Raczej Fajtłapowaty Bezrozumny Idiota. Prawdopodobnie zmusiłeś mordercę do działania samym pojawieniem się.

– Chodź, isquierko. – Sid przeszedł przez pokój, odsunął zasłony, podciągnął żaluzje. – Samolot odlatuje za godzinę.

Te słowa przykuły uwagę Pendera.

– Myślałem, że postanowiliśmy zostać tutaj przez kilka dni i spróbować się do czegoś przydać.

– Nie, to ty powiedziałeś, że zostaniemy tutaj przez kilka dni i spróbujemy się do czegoś przydać. Ja natomiast powiedziałem, że lecimy do San Francisco, tak jak planowaliśmy, wsiądziemy w drugi samolot, tak jak planowaliśmy, a gdy tylko wrócimy do domu, mam zamiar polecić ci dobrego terapeutę, który pomoże ci przejść przez etap rozpacz i wyparcia.

– O czym ty do cholery gadasz, jaki etap rozpacz? – Pender, który zasnął w bieliźnie, usiadł niechętnie i beknął, zabijając oddechem wszystkie żyjące stworzenia w promieniu metra. – Ledwo ją znałem, tylko rozmawialiśmy.

– Nie o to mi chodziło, chociaż interesujące, że tak się na to zapatrujesz.

– Nie prowadź ze mną żadnych gier, Dolitz.

– Mówię to jako twój przyjaciel, Ed. – Sid wygładził pogniecioną narzutę swą niewielką, zadbaną dłonią i usiadł w nogach łóżka. – Jesteś na emeryturze. Celem tej wycieczki, poza wykorzystaniem darmowych kilometrów, zanim stracą ważność, było postawienie kropki, a nie wielkiego, grubego wykrzyknika, na końcu twojej kariery. Żeby ułatwić ci akceptację faktu, że nie jesteś już stróżem prawa, a łapanie każdego seryjnego zabójcy, który się nawinie, nie jest już twoim obowiązkiem. I słusznie, bo, szczerze mówiąc, już się do tego nie nadajesz.

– Teraz próbujesz mnie po prostu wkurwić. – Pender spuścił nogi z boku łóżka i usiadł ze zwieszonymi ramionami i spuszczoną głową. Uświadomiwszy sobie, że mdłości nie ustąpią, a kolejne beknięcie będzie zawierać dużo więcej niż tylko gaz, desperacko rzucił się do łazienki i uklęknął w pozycji niezbędnej do przeprowadzenia rozmowy z porcelanowym uchem.

– Sam to wczoraj mówiłeś! – krzyknął za nim Sid. – In Jim Beamo veritas. Dziesięć lat temu, do diabła, jeszcze pięć lat temu, czy zostawiłbyś ją samą sobie, skoro pasowała do profilu ofiary aktywnego seryjnego zabójcy? W najgorszym razie skontaktowałbyś się z lokalnymi władzami i powiedziałbyś, co się dzieje, żeby mogli mieć na nią oko. Zamiast tego zachowywałeś się jak zakochany nastolatek. „Sid, jak sądzisz, powinienem się z nią umówić? Chyba się z nią umówię, Sid. Sid, mam się z nią umówić?”

Pender, biały jak ściana, stanął w drzwiach łazienki. Kilkudniowy zarost, wory pod oczami, wyciągnięty podkoszulek, zwisający brzuch, wymiętolone bokserki, jedna skarpetka.

– Sid, myślisz, że nie wiem, że spierdoliłem sprawę? Myślisz, że nie wiem, że to moja wina, że jest już martwa? Jeśli miała szczęście? Więc teraz mam się pakować i wracać do domu? Ups, mea culpa. Przepraszam, ale nie.

– Właśnie. Zrobiłeś już wszystko, co miałeś tutaj do zrobienia. Teraz niech zajmą się tym

profesjonaliści.

– Ale...

– Ed, nie możesz być w połowie glina. W ten sposób ludzie tracą życie. I agenci, i osoby z ich otoczenia.

Pender nie miał na to żadnej mądrej odpowiedzi. Odwrócił się i wszedł z powrotem do łazienki, żeby umyć zęby.

– Wyglądasz jak kupa gówna – powiedział do starego, grubego i łysogo faceta w lustrze.

– To ty byłeś kiedyś słynnym agentem? Serio?

– Byłem – odparł stary, gruby i łysy facet w lustrze. – Teraz jestem na emeryturze.

2

– Simon?

Obudził się, zeszywniały i obolały po nocy spędzonej w niewygodnym ciemnopomarańczowym krześle z podłokietnikami. Spojrzał na zegar na ścianie. Za kwadrans szósta. Zmusił się do wstania z krzesła, przeciągnął się, przeszedł przez pokój do łóżka Missy. Czułe pogłaskał ją po szerokim czole i dotknął wewnętrznej strony napuchniętego nadgarstka. Jej ciało – pomijając sinobiałe owale wokół oczu chronionych przez okulary przeciwsłoneczne – było mocno poparzone przez słońce.

– Jak się czujesz, siostra?

– Pić.

Rozejrzał się. W każdej sali szpitalnej, jaką kiedykolwiek w życiu widział, na stoliku przy łóżku stał dzbanek z zimną wodą. Ale nie tutaj. Co jest nie tak z tymi ludźmi? – pomyślał ze złością, gwałtownie wciskając przycisk wzywający pielęgniarkę, i walił w niego kciukiem raz po raz, jakby był sfrustrowanym uczestnikiem teleturnieju. Tysiąc dolców za dzień i nie stać ich na szklankę wody?

– Tak? – Kilka minut później w drzwiach ukazała się głowa starszej pielęgniarki z nocnej zmiany.

– Mojej siostrze chce się pić. Czy możemy prosić o wodę z lodem?

– Przykro mi, nie mogę tego zrobić.

Gdy stary babsztyl przechodził obok niego, by sprawdzić funkcje życiowe Missy i poprawić jej poduszkę (charakterystyczne dla pielęgniarek zachowanie „skoro-już-tu-jestem”), Simon wyczuł zapach potu. W pewien sposób wydało mu się to niewłaściwe – pielęgniarki nie powinny śmierdzieć. Wstał i przesunął krzesło do tyłu.

– Co ma pani na myśli, mówiąc, że nie może tego zrobić?

– Zatrzymanie wody w organizmie. Lekarz dał jej środki moczopędne i nakazał nie podawać doustnie żadnych płynów, dopóki nie zejdzie obrzęk.

Złapał ją za rękę tuż nad łokciem. Spojrzała na niego, a on patrzył na nią tak długo, aż ujrzał w jej oczach błysk strachu. Wtedy ją puścił.

– Proszę posłuchać, nie chcę, żeby moja siostra cierpiała.

– Ja... ja przyniosę trochę kosteczek lodu do ssania i glicerynę do posmarowania ust.

– Byłaby pani tak miła? – spytał Simon tak grzecznym tonem, jakby był alkoholikiem, który właśnie dostał szalenie pożądanego sznapsa. – Będziemy bardzo wdzięczni. – Zwrócił się do Missy: – Zaraz tu będą kosteczki lodowe!

– Simonie, chcę do domu.

– Dzisiaj rano porozmawiam z doktor Yo. Zobaczymy, co ona powie.

Pielęgniarka wróciła. Wziął od niej karafkę i przyłożył kawałeczek lodu do spalonych słońcem ust Missy.

Nie miała siły na strzelanie fochów – Simon nazywał to zgrywaniem królowy – ale istniały inne sposoby. Gdy chodziło o postawienie na swoim, IQ Missy było na poziomie geniusza. Odwróciła głowę, mimo że bardzo pragnęła tego lodu.

– Do domu.

– Kochanie, twoje biedne usta są całe spękane i...

– Do domu.

– Porozmawiam z doktor Yo, gdy tylko...

– Do domu.

Do domu. Ustalenie wszystkich szczegółów, podpisanie oświadczeń potrzebnych doktor Yo, zanim

mogła wypisać pacjenta, zorganizowanie dwudziestoczęterogodzinnej prywatnej opieki pielęgniarskiej, a potem szybkie udanie się do domu przed przyjazdem techników z Home-Med, którzy mieli wstawić szpitalne łóżko do salonu (żadnych schodów dla Missy – w tej kwestii doktor Yo była nieugięta), trwało kilka godzin. Wszystko to trochę kosztowało, ale było warte każdego centa. Do południa Missy i jej pielęgniarka z dziennej zmiany grały w salonie w planszówkę, a Simon wreszcie mógł zejść do piwnicy. Według jego obliczeń odkąd Dorie złamała nos, minęły prawie dwadzieścia cztery godziny. Powinna być już gotowa na grę – pomyślał. On z pewnością był.

3

Linda Abruzzi była dziewczyną z miasta – w mieście się urodziła i wychowała. Kilka razy w nocy przebudziła się z poczuciem, że coś jest zdecydowanie nie tak. Wreszcie zrozumiała, że to cisza jej przeszkadzała, była jakaś nienaturalna. Dopiero nad ranem, gdy zrobiło się szaro i ptaki zaczęły śpiewać, Linda pozwoliła sobie na kilka godzin nieprzerwanego snu.

Niestety metaliczny terkot nakręcanego budzika należał do tych dźwięków, które nie przeszkadzały Lindzie w spaniu, więc skończyła, wykonując w pędzie okrojoną wersję codziennych czynności, rezygnując z ćwiczeń zalecanych przez fizjoterapeutkę i popijając witaminy oraz suplementy kawą rozpuszczalną zamiast koktajlem owocowym. Na szczęście nie był to jeden z poranków z samodzielnie wykonywanym podskórnym zastrzykiem Betaseronem robionym co dwa dni, więc bolesne i czasochłonne zadanie zostało jej oszczędzone.

Zdążyła do biura na czas. Pool wręczyła jej różowy druk, na którym zaznaczono, co działo się pod nieobecność Lindy. Po raz pierwszy widziała tak skrupulatnie wypełniony formularz – data, czas, rozmówca, sprawa, w jakiej dzwonił, wykonana czynność, inicjały osoby, która odebrała telefon – nawet jeśli, według podanego czasu, Thom Davies z Wydziału Informacji FBI dzwonił zaledwie dwie czy trzy minuty wcześniej.

– Świetnie – rzekła Linda. Utknęła na próbach skontaktowania się z kimkolwiek ze Stowarzyszenia OSZF, więc była ciekawa, co zdziałał Thom. – Zaraz do niego oddzwonię.

– Połączę cię.

– Nie, nie ma sprawy, sama do niego zaraz zadzwonię.

Nie było na to szans. Gdy Linda doszła do swojego biurka, już miała Daviesa na linii.

– Dziękuję, Cynthio! – krzyknęła.

– Nie ma za co – rozległo się w holu. – Tylko proszę, mów mi Pool. – I zanim Linda zdążyła się zastanowić, czy czasem nie popełniła strasznej gafy, usłyszała: – Wszyscy moi przyjaciele tak mnie nazywają.

Linda odetchnęła z ulgą.

– Dziękuję, Pool. Cześć, Thom, co masz?

– Nic, jedno wielkie nic. Jesteś pewna, że nie zmyśliłaś sobie tego całego Stowarzyszenia OSZF?

– Oczywiście, że jestem pewna. Całkiem niedawno logowałam się na ich stronę. Phobia-kropka-com.

– To spróbuj teraz, poczekam.

Spróbowała.

– Podany adres nie istnieje.

– Spróbuj przez wyszukiwarkę, jakąkolwiek.

Spróbowała Yahoo, potem Google.

– Żadnych wyników ani tu, ani tu, nawet w pamięci podręcznej.

– Właśnie. A ja mam dostęp do baz danych, o których nawet nie słyszałaś – a jeśli słyszałaś, musiałbym cię zabić – dzięki którym mógłbym się dowiedzieć, z kim poszłaś na bal w liceum.

– Z Tonym Guglielmino. Nic dziwnego, że wystąpił błąd w zapytaniu.

– Ktokolwiek to zrobił, jest prawdziwym czarodziejem. Potrzebujemy zatem własnego czarodzieja. Najlepszym, o jakim wiem, jest Ben Wing z Ekipy Nerdów w San Jose. Zostawiłem mu wiadomość, żeby do mnie oddzwonił. Pewnie zrobi to koło południa naszego czasu. Jeśli chcesz, możemy zrobić trójkąt.

– Tak, niech będzie trój... To znaczy konferencja byłaby świetna.

– Och, nie lubisz się zabawić – zauważył.

– Zdziwiłbyś się – odparła.

- No to klin klinem. – Pender uniósł napełnioną przed chwilą szklanę.
- Ed, już dawno zapiłeś tego pieprzonego kaca.
- Druga po południu. Według obliczeń Sida był to już trzeci drink Pendera: jeden Jim Beam z lodem w barze na lotnisku w Monterey, krwawa Mary podczas lotu do San Francisco, a po telefonie od Lindy z informacją o zniknięciu Stowarzyszenia OSZF kolejny Jim Beam w barze lotniska w San Francisco.
- Nie dręcz mnie, człowieku, jestem teraz szalenie bezbronny.
- Wiem.
- Byłem niepoważny.
- Owszem, niepoważny jak cholera. – Sid sięgnął nad zbyt wysokim i zbyt wąskim okrągłym stolikiem na jednej nodze, takim, jakie z reguły stoją w barach na lotniskach, i mocno szarpnął beret Pendera na bok. – Tak jest dużo lepiej.
- O co chodzi?
- Skoro upierasz się, żeby nosić brązowy beret do sportowej marynarki w kratę, to przynajmniej załóż go we właściwy sposób.
- Chciałem wyglądać, jakbym wybierał się w podróż. – Pender wpatrywał się w drinka i wydawał się zaskoczony, że wypił już połowę. – Wiesz, co nie ma sensu?
- Mógłbym wymienić kilka rzeczy. Co masz na myśli?
- Przez całe życie powtarzają ci, że należy zadośćuczynić za swoje błędy. Jak coś schrzaniś, musisz to potem naprawić. A później osiągasz pewien wiek, spieprzysz coś i słyszysz: „wynoś się stąd, staruszk, idź do domu, przekimaj się, my się tym zajmiemy”.
- Chyba wspomniano o tym w Księdze Koheleta – odparł Sid. – Wszystko ma swój czas. Pokolenie przychodzi i pokolenie odchodzi[2]. Taki jest porządek na tym świecie, iskiertko, powinieneś się do tego przyzwyczaić.
- Pender wyglądał na zszokowanego.
- Od kiedy zaczytujesz się w Biblii?
- Od śmierci Esther.
- Pomogło?
- Okazało się, że jest tam mnóstwo dobrych tekstów. Powinieneś kiedyś spróbować.
- A wiesz, mógłbym. – Pender zadumał się, patrząc na szklanę, która jakimś cudem sama się opróżniła. – Do diabła, mógłbym.

- Przepraszam? – To była stewardesa, składająca się z samych nóg i uśmiechu.
- Sid zdjął okulary do czytania i spojrzał na nią znad czasopisma o lataniu. Do startu pozostało jeszcze pięć minut, a on przeczytał już wszystko, co nie dotyczyło robienia zakupów.
- Tak, moja droga?
- Pański przyjaciel prosił mnie, żebym to panu przekazała – powiedziała, podając mu brązową papierową torbę ze sklepu z podarunkami.
- Mój przyjaciel?
- Pender wymknął się, żeby skorzystać jeszcze z toalety w terminalu – ubikacja w samolocie była kolejnym nowoczesnym wynalazkiem niedostosowanym do mężczyzn o jego gabarytach.
- Jest pani pewna, że chodzi o mnie?
- Stewardesa rozejrzała się po pokładzie pierwszej klasy, by upewnić się, że nie ma tam innych niskich starszych panów w niebieskiej marynarce i z szarym tupecikiem. Nie ujrawszy nikogo takiego, pokiwała głową.
- Powiedział, że zaznaczył dla pana fragment. Poprosił również, żeby odebrał pan jego kije golfowe w miejscu odbioru bagażu, gdy dolecimy do Dulles.
- Sid włożył rękę do papierowej torby i wyciągnął kieszonkową Biblię oprawioną w czarną skórę ze złotymi brzegami i złotą jedwabną wstążeczką wszytą w okładkę. Otworzył na stronie zaznaczonej wstążeczką i zobaczył, że Pender zakreślił fragment Księgi Koheleta, ale druk był zbyt mały, żeby Sid mógł go odczytać nawet w okularach.

– Czy mogłaby to pani dla mnie przeczytać? – poprosił, podając Biblię stewardesie.
– Oczywiście, że tak. – Bądź co bądź była to pierwsza klasa. – To Księga Koheleta... rozdział... zobaczmy... wygląda na rozdział dziewiąty, wers dziesiąty: Każdego dzieła, które twa ręka napotka, podejmij się według twych sił! Bo nie ma żadnej czynności ni rozumienia, ani poznania, ani mądrości w Szeolu, do którego ty zdążasz.

5

Gdy leżysz w ciemności wystarczająco długo, zaczynasz godzić się ze swoją stratą, samotnością, bólem, żalem, a także tym, że się zmoczyłeś, i strachem wywołanym świadomością, że wkrótce zginiesz. Godzisz się z tym wszystkim i to jest trochę jak z bólem po kilku aspirynach – wiesz, że tam jest, po prostu już nie boli.

Najbardziej tęskniła za swoim domem. Nie była z tego dumna i z pewnością nie chciała wiedzieć, co to dokładnie oznacza, ale to właśnie było teraz dla niej najważniejsze. Ani przyjaciele, ani malowanie, ani nawet Rafael, kochanek, z którym co jakiś czas zrywała, by potem się zejść (przystojny stolarz z Big Sur, idealny przykład syndromu Piotrusia Pana) – liczył się tylko pięćdziesięciopięcioletni stary dom o drewnianej konstrukcji wzniesiony pod co najmniej dwa razy starszym, wiecznie zielonym dębem. W myślach odwiedzała każdy pokój po kolei, stawała niczym duch w każdych drzwiach, spoglądała z każdego okna o każdej porze roku. Trudno jej było wyobrazić sobie obcego człowieka mieszkającego w nim po jej śmierci. Powinnam była spisać testament – pomyślała. Zostawić dom jakiemuś przymierającemu głodem malarzowi.

Minęło kilka sekund, zanim jej oczy przyzwyczyły się do światła, które wreszcie zapalono. Pomieszczenie z pewnością było piwnicą. Wysoki, ubrany na czarno mężczyzna cicho szedł po cementowej podłodze. Dorie, wciąż leżąca na boku i związana, unikała patrzenia na jego twarz, zamiast tego wpatrywała się w jego stopy w czarnych kapciach. Gdy jej wzrok mimowolnie powędrował w górę, zorientowała się, że w jego wygiętej do tyłu sylwetce, swobodnym chodzie à la Clint Eastwood i sposobie, w jaki jego dłonie o długich palcach zwisały luźno po bokach, było coś niepokojąco znajomego.

Kim jesteś? – brzmiała ostatnia myśl Dorie, zanim widok maski z teatru kabuki na jego twarzy przeniósł ją do innego wymiaru, w którym nie było myśli, tylko niemy strach, wzbierający gdzieś od wewnątrz, w mrocznym obszarze pnia mózgowego, gdzie nadal rządził jaszczur, i do którego ludzki umysł nigdy nie odważył się wybrać.

Gdy wszystko zebrało się jednocześnie, występował wykazywany przez foba – skonfrontowanego z obiektem swego lęku – strach o niespotykanej jakości, o czystości i intensywności, której przeciętny człowiek nigdy nie mógłby osiągnąć. W takich chwilach emocjonalnej bliskości z ofiarą Simon czuł się tak, jak inni ludzie mogli się czuć podczas uprawiania miłości, nawet jeśli jego partnerem był mężczyzna; jeśli to była naga kobieta, jakakolwiek naga kobieta, jego zaangażowanie było tak ogromne, że prawie nie do zniesienia.

Jednak w przypadku Dorie związek był zarówno ulepszony, jak i wynaturzony przez niezwykłą obecność trzeciej strony – upiornej maski teatru kabuki. Założenie jej sprawiło, że w pewien sposób Simon wyszedł ze swojego ciała. Czuł, jakby patrzył na siebie oczami Dorie, jakby widział i słyszał siebie zbliżającego się do niej, szelest kapci po szorstkim cemencie, buczenie lamp UV nad głową i jej własny płytki oddech. Poczul szok, ujrawszy maskę. Gdy lęk ofiary osiągnął szczyt, gdy jej myśli zniknęły, wiedział i rozumiał.

Kiedy nastąpiło omdlenie wazowagalne i straciła przytomność, nawet się ucieszył ze względu na nią. Ucieszył się również ze względu na siebie, ponieważ połączenie było zbyt intensywne, żeby mogło trwać dłużej, i dopiero, gdy zostało przerwane, uświadomił sobie, że znajdował się w stanie ekstremalnego pobudzenia.

Kiedy tylko zdał sobie z tego sprawę, nastąpiło szczytowanie. Przedwczesny orgazm był jak zwykle niesatysfakcjonujący i rozczarowujący. Zawstydzający, mało znaczący spazm, kilka kropli i rumieniec wstydu zamiast wytrysku i krzyku spełnienia.

Wstyd Simona szybko przemienił się w złość. Dorie została otrzeźwiona serią policzków wymierzonych

otwartą dłonią. Wciąż była związana, więc jedyne, co mogła zrobić, to wtulić brodę w klatkę piersiową i przeczekać. Uderzenia nie były bardzo bolesne – w każdym razie nie bolały bardziej niż złamany nos, spętane kończyny i spieczona usta.

Poza tym pozwoliły jej odwrócić uwagę od maski – to było ważne. A później stał się delikatny. Poluzował sznury, przekręcił ją na plecy i związał nadgarstki z przodu. Uwolnił też jej nogi. Dopiero gdy poczuła między swoimi kolanami jego ręce zmuszające do rozwarcia ud, zrozumiała, że nie rozwiązał jej kostek w akcie łaski.

Jednak najwyraźniej porzucił myśl o molestowaniu seksualnym, poczuwszy zapach jej moczu.

– Chyba ktoś musi się wykapać – powiedział ze spokojem i jednocześnie stanowczo. Po raz pierwszy odezwał się w jej obecności.

Simon Childs – pomyślała. Nasz założyciel. Jasne, jasne: lis utworzył grupę wsparcia dla gęsi. Co czyni mnie najgłupszą gęsią ze wszystkich.

Mimo zamkniętych oczu poczuła, że odszedł. Po chwili usłyszała odgłos nalewanej wody. Nie łagodne pluśnięcie, lecz głośny i brutalny chlupot napełniania wielkiej, pustej, metalowej wanny wodą lejącą się z dużej wysokości. Znowu zachciało jej się siku, ale tym razem postanowiła się wstrzymać. Ponieważ знаła już nazwisko potwora, i co ważniejsze wiedziała, jaka twarz kryje się za maską, ponownie przełączyła się w tryb przetrwania: pamiętała sposoby na uniknięcie gwałtu, którymi dzieliły się z koleżankami. Zachowuj się jak wariatka. Śmieję się, nie płacz. Wyj, bełkocz. Jeśli możesz sikać, sikaj. Jeśli możesz zrobić kupę, wal prosto w gacie. A jeśli nie możesz zrobić ani jednego, ani drugiego, włóż palec do gardła i narzygaj na napastnika. Zrób wszystko, by zabić w nim pożądanie, zyskać na czasie, pozostać przy życiu. Tam, gdzie jest życie, jest nadzieja – przecież wszyscy to zawsze powtarzają, prawda?

Potem przypomniała sobie coś jeszcze, przypowieść, którą kiedyś opowiedział jej ojciec, gdy w ciągu całego roku nie sprzedała ani jednego obrazu i rozważała poddanie się i podjęcie pracy na etat. Opowieść o skazanym na śmierć, który obiecał królowi, że jeśli ten oszczędzi jego życie, to on w ciągu roku nauczy mówić ulubionego królewskiego konia. Przyjaciele twierdzili, że postradał zmysły, wyznaczając sobie niewykonalne zadanie. Ale on odpowiedział, że rok to długo. W ciągu roku może się wiele wydarzyć. Król może umrzeć. Koń może zdechnąć. A może – kto wie? – koń rzeczywiście nauczy się mówić.

Działy się już dziwniejsze rzeczy – pomyślała Dorie. Cuda się zdarzały. Po prostu trzeba zostać przy życiu dostatecznie długo, by być ich świadkiem.

6

Według Karmy Kagyu, jednej ze szkół buddyzmu tybetańskiego, reinkarnacja w osobie z zespołem Downa jest nagrodą w postaci krótkiego, spokojnego i względnie pozbawionego stresów życia otrzymaną za dobrą karmę zgromadzoną podczas chwalebnej poprzedniej inkarnacji. Osoby z zespołem Downa – przynajmniej te, którym zapewnia się właściwą opiekę – mają z reguły kochające, opiekuńcze i radosne usposobienie i w porównaniu do zdrowych ludzi spędzają mniej czasu na zamartwianiu się rzeczami, na które nie mają wpływu, a według Tybetańczyków był to świetny opis oświeconej osoby.

Patrząc pod tym kątem, Missy Childs, ochraniana, rozpieszczana i mająca prywatną opiekę, w poprzednim życiu musiała być świętą. Jednakże bycie świętą nie ułatwiało przetrwania na równinie Berkeley. Oświecona czy nie, jako upośledzona umysłowo biała kobieta Missy igrała ze śmiercią już od chwili, w której wyszła z domu Grani.

Chłopcy prawdopodobnie zauważyli ją, gdy wyłoniła się zza przecznic. Było ich trzech, stali przed monopolowym wystrojeni w letnie ubrania mające oddać cześć niedorzecznie ciepłej pogodzie: czapki daszkami do tyłu, zbyt duże czarne koszulki polo, krótkie spodnie bojówki z krokiem w kolanach, długie białe skarpetki, najki z czerwonymi paskami, czerwone bandany dyskretnie wetknięte w tylne kieszenie spodni. Jakikolwiek dodatkowy element stylu gangsta sprawiłby, że gliniarze z Berkeley zgarnęliby ich z ulicy pod zarzutem podejrzanego zachowania i nieczystych intencji.

Dwóch dwunastoletnich, młodocianych gangsterów było na wagarach; trzynastoletni został już wydalony ze szkoły. Byli znudzeni i spłukani, więc Missy, drepcząca ulicą swoim kaczym chodem, z różową plastikową torebką przewieszoną przez jedno ramię i klatką dla ptaków zwisającą z drugiego,

musiała wydać im się zesłana przez niebiosy. Jednocześnie, jakby na niezauważalny znak, trzech chłopcy zeskoczyli z niskiego murka przed monopolowym (którego wejście było nie tylko zakratowane, lecz także zabezpieczone parą betonowych słupów zapobiegających włamaniom) i ruszyli za Missy.

– Ej ty, jesteś upośledzona?

– Nie boję się was. – Była potwornie zmęczona, bolały ją stopy, jej koszulka była przepocona, a klatka ważyła chyba z tonę. Wiedziała już, że zabranie jej ze sobą było błędem. Z malutkich poidelek wylała się cała woda, a sama Tweety rozpaczliwie próbowała trzymać się swojego małego trapezu, który cały czas się bujał. Instynkt Missy podpowiadał, że trzeba iść dalej. – Idźcie sobie. Zostawcie mnie.

– Eee, eee, meee. – Najstarszy chłopak zaczął ją przedrzeźniać. – Dlaczego nosisz tu adidas? – Adidas nosili tylko członkowie gangu Crips i ich zwolennicy.

Manewr, gdy już nadszedł, został wykonany tak błyskawicznie, że dla obserwatora – na całe szczęście dla Missy ktoś obserwował całe to zajście – wyglądał jak na filmie przyrodniczym, w którym zgraja wilków odcina kulawe karibu od reszty stada. Kiedy mijali niezabudowaną działkę otoczoną ogrodzeniem z desek, jeden z chłopaków rzucił się do przodu, by stanąć przed Missy, zwalniając, by zagrozić jej drogę, podczas gdy drugi przybliżył się do niej z tyłu, a trzeci, idący po jej lewej, popchnął ją w prawo, tak że wpadła w dziurę w ogrodzeniu.

I zanim Missy w ogóle zdążyła krzyknąć, jeden chłopak już stał za nią, przyciskając oba jej nadgarstki do pleców jedną ręką i zatykając jej usta drugą, następny złapał jej torebkę, a trzeci zaczął kręcić klatką nad swoją głową, przygotowując się do ciśnięcia nią jak przy rzucie młotem podczas olimpiady.

Missy zapamięta wszystko z tej chwili: upał, odgłosy odległego ruchu ulicznego, chwasty, potłuczone szkło, spieczoną słońcem ziemię pustej działki, rozbujaną klatkę, wrony na drucie telefonicznym, wirujące błękitne niebo, pot lejący się po jej twarzy, napięte drobne ciało chłopca przyciskające się do niej od tyłu, słony smak jego małej dłoni zatykającej jej usta. Wszystko to zdawało się tak strasznie rzeczywiste i tak ważne, że prawie zapomniała się bać.

– Wynocha stąd, szczytle. – Odezwał się męski głos, dobiegający z drugiej strony płotu.

– O kurwą, to Obie – szepnął chłopak trzymający Missy.

Młokos, który zabrał torebkę, szybko schował ją za plecy, a ten, który kręcił klatką, zaczął biegać po terenie, próbując wytracić jej pęd. I wtedy największy i drugi pod względem urody czarny mężczyzna, jakiego Missy kiedykolwiek widziała, przecisnął się przez dziurę w płocie.

– Jerome, puść ją.

Miał na sobie czarny dres, jego siwe, kręcone włosy były przystrzyżone jak u Dennisa Richmonda, a skóra miała odcień ciemnej czekolady.

– Właśnie, puszczaj, smarkaczu – powiedziała, gdy dzieciak zabrał dłoń z jej ust. Wciąż jednak trzymał jej ręce na plecach.

– Nie, Obie, to nie tak, my...

– Puszczaj, gówniarzu.

Sposób, w jaki mężczyzna to powiedział – spokojnie, bez podnoszenia głosu – skojarzył się Missy z Simonem: im ciszej mówił, tym szybciej należało wykonać jego polecenie.

I faktycznie, chłopak ją puścił. Missy szarpnęła ze złością kołnierzyk koszulki, która była pognieciona i ponaciągana.

– Oddawaj.

Gdy sięgnęła po klatkę, chłopcy zaczęli się śmiać. Uciszył ich jednym gniewnym spojrzeniem.

– Słyszeliście, co pani powiedziała.

– Ja usłyszałem „jajaj” – odparł chłopak trzymający klatkę. – To właśnie słyszałem.

Chwilę później klatka z Tweety znalazła się na ziemi, a podeszwy najków chłopaka zadyndały kilkadziesiąt centymetrów nad chwastami, brudem i potłuczonym szkłem.

– Pomyśl, zanim otworzysz buźkę, gówniarzu. – Stary lew potrząsnął dzieciakiem, a potem ostrożnie go postawił.

– My tylko...

– Wiem, co wy tylko. Przynosicie wstyd gatunkowi ludzkiemu.

Podał klatkę Missy.

– Wszystko w porządku, słonko?

Oszołomiona nagłymi zwrotami akcji Missy z trudem pokiwała głową. Wcale nie czuła się dobrze. Nie mogła złapać oddechu, jej serce biło szybko, trzepotało jak serce Tweety.

– Dobrze, w takim razie możesz iść – powiedział mężczyzna. – Będę cię ubezpieczać.

Missy nie była pewna, dlaczego chciał ją ubezpieczać, ale nie traciła czasu na zadawanie pytań. Schyliła się, przeszła przez dziurę w płocie i zaczęła iść. Szła i szła, a gdy się zorientowała, że ci niegrzeczni chłopcy zabrali jej torebkę, w której miała nie tylko banknot dwudziestodolarowy i szczęśliwego centa z Cannery Row (podarowanego jej przez Dorie, tego z odcisniętą wydrą), lecz także kartę, którą miała komuś pokazać, gdyby kiedykolwiek się zgubiła. Kartę z jej adresem i numerem telefonu, ponieważ żadnego z nich nie potrafiła nauczyć się na pamięć. I nie wiedziała już, jak wrócić na pustą działkę.

Nie wiedziała też, jak wrócić do Grani. Nie miała pojęcia, jak długo chodziła z tą ciężką klatką, aż wreszcie znalazła się obok znajomo wyglądającego płotu porośniętego fioletoowymi wilcami. Dwie godziny, trzy? Nigdy nie umiała określać czasu, ale też nigdy tego nie potrzebowała. Zawsze był ktoś, kto mówił jej, kiedy nadszedł czas, żeby coś zrobić albo przestać to robić. Wiedziała tylko, że była zmęczona i poparzona słońcem. Do tego głodna oraz spragniona. Bolały ją stopy. Nie potrafiła jednak zmusić się do wejścia do tego domu i zostania sam na sam z Granią.

Doszła tylko do kuchni, pochyliła się nad zlewem, przekrzywiła głowę i zaczęła pić wodę prosto z kranu. Piła tak długo, aż poczuła, że zaraz pęknie jej brzuch. Kiedy zakręciła wodę, usłyszała – a przynajmniej tak jej się wydawało – bzyczenie much w sypialni i stwierdziła, że lepiej będzie wziąć Tweety, która od wydarzeń na pustej działce leżała nieruchomo na wyłożonym papierem dnie klatki, wyjść na zewnątrz i poczekać na Simona w ogrodzie. Zasnęła w cieniu płotu, pod słonecznikami, a gdy się obudziła, Simon klęczał nad nią, płacząc z radości.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – szepnęła przez popękane usta.

Teraz znowu była w domu, a przez wysokie okna salonu wlewało się złote światło słoneczne. Ze zmyślnego nowego szpitalnego łóżka widziała większą część Berkeley oraz ciemne, połyskujące wody zatoki. Miasto białych wież, migoczące w oddali, to San Francisco. Z tego miejsca wyglądało jak miasto zabawek, cały świat wyglądał, jakby był z zabawek.

Missy musiała zastanowić się, czy nowa pielęgniarka, która objęła dzienną zmianę, ma zostać, czy odejść. Była ładna i miała śmieszne imię – Missy się to podobało – ale skąpiła jedzenia. Gdy Missy chciała przekąskę po lunchu, siostra Apple odparła, że przecież posiłek już był. No nie!

Siostra Apple była wredna jeszcze pod innym względem. Chciała pozbyć się pustej klatki biednej Tweety – powiedziała, że jest pełna zarazków. Ze względu na swoje problemy z mową, Missy było trudno wyjaśnić, dlaczego chce, żeby klatka przez jakiś czas pozostała w pobliżu. Dla niej było to oczywiste. Wiedziała, że gdy coś umiera, trzeba zostawić sobie po tym taką pamiątkę, której można dotknąć i powąchać. W przeciwnym razie wspomnienie znika i się o tym zapomina. I nawet jeśli ma się zdjęcie, to pamięta się tylko to zdjęcie.

Tak było z mamą. Missy pozostała po niej tylko szczotka do włosów. Była wąska i misternie zdobiona, a między ząbkami miała kilka jedwabistych włosów. Kiedy Missy przytulała do niej policzki, to – nawet jeśli Simon mówił, że to niemożliwe, bo gdy matka odeszła, siostra była zbyt mała, by to pamiętać – przypominała sobie, że mamusia wyglądała jak Audrey Hepburn. Pachniała pudrem, jej włosy były miękkie, a dotyk tak delikatny, i że kiedy trzymała Missy w ramionach, dziewczynka czuła, jakby unosiła się na wodzie.

Po Tweety została Missy tylko klatka. Wprawdzie była pusta, co trochę zasmucało chorą kobietę, ale przypominała jej, jak żółta była Tweety i jak pięknie śpiewała. Czasami przekręcała główkę, jakby pytała, czy Missy wciąż ją kocha. I dlatego gdy pielęgniarka Apple próbowała zabrać klatkę, Missy musiała odgrywać królową tak długo, aż pielęgniarka zaproponowała kompromis: klatka mogła zostać przy łóżku po uprzednim porządnym jej wyszorowaniu.

Kilka minut po tym, jak siostra Apple zabrała klatkę do łazienki na dole, ktoś zadzwonił do drzwi. Missy wiedziała, że nie powinna wstawać z łóżka, ale nieczęsto dane jej było otwierać komuś drzwi, więc nie miała zamiaru przepuścić takiej okazji. Założyła różowy, puszysty szlafrok. Gdy podreptała boso do przedpokoju, dzwonek rozległ się ponownie.

– Chwileczkę – krzyknęła, majstrując przy zamku. – Jedną chwileczkę.

Po ostatnim badaniu lekarz zasugerował Penderowi palenie papierosów.

– Niby dlaczego miałabym zacząć palić? – spytał Pender.

– Jesteś nadmiernie otyłym, pięćdziesięcioletnim nadciśnieniowcem z problemem alkoholowym – odparł lekarz. – Po prostu pomyślałem, że chciałbyś osiągnąć perfekcję.

Pewnego ciepłego, jesiennego dnia sześć tygodni później, idąc z trudem pod górę asfaltową drogą, Pender miał okazję do przypomnienia sobie tych słów. Gdy dotarł na miejsce, jego żółta koszulka polo marki Ban Lon kleiła się do niego jak mokra druga skóra, czuł, jak wali mu serce, a gdyby z krzaków rosnących wzdłuż drogi wyłonił się nagle jakiś dzin i zaproponował mu spełnienie trzech życzeń, pierwszym z nich na pewno byłaby maska tlenowa.

Nie żeby żałował decyzji o porzuceniu Sida na lotnisku, ale teraz wydawało mu się, że podjął ją pod wpływem impulsu. Przyczyną był telefon od Lindy Abruzzi. Pender wiedział, że bez dostępu do Stowarzyszenia OSZF dochodzenie cofnęło się do punktu wyjścia. Miał dla Lindy kilka sugestii. Na pewno trzeba było sprawdzić hotel, w którym odbywał się zjazd. Nawet jeśli nie mieli wyszczególnionej listy uczestników, to przynajmniej listę gości hotelowych spędzających tam weekend. A ponieważ adres Phobia.com był na razie wolny, może mogłaby poprosić Thoma o umieszczenie na nim jakiegoś wyskakującego okienka, które ostrzegałoby wszystkich odwiedzających i przekierowywało ich na stronę FBI. Sama Linda miała popracować nad wydziałami policji w Las Vegas, Fresno i Chicago i w świetle ostatnich wydarzeń namówić je do ponownego otwarcia dochodzeń.

Ale to było wszystko, co Pender mógł wymyślić. Nic przełomowego, nic, na co ona sama by nie wpadła. Nie, na tę chwilę. Jeśli miał nastąpić jakiś przełom, to tylko dzięki starej, dobrej, policyjnej robocie. Biuro wysłało już do domu Dorie Zespół do spraw Zbierania Dowodów z dobrym kryminalistą. Siedząc z Sidem w barze i czekając, aż wezwą ich do samolotu, Pender zastanawiał się, co, o ile w ogóle cokolwiek, mógłby dodać od siebie.

Przez długi czas nie mógł znaleźć odpowiedzi. Przesłuchał Dorie Bell. Miał nazwisko przynajmniej jednego żyjącego uczestnika zjazdu OSZF. I, według Dorie, ten sam uczestnik, mieszkający w Berkeley, wspierał finansowo organizację spotkania – w takim razie musiał wiedzieć o Stowarzyszeniu więcej niż ona.

Oczywiście o ile nie było ono tylko internetową atrapą, czymś, co morderca wykorzystał do zapewnienia sobie całej masy ofiar. Co, jak uświadomił sobie Pender, czyniło z osoby finansującej kompletnego debila, współwinnego lub mordercę we własnej osobie. A to z kolei oznaczało, że nadszedł najwyższy czas, by ktoś przesłuchał pana Simona Childsa z Berkeley. Ktoś dostatecznie ostrożny, by nie ostrzec pana Childsa o wizycie, i ktoś dostatecznie doświadczony, by dowiedzieć się, co pan Childs wie, jednocześnie nie zdradzając, że jest podejrzanym.

Do tego zadania Pender wyznaczył oczywiście siebie, innych kandydatów nie było.

Adres znalazł w książce telefonicznej: 2500 Grizzly Rock Road, Berkeley. Dom był zbudowany z naturalnego kamienia i ciemnych belek. Drzwi wejściowe, wykonane z surowego dębu, otworzyła niska, gruba, łysiejąca kobieta w różowej jednoczęściowej piżamie i różowym szlafroku. Jej twarz była w plamach: biała skóra wokół oczu, ceglastoczerwone, spalone słońcem miejsca na policzkach i czole posmarowane maścią. Była zasapana niemal tak samo jak Pender.

– Hej. – Głęboki, niemodulowany głos.

Zespół Downa. To musiała być ta siostra, o której wspominała Dorie. Starsza, niż sobie wyobrażał – ale w dzisiejszych czasach ludzie z mongolizmem żyją dużo dłużej.

– Cześć. Czy Simon jest w domu?

I chociaż nie zrozumiał wszystkiego, to dzięki temu, że spędził trochę czasu z synem swej siostry Idy, Stanem, który również dożył średniego wieku, ale zmarł kilka lat wcześniej, Pender pojął dostatecznie dużo, a gdy wskazała w dół, zrozumiał wszystko.

– Simon jest w piwnicy?

Entuzjastyczne kiwnięcie i zachwycony uśmiech. Najwyraźniej ucieszyła się, że ktoś ją zrozumiał.

– Możesz go do mnie przyprowadzić?

– O, nieeee. – Kiwnięcie zamieniło się w kręcenie głową.

Jej uśmiech stał się teraz bardziej ostrożny i nie rozświetlał już jej oczu. Natychmiast zaintrygowało to Pendera, który czytał znaki niewerbalne z taką wprawą, z jaką wielbiciele poezji czytają wiersze. Coś sprawiało, że kobieta poczuła się niekomfortowo. Piwnica? Przeszkodzenie Simonowi? Przeszkodzenie

Simonowi w piwnicy? Cokolwiek to było, uruchomiło jego policyjny radar.

– Dlaczego nie?

Po spędzeniu całego dorosłego życia w wymiarze sprawiedliwości, Pender nauczył się ufać swojemu radarowi, chociaż nie był pewien, czy pojawiał się on u starych agentów FBI, czy też po prostu bez niego nie można było dożyć sędziwego wieku.

– Staszek – rzekła kobieta.

– Na dole jest ktoś o imieniu Staszek?

Spuściła ramiona. Nierozumiana przez całe życie. Pender komicznym gestem klepnął się w czoło.

– Ale ze mnie bałwan. Dasz mi jeszcze jedną szansę i powtórzysz?

– Staszek, Staszek. – Objęła się ramionami i udawała, że się trzęsie.

– Strasznie, na dole jest strasznie.

– Taaa.

– Wiem, o co ci chodzi, piwnice mogą być przerażające. Jeśli chcesz, zejdę tam razem z tobą.

Tym razem drzenie było nieudawane.

– A może zejdę sam? Ty nawet nie będziesz musiała tam iść.

Powiedziała coś, czego nie zrozumiał – „wezmę go”, „walnę to” – odwróciła się, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Pender zastanawiał się przez dobre dwie, dwie i pół sekundy (ponieważ była upośledzona i nie mogła wyrazić na to świadomej zgody, jego wejście do domu byłoby nie w porządku, nawet gdyby go zaprosiła, czego przecież nie zrobiła), a potem poszedł za nią.

8

Ciepła woda, żadnego bólu. Truskawkowy płyn do kąpieli – ulubiony Missy, jak przypomniała sobie Dorie. Odchyliła się do tyłu i ściągnęła ramiona, by dopasować się do obłego kształtu wanny.

– Lepiej? – spytał Simon, teraz już bez maski. Siedział obok na odwróconej skrzynce. Podciągnął kolana i oparł brodę na dłoni jak Myśliciel Rodina.

– Dużo lepiej.

Naprawdę tak uważała. To był prawdziwy raj w porównaniu z ostatnimi trzydziestoma sześcioma godzinami – czy ile czasu już minęło – nawet mimo świadomości niechybnej śmierci. Simon podał jej przeciwbólowy Percodan i, co równie ważne, szklankę wody do popicia. Chociaż po tym, jak pomógł jej wejść do wanny, natychmiast związał jej kostki, to rozwiązał ręce, żeby mogła się umyć. Dobrze było mieć wolne ręce, już prawie zapomniawszy, jak to jest. Zażycie Percodanu było rodzajem kompromisu – co prawda uśmierzał ból, lecz jednocześnie odbierał wolę walki – ale o tym nie wiedziała.

Natomiast Simon, który przez swoją opieszałość znalazł się w martwym punkcie, błyskawicznie dopasowywał się do każdego wahania jej nastroju. Wiedział, że nie zostało im wiele czasu, ale miał nadzieję wykorzystać go najlepiej, jak się da. Jednak najpierw musiał sprawić, by się odprężyła i przestała czuwać, co, biorąc pod uwagę okoliczności, wcale nie było proste.

– Na pewno nie jesteś głodna?

– Byłam kilka godzin temu. Teraz bym chyba nic nie przełknęła.

– Jakby co, daj mi znać.

– Jasne.

Zapanowała grobowa cisza, przerywana jedynie pluskiem wody obijającej się głucho o ściany wanny, gdy Dorie zmieniała pozycję, i świstem powietrza na końcu każdego wydechu spowodowanym złamaniem nosa. Milczenie robiło się coraz bardziej kłopotliwe. Simon raz jeszcze spróbował zagaic rozmowę.

– Lubię, jak masz tak upięte włosy. – Ponieważ nie miała żadnego grzebienia ani szpilki do włosów, związała swój brązowy warkocz w koka.

Zamknęła oczy. Środek przeciwbólowy dał jej nowy rodzaj odwagi – odwagę do nieprzejmowania się.

Spróbował ponownie:

– Co sądzisz o tej sprawie z pluskwą milenijną?

– Nie obchodzi mnie to, i tak tego nie dożyję, prawda?

– To zależy – odrzekł.

Przez wszystkie te lata nauczył się, że zostawienie ofiarom odrobiny nadziei miało ogromne znaczenie. Bez nadziei nie było strachu. Widział jednak, że mu nie uwierzyła. Nawet nie zadała pytania, które automatycznie się nasuwało: zależy od czego? Zamiast tego odwróciła głowę, wzięła gąbkę i wycisnęła ją sobie nad głowę. Zamknęła oczy na dostatecznie długi czas, by zdążyć założyć maskę teatru kabuki, którą cały czas trzymał na kolanach poza zasięgiem wzroku Dorie. Musiała mieć wrażenie, że maska zjawiała się znikąd. Znowu poczuł szok, który przeskoczył między nimi jak prąd elektryczny. Potem jej powieki zamrugały, oczy się wywróciły, a głowa opadła na klatkę piersiową.

Teraz – pomyślał. Zrób to, nie bądź zachłanny. Wystarczyło tylko położyć rękę na jej głowie, wepchnąć ją pod wodę i trochę przytrzymać. Może nawet by się nie ocknęła – tym lepiej dla niej. Ale gdyby jednak się ocknęła i trochę powalczyła – tym lepiej dla niego.

9

„Wezwę go” – chce go wezwać.

Pender początkowo nie załapał o co chodzi, dopóki siostra Childsa nie wcisnęła guzika na pagerze, który miała przypięty do poręczy szpitalnego łóżka stojącego przy strzelistych arkadowych oknach w dalekim końcu salonu o wysokim suficie z belkowaniem.

Wzięła urządzenie w jedną dłoń, wskazała na nie drugą, wydeła usta i smutno pokręciła głową. Miało to oznaczać: „no weź, przecież wiadomo”, jeśli Pender potrafił w ogóle zrozumieć taki wyraz twarzy.

– To twoje łóżko? – spytał.

Pokiwała głową.

– Jesteś chora?

Popukała się w klatkę piersiową.

– Serducho.

Tak jak siostrzeniec Stan.

– Więc chyba powinnaś leżeć w łóżku?

Figlarny uśmieszek.

– Powinnaś.

– No to jazda z powrotem.

Pomógł jej wejść do łóżka, przykrył ją kołdrą aż po klatkę piersiową i właśnie układał przykrycie w rogach łóżka, gdy uświadomił sobie, że nie są już sami. Odwrócił się powoli i ujrzał szczupłego, ubranego na czarno mężczyznę, stojącego niedbale w przejściu obok masywnego kamiennego kominka, z rękami skrzyżowanymi na piersi i ciężarem ciała przeniesionym na jedną nogę. Jedna stopa w kapciu była postawiona nonszalancko przed drugą, jakby był modelem i prezentował ciuchy w jakimś czasopiśmie.

Pender od razu zarejestrował szczegóły: biały mężczyzna, pięćdziesiąt kilka lat, około metr osiemdziesiąt wzrostu, waga ponad siedemdziesiąt kilogramów. Dołeczek w brodzie, przycięte siwe wąsy, zaspany wyraz oczu, siwe włosy, wydatny wdowi szpic. Czarne kapcie, czarne luźne spodnie z plisą, podwinięte mankiety luźnej czarnej koszuli.

– Pan Childs?

Ledwo zauważalne skinięcie.

– Agent specjalny Pender, Federalne Biuro Śledcze.

– Miło mi – odrzekł Childs. Przeszedł przez pokój, wyciągnął dłoń. Biorąc pod uwagę jego ospałość, uścisk był zaskakująco mocny. Miał wilgotną dłoń, jakby niedokładnie ją wytarł. – Widzę, że poznał pan Missy.

– Obawiam się, że przeze mnie wyszła z łóżka.

– To nie pańska wina, cały czas ktoś powinien przy niej być.

Zwrócił się do Missy z pytaniem o pielęgniarkę. Odpowiedź była niezrozumiała, przynajmniej dla Pendera.

– Panie Childs, czy możemy porozmawiać na osobności?

– Oczywiście, proszę za mną. Missy, żadnego wychodzenia z łóżka. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, krzyknij, będziemy w kuchni.

– Elegancko – odparła Missy.

Pager włączył się akurat, gdy Simon pochylał się nad wanną. Drugiego pagera, należącego do Missy, dał pielęgniarkę z zastrzeżeniem, żeby wzywała go jedynie w awaryjnej sytuacji, więc gdy urządzenie zaczęło brzęczeć, pośpieszył na górę, spodziewając się, że siostra Apple właśnie robi Missy resuscytację albo już przykrywa ją prześcieradłem: to była pierwsza, niedopuszczalna myśl, jaka przyszła mu do głowy.

Gdy zamiast tego na górze zastał Pendera gawędzącego z Missy i rozpoznał w nim mężczyznę, który niedawno rozmawiał z Dorie nad kuchennym stołem, a potem dowiedział się, że facet jest agentem FBI, zalała go fala sprzecznych emocji. Ulga, że z siostrą wszystko w porządku, potem panika, a następnie wściekłość, która nieuchronnie następowała po panice. Umiał jednak nad nią zapanować, i gdy Pender się odwrócił, Simon zdołał opanować swoje emocje na tyle, by na jego twarzy pojawiła się mina pod tytułem „chciałbym podziękować Akademii”. Teraz to Pender był nieprzygotowany. Odwrócony do niego plecami.

Gdybym tylko miał jakąś broń – pomyślał Simon. Wszystkie noże znajdowały się w wysokiej, Missy-odpornej szafce w najodleglejszym kącie pomieszczenia. Dużo bliżej znajdowały się jednak trzy żeliwne patelnie Grani Wilson, zawieszane na hakach nad kuchennym blatem. Tata Niedźwiedź, Mama Niedźwiedź i Małe Niedźwiedziątko, jak nazywał je mały Simon. Tata Niedźwiedź mógłby być zbyt ciężki, żeby wziąć zamach, Niedźwiedziątko zbyt lekkie, żeby wyrzucić krzywdę, natomiast Mama Niedźwiedź będzie idealna.

Jakimś cudem Simon dokładnie wiedział, jakie to będzie uczucie: cios zostanie zamortyzowany przez cienką wełnę beretu Pendera, a fala po uderzeniu powędruje przez całą rękę Simona aż do jego ramienia.

Najpierw jednak musiał wy badać, co Pender już wiedział. Z pewnością niewiele, inaczej nie przychodziłby tutaj sam. Czy starczy mu czasu na wdrożenie planu B, czyli zgarnięcie Missy i awaryjnej torby, wyjazd na południe od granicy do bezpiecznego mieszkania doktora Andrew Keene'a w Puerto Vallarta? Simon musiał się tego dowiedzieć. Mama Niedźwiedź trochę poczeka.

Zadał więc pytanie lekko zmieszanego, przeciętnego obywatela współpracującego z glinami, które jego zdaniem pasowało idealnie do tej sytuacji:

- A więc w czym mogę panu pomóc, agencie Pender?
- Zna pan Dorie Bell?
- Tak, to moja przyjaciółka.
- Gdzie się państwo poznali?

Rozmowa z podejrzanym wygląda inaczej niż ze świadkiem, zawsze zadaje się pytania, na które odpowiedź jest już znana, dając tym samym szansę na szybkie wykrycie kłamstwa i oszczędzenie czasu wszystkim zainteresowanym.

- Spotkaliśmy się na zjeździe OSZF w Las Vegas.
- Kiedy ostatnio był pan w Carmel?
- Pojechaliśmy tam z Missy pod koniec czerwca. To był wspaniały czas. Odwiedziliśmy Akwarium i...

Ohio – pomyślał Pender. Z początku jego odpowiedzi były jednoznaczne, ale teraz chce chyba skierować rozmowę na inne tory.

- Przepraszam, panie Childs. Czyli mówi pan, że to wtedy był pan w Carmel po raz ostatni? W czerwcu?
- Grzecznie, ale z wystarczającym powątpiewaniem, żeby podpuścić Childsa. Jeśli ma coś na sumieniu, zacznie teraz robić uniki.

Przypuszczenia oczywiście się potwierdziły.

- Czy twierdzi pan, że było inaczej?
- Skąd mam to wiedzieć?
- Agencji Pender, o co chodzi?

Uniki? To już była pierdolona capoeira!

- Panie Childs, mamy powody przypuszczać, że panna Bell została porwana.

Childs płynnie pociągnął ten wątek:

- Nie! O mój Boże, biedna Dorie. Czego chcą?
- Kto?
- Porywacze. Jeśli pieniędzy, to ja mogę...
- Nie chodzi o pieniądze, panie Childs. Kiedy ostatni raz rozmawiał pan z panną Bell?

Simon dojrzał swą szansę i wykorzystał ją.

– Wczoraj rano. Planowała wypad do Los Angeles z jakimś nowo poznanym facetem.

W tej chwili Pendera naszło przeczucie, którego kazał zawsze słuchać Lindzie. Gdyby miał przy sobie swojego SIG-Sauera, mógłby go teraz wyciągnąć, trzymać Childsa na muszce aż do przybycia oddziału taktycznego, a potem, żeby uzasadnić swoje przyjście tutaj i późniejsze przeszukanie, stwierdzić, że Childs go zaatakował.

Oczywiście Pender wiedział, że istniała także możliwość. On i jego przeczucie byli jednak głównie warci. Dorie albo zmieniła zdanie, albo to on źle zrozumiał jej słowa o siedzeniu w domu przez cały czwartek, a dreszcz, jaki poczuł, to tylko pot wysychający na koszulce. Bóg raczy wiedzieć, ile razy wcześniej się mylił. Jednak w tej chwili na pewno nie miał zamiaru rezygnować, niezależnie od tego, czy miał rację, czy też nie. Nie mógł zostawić Childsowi dostatecznie dużo czasu na zabicie Dorie – o ile w ogóle jeszcze żyła – co oznaczało, że musiał jeszcze trochę się z nim pomocować.

– Naprawdę? Mówi pan Los Angeles... – Chciał sięgnąć po swój wierny notes, ale przypomniał sobie, że przestał go ze sobą nosić. – A ten mężczyzna, którego poznała, czy przypadkiem podała jego imię?

– Obawiam się, że nie – odparł Childs, przesuając się w lewo.

Penderowi zdawało się, że mężczyzna próbował go obejść. Tak jak pięściarz, który chce uniknąć zepchnięcia do narożnika, Pender przesunął się w swoją lewą stronę.

– Czy mówiła coś na jego temat?

– Słucham?

To zły znak. Skoro Childs nie zwracał już uwagi na pytania, to prawdopodobnie szykował się do wykonania ruchu.

– Nieważne.

Od niechcenia zaczęli krążyć w kółko. Jeszcze jeden szybki krok i Childs nie stał już między Penderem a drzwiami. Niezależnie od tego, co planuje, nie będzie chciał zrobić tego przy Missy – pomyślał Pender, po czym nagle się odwrócił i zaczął iść w kierunku korytarza prowadzącego do salonu.

Childs dogonił go i złapał za łokieć. Jest silniejszy, niż mogłoby się wydawać – zauważył Pender. Szedł dalej, obojętnie holując Childsa za sobą. Przypominał wielkiego psa ciągnącego na smyczy swego pana. Gdy tylko weszli do salonu, w drugim końcu pokoju stanęła pielęgniarka w średnim wieku, ubrana w kardigan narzucony na fartuch, trzymając w górze pustą klatkę niczym latarnię.

10

Nie da się zaprzeczyć, że bywały chwile, gdy się poddawała. Udając omdlenie za drugim razem, Dorie zrobiła to nie po to, by uspić czujność Simona, lecz własną.

Zamknij oczy, odpuść. To i tak nie jest rzeczywistość, śniłaś o tym tysiące razy. Może niedokładnie o tym, nie o metalowej wannie w piwnicy, o twarzy w masce pochylającej się nad tobą, zaskakująco delikatnej dłoni przyłożonej do twojego czoła i spychającej cię w dół, pod ciepłą wodę o zapachu truskawek, ale wiedziałaś, że to będzie coś w tym rodzaju.

Po prostu odpuść. Albo się obudzisz, albo nie. Jeśli nie, może ujrzysz światło na końcu tunelu. Dorie z łatwością uwierzyła w światło, tylko nie była pewna, co nastąpi później. Nieważne, co to jest, prędzej czy później wszyscy się tego dowiemy.

Tylko odpuść.

Żadnego światła, żadnego tunelu. Żadnej dłoni na twarzy, żadnej majaczącej maski. Tylko błyskawicznie wychładzająca się woda i wrażenie, że znowu została sama w ciemności. To tyle, jeśli chodzi o poddawanie się i odpuszczanie.

Jednak tym razem ciemność była inna. Dorie znała już jej kształt, wymiary, wiedziała, gdzie znajdował się włącznik światła i gdzie były schody. I miała wolne ręce – z niewyjaśnionych przyczyn ich nie związała. Czy to pułapka? Był tylko jeden sposób, by się dowiedzieć. Dorie wsparła się na krawędzi wanny i podciągnęła się do pozycji siedzącej, przez chwilę siedziała, drżąca, skulona, czekająca na...

Na co? Na Simona, który wróci i ją wykończy? Szybko przechyliła się do przodu, odwiązała z kostek nylonowy sznur, spróbowała wstać i upadła do tyłu z pluskiem. Podczas drugiej próby podciągnęła się do kucnięcia i wyszła z wanny w przysiadzie, mocno trzymając się oburącz krawędzi wanny.

Nawet gdy udało jej się złapać równowagę – puszczenie brzegu wanny wymagało nie lada wysiłku –

miała wrażenie, że wpada w głęboką przestrzeń. Poczowała wodę w uszach, przechyliła głowę na bok i zaczęła podskakiwać z nogi na nogę z rękami skrzyżowanymi na klatce piersiowej, by zminimalizować odgłosy uderzenia. Gdy wytrząsnęła wodę z uszu, uznała, że ogłuchła. Simon mógł siedzieć obok niej w ciemności przez cały ten czas i pogwizdywać, a ona nie miałaby o tym pojęcia.

Zadrzała i zmusiła się do zrobienia pierwszego kroku w ciemność.

Missy krzyknęła. Pender odwrócił się, wyrzucił w powietrze prawą rękę i zamortyzował uderzenie. Pierdolona żeliwna patelnia trafiła go w tylną część przedramienia, tuż poniżej łokcia. Pielęgniarka upuściła klatkę. Rozległ się głośny brzęk. Pender znalazł się na podłodze. Ból był oszałamiający, cały pokój zdawał się płonąć z bólu. Przez płomienie patrzył, jak Childs idzie przez salon w kierunku kominka i chwyta mosiężny pogrzebacz.

Dużo lepiej – pomyślał Simon, przecinając powietrze pogrzebaczem, jakby to był rapier, i wracając do Pendera. Mama Niedźwiedź była zbyt ciężka, zbyt powolna, zbyt nieporęczna.

– Simonie, nie. – Missy podreptała w jego kierunku, jej kapcie klapały, a ręce trzepotały po bokach, jakby próbowały poderwać się do lotu. – Simonie, przestań.

– Missy, nie wtrącaj się. – Machnął pogrzebaczem w jej kierunku.

Wzdrygnęła się, ale szła dalej.

– Jest miły, nie rób mu krzywdy.

Rzuciła się na brata, objęła go swymi krótkimi rękami i trzymała mocno, podczas gdy Pender powoli stawał na nogi – jego lewa ręka zwisała bezwładnie – i szykował się na atak.

Simon brutalnie odepchnął Missy na bok i zaczął wymachiwać pogrzebaczem na oślep, widząc zbliżającego się Pendera. Agent, swego czasu całkiem niezły gracz drużyny koszykarskiej Fioletowe Tygrysy z Cortland High, uchylił się przed niezdarnym machnięciem i uderzył lewym ramieniem w środek ciała Simona, głową do góry, tyłkiem do dołu i na mocnych nogach, tak jak czterdzieści lat wcześniej uczył go trener.

Pogrzebacz poszybował w powietrze, mężczyźni upadli razem na ziemię. Pender wylądował na złamanej ręce. Z bólu natychmiast zrobiło mu się ciemno – a raczej biało – przed oczami. Gdy odzyskał świadomość, Missy leżała na nim z rozpostartymi ramionami, ochraniając go swym ciałem. Childs stał nad nimi, dziko wymachując pogrzebaczem i wrzeszcząc na siostrę, żeby się odsunęła.

Dorie wyciągnęła ręce jak lunatyczka i powoli szła przez ciemność. Gdy dotknęła ściany, skręciła w lewo i szła wzdłuż muru tak długo, aż dotarła do słupka poręczy schodów. Po chwili znalazła włącznik. Przed włączeniem światła zamknęła oczy, żeby się nie oślepić. Gdy je otworzyła, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był noktowizor Simona, wiszący na gwoździu zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy.

Przyszło jej do głowy, że przy włączonym świetle Simon mógł mieć przewagę, a w ciemności władzę miał ten, kto miał gogle. Ostrożnie założyła je więc na głowę, uważając na nos, dopasowała mocowanie i włączyła urządzenie. Wszystko załało się ohydną, jasną, neonową zielenią. Szybko wyłączyła światło w piwnicy. Kolor wyblakł, ale Dorie, zajmująca się malowaniem pejzaży, miłośniczka naturalnego światła nadal uważała, że sztuczny, monochromatyczny świat widziany zza gogli był bardzo niepokojący i budzący obrzydzenie.

Mimo wszystko ich nie zdjęła. Teraz ciemność była jej sprzymierzeńcem. Aby podtrzymać ten sojusz, podniosła gogle, włączyła światło i wykręciła każdą żarówkę, jaką znalazła, aż w pomieszczeniu znowu zrobiło się ciemno. Potem ponownie założyła noktowizor i zaczęła badać teren w poszukiwaniu dwóch rzeczy. Pierwszą było wyjście inne niż drzwi u szczytu schodów, którymi wyszedł Simon Childs. Drugą była jakakolwiek broń na wypadek, gdyby nie udało się znaleźć pierwszej rzeczy.

11

– ...2500 Grizzly Rock Road. I karetka. Jak najszybciej.

Głos siostry Apple, rozcinający płonąca w nim czystym ogniem wściekłość, pozwolił Simonowi odzyskać jasność umysłu. Stał nad Missy i Penderem z uniesionym pogrzebaczem. Nie chciał myśleć o tym, jak bliski był rozwalenia tłustej, głupiej głowy swej siostry. Dzięki Bogu nie zrobił tego, ale teraz nie miał też czasu, by zająć się Penderem. Telefonu pod dziewięćset jedenaście nie można było odwołać. Pięć minut.

W jego głowie zaczęły pojawiać się dzikie, nieprawdopodobne plany: zabić ich wszystkich, zasztyletować. Cztery i pół minuty. Łap Missy i uciekaj. Ale Missy wciąż wisiała na Penderze w morderczym uchwycie. Cztery minuty. Po prostu łap Missy, torbę i uciekaj. A może tylko torbę. Uciekać jest niegrzecznie, ale pożytecznie...

Zielony, noktowizorowy świat przypominał trochę ten podwodny. Miała wrażenie, że bada jaskinię, że jest w samym środku którejś z tych scen w horrorze, widzianych okiem kamery. Nie było tam nic z jasnego, kolorowego, bezpiecznego i słonecznego życia, które Dorie zbudowała sobie w ciągu tych wszystkich lat, żeby trzymać maski z dala od siebie.

Sama piwnica, pomijając duże pomieszczenie z materacem i wanną, składała się z różnych sal, do których wchodziło się przez sklepione przejścia o grubych ścianach. Przypominało to Dorie coś z Poego – może Beczkę Amontillado – ale teraz była tak daleka od poddania się wymyślonym strachom, że nawet się nie wzdrygnęła, znalazłszy u podnóża schodów tekturowe pudło z ukrytymi przez Simona maskami.

Na wierzchu leżała maska, której białe gniewne spojrzenie i czerwone zmarszczone brwi były jeszcze bardziej upiorne w odcieniach zieleni. Dorie sięgnęła do pudełka, ze zdziwieniem wyjęła maskę i przytrzymała ją tak jak Hamlet czaszkę Yoricka. Czy to możliwe, że to tylko farba, gips i zwisająca z tyłu gumka? Już samo trzymanie maski w dłoniach było dostatecznie dziwne, ale nieznaczne uklucie żalu, gdy odkładała ją z powrotem do pudełka, było jeszcze dziwniejsze. Fobia była najważniejszą częścią tożsamości kobiety, sensem samym w sobie przez tak długi czas, że teraz, niczym dopiero co oswobodzona niewolnica, Dorie zaczęła się zastanawiać, jak będzie wyglądać jej życie bez tych łańcuchów.

Jeśli się nie pośpieszysz, to prawdopodobnie będzie krótkie – upomniała się w myślach, kopnęła pudło pod schody i odwróciła się w drugą stronę.

Ponieważ Missy na nim leżała – nie miał wątpliwości, że tym sposobem uratowała mu życie – Pender nie widział, gdzie uciekł Childs. Na tę chwilę wystarczyło, że go nie było – ale wtedy przypomniał sobie, że Dorie wciąż mogła żyć, wciąż mogła być gdzieś w domu.

– Już dobrze, kochanie, możesz już zejść – szepnął nagłaco. Szepnął, ponieważ jakieś dziewięćdziesiąt do stu dziesięciu kilogramów pozbawiało go oddechu. Leżała na nim całym ciężarem. Gdy zaczął się oswobadzać jedną ręką, ujrzał pielęgniarkę, stojącą z otwartymi ustami, nadal ze słuchawką w dłoni. – Przydałaby mi się pomoc – wysapał.

Była przerażona i bardzo niezdecydowana. Nie mógł jej za to winić, w jej oczach był oszalałym intruzem, przed którym jej pracodawca próbował obronić się żeliwną patelnią.

– FBI! – krzyknął.

Była albo nieprzekonana, albo zesztyniała z przerażenia.

– Proszę, wydaje mi się, że przestała oddychać.

To ją otrzeźwiło. Rzuciła słuchawkę i podbiegła do Pendera, by pomóc mu zepchnąć Missy. Chwiejąc się i kołysząc złamaną ręką, stanął na nogach. Nie było czasu na delikatność. Pozwolił, by ręką cały czas się bujała – kurwa, jaki ból – wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni i otworzył go, by pokazać odznakę.

– Pender, FBI. Simon Childs to seryjny zabójca. W domu może przebywać wciąż żywa ofiara. Gdy przyjedzie policja, proszę im powiedzieć, że za nim pobiegłem.

Siostra Apple właśnie pochylała się nad Missy i przygotowywała się do resuscytacji. Niecierpliwie machnęła za nim ręką, prawie go nie słuchając. I wtedy to do niej dotarło: seryjny morderca, pobiegnę za nim.

– Nie, proszę...

Za późno – już go nie było.

– Nigdy więcej prywatnych fuch – wymamrotała, zwracając się w kierunku pacjentki. Pender z FBI właśnie spieprzył, zostawiając ją sam na sam z seryjnym mordercą walącym ludzi patelniami. – Tym razem mówię serio.

Nadzieja Dorie umarła razem z baterią zasilającą noktowizor, razem z nadzieją odeszła odwaga, a razem z odwagą opuściły kobietę resztki sił. Mokra, naga, całkiem zdezorientowana, odrzuciła gogle na bok i opadła na pośladki, trzęsąc się w równym stopniu z zimna, co z rozpacz.

Prędzej czy później Simon wróci i zacznie jej szukać. Szybko zorientuje się, że wykręciła żarówkę,

a reszta będzie już tylko kwestią czasu. Pamiętała, jaki spokój czuła w ciepłej wodzie, z jaką łatwością przyszedłoby jej utopienie się. Teraz wszechświat stał się tak potworny, że nie wierzyła już w światełko na końcu tunelu ani w żadne inne światło. W części jej duszy obudziły się pierwotne instynkty – zapragnęła wycić i wyrwać włosy z głowy – ale była zbyt zmęczona i zdruzgotana nawet na rozpaczanie w ciszy.

Nieważne – pomyślała, opierając nagie plecy o zimną betonową ścianę. Niech to już nadejdzie. Jednak gdy usłyszała kroki na drewnianych schodach, opuściły ją nawet te słabe resztki oporu. Zakryła uszy dłońmi, żeby nie słyszeć tego dźwięku, i zamknęła oczy w ochronie przed nagłym światłem latarki świecącym na nią z góry.

I właśnie w takiej pozycji Pender ją zastał: kucającą pod ścianą z dłońmi mocno przyciśniętymi do uszu w najodleglejszym kącie pomieszczenia, które kiedyś było piwniczką winną dziadka Childsa.

– Dorie – powiedział łagodnie, a potem już głośniejszym głosem: – Dorie, to ja, Ed Pender.

Gdy nie odpowiadała, usiadł obok niej i czekał. Po około trzydziestu sekundach otworzyła oczy.

– To ty – powiedziała. – Bałam się, że może to sen.

– Wiem, co masz na myśli – odparł. – Dobrze wiem, co masz na myśli.

[2] Wszystkie cytaty na podstawie Biblii Tysiąclecia, Poznań 1999.

Szept chodzącego trupa

1

Simon Childs nie był głupcem. Od początku wiedział, że gra strachu jest z natury ryzykowna i, co więcej, że to ryzyko było potencjalnie śmiertelne, nie dlatego, że w Kalifornii obowiązywała kara śmierci, ale dlatego, że w przypadku Simona kara więzienia nie wchodziła w grę. Przez całe lata trzymał w gotowości spakowaną wielką skórzaną torbę, którą nazywał awaryjną torbą, wypchaną gotówką, lekarstwami, receptami i innymi rzeczami tego typu, z fałszywym dowodem i kartami kredytowymi. Na wypadek znacznego pogorszenia się sytuacji schował tam również małą niebieską kapsułkę, która, jak zapewnił go Zap Strum, miała ten sam skład, co tabletki rozdawane przez CIA swoim tajnym agentom.

– Wystarczy ją rozgryźć, a natychmiastowa śmierć gwarantowana – zapewnił Simona.

– Co w niej jest? – spytał Simon.

– Nie mam pojęcia.

– Będzie boleć?

– Trudno powiedzieć. Nikt, kto ją wziął, nigdy nie żył dostatecznie długo, żeby komukolwiek o tym opowiedzieć.

Mimo wszystkich środków ostrożności do Simona zaczęło docierać, że właśnie wcielił w życie plan B dopiero, gdy był już w mercedesie, pędząc na północ przez Grizzly Rock z torbą na siedzeniu pasażera, a każdy pojazd uprzywilejowany w hrabstwie Alameda jadący w przeciwnym kierunku zdawał się mieć błyskające światła i ryczące syreny. To się dzieje naprawdę, kowboju.

Nie tak to sobie wyobrażał. Wszystko działo się zbyt szybko. Zapomnij o Meksyku – z pewnością mieli opis mercedesa, zanim jeszcze dotarł do południowej części San Francisco, nie mówiąc już o południowej granicy. Co oznaczało, że natychmiast musi porzucić samochód. Ale gdzie? I co potem? I co z...

Nie. Jeszcze nie mógł pozwolić sobie na myślenie o Missy. Czuł ogromne wyrzuty sumienia, że ją zostawił. Ale Pender nie dał mu wyboru. Żeby się za nią tak schować – pieprzony tchórz. I oczywiście gdyby Pender nie wykorzystał upośledzenia Missy i podstępem nie nakłonił jej do wpuszczenia go do domu, w którym nie miał prawa przebywać, i gdyby nie wtykał nosa tam, gdzie nie powinien...

Pender, Pender, Pender – wszystko sprowadzało się do Pendera, prawda?

Dla Simona było to pozytywne, a w pewnym sensie nawet pocieszające odkrycie. Udało mu się skupić uwagę na dużo ważniejszym i bardziej aktualnym problemie – jak najszybszym pozbyciu się znanego już wszystkim służbom, rzucającego się w oczy samochodu.

2

Według „Rocznika Farmera”, którego porady Nelson Carpenter zasięgał każdego dnia swego życia, mając na uwadze szerokość geograficzną 37°50' i czas letni, który obowiązywał jeszcze przez tydzień, w piątek, 22 października słońce miało zająć o 18:23.

Nelson, znany niegdyś jako Nerwowy Nellie (biorąc pod uwagę jego imię, stopień zaawansowania polifobii i okrucieństwo dzieci, ów przydomek prawdopodobnie był nieunikniony), potrzebował co najmniej godziny na przygotowanie się do snu. Jego dom nie był duży. Był to zwyczajny podmiejski kolonialny budynek w Concord w Kalifornii, w miejscu, gdzie nigdy by nie nakręcono horroru (przynajmniej jednego z tych, od których Nelson i jego były przyjaciel Simon byli uzależnieni jako nastolatki), ale przygotowanie się na nadejście ciemności zawsze wymagało czasu. Trzeba było zapalić światła (po dwa w każdym pomieszczeniu, na wypadek gdyby przepaliła się żarówka), zasunąć zasłony i opuścić żaluzje, zamknąć drzwi i okna. Poza tym przed i po zamknięciu wszystkich wejść należało skontrolować i zamknąć każdą szafę, zajrzeć pod każde łóżko i w każdy kąt domu, w którym mógłby ukryć się intruz.

Więc gdy alarm w zegarku Nelsona włączył się o 16:00, by przypomnieć o programie Oprah, zresetował

alarm, ustawił go na 17:23 i z przejęciem zaczął oglądać telewizję. Tematem dzisiejszego programu były fobie. Doktor Phil stwierdził, że niezależnie od rodzaju fobii każdy fob boi się tego samego: utraty kontroli.

– Taa, mów mi jeszcze – mruknął Nelson.

I wtedy ktoś zadzwonił do drzwi, narażając go na udrękę podjęcia decyzji. Oczywiście nie było szans, że otworzy drzwi. Przyjaźnił się z niewieloma osobami, a ta garstka przyjaciół, których miał, wiedziała, że nie należy stawać na jego progu bez uprzedzenia. Dylemat Nelsona polegał raczej na tym, czy wstać i spojrzeć przez judasza, czy też po prostu zaszyć się w salonie z doktorem Philem i poczekać, aż ten ktoś sobie pójdzie.

Obie opcje miały swoje minusy. Z jednej strony perspektywa przyjrzenia się niezapowiedzianemu gościowi przez judasza budziła grozę w człowieku o tak nadmiernie wybujałej wyobraźni, jaką miał Nelson Carpenter. Z drugiej strony to mogło być coś ważnego – na przykład policjant chodzący po domach i ostrzegający mieszkańców przed wyciekami chemicznymi lub zbiegłym więźniem. Albo wreszcie mógł to być więzień we własnej osobie.

Po latach terapii behawioralnej Nelson wiedział, że w tym momencie powinien ocenić ewentualne zagrożenia. Prawdopodobnie to tylko świadek Jehowy albo jakiś dzieciak sprzedający prenumeratę czasopisma – czyli nie było się czego obawiać. Poza tym z dwóch innych opcji bardziej prawdopodobna była perspektywa toksycznej chmury z pożaru rafinerii niż zastanie na swym progu zbiegłego więźnia.

Nelson zebrał się więc na odwagę (błędem jest myślenie, że ludziom cierpiącym na ciężkie przypadki fobii brakuje odwagi; wyjście z domu raz w tygodniu kosztowało Nelsona więcej nerwów, niż większość z nas straciłaby podczas skoku na bungee z mostu Golden Gate), wyłączył dźwięk w telewizorze, podkradł się na palcach do drzwi i spojrział przez judasza.

O mamó! Zabrakło mu tchu i natychmiast cofnął głowę. Toksyczne chmury, zbiegli więźniowie? Dawajcie ich! Nie mogło być nic gorszego od tego, co właśnie zobaczył przez krótkoogniskową soczewkę. Każdy inny potwór byłby milej widziany niż ten, którego właśnie ujrzał przed swoimi drzwiami. Próbował sobie wmówić, że może się pomylił – bądź co bądź nie widział towarzysza z dzieciństwa od lat sześćdziesiątych – ale przecucie w kościach, kołatanie serca i ścisk w mosznie podpowiadały, że to nie pomyłka. Naprawdę działo się to, czego bał się przez wszystkie te lata, spełniał się najgorszy możliwy scenariusz.

– Nellie, otwórz drzwi! – krzyknął Simon, gdy zobaczył, że judasz w drzwiach znowu stał się czarny. – Otwórz drzwi, stary druhu!

– Odejdź stąd.

– Czy tak się traktuje starego przyjaciela?

Bądź miły i spokojny – powiedział sobie Simon. Posiadłeś chłopca, posiadziesz i mężczyznę.

– Mieliśmy umowę.

– Zmieniły się okoliczności.

– Zadzwoń na policję. Powiem im o twoim dziadku, powiem im wszystko.

– To już przedawnione.

– Morderstwo się nie przedawnia.

Nieumyślne spowodowanie śmierci – poprawił go w myślach Simon. A potem przyszło mu do głowy, że mógłby obrócić błędne przekonanie Nelsona na swą korzyść.

– Nie ma też zwolnienia za kaucją, więc może pozwolą nam na współdzielenie celi.

Simon czekał na trzask zamka lub odgłos odsuwanej zasuwki i był trochę zdziwiony, nie usłyszawszy ani tego, ani tego. A przecież to powinno załatwić sprawę, zresztą może i załatwiło, chociaż minęło już kilka ładnych lat, odkąd ostatnim razem widział Nelsona sparaliżowanego strachem. Nigdy nie zapomniał tego poruszającego widoku.

– Nellie...? Nellie, obaj wiemy, że otworzysz te drzwi. To po prostu...

I po raz pierwszy od trzydziestu lat przyjaciele z dzieciństwa stanęli twarzą w twarz. Błady młody dżentelmen się postarzał, ale jego włosy wciąż miały ten sam odcień spranego blondu i nadal były zbyt długie – od zawsze bał się fryzjerów.

– Jak mnie znalazłeś? – spytał słabym głosem.

– Moi szpiedzy są wszędzie – odparł Simon, precyzyjnie się obok niego i wszedł do domu. Rozejrzył się wokół z dezaprobatą. Spojrzył na ściany koloru awokado, beżowe wykładziny, szynowe oświetlenie, wmurowane zdobienia, kominek pokryty imitacją białej cegły. Każdy dekorator wewnątrz zrzygałby się na

ten widok. – Pogadamy później, najpierw musimy zabrać mój samochód z twojego podjazdu.

– W garażu nie ma miejsca.

– To je zrób.

– Masz jakieś kłopoty? – Nelson zamknął za nim drzwi.

Simon po kumpelsku otoczył go ramieniem.

– Stary, mam wszystkie możliwe rodzaje kłopotów.

– Czy zostawisz mnie w spokoju, jeśli ci pomogę?

– To nie działa w ten sposób, Nellie – szepnął mu do ucha Simon. Jego oddech był wilgotny i ciepły, a ton nieznośnie poufały. – Nie w naszym przypadku.

3

Ostry dyżur, z noszami na kółkach, w niewielkim stopniu umeblowanymi salami dla pacjentów, szafkami medycznymi, parawanami i łózkami z zasłonami, zawsze kojarzył się Penderowi z prowizorką, jakby było to tylko tymczasowe i niezbyt wygodne zakwaterowanie, z którego trzeba skorzystać, dopóki nie zostaną przygotowane stałe pokoje. Nie mógł się doczekać wyjścia. Gdy tylko gips wysechł, a ręka została włożona w temblak, wyruszył na poszukiwania Dorie.

Znalezienie jej nie było trudne – przed drzwiami do jej sali siedział policjant. Rozpoznał Pendera, lekko mu zasalutował, a potem przechylił się i – bez wstawania – otworzył mu drzwi.

– Niezła akcja – powiedział.

– Pewnie – odparł Pender grzecznie.

– To znaczy, miałem na myśli, że to pan przeprowadził niezłą akcję.

– Och. Dzięki. – Pender był trochę zaskoczony. Miejscowi z reguły nie byli tak wdzięczni za pomoc federalnych.

Bądź co bądź to była dobra robota – pomyślał, zamykając za sobą drzwi. A przed nim siedział dowód owej niezłe wykonanej pracy. Ciemne włosy Dorie były rozrzucone na poduszce. Wyglądała zaskakująco dobrze jak na kobietę ze złamanym nosem i podbitymi oczami.

Ona również bardzo ucieszyła się na widok Pendera. Gdy siedziała obok niego w piwnicy albo na górze, owinięta kocem, w oczekiwaniu na karetkę, albo na izbie przyjęć, zanim zostali przewiezieni na wózkach do innych pomieszczeń, były chwile, kiedy chciała wyrazić swoją wdzięczność dla mężczyzny, który się nie poddał i ryzykował swoje życie, by ocalić jej. Jednak za każdym razem, gdy na niego spojrzała, wzbierały w niej tak obezwładniające uczucia, że rezygnowała ze swoich zamiarów. Przede wszystkim nie chciała, by cokolwiek ją teraz przytłaczało. Było jej dostatecznie ciężko i bez tego.

Teraz spojrzała na niego nieśmiało.

– Jak ręka?

– Za sześć tygodni będzie jak nowa. Kazałem im tak założyć gips, żeby nie przeszkadzał mi w grze w golfa. A ty jak się czujesz?

Wzruszyła ramionami.

– Próbowali rozmawiać ze mną o operacji nosa, aż w końcu powiedziałam im, że nie mam ubezpieczenia. Nadal jednak chcą zatrzymać mnie na noc – już nawet ktoś z administracji przyszedł zapytać, czy zapłacę kartą kredytową. Odpowiedziałam, że facet, który mnie porwał, zapomniał o zabraniu mojej torebki.

– Wzięli od ciebie oświadczenie?

– Kilka razy. Gliniarze z Berkeley, twoi z FBI, detektywi z San Francisco. Rozmawiałam nawet z wujkiem Wayne'a. W jego głosie wyczułam coś jakby ulgę, że Wayne został zamordowany, a nie popełnił samobójstwa.

– Kiedyś się z tym spotkałem. Zostajesz na noc?

– Nie, jeśli będę mieć wybór.

– Myślisz, że możesz prowadzić?

– Oczywiście.

– Wynosimy się stąd?

– Już myślałam, że o to nie spytasz.

Gdy minął pierwszy szok, Nelson Carpenter był mile zaskoczony tym, jak łatwo było się poddać i jak bardzo uprościło mu to życie. Zamiast bać się wszystkiego, wystarczyło bać się Simona Childsa, a zamiast przestrzegać dokładnej i wymagającej – obsesyjno-kompulsywnej, jak mówił jego psychiatra – rutyny, trzymać strach na dystans. Wystarczyło zagrać w Simon mówi, a każdy wie, jakie są reguły tej gry.

Oczywiście fakt, że nie musiał się już bać ciemności, intruzów, pożaru, trucizny w pożywieniu, pajaków ani duchów, stanowiłby dla Nelsona więcej niż ulgę, gdyby nie pewność, że Simon planuje go zabić, gdy tylko otrzyma od niego to, czego chce. Chwila przed egzekucją – szepnął do siebie. Był to szept chodzącego trupa.

Na szczęście z początku Simon ani nie wymagał, ani nie pragnął rozmowy. Gdy mercedes był już bezpiecznie ukryty w garażu (Simon zauważył, że jest tam mnóstwo miejsca, wystarczyło tylko wyrzucić rupiecie Nelsona), Childs oznajmił, że jest głodny jak wilk. Nelson przyrządził kolację – filet z piersi kurczaka, brokuły, ryż z sosem Rice-A-Roni – a w tym czasie jego przyjaciel siedział przy stole w kuchni. Zjedli w jadalni. Brzęk sztućców, nieprzyjemne odgłosy żucia zintensyfikowane przez ciszę panującą w podmiejskiej okolicy.

Simon zjadł wszystko, po czym odsunął od siebie talerz.

– Gratulacje dla szefa. Rice-A-Roni było przepyszne.

– To potrawa z San Francisco – powiedział Nelson. Co innego można było powiedzieć o Rice-A-Roni?

– Która godzina? – Simon zostawił swój zegarek w piwnicy w Berkeley. Zdjął go, żeby wykapać Dorie.

Nelson spojrzał na swojego roleksa, będącego jedynym zegarem w domu. Miał chronofobię – strach przed zegarami.

– Dochodzi szósta.

– Czas na wiadomości.

– Nigdy ich nie oglądam.

– W porządku, w takim razie po prostu dotrzyмай mi towarzystwa – odparł Simon grzecznie. Łatwo mu było być grzecznym w kwestiach niepodlegających dyskusji, poza tym nie miał zamiaru pozwolić, by Nelson oglądał wiadomości. Dostatecznie trudno będzie powstrzymać starego kumpla przed przedwczesną utratą kontroli nad sobą. Simon z pewnością nie chciał, żeby Nellie dowiedziała się, jak bardzo rozwinęła się gra strachu od czasu względnie niewinnych dni Klubu Horroru, przynajmniej do czasu, gdy Simon będzie na to gotowy.

– Ale jak ja...

– Nellie – powiedział cicho Simon. To był ton ostrzegawczy. Po wszystkich tych latach Nelson wciąż go rozpoznawał.

– Tak, Simonie?

– Zaufaj mi.

– Tak, Simonie.

2500 Grizzly Rock Road zamieniło się w miejsce zbrodni. Gdy Pender i Dorie przyjechali tam radiowozem w towarzystwie elegancko wyglądającego detektywa z wydziału zabójstw w Berkeley, ujrzeli wspaniałe domostwo, jaskrawo oświetlone, oklejone żółtą taśmą, pełne policjantów, otoczone dziennikarzami i vanami z nadajnikami satelitarnymi, które zaznawało tyle samo spokoju, co ciało ofiary zabójstwa.

Agent specjalny Eddie Erickson z biura terenowego San Francisco zaproponował im wejście do środka. Dorie, ubrana w różowy uniform pielęgniarki, zadrżała i odmówiła. Wolała poczekać na Pendera w jego wypożyczonej toyocie stojącej wciąż obok stromeego podjazdu, którą zostawił – to przecież niemożliwe – zaledwie sześć godzin wcześniej.

Każdy centymetr piwnicy był jasno oświetlony. Erickson poprowadził Pendera przez labirynt do pomieszczenia, w którym członek ekipy technicznej z Wydziału Dowodowego omiatał gładką, równą powierzchnię wysuniętego o kilka centymetrów fragmentu podłogi urządzeniem o wyglądzie

kosmicznego wykrywacza metalu, podczas gdy drugi technik wpatrywał się w ekran komputera – wykorzystywali najnowocześniejszą technologię wykrywającą ciepło ciała.

– Ile znaleźliście do tej pory? – spytał Erickson.

– Tylko jedno. Mokry cement uniemożliwia prawidłowe odczyty, poza tym jeśli szkielet jest odpowiednio czysty, nie wydziela oczywiście dostatecznego ciepła, więc go nie znajdziemy.

Drugi technik zwrócił się do Pendera:

– Górna warstwa cementu została wylana całkiem niedawno. Ma tylko dwa centymetry grubości, pomijając tamten róg, w którym ma prawie dwa metry. Mam przecucie, że gdy zaczniemy tam szukać, będziemy mieć mnóstwo roboty.

Na chwilę przystanęli w pomieszczeniu, w którym znaleźli młot pneumatyczny, pas nerkowy, okulary ochronne, łopatę, szpadel i kilka toreb wapna oraz szybko schnącego cementu, a potem Erickson zaprowadził Pendera na górę. W salonie wciąż zbierano odciski palców. W głównej sypialni agent specjalny Ben Wing z miejscowej agencji siedział przy komputerze Childsa.

– Jakies sukcesy? – spytał go Erickson.

– Tak, sir – odparł Wing. – Ale wszystkie po stronie Childsa. Jeden z miejscowych prostaków... – Zauważył detektywa z Berkeley, który wszedł za Ericksonem i Penderem. – Ups. Przepraszam. To znaczy, jeden z lokalnych ekspertów próbował uzyskać dostęp, nie sprawdzivszy komputera pod kątem pułapek. Pierwszy przycisk, jaki wcisnął, rozwalił twardy dysk. To, co teraz robię, to odpowiednik przeszukiwania zgliszczy.

– Czy Childs mógł sam zastawić taką pułapkę?

– Prawdopodobnie tak. Albo zatrudnił jakiegoś hakera, bo żaden poważany konsultant do spraw bezpieczeństwa nie zainstalowałby urządzenia z trybem fail-safe w celu rozwalenia systemu klienta na wypadek włamania.

– Warto by się przyrzeć tej możliwości z hakerem – zasugerował Pender.

– Myśli pan? – spytał Wing protekcyjnie.

– My, miejscowi prostacy, już nad tym pracujemy – wyjaśnił detektyw, gdy Wing odwrócił się do komputera. – Jutro będziemy mieć wyciągi z jego kont i go znajdziemy.

Pender zszedł na dół za Ericksonem.

– Wygląda na to, że sobie z tym poradzicie – powiedział. Miał wrażenie, że takich właśnie słów się od niego oczekuje.

– Tak, myślę, że mamy spore szanse. On nie ma zbyt dużego doświadczenia, po prostu jest bogatym uciekającym skurwielem. Proszę dobrze zająć się panną Bell. Jeśli byłyby jakieś problemy z nakazem rewizji, to chcę go wsadzić przynajmniej za porwanie ze szczególnym okrucieństwem oraz uszkodzenie ciała.

– Proszę nie zapominać o napaści – przypomniał mu Pender, wskazując brodą na złamaną prawą rękę, która zaczynała go rwać, bo środki przeciwbólowe przestawały działać. – Umyślnej – dodał. Bądź co bądź, gdyby uderzenie Childsa trafiło kilka centymetrów na prawo, pod dwoma metrami szybko schnącego cementu w ostatnim pomieszczeniu znalazłyby się kolejne trzy ciała: jego, Dorie i siostry Apple.

6

Simon siedział na wygodnym krześle i oglądał wiadomości telewizyjne. Nelson, leżący u stóp Simona tyłem do telewizora, z rękami pod głową i uszami zatkanymi watą, patrzył na przyjaciela przez trzydzieści pięć nudnych, zabójczych dla duszy minut, chociaż oczywistym było, że Simon przestał oglądać telewizję po temacie dnia.

Około siódmej Nelson odchrząknął – żadnej reakcji. Usiadł, spodziewając się uderzenia lub kopniaka, ale Simon zdawał się nawet tego nie zauważyć. Wyjął watę z uszu, a potem wyciągnął pilota z nieprotestujących palców Simona, skierował go do tyłu i wyłączył telewizję, nie odwracając się. Nelson zawsze bardzo dokładnie planował oglądanie telewizji i nigdy nie przeskakiwał po kanałach. Czasami wydawało mu się, że istnieje niepisana zasada, według której w czasie każdej przerwy na reklamy na co najmniej jednym kanale leci program o śmiercionośnych węzach.

Simon potrząsnął głową jak ktoś, kto właśnie wyszedł z transu. Wyglądał, jakby zobaczył Nelsona po

raz pierwszy w życiu.

– Nellie, myślisz, że istnieje życie po śmierci?

– Mówisz o niebie i piekle czy o... – Nelson nie mógł zmusić się do wypowiedzenia słowa „duchy”. Nigdy nie wspominał również o czarownicach, upiorach, demonach albo wampirach, żeby ich nie przywołać. Wiedział, że to tylko głupi przesąd. Wiedział również, że ten przesąd był jedyną bronią ludzkości przeciwko zjawiskom nadprzyrodzonym.

– O niebie i piekle.

– Mam nadzieję, że istnieje niebo i piekło. Dlaczego pytasz?

– Missy nie żyje.

– Przykro mi – rzekł Nelson. Lubił Missy, chociaż była za bardzo rozpuszczona. Ale go to nie zdziwiło. Simon zawsze mówił o niej w taki sposób, że Nelson miał wrażenie, jakby umierała już od czasu ich pierwszego spotkania. – Na serce?

– Tak twierdzą.

– Mówili o tym w wiadomościach?

Simon zignorował to pytanie.

– Gdzie jest najbliższy telefon?

– Na górze. Jest tylko jeden.

– W całym domu?

Prowadząc Simona do sypialni, Nelson wyjaśnił mu przyczynę takiego stanu rzeczy. Pierwotnie telefon znajdował się na ścianie w kuchni. Podczas pierwszej bezsennej nocy po przeprowadzce Nelson rozmyślał o historii, którą Simon opowiedział mu w czasie jednego z pierwszych spotkań Klubu Horroru. O kobiecie, do której dzwoni slasher, a policja jej mówi, że jeśli zabójca zadzwoni raz jeszcze, to ma zatrzymać go rozmową, żeby można go było namierzyć. Dzwoni raz jeszcze i namierzają go – okazuje się, że dzwoni z jej własnego domu, z dobudówki na parterze. „Uciekaj – krzyczy policjant przez telefon – wydostań się z domu!”. – Ale oczywiście jest już za późno. Następnego ranka Nelson zadzwonił do firmy telekomunikacyjnej, żeby usunięto z kuchni telefon i gniazdko telefoniczne.

– Bardzo mi schlebiasz – powiedział Simon, siadając na krawędzi łóżka. – A nie myślałeś, żeby kupić telefon bezprzewodowy?

– Oszalałeś? Od tego dostaje się raka.

– Nellie, fakt, że wciąż żyjesz, obala całkowicie teorie Darwina. Włóż watę do uszu i poczekaj w łazience... Nie, zostaw drzwi otwarte, żebym widział, co kombinujesz.

– Zap, tu Simon...

– Tak, wiem, że jestem wszędzie w wiadomościach. Nie wierz we wszystko, co usłyszysz...

– No cóż, mam nadzieję, że rozumiesz, że jeśli to zrobią, będę musiał cię wydać...

– Tak właśnie myślałem. Oto, czego potrzebuję. Ten facet z FBI, ten E.L. Pender – chcę mieć wszystkie informacje na jego temat, cokolwiek uda ci się znaleźć...

– Począwszy od tego, gdzie mieszka, z kim się przyjaźni, czy jest żonaty, czy ma kochankę. Tego typu rzeczy. Ostatecznie chcę się dowiedzieć, czego się boi, ale prawdopodobnie to nie będzie...

– Nie, nie łoi, boi, przed czym czuje lęk...

– Dobrze, po prostu zacznij od wyuglowania go. Jeśli będę chciał, żebyś włamał się na stronę FBI, dam ci...

– To już twój problem, nie bręcz mi tutaj, staruszkule. Mój problem polega na tym, że zabił mi siostrę, i...

– Oczywiście, że tego nie mówią. Ale możesz mi wierzyć. Missy nie żyje i to Pendera należy za to winić – zapewnił z przekonaniem.

Potem zaczął koloryzować to, co wiedział, żeby brzmieć bardziej wiarygodnie: Pender podstępem nakłonił Missy, żeby wpuściła go do domu bez nakazu, potem zaatakował Simona. Missy próbowała go powstrzymać, doszło do szamotaniny. Simon został zmuszony do ucieczki, ale gdy wybiegał z domu, Missy nadal żyła. Walka z Penderem prawdopodobnie nadwerżyła jej biedne serce. Gdy skończył, szczegóły zmyślonej historii zostały poparte wiarygodnością jego emocjonalnego zaangażowania. Dla socjopatki inna prawda już nie istniała.

– Za ile i na kiedy? – zakończył.

– Nie, ja do ciebie zadzwonię. I nawet nie myśl o...

– Wiem, że byś tego nie zrobił. Ale człowiek na moim miejscu nie może być zbyt...

– Dobrze, zadzwonię później.

Odłożył słuchawkę na widełki i odwrócił się do Nelsona. Poczuł, że znów jest sobą. Pomijając oczywiście nietypowe dla siebie poczucie żalu. Dość szybko jednak odkrył, że rozpacz, w przeciwieństwie do poczucia winy, wątpienia w siebie czy nudy, była znośna, a nawet pożądana. Wyostrzała zmysły i pozwalała się skupić.

I nagle uświadomił sobie, dlaczego w tym okresie smutku, mając do wyboru tyle kryjówek, przyjechał właśnie tutaj.

– Nelsonie? – krzyknął.

Nelson wychylił głowę z łazienki.

– Tak, Simonie?

– Myślę, że nadeszła pora na naszą grę.

7

Według instrukcji dołączonych do opakowań środków przeciwbólowych nie powinni prowadzić samochodu ani obsługiwać ciężkiego sprzętu, ale oboje czuli, że nie powinni też sugerować spędzenia nocy w motelu.

Wypili więc niesmaczną kawę w przydrożnym barze i, żeby nie zasnąć, zaczęli śpiewać stare przeboje – Pender śpiewał wysokim, melodyjnym tenorem, a Dorie charakternym altem. Na zmianę prowadzili wynajętą toyotę; kobieta przełączała automatyczną skrzynię biegów za jednorękiego agenta.

Dorie pokonywała ostatni etap dwuipółgodzinnej podróży. Gdy jechała łukiem wybrzeża na autostradzie numer 1 i zobaczyła migoczące światła półwyspu otoczonego czarnymi wodami zatoki Monterey, poczuła ścisk w gardle, tak jak wtedy, gdy wraca się do domu po długiej podróży. Pender odczuwał podobnie, chociaż był tutaj tylko dwa razy w życiu. Oczywiście dwa vicodiny, które zażył przed wyjazdem, mogły mieć z tą ekscytacją coś wspólnego.

Przejechali przez Monterey, Pacific Grove i Pebble Beach, potem Ocean Avenue aż do Carmel, następnie w prawo w San Carlos i w lewo w Piątą. Stanęła na pierwszym wolnym miejscu.

– Potrzebuję tylko minutki – powiedziała Penderowi. – Muszę coś zrobić.

Była już w połowie przecznicy, gdy wielkiemu mężczyźnie udało się wyswobodzić z małego samochodu. Złapał ją przed sklepem z damską odzieżą.

– Co...

Położyła palec na ustach i wskazała manekina na wystawie sklepu. Był ubrany w suknię w czarno-białą kratę, a na oczach miał prostą czarną maskę.

– Och – rzekł Pender i zrobił krok do tyłu.

Dorie stała tam przez kilka minut i wpatrywała się w maskę, tak samo nieruchoma jak manekin, pomijając delikatne unoszenie się i opadanie jej piersi. Gdy odwróciła się od wystawy, miała łzy w oczach.

– Wszystko w porządku? – spytał Pender.

– Tak sędzę – odparła. – Po prostu muszę się do tego przyzwyczaić, wiesz?

– Wyobrażam sobie – rzekł, zginając zdrową rękę.

Dorie wzięła go pod ramię i wrócili do samochodu.

Gdy podjechali pod dom, Mary Cassatt cały czas stała na podjeździe. Za wycieraczkę samochodu wetknięto pół tuzina mandatów za parkowanie oraz liścik od Wynna Mackeya, który pisał, żeby się nimi przejmowała.

– Miły dzieciak – stwierdził Pender.

– Tak, okazał się całkiem w porządku – przyznała niechętnie. – Ale kiedyś był strasznie rozwydrzonym gnojkiem, nigdy nie widziałeś takiego gówniarza. Ostatni smarkacz na świecie, o którym pomyślałbyś, że zostanie gliną. Gdy ten mały skurczybyk miał osiem lat, odpalił petardę pod drzwiami łazienki, akurat kiedy siedziałam na tronie.

– Gdy miałem osiem lat, wrzuciłem petardę do komina rodziców – przyznał się Pender. – Prawie podpaliłem dom.

– Też byłeś gnojkiem?

– I do tego głupim. Chciałem zobaczyć, czy wybuchnie, więc zajrzałem do komina. Zdmuchnęło mi obie brwi. Spędziłem dwa najgorsze tygodnie mojego życia z zabandażowanymi oczami, w niepewności, czy odzyskam wzrok. Mówię ci, to był największy strach, jaki kiedykolwiek czułem.

Drzwi wejściowe były zamknięte i zabezpieczone żółtą taśmą policyjną. Pender poszedł za Dorie wokół domu. Weszli przez studio – drzwi zamknięto i zapieczętowano krzyżującymi się pasami taśmy, ale zamek nadal był popsuty. Na gałkach u drzwi i parapetach wewnątrz budynku wciąż znajdował się szary pył węglowy stosowany do zdejmowania odcisków palców. Dorie skrzywiła się, włączając światło w kuchni i ujrawszy zaschnięte wymiociny na parkiecie.

– Kurwa – mruknęła, klękając. – Teraz będę musiała zerwać cały... Kurwa mać.

Ku swojemu zaskoczeniu zaczęła spazmatycznie płakać, łało jej się z nosa, a niekontrolowany szloch wykręcał wnętrzności.

Pender uklęknął obok niej i zaczął niezręcznie klepać ją po plecach.

– Już dobrze, to tylko mała plama – powiedział, chociaż oboje wiedzieli, że nie płakała z powodu parkietu. – Na pewno zejdziesz.

– Myślisz? – spytała między czknięciami, gdy pomógł jej wstać.

– Jasne – odparł.

Nie był ekspertem w sprzątaniu domu, jak wkrótce miała się przekonać Linda Abruzzi, ale jako ktoś, kto nie wylewa za kołnierz, wiedział co nieco o plamach po wymiocinach.

8

Wystarczyło siedem słów. Siedem słów, żeby pozbyć się złudzeń co do tego, jak łatwo będzie się poddać i grać w Simon mówi, dopóki Simon nie odejdzie. Siedem słów, które udowodniły, że wszyscy kłamali – rodzice, psychiatry, grupy wsparcia – gdy zapewniali go, że jego obawy były złudzeniami, a fobie produktami bezładnych emocji, a nie nieprzychylnego wszechświata.

Siedem słów:

– Myślę, że nadeszła pora na naszą grę.

– Grę? Jaką grę?

Simon, zajęty przeszukiwaniem swojej torby, zignorował pytanie.

– No chodź, będzie jak za dawnych czasów.

– Tego właśnie się boję – rzekł Nelson.

Simon spojrzał na niego ostro.

– Dlaczego, Nellie, to był jakiś żart? Nie myślałem, że potrafisz żartować.

Nelson spróbował innej taktyki.

– Obawiam się, że nie będę zbytnio... Te lekarstwa, które biorę... Obawiam się, że niezbyt sprzyjają... no wiesz... – Zamilkł żałośnie.

– Żaden problem – zapewnił go Simon. – Od tego czasu gra się zmieniła, nie chodzi już o seks.

Nelsonowi się to nie podobało – skoro nie chodziło o seks, to o co? Prędzej jednak oderznąłby sobie własny palec zardzewiałą piłą, niż poprosił o wyjaśnienia.

– Nie wydaje mi się, żeby mój psychiatra...

– Nellie?

– Tak?

– Cisza.

Nelson ucichł.

Dla Nelsona gra zaczęła się w ciemności. Oczy miał przewiązane jedną z własnych bandanek i był zamknięty w garderobie w sypialni z rękami związanymi na plecach. Nie umknęła mu ironia tej sytuacji: w drzwiach każdej szafy kazał założyć zewnętrzny zamek, żeby zmniejszyć swój strach z dzieciństwa przed szafą jako potencjalnym miejscem ukrywania się złych duchów i włamywaczy.

Nie potrafił powiedzieć, jak długo tam siedział, zanim Simon po niego wrócił. Dostatecznie długo, by przejść dwa ataki paniki, pierwszy ostrzejszy, drugi dłuższy. Wałące serce, zawroty głowy, skrócony oddech, histeryczny niedowład, tak intensywne poczucie lęku, że omdlenie wazowagalne byłoby błogosławieństwem – niestety Nelson nie miał skłonności do omdleń.

Podczas fazy paralitycznej drugiego ataku, gdy leżał na podłodze szafy z rękami związanymi na plecach i tak słabymi i drżącymi mięśniami nóg, że równie dobrze mogłyby być sparaliżowane, jego uszy zarejestrowały trzask otwieranego zamka.

– Wychodź, wychodź, gdziekolwiek jesteś! – krzyknął radośnie Simon.

Nie ma, kurwa, mowy. Jego nogi wciąż były zbyt słabe, by go unieść, więc powlókł się w przeciwnym kierunku, jak najdalej od drzwi, jak najdalej od głosu, wijąc się jak gąsienica tak długo, jak tylko mógł. Zwinął się w kłębek w najodleglejszym kącie szafy i zaczął szybko oraz płytko oddychać. Czekał na to, co do cholery Simon dla niego wymyślił.

Jednak musiał jeszcze trochę zaczekać – drzwi wcale się nie otworzyły. Zamiast tego usłyszał kierujące się ku wyjściu kroki w sypialni.

– Wychodź, wychodź, gdziekolwiek jesteś! – krzyknął znowu Simon, tym razem z korytarza, a Nelson powtórzył, że nie ma, kurwa, mowy. Jednak obaj wiedzieli, jak to się skończy – w końcu dopadnie go jego klaustrofobia.

Zastanawiał się, czy istnieje jakieś bardziej przerażające i obezwładniające uczucie niż zataczanie się w totalnej ciemności z rękami związanymi na plecach, bo jeśli tak, to on nie chce go poznać. Co kilka kroków przystawał i nasłuchiwał. Jedynymi odgłosami w sypialni był przyśpieszony oddech Nelsona i szaleńcze walenie jego serca.

Oczywiście cisza oznaczała, że Simon czekał na niego gdzieś w innym pomieszczeniu. Nelson zaczął sobie uświadamiać, że jeśli tak było, nawet jeśli Simon stał tuż przy drzwiach sypialni, to wreszcie się przeliczył. Najwyraźniej nie zauważył, że zostały one wzmocnione stalą, żeby były ognioodporne, i wyposażone w zasuwę na wypadek, gdyby ktoś zdołał włamać się do domu, co było mało prawdopodobne.

Nagle Nelsonowi zaczęło brakować powietrza. Miał wrażenie, że serce zaraz w nim wybuchnie, ochlapując wnętrze klatki piersiowej krwią i rozerwanymi mięśniami. Kolejny atak paniki? Nie – to była nadzieja, uczucie o wiele słabiej znane mężczyźnie. Wszystko, co musiał zrobić, to sprawić, by te wzmocnione drzwi znalazły się między nim a Simonem, czyli zasunąć zasuwę – wtedy jego stary przyjaciel nie będzie mógł go dopaść.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Powłócząc nogami, wyszedł z szafy z desperacką nadzieją, że idzie w kierunku drzwi, i próbował sobie przypomnieć, czy zasuwę była umieszczona dostatecznie nisko, żeby dosięgnął jej rękami związanymi na plecach. Uświadomił sobie, że z pewnością nie będzie czasu, żeby przy niej kombinować. Jeśli chciał mieć jakąkolwiek nadzieję na zatrzymanie Simona po drugiej stronie, będzie musiał za jednym zamachem ją znaleźć, trzasnąć drzwiami i zasunąć. Co oznaczało, że musiał się odwrócić i stanąć tyłem do drzwi.

I znów było to proste tylko w teorii. Wykonał niepewny obrót (jeśli odwróci się za bardzo lub za mało, będzie błądzić zdezorientowany po sypialni tak długo, aż Simon wejdzie i go dorwie) i zaczął powoli iść tyłem w stronę drzwi. Przyszło mu do głowy, że przynajmniej poznał odpowiedź na swoje wcześniejsze pytanie: tak, rzeczywiście istniało bardziej przerażające uczucie niż błądzenie po omacku w ciemnościach.

Radar rzęskowy Nelsona – mikroskopijne włoski z tyłu ramion i na karku – szepnął ostrzegawczo tuż przed tym, jak mężczyzna uderzył związanymi rękami w drzwi sypialni. Już są zamknięte – uświadomił sobie z nadzieją – i znowu odczucie to było nie do odróżnienia od paniki. Przesuwał ręce w górę i w dół wzdłuż szczeliny w drzwiach. W najwyższym możliwym do osiągnięcia punkcie jego palce wyczuły zimne żelazo elementu zasuwę, ale sama zasuwę była zbyt wysoko, by mógł ją przesunąć. Pochylił się do przodu, wykręcając ręce na plecach coraz wyżej i wyżej, aż zaczął mieć wrażenie, że zaraz zwicznie sobie ramiona. Wreszcie udało mu się przytrzymać małe okrągłe radełko zasuwę między kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni.

Praca tyłem z nadgarstkami związanymi na krzyż na plecach była dezorientująca w dwojnasób. Jego ręce były boleśnie napięte, a ramiona wykręcone w stawach. Miał wrażenie, że jego łopatki wystają niczym anielskie skrzydła. W końcu udało mu się przekręcić radełko do góry, wsunąć je do oprawki i ponownie obrócić w dół. Nelson upadł na ziemię, jednocześnie wyczerpany i uradowany. Udało ci się – zaczął sobie powtarzać. Zrobiłeś to...

A potem już wszystko wiedział. W sypialni nic się nie poruszyło, żadnego skrzypnięcia, szmeru, ale mimo wszystko on już wiedział.

– Jesteś tutaj, prawda?

– Och, tak – odparł głos w ciemności.

9

Walić suszę i oszczędzanie wody – Dorie pragnęła wziąć prysznic i żeby to trwało całą wieczność. Gorący, koniecznie gorący. Zdjęła różowe szmatki, otrzymane od pielęgniarek na ostrym dyżurze, weszła pod prysznic i puściła bąka.

Pozbycie się smrodu, w którym dało się wyczuć tani truskawkowy płyn do kąpieli Missy, kosztowało ją dziesięć minut i kilka namydlań ciała. Biedna Missy – pomyślała. Gdy Dorie i Pender wyszli z piwnicy, pielęgniarka wciąż robiła Missy sztuczne oddychanie; w tym czasie przyjechali sanitariusze i przejęli resuscytację, a siostra Apple prawie zeszła na hiperwentylację, i chociaż lekarze w karetce nieprzerwanie próbowali przywrócić Missy funkcje życiowe przez całą drogę do szpitala Alta Bates, nikt nie był zaskoczony, gdy już na miejscu stwierdzono zgon.

Dorie stwierdziła, że mimo wszystko dobrze się stało – z tego, co się dowiedziała o relacjach między rodzeństwem, Missy prawdopodobnie wolałaby śmierć niż jakąkolwiek rozłąkę ze swym starszym bratem.

Gdy splukwała odżywkę z włosów, skończyła się ciepła woda. Wyszła spod prysznicu, owinęła włosy ręcznikiem i zawinęła go w turban. Wytarła się, obficie obsypała ciało talkiem o zapachu L'Air du Temps – była to jedna z jej ekstrawagancji – i wróciła do sypialni, by rozpocząć swoje przymiarki. Drogie „Cosmo”, co powinna włożyć na siebie kobieta na nieformalne tête-à-tête z mężczyzną, który ocalił jej życie, z którym być może pewnego dnia się zwiąże – ale dzisiaj z pewnością do niczego nie dojdzie, pomimo iż już zaprosiłam go na noc do domu?

Potem przypomniała sobie, że przecież Pender widział ją już nago i to w możliwie jak najmniej podniecających okolicznościach, a potem nosiła te szkaradne różowe szmaty, więc co za różnica, co teraz założy? W końcu wybrała coś wygodnego: szerokie polarowe spodnie dresowe i luźną bluzę drużyny futbolowej Carmel Padres, po czym zeszła do kuchni, gdzie Pender właśnie klęczał i jedną ręką szorował parkiet.

– A nie mówiłem? – rzekł, wstając z podłogi. Jego strój – beret, wygnieciona koszulka polo i spodnie w kratę sprawiające, że od tyłu wyglądał jak sofa w pokrowcu – przypominał, że szata rzeczywiście nie zdobi ani mężczyzny, ani kobiety. – Jak nowy. Nawet nie zdrapałem wosku.

– Penderze, jesteś królem.

– Tak mawiają.

– Głodny?

– To mało powiedziane.

– Jakie lubisz jajka?

– Sadzone i śliczne, takie jak ja.

– A masz ochotę na piwo?

– Ponoć to najlepszy pokarm.

– Szklanekę?

– Niiieee.

– Takich mężczyzn lubię!

Podawała mu ciemne, ale Tree Frog – wcześniej nie znał tej marki. Posiłek był perfekcyjny, jajka ani zbyt ścięte, ani za rzadkie, bekon ani zbyt chrupiący, ani spalony. Pender powiedział Dorie, że może mu robić śniadania, kiedy tylko zechce.

– A ty możesz czyścić mi podłogę w kuchni. – Napiała się piwa, oczywiście prosto z butelki. – Jak myślisz, gdzie jest Simon?

– To pytanie za milion dolarów. – Zebrał żółtko rogiem tosta. – Trochę go już znasz. Czy kiedykolwiek wspominał imiona jakichś bliskich przyjaciół, krewnych, kogokolwiek, kto mógłby go teraz ukrywać? Obstawiam, że przebywa gdzieś nad Zatoką, ponieważ musiał jak najszybciej schować samochód.

– Nic nie przychodzi mi do głowy. Ale go złapią, prawda?

– Co? A, jasne. Możesz się założyć.

– Nie wyglądasz na przekonanego.

Spojrzał na nią znad talerza.

– Słonko, ścigałem potwory przez długi czas. – W jego łagodnych brązowych oczach pojawił się smutek kogoś, kto widział wszystkie okropieństwa. – Powiedz mi, ile chcesz usłyszeć.

– Chowałam się przed potworami przez długi czas – odparła Dorie. – Powiedz mi to, co twoim zdaniem powinnam wiedzieć.

10

Podczas gdy Nelson stawiał w garderobie czoła swym demonom, Simon stawał twarzą w twarz ze swoim demonem – w liczbie pojedynczej. Przy każdym ruchu elektryczną maszynką ujawniał się kawałek po kawałku. Bzzz, zniknęły wdowi szpic i reszta falujących srebrnych włosów. Wszystko to było częścią planu B. Simon był tak bardzo przyzwyczajony do swojego przystojnego wizerunku z siwymi włosami, że obcięcie ich było pierwszą rzeczą, jaka przyszła mu do głowy w kwestii zmiany wizerunku.

A potem, bzzzz, zgolił dwudniowy zarost, bzzzz, zgolił wąsy i przypomniał sobie, że zapuścił je głównie w celu ukrycia długiej, okrutnie wyglądającej górnej wargi, którą odziedziczył po rodzinie ze strony Childsów.

Jednak ogolona głowa i twarz nie przywołały demona. Zaczął on nabierać kształtu dopiero, gdy zniknęły brwi. Jednak transformacja w dziadka Childsa, który jako chłopiec przeszedł tak poważny atak szkarlatyny, że został bez ani jednego włosa na ciele, nie dokonała się, dopóki Simon nie dokończył zadania i nie wyciął sobie rzes.

Na szczęście Nelson miał parę bezpiecznych nożyczek o zaokrąglonych końcówkach, bo i jakich innych mógłby używać. Pochylił się nad zlewem tak bardzo, że jego twarz znajdowała się kilka centymetrów od lustra. Gdy przycinał rzesy tuż przy skórze, oczy łzawiły mu jak królowej opery mydlanej. Odsunął się od lustra i voilà, oto gwóźdź programu. Nigdy wcześniej nie uważał swoich bladoniebieskich oczu za zimne, ale po usunięciu rzes wyglądały jak gadzie.

Wiedział, że gdy wreszcie opuści schronienie w domu Nelsona, będzie to bardzo przydatne. Po pierwsze władze nie będą szukać nikogo o łysej czasce, a po drugie nikt nie będzie zbyt długo wpatrywać się w twarz pod tą łysiną, nie w takie oczy.

Wprawiały w zakłopotanie nawet Simona. Odwrócił się od lustra, schylił się i zaczął przeszukiwać szafkę na różności pod zlewem, aż w końcu znalazł trochę oczaru, którego mógł wykorzystać jako balsam po goleniu – nie chciał zepsuć efektu i zlać się Old Spice'em Nelsona.

Nie był zaskoczony, że z początku Nelson odmówił wyjścia z szafy.

Hej, im dłużej, tym lepiej – pomyślał Simon. Odroczone gratyfikacja i te sprawy. A gdy zobaczył, że Nelson nabrał się na stary numer: ciężkie kroki na schodach, powrót na palcach do sypialni, czekał cicho jak pająk, żeby zobaczyć, czy Nellie rzeczywiście spróbuje zamknąć drzwi.

Zaskoczyło go natomiast, że Nelson tak szybko to wykombinował, jeszcze zanim Simon zdążył wyskoczyć z własną niespodzianką. Ale gdy chodziło o grę strachu, Simon był bardzo pomysłowy. Pomógł Nelsonowi wstać, zaprowadził go do łóżka i pozwolił mu szlochać przez kilka minut, aż wróciło mu trochę endorfin.

Potem, gdy w jego mniemaniu nadszedł właściwy czas, włączył światło i zdjął przepaskę z jego oczu.

11

– Obawiam się, że w tym przypadku rozpoznanie Simona jako naszego podejrzanego było tą łatwiejszą częścią zadania – wyjaśnił Pender podczas następnej kolejki piwa. – Jego błąd polegał na tym, że kazał usunąć Stowarzyszenie OSZF. Tak długo, jak uważaliśmy je za legalne, był tylko jedną z potencjalnych ofiar, przynajmniej do chwili przesłuchania i sprawdzenia jego alibi.

– Czyli nie byłoby już czasu na uratowanie mnie – stwierdziła Dorie, zmywając naczynia. Kilka piw, kolejny vicodin i nie czuła żadnego bólu. – Wiesz, że zawdzięczam ci życie. Czy już ci za to dziękowałam?

– Nie bądź sentymentalna – odrzekł ukryty sentymentalista. – Jak już mówiłem, to była ta łatwiejsza część. Teraz, gdy ucieka, sprawy mogą obrać tuzin różnych kierunków, i nie mam tutaj na myśli tylko względów geograficznych. Przy takiej osobowości nie można przewidzieć, co się wydarzy. Zwłaszcza teraz, gdy nie żyje jego siostra. Boże, jakie ja mam wyrzuty sumienia.

– Daj spokój, lekarz powiedział, że to mogło się wydarzyć w każdej chwili.
– Okej, ale ona ocalała moje życie, a nawet nie mam jak jej podziękować. Czy byli ze sobą tak blisko, jak się wydawało?

– Bliżej.

– Myślisz, że było tam coś... – Odstawił butelkę i machnął ręką w nieokreślony sposób.

Dorie wzdrygnęła się.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

– Nieważne. Można założyć, że wieść o jej śmierci będzie ciosem dla mężczyzny, który i tak jest już maksymalnie zestresowany samym faktem uciekania, a prawdopodobnie był niestabilny od samego początku. Więc z jednej strony możemy mieć do czynienia z działającym chaotycznie psychotycznym seryjnym zabójcą na krawędzi załamania. Z reguły kończy się to albo samobójstwem, albo wymuszonym prowokacją zabiciem przez policjanta. Jeśli jeszcze do tego nie doszło, to wkrótce może dojść. Z drugiej strony możemy mieć do czynienia z przebiegłym, zorganizowanym, psychotycznym seryjnym mordercą działającym teraz w furii, o sporych zasobach finansowych, który ma plan, fałszywą tożsamość, odłożone pieniądze i być może kryjówkę w miejscu, w którym nie zadają zbyt wielu pytań. Jeśli tak jest, to sytuacja może rozwinąć się w tyłu kierunkach, że nie mógłbym tego powstrzymać, nawet gdybym chciał. Mogę ci powiedzieć, że bardzo niewielu seryjnych morderców dobrowolnie się poddaje. Więc jeśli do jutra rana go nie złapią ani nie znajdą jego ciała, może czekać nas długa, nierówna walka.

– Myślisz, że może śledzić któreś z nas? – spytała Dorie, ponownie siadając naprzeciwko Pendera.

– Prawdopodobnie nie. Nie pamiętam przypadku, w którym seryjny morderca wrócił do ofiary, chyba że byli spokrewnieni. Jeśli chodzi o zaatakowanie mnie, to jest to jeszcze mniej prawdopodobne. Seryjni zabójcy z reguły wybierają ofiary, które mogą zdominować i kontrolować. Zabójcy policjantów są inni. Z reguły mają mentalność zamachowców i w praktyce jest im obojętne, którego glinę sprzątną. Rzadko są to kwestie osobiste.

Talerze były czyste, butelki puste. Dorie stłumiła ziewnięcie.

– Pora iść do łóżka – stwierdziła.

– Zdecydowanie pora iść do łóżka – zgodził się.

– Przewietrzyłam pokój gościnny. Nikt tam nie spał, odkąd... dobry Boże, odkąd byli tutaj Missy i Simon.

– W czerwcu, tak?

– W czerwcu. Zabrał Missy na urlop, żeby zrekompensować jej swój wyj... wyj... – Jęknęła.

– Co?

– Jakiś wyjazd służbowy. To musiało być Chicago. Pewnie właśnie zabił Kimberly Rosen. – Zadrzała. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko spaniu tam, zmieniałam pościel.

– Może być sypialnia dla gości – odparł. Oczywiście fantazjował na temat spania z Dorie, ale nie sądził, by była jakaś szansa, żeby chciała spać z nim, tym bardziej, że przeżycia ostatnich dni dały jej się we znaki. Poza tym wcale nie był pewien, czy on również miał dzisiaj ochotę na seks, taki poobijany, wyczerpany i straumatyzowany. Z drugiej strony jaka by to była tragedia, gdyby się okazało, że ona chciała i tylko czekała na pierwszy krok z jego strony. – Oczywiście przy braku innych propozycji – dodał.

Dorie, lekko skołowana, zignorowała jego sugestię. Mężczyźni – pomyślała. O ile było jej wiadomo – pomimo ciepłej, złotej i bezbolesnej poświaty płynącej z vicodinu i piwa – zdecydowanie nie czekała na pierwszy ruch ze strony Pendera, nie z twarzą wyglądającą jak u Rocky'ego Balboa po walce z Apollo Creedem. Chociaż musiała przyznać, że akurat dzisiaj miło by było przytulić się do kogoś większego i silniejszego od niej – w dodatku z odznaką. Jednak zbyt dobrze знаła mężczyzn i była zbyt ostrożna, by oczekiwać, że dorosły facet poprzestanie na przytulaniu – w każdym razie dorosły heteroseksualny facet.

– W łazience są czyste ręczniki – powiedziała, wchodząc po schodach. – Jeśli zgłodniejesz w środku nocy, korzystaj z kuchni. Z reguły nie włączam pieca aż do listopada, więc jeśli zmarzniesz, dodatkowe koce są w... Och, do diabła z tym. Chrapiesz?

– Jak traktor.

– Ja też. Mój pokój jest w tę stronę.

– Czy to jest ta właśnie propozycja, na jaką miałem nadzieję?

– Niczego nie obiecuję – odparła. – Po prostu przytulmy się i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Może powinniśmy najpierw spróbować pocałunku? – zasugerował.

– Uważaj na nos – rzekła Dorie.

– Uważaj na rękę – rzekł Pender.

Nelson szlochał. Ktoś o silnych dłoniach, pachnący oczarem, pomógł mu wstać i zaprowadził go do łóżka. Usiadł, rozprostowując nogi, ręce mając wciąż związane na plecach, i oparł obolałe ramiona o orzechowy zagłówek.

Zdjęto przepaskę. Nelson otworzył oczy i został oślepiony przez ostre białe światło. Gdy odwrócił wzrok, dojrzał zakapturzoną postać siedzącą na skraju łóżka, która kierowała strumień światła prosto w jego oczy.

Bądź odważny – rozkazał sobie Nelson. – Raz w życiu bądź odważny.

– Simonie? Czy to ty?

– Tak i nie.

– Co to ma znaczyć?

Gdy oczy Nelsona przyzwyczyły się do warunków zewnętrznych, zauważył, że Simon pożyczył jedną z jego bluz i założył kaptur, by zakryć głowę i schować twarz w cieniu.

– To wszystko jest elementem gry, Nellie, wszystko jest elementem gry.

– Nie gram w tę twoją cholerną grę! – odparł Nelson zbyt głośno. Nawet w jego własnych uszach głos zabrzmiał bardziej niepewnie niż prowokująco. Poczuł, jak odwaga – a przynajmniej postanowienie bycia odważnym – odpływa.

– Doprawdy? – rzekł chrapliwy nowy głos, zarówno znajomy, jak i obcy, bardziej nosowy niż zwykły głos Simona, odrobinę drżący. Nelson rozpoznał go natychmiast, chociaż nie słyszał go od czasów dzieciństwa.

Gdy postać zdjęła kaptur i powoli przesunęła do siebie źródło światła, Nelson poczuł się, jakby przeszedł przez pryzmat – taki, w którym promienie światła zbiegają się i łączą w jeden punkt, by po drugiej stronie wyłonić się w odwróconym spektrum.

– Nie – szepnął, próbując zamknąć oczy i zapomnieć o tym, czego, jak sobie powtarzał, z pewnością nie mógł zobaczyć, ale już było za późno. Nelson przeszedł już na drugą stronę pryzmatu i wpatrywał się w pozbawione rzęs i brwi gadzie oczy łysego mężczyzny, którego ostatni raz widział ponad trzydzieści pięć lat temu, kiedy ten leżał w morzu krwi na podłodze zadymionej łazienki, z gardłem podciętym od ucha do ucha, wciąż trzymając brzytwę w martwej dłoni.

Dobre trzęsienie

1

Komórka obudziła Pendera kilka minut po szóstej w sobotę rano, odegrawszy pierwsze dwa takty Moon River gdzieś w jego spodniach leżących na podłodze obok łóżka Dorie. Emerytura czy nie, po dwudziestu siedmiu latach w Biurze nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby nie odebrać. Złapał spodnie, wyniósł je na korytarz i znalazł telefon w ostatniej chwili przed włączeniem się poczty głosowej.

Dzwonił Steve McDougal, który przez długi czas był szefem Pendera, a przez jeszcze dłuższy – jego przyjacielem.

– Chryste, Pender, czy ja w tym tygodniu przypadkiem nie byłem na imprezie z okazji twojego przejścia na emeryturę?

– Trochę tutaj pomyszkowałem, wyświadczyłem przysługę Abruzzi, a teraz sprawa stała się osobista.

– Ale co, do kurwy nędzy, napadło cię, żeby włączyć do domu podejrzanego bez nakazu ani wsparcia?

– Jego siostra zaprosiła mnie do środka.

– Ed, kurwa, to była mongołowata idiotka! Tak w ogóle, to co tam robiłeś?

– To się nazywa zespół Downa. Dorie wspomniała o Childsie poprzedniego wieczoru. Gdy zniknęła, zacząłem martwić się o jej bezpieczeństwo. – Taką historię opowiadał od chwili, gdy wieczorem poprzedniego dnia pierwsi policjanci dotarli na miejsce zbrodni. Miał zamiar się jej trzymać, ponieważ ułatwiała życie wszystkim zainteresowanym. – Postanowiłem tam podskoczyć i go sprawdzić, ale nie jako podejrzanego, a jako potencjalną ofiarę. Siostra zaprosiła mnie do środka, on mnie zaatakował. I się zaczęło. A przy okazji, w czwartek po południu próbowałem się z tobą skontaktować, ale nie oddzwoniłeś.

Nieważne, że czwartkowy telefon nie miał nic wspólnego z poruszaną kwestią, Pender i tak postanowił go wykorzystać. Gdy zabraknie kul, do armaty wrzuca się wszystko: kartacze, złom, cokolwiek. Czasami nawet udaje się tym w coś trafić.

– Już dobrze, dobrze – odparł McDougal. – Rozmawiamy teraz i zarówno jako twój przyjaciel, jak i szef, chcę, żebyś mi przyrzekł, że od tego dnia słowo „emerytura” będzie oznaczało dla ciebie tylko pobieranie pieniędzy i czytanie durnych gazet. Żadnego węszenia, żadnych przysług dla Abruzzi, nic. Zgoda?

– Jasne, umowa stoi. – Pender stwierdził, że nie było sensu wspominać o nowo rozpoczętym romansie z jedną z ofiar. – Wracając do Abruzzi, mógłbyś ściągnąć Maheu z jej tyłka?

– Dlaczego, co się dzieje?

Pender wszystko mu opowiedział.

– Najgorsze w tym wszystkim jest to, że jeśli kiedykolwiek Wydział Łączności mógłby przydać się w jakiegokolwiek sprawie, to właśnie w tej. Childs jest bogaty, podstępny, mobilny. Po kraju prawdopodobnie jest porzucanych więcej ofiar, o których nie wiemy, i podejrzewam, że będzie pozostawiać kolejne. Poza tym Abruzzi ma za sobą kilka kiepskich przeżyć, dlaczego nie dać jej szansy?

– Przemyślę to. Przez tę panikę z pluskwą milenijną mamy braki w personelu. Tylko jeśli dam jej tę sprawę, to ma być jasne, że daję ją jej, a nie tobie. Ty już wypadłeś z gry.

– Wypadłem, wypadłem. Mam jeszcze inną prośbę... Czy masz jeszcze tę laskę, którą dałem ci po twojej operacji kolana...?

2

Zap Strum, który nie był rannym ptaszkiem – nie był nawet ptaszkiem dziennym – zaskoczył Simona, odbierając telefon już po pierwszym sygnale.

– Staaary, znowu byłeś w wiadomościach – powiedział, jeszcze zanim Simon się przedstawił. – Jesteś sławny. Jak ci się podoba u pana Nelsona Carpentera na 1211 Baja Way w malowniczym Concord?

– Skąd wiesz? – padło ostre pytanie.

– Stary, proszę cię. – Strum zdawał się lekko urażony, jakby ktoś spytał Houdiniego, jak udało mu się zrobić małemu dziecku trik „zabrałem twój nos”. – Nie masz się czym martwić, gdybym chciał cię sypnąć, zrobiłbym to już wczoraj wieczorem.

– Masz informacje, o które prosiłem?

– Jasna sprawa. Ale będzie cię to kosztować trochę więcej, niż ustaliliśmy. W końcu uciekasz przed wymiarem sprawiedliwości i tak dalej.

– Nie ma problemu – odparł Simon. I tak jesteś już martwy.

Przed wyjściem zajrzał do Nelsona, który drugą część nocy spędził nagi w wannie. Nie z własnego wyboru – po prostu po grze Simon przykleił go do niej na super glue.

– Muszę wyjść na jakiś czas – oznajmił grzecznie Simon. – Biorę twój samochód. Spróbuj nie psocić, jak mnie nie będzie.

Nie usłyszał odpowiedzi – i nic dziwnego, ponieważ usta mężczyzny również zostały zaklejone. Pomysł na to wziął się z nawracającego dziecięcego koszmaru Nelsona, który Simon pamiętał przez wszystkie te lata. Młody Nellie śnił o wiedźmach, które go więziły, i żeby nie krzyczał, ścierały jego usta gumką z taką łatwością, jakby był postacią z kreskówki. W prawdziwym życiu pełne paniki szarpanie się i rozciąganie posmarowanych klejem ust byłoby o wiele bardziej satysfakcjonujące dla Simona, gdyby nie wyraźne szaleństwo w oczach Nelsona.

Strach pobudzał Simona, ale obłąd go odpychał – postanowił więc, że po powrocie zaklei również powieki.

3

Linda Abruzzi obudziła się w sobotę rano na przyjemny dźwięk słabego deszczu padającego na rozwalający się gont na starym domu nad kanałem. Odgłos był bardzo melodyjny. Linda nie przypominała sobie podobnie delikatnego deszczu w San Antonio, gdzie czasami miała wrażenie, jakby nieustanna susza była przerywana tylko okazjonalnymi morderczymi ulewami.

Leżała pod kołdrą jeszcze przez jakieś pół godziny, rozkoszując się myślą, że ma cały dom dla siebie w dzień wolny od pracy. Gdy ostatnim razem rozmawiała z Penderem poprzedniego dnia po południu, powiedział jej, że mimo wszystko odwołał lot i miał zamiar trochę „powęszyć”. Wydarzenia przy Grizzly Rock Road miały miejsce już po tym, jak wyszła z biura. Kiedy wreszcie wygrzebywała się z łóżka, by pójść do toalety po drugiej stronie korytarza, miała niejasne przeczucie, że o czymś zapomniała. Chwilę później leżała twarzą w dół na twardej podłodze z desek.

Oczywiście chodziło o opadanie stopy – zapomniała o niedowładzie w mięśniach piszczelowych przednich, który sprawiał, że potykała się o własne palce, jeśli nie założyła usztywniaczy.

Leżąc tam, wiedziała, że na szali ważył się właśnie cały dzień, a może i cały weekend, więc zmusiła się do śmiechu.

– Daję ci dziewięć i pół punktu – ogłosiła, podciągając się na łóżku. – Wysoki stopień trudności, ale lądowanie było ociupinkę zbyt twarde.

Gdy wyszła spod prysznicą, akurat przestało padać. Po wstrzyknięciu sobie Betaseronu, który powodował powstawanie brzydkich, czerwonych wybroczyn wokół miejsca wbicia igły, i śniadaniu złożonym z kawy, witamin, suplementów i koktajlu wypitego na tylnym ganku, postanowiła dokładniej rozejrzeć się po domu. Ponieważ budynek został wzniesiony na zboczu zniżającym się ku kanałowi, drzwi frontowe były na poziomie ziemi, a tylny ganek znajdował się około cztery i pół metra nad zboczem.

Na lewo od salonu, stojąc twarzą do tyłu domu, zbudowano skrzydło sypialniane. Pokój Pendera, największy z siedmiu sypialni, znajdował się pod koniec długiego korytarza. Linda wybrała trzecią sypialnię, najmniejszą, ale dokładnie naprzeciwko łazienki dla gości.

Na prawo od salonu biegł drugi korytarz, kończący się w niewielkiej kuchni, która mogłaby być przytulna, gdyby nie była aż tak brudna. Wysprzątanie jej wymagało ogromnego wysiłku, ale Linda wiedziała, że jeśli miała tutaj zostać, będzie musiała się tego podjąć.

Jednak w tej chwili najbardziej potrzebowała jakichś czystych ubrań. W poszukiwaniu pralni otworzyła drzwi na końcu kuchni, zarzuciła torbę z praniem i ostrożnie pokuśtykała po ciemnych wąskich schodach z poręczą po prawej oraz pionowym spadem po lewej.

Piwnica również była ciemna i wąska, biegła wzdłuż, ale nie wszerek budynku, i stanowiła połączenie pralni, magazynu i wojskowego toru przeszkód. W ceglastej okładzinie ścian były dziury. Betonowa podłoga wyglądała, jakby nigdy nikt jej nie zamiatał, a poprzeczne belki, wspierające podłogę z desek na górze, były z kolei wspierane lasem przypadkowo dobranych belek o różnych kształtach, rozmiarach, wieku i pochodzeniu. Niektóre były proste i ociosane, z niezdarne ściętymi narożnikami, inne masywne jak pnie drzew, niektóre szare, zaokrąglone i z drzazgami jak słupy telefoniczne, a jeszcze inne tak nowe, jakby zabrane prosto z placu budowy.

Linda pomyślała, że nie jest to miejsce, w którym chciałyby się znaleźć podczas trzęsienia ziemi, ale wystarczyło jej, że znalazła tu sędziwą pralkę i suszarkę oraz sznurek do wieszania prania rozpięty między belkami. Stwierdziła, że nie ma sensu wspinać się po tych stromych schodach, skoro i tak będzie musiała wyciągnąć pranie i wstawić nowe, więc po wrzuceniu do pralki kolorowych ubrań zaciągnęła beznogi, wysiedziany fotel w pobliżu pieca i zaczęła kartkować stare czasopisma „National Geographic” znalezione w jakimś pudle. Pół godziny później, gdy prały się ubrania białe, kolorowe były już w suszarce, a Linda znajdowała się w Kalahari z plemieniem nieodpowiednio ubranych Buszmenów, usłyszała telefon dzwoniący bezpośrednio nad jej głową. Włączyła się automatyczna sekretarka i, co mniej lub bardziej zaskakujące, biorąc pod uwagę architektoniczne dziwactwa tej starej nory, Linda słyszała każde słowo.

Prawdziwie zaskakujące było dopiero to, że dzwonił zastępca dyrektora Stephen McDougal i wzywał właśnie ją. Nie miała szans, żeby odebrać. Zostawił swój prywatny numer i rozłączył się, jeszcze zanim zdołała zebrać się z beznogiego fotela. Chwilę później usłyszała znajome ćwierkanie, również nad głową, ale dużo bardziej na prawo. Poczula ścisk w dołku i uświadomiła sobie, że zostawiła swoją komórkę w sypialni.

Wchodząc w pośpiechu (pośpiech to pojęcie względne) po schodach, pomyślała, że nie jest dobrze. Agenci FBI powinni być pod telefonem przez cały czas – tak brzmiał fragment opisu tej pracy – i chociaż technicznie rzecz biorąc, nie była już agentką specjalną, wiedziała, że nieodebranie telefonu od zastępcy dyrektora nie pomoże jej w karierze zawodowej.

Faktycznie numer telefonu mrugający na ekranie komórki Lindy zgadzał się z numerem podanym przez McDougala. Mimo wszystko szef chyba nie był zdenerwowany. Wręcz przeciwnie: grzecznie podziękował jej za oddzwonienie, a potem spytał, czy ostatnio rozmawiała z Penderem.

– Ostatni raz wczoraj po południu.

– Czyli jeszcze nie słyszałaś?

– O czym?

– Ile zajmie ci dotarcie do mojego biura?

– Jest pan w Edgar?

– W Edgar. – Jego głos był rozbawiony. – Tak, jestem w Edgar.

– To zależy od korków. Ale jest sobota, więc...

– Widzimy się za godzinę.

– Ale...

Za późno – połączenie zostało przerwane.

4

Jesienią 1999 roku, gdy bańki internetowe nadymały się do granic możliwości, a pikowanie pierwszych korekt rynkowych miało dopiero nastąpić, obszar SoMa na Market Street w San Francisco był miejscem spotkań cyberprzedsiębiorców. Gwałtowny wzrost czynszów wygnał z loftów i magazynów większość poprzednich lokatorów SoMa, składających się z walczących o uznanie artystów i amatorów skórzanych strojów oraz skrupowania i dyscypliny. Obecnie każda witryna mogąca pomieścić kilka komputerów, szafę serwerową i ekspres do kawy stanowiła siedzibę IPO in posse.

Kenny Strum, który od podziwiających go kolegów hakerów otrzymał ksywę Zap z uwagi na umiejętność zredukowania dysku twardego do wielkości drogiego frisby, jeśli się go wkurzyło lub po prostu był w takim nastroju, zajmował od trzech lat loft na Brannan Street. Jego pięcioletnia umowa najmu sprzed ery dotcomów była obiektem zazdrości sąsiadów i powodem rozpaczki hinduskich właścicieli lokalu. Zap wprowadził do tego miejsca kilka poprawek – o ile pod pojęciem poprawek

rozumiemy założenie w oknach krat z hartowanej stali i podwójne drzwi wejściowe z kurtyną powietrzną oraz kamerą nadzorującą.

Strum nie był paranoikiem, tylko realistą. Od czasu powrotu z Amsterdamu na początku lat dziewięćdziesiątych robił interesy z pewnymi bardzo podejrzanymi ludźmi. Jak na ironię losu założenie i hosting Phobia.com dla jednej z tych podejrzanych osób, Simona Childsa, należało do legalnych działań Struma, zapewniających mu dostatecznie dużo dochodu podlegającego opodatkowaniu, żeby nie wzbudzać podejrzeń urzędu skarbowego. Ich relacje byłyby całkowicie zgodne z prawem, gdyby Zap nie był dla Simona również najbardziej wszechstronnym i godnym zaufania dostawcą zakazanych substancji, do których zaliczały się między innymi uncje super sinsemilli, butelki roztworu Rohypnolu i jedna samotna, mała niebieska kapsułka samobójstwa.

Strum, gruby, zgryźliwy trzydziestolatek z niehigienicznie wyglądającymi blond dreadami, palił z bonga przez cały ranoek w oczekiwaniu na przyjazd Childsa. Jeśli chociaż połowa z tego, co mówili w wiadomościach, była prawdą, to Simon Childs był niebezpiecznym zbiegiem – ale niebezpiecznym zbiegiem potrzebującym pomocy Zapa. Powtarzał to sobie, żeby się nie martwić, jednak gdy rozległ się dzwonek do drzwi i sprawdził kamerę nadzorującą, musiał się jeszcze raz sztachnąć, by ukoić nerwy. Jeszcze jedno spojrzenie dla pewności – zmiana w wyglądzie Simona była tak zaskakująca, że z początku Zap go nie poznał.

– Świetny nowy image – powiedział, przeciągając samogłoski, gdy Simon, który taszczył ze sobą wielką skórzaną teczkę, wszedł na otwartą klatkę schodową prowadzącą do loftu. Zap siedział za najnowszym modelem biurka firmy Aeron. – Jeśli kiedykolwiek zacznę je tracić – z czułością dotknął wypłowiałych dreadów – to też się tak ogolę. Wygląda to dużo lepiej niż zaczeska.

– Och, zamknij się – powiedział Simon. – To kamuflaż.

– Tak sobie tylko robię jaja, stary.

– To nie rób. Mam za sobą trudny czas. – Rozejrzał się za jakimś miejscem do siedzenia i zadowolili się podnóżkiem w kształcie siodła stojącym obok krzesła Struma. – I przestań nazywać mnie „stary”.

– Sorry, stary.

Zap zaproponował mu bonga.

– Chcesz się sztachnąć?

– Może później. Co dla mnie masz?

– Mnóstwo. A ty dla mnie?

– To, o co prosiłeś. – Poklepał teczkę, którą trzymał na kolanach.

– Rewelka.

Strum sięgnął za siebie, obracając krzesło tak, żeby nie stracić kontaktu wzrokowego z Simonem. W tych bezręcznych, bezbrwiowych, nagich oczach było coś niemal hipnotycznego: nie chciało się w nie patrzeć, ale też nie chciało się odwracać wzroku. Wyjął z drukarki dziesięciostronicowy wydruk.

– Zacząłem od standardowego wyszukiwania w Google, było jakieś trzysta, czterysta trafień. Wiadomości, komunikaty prasowe FBI, teorie spiskowe, zwykłe bzdety, masz tam kilka najważniejszych wyników. Ale jedna rzecz zwróciła moją uwagę: komunikat prasowy z „Publishers Weekly”, że St. Swithin’s Press kupiło prawa do wydania autobiografii Pendera, nad którą będzie pracował z freelancerem Arthurem Bellcockiem.

Mówiąc szczerze, stary, gdy zeszłego wieczoru nad tym usiadłem, nie myślałem, że uda mi się dużo znaleźć. Dane, których szukasz, prawdziwe osobiste informacje są nie do znalezienia w sieci, chyba że facet jest jakimś freakiem. Ale stwierdziłem, że, kurwa, skoro ten Bellcock ma takie unikalne nazwisko, to spróbuję. Oczywiście udało mi się znaleźć jego adres mailowy, przebiłem się przez standardowego firewalla Microsoftu z typowymi dziurami jak w szwajcarskim serze i ściągnąłem twardego dyska gościa. Wydaje się, że nie zaczął jeszcze pisać, a jeśli już rozpoczął, to nie na komputerze, bo nie ma nawet żadnych notatek.

Ale patrzę, co tam jest, i jebut! Znajduję całą listę kontaktów, które Bellcock dostał od samego Pendera, sięgającą aż czasów dzieciństwa. Przyjaciele, rodzina, nazwiska, adresy, numery telefonów. – Strum pomachał wydrukiem nad głową. – Wszystko masz tutaj. Na twoim miejscu zacząłbym od siostry.

– Doceniam radę – rzekł Simon. – A czy ten Bellcock może w jakiś sposób zorientować się, że wykradziono mu dane?

– Facet z takim systemem? Gdyby mały dzwoneczek nie robił ding-dong, gość nawet nie wiedziałby, że dostał maila. O, właśnie, prawie zapomniałem, mam też ten drugi adres, o który prosiłeś.

– Jaki drugi adres?
– Przestraszony kot na Netscape?
– A, prawda. Przez to wszystko o nim zapomniałem.
– Wyobrażam sobie – odrzekł Strum. – Bardzo proszę, masz to gratis. A gdzie to ja... A, tutaj. – Zap odwrócił się, odczepił kolorową karteczkę z tablicy korkowej na ścianie za swoim biurkiem i wręczył ją Simonowi. – Nazwa konta jest taka sama jak nick, ale według ISP linia telefoniczna jest zarejestrowana na kogoś o nazwisku Gee. Tu masz adres.
– Dzięki. – Simon włożył karteczkę do kieszeni, nawet na nią nie patrząc. – A co z wydrukiem?
Mężczyźni siedzieli twarzą w twarz, prawie kolano w kolano. Strum jedną ręką podał Simonowi wydruk, drugą wziął teczkę, otworzył ją, zajrzał do środka i pokiwał głową z aprobatą. – Dzięki, interesy z tobą to sama przyjemność, stary.
– Wzajemnie – odparł Simon. – Ale potrzebuję teczki z powrotem.
– Jasna sprawa. – Zap znowu obrócił się na krzesło.
Gdy zaczął wykladać na biurko pieniądze Simona odłożone na ucieczkę – dziesięć tysięcy dolarów w plikach wytartych dwudziestek o niesekwencyjnej numeracji – poczuł mocne uderzenie w prawy bok, tuż pod klatką piersiową.
Z początku przyszło mu do głowy, że Simon uderzył go pięścią.
– Stary! – mruknął z dezaprobatą. Potem podniósł prawą rękę, spojrzał pod pachę i zobaczył, że z jego boku wystawało coś, co wyglądało jak kawałek ciemnego drewna. Zdezorientowany, na początku miał wrażenie, że to tylko tępy cios. Próbował podnieść koszulkę, żeby bliżej się temu przyjrzeć, ale materiał nie chciał odejść. Był przybity do ciała czymś, co, jak sobie teraz uświadomił, było nożem z drewnianą rękojeścią. – Kurwa, stary!
Simon, rozdarty między odruchem cofnięcia się, żeby nie ubrudzić się krwią ani nie poplamzić wydruku, a chęcią przybliżenia się, aby niczego nie przegapić, zadowolił się schowaniem wydruku w ramionach i pochyleniem się nad Strumem, by poszukać w jego oczach pierwszych śladów strachu. Zamiast tego znalazł jedynie ból i zmieszanie.
– To nic osobistego – wyjaśnił, gdy Zap z trudem próbował wyciągnąć nóż o ząbkowatym ostrzu ze swej nerki. Simon pomyślał, że musiało to być bardzo bolesne. – Po prostu nie mogę ryzykować. Wiesz, jak wyglądam, gdzie mieszkam i dokąd zmierzam. Poza tym będę potrzebować tej gotówki. Musisz przyznać, że ostatnio zrobiłeś się chciwy.
– Przykro mi – sapnął szczerze Zap.
Nie było w tym śladu ironii, tylko żal. Było mu przykro, bo stał się chciwy, bo umierał, bo prowadził cały ten zaszraniony interes, ale najbardziej było mu przykro z powodu wszechogarniającego, tak bardzo go przerastającego, bólu. Właściwie to było mu przykro z powodu cierpienia na całym świecie, nie tylko jego własnego, ale wszystkich ludzi.
– W porządku – odrzekł Simon.
Patrzył, jak Strum opada na krzesło, usłyszał mokre pierdnięcie i zobaczył plamę rozprzestrzeniającą się w kroczu pomarańczowych bawełnianych spodni z troczkiem, gdy śmierć spowodowała rozluźnienie się zwieraczy w ciele Zapa. Zniesmaczony Simon odwrócił się, jeszcze zanim w naćpanych oczach o czerwonych obwódkach zgasło światło.
– Teraz chyba jednak się sztachnę – dodał, sięgając po bonga. – Stary.

5

– Abruzzi. Usiądź.
Jak na mężczyznę, który nie ma już zaplecza politycznego i jest zaledwie dwa miesiące przed emeryturą, zastępca dyrektora Stephen P. McDougal ma całkiem przyjemne biuro – pomyślała Linda, starając się jak najbardziej zminimalizować powłóczenie nogami, gdy wchodziła na szaroniebieski dywan z logiem FBI na środku. Z ulgą usiadła na efektownym żółtym fotelu ustawionym na wprost wielkiego, przypominającego lotniskowiec biurka.
Po drugiej stronie znajdował się McDougal – ubrany w koszulę z długim rękawem i wspaniałą niebieską krawat ze lśniącego jedwabiu. Siedział w skórzanym dyrektorskim fotelu, swobodnie krzyżując nogi w kostkach, i czytał gazetę.

– Jak się pani czuje? – spytał, nie patrząc na nią.
Dawno temu uznałaby to za zwykłe zagajenie rozmowy, ale teraz wydawało jej się, że musi odpowiedzieć przekonująco.

– W porządku, sir – powiedziała pewnym głosem. – W jak najlepszym.

Dopiero teraz uniósł wzrok na Lindę, pochylając brodę i patrząc badawczo znad okularów połówkowych na końcu arystokratycznego nosa.

– Pool mówi, że nieźle ci idzie wdrażanie się.

– Tak, sir, wdrożyłam się.

– Czy złapałaś już tego szpiega?

Lindzie zdawało się, że dojrzała błysk rozbawienia w stalowoszarych oczach samca alfa.

– Tak, sir, tak mi się wydaje.

Eleganckim gestem złożył gazetę na pół i podał ją Lindzie nad biurkiem. Była to „Kronika San Francisco” z soboty, 23 października. FBI UDAREMNIA PRÓBĘ PORWANIA – krzyczał nagłówek dnia, SERYJNY ZABÓJCA W BERKELEY? i POSZUKIWANY SPADKOBIERCA FIRMY ELEKTRONICZNEJ – brzmiały podtytuły, a całość została opatrzona zdjęciem Pendera w komicznie przekrzywionym berecie, z prawą ręką w gipsie i na temblaku, wysiadającego z karetki z pomocą osób trzecich.

– Czy kogoś rozpoznajesz?

Szybko przebiegła wzrokiem artykuł (Simon Childs, spadkobierca fortuny Childs Electronics, krótka walka, władze podejrzewają, że jest więcej ofiar), aż znalazła informację, jakiej szukała: złamana ręka... opatrzony i wypisany ze szpitala. Z Penderem było wszystko w porządku. Poczowała większą ulgę, niż by się tego spodziewała, biorąc pod uwagę fakt, że tego wielkiego niezdarę widziała zaledwie dwa razy w życiu.

– Pewnie miał przecucie – powiedziała.

– I prawie go to zabiło – warknął McDougal.

– Miał szczęście.

– Tak jak my. Jak może pani wie, ostatnimi czasy Biuro nie cieszy się już takim uznaniem wśród dziennikarzy jak kiedyś. Dzisiaj rano dyrektor zadzwonił do mnie z domu i powiedział, że to pierwszy artykuł w jakiegokolwiek gazecie od ponad miesiąca, w którym napisano o FBI, nie wspominając o oblężeniu sekty w Waco czy o nieudolności służb.

– To znakomicie – odrzekła Linda, ale zaczęło jej się wydawać, że dyrektor Federalnego Biura Śledczego powinien mieć lepsze sposoby spędzania czasu.

– Ale jest problem.

Odczekała chwilę. Potem uświadomiła sobie, że McDougal chce, by określiła naturę problemu.

– Childs wciąż jest na wolności.

– I w tym momencie do akcji wkracza Wydział Łączności. Jesteś już gotowa i możesz koordynować śledztwem. Chcę, żebyś w nim uczestniczyła od tej chwili aż do momentu, w którym Simon Childs zostanie zabity albo aresztowany, ponieważ jeśli znowu zaczną zabijać ludzi, sytuacja może szybko ulec pogorszeniu i ponownie stracimy grunt pod nogami.

– Nie mówiąc o tym, że ludzie, których zabije, będą, jakby to powiedzieć, martwi – dorzuciła Linda.

McDougal przyglądał jej się znad okularów. Miała wrażenie, że trwało to całą wieczność.

– Wiesz, kogo mi przypominasz? – spytał wreszcie.

– Nie, sir.

– Pendera. Przypominasz mi Pendera.

– Dziękuję, sir, ja...

– On też jest wielkim wrzodem na dupie. I między innymi dlatego chcę, żebyś to ty pracowała nad tą sprawą: żeby trzymać go od tego z daleka. Jeśli chodzi o seryjnych zabójców, Pender jest jak natura: nie znosi próżni.

– Rozumiem.

Chciała oddać mu gazetę, ale machnął ręką, by ją zatrzymała.

– Proszę powiedzieć Edowi, że to do jego albumu. I jeszcze jedno... – Sięgnął pod biurko i wyjął elegancką tarninową laskę z rączką z kości słoniowej i nasadką z cienkiej warstwy ciągnionego złota. – To jego. Dałem mu ją w siedemdziesiątym piątym, gdy wziął na siebie moją kulkę. Oddał mi ją w zeszłym roku, kiedy wymieniono mi staw kolanowy. Ale nie używałem jej od miesiący. Czy mogłabyś mu ją oddać i podziękować ode mnie?

– Oczywiście – odrzekła, biorąc laskę. Była lżejsza i mocniejsza niż mogło się wydawać. – Nie wiedziałam, że Pendera postrzelono.

– To świetna historia, poproś go kiedyś, żeby ci ją opowiedział. Ale jeśli zaproponuje pokazanie blizny, to ja na twoim miejscu bym z szacunkiem odmówił.

Linda, uparta do końca, celowo unikała użycia laski zarówno podczas wstawania z fotela, gdy McDougal się z nią żegnał, jak i przy wychodzeniu z biura, ale w drodze do samochodu zorientowała się, że coraz mocniej się na niej opiera. I chociaż była dla niej zbyt wysoka, Linda czuła się o wiele bardziej stabilnie i łatwiej jej było dotykać podłoga palcami. Jakość chodzenia uległa zmianie na tyle, że gdy przyjechała do Departamentu Sprawiedliwości, nie zastanawiała się długo nad wykorzystaniem jej podczas krótkiej przechadzki do pierwszej windy ani podczas długiego spaceru z drugiej windy do biura.

Od tej pory sprawa była załatwiona – Linda się uzależniła. Za pierwszym razem, gdy próbowała iść do toalety bez laski, musiała po nią wrócić – chodzenie bez niej przypominało teraz zataczanie się na linie podczas wichury – i pod koniec dnia Linda i jej laska były już nierozłączne.

Co, jak zorientowała się poniewczasie, prawdopodobnie było główną przyczyną, dla której McDougal dał jej tę laskę. Nie mogła przestać myśleć o tym, że Pender i Dolitz mogli mieć z tym coś wspólnego. Podstępne z nich bestie.

6

Leżący na plecach, przyklejony do dna wanny od ogolonej czaszki aż po skórę na tyłku i jądrach, z rozłożonymi rękami i nogami przyklejonymi do boków wanny, Nelson odczuwał potworny ból nawet przy najmniejszej próbie zmiany pozycji. Nie mógł się ruszać, nie mógł spać i, co najgorsze – jeśli w ogóle może istnieć coś najgorszego – z zaklejonymi ustami nie mógł nawet krzyczeć.

W przeciwieństwie do Wayne’a Summersa Nelson Carpenter nie miał żadnej wyimaginowanej wiolonczeli, na której mógłby pograć, żadnych znanych na pamięć suit Bacha. Przez większość życia tak intensywnie skupiał uwagę na lękach i poświęcał energię swoim fobiom, że nie miał innych prawdziwych zainteresowań, pasji, żadnych wewnętrznych zasobów, które mógłby wykorzystać, by wydostać się z tego koszmaru na jawie. Jedyną ulgę odczuwał w okresach psychozy wywołanej paniką i brakiem snu. Okresy te coraz bardziej się wydłużały, a interwały stawały się coraz krótsze.

Nic zatem dziwnego, że późnym rankiem większość czasu Nelson spędził na pełnej majaków drzemce, wciąż od nowa przeżywając śmierć dziadka Simona. Wcale nie było łatwiej, począwszy od wstydu, spowodowanego przyłapaniem in flagranti – staruszek nakrył chłopców podczas spotkania Klubu Horroru.

Nazywali to spotkaniem, chociaż na tym etapie ich dojrzewania osoba z zewnątrz z trudem mogłaby odróżnić grę, w którą grali podczas każdej sesji, od starej, dobrej homoseksualnej schadzki. W rzeczywistości Nelson byłby bardzo szczęśliwy, mogąc całkowicie zrezygnować z etapu horroru, ale wyglądało na to, że Simonowi nie tylko się on podobał, lecz także był mu potrzebny. Nelson nauczył się, że: „nie ma horroru – nie ma seksu”, zaakceptował to i był gotów przyjąć to pierwsze przez wzgląd na to drugie.

Jest więc teraz w pokoju Simona późnym popołudniem pewnego grudniowego piątku 1963 roku, kilka tygodni po swoich trzynastych urodzinach. Jest po zmroku, zasłony są spuszczone, w pokoju panuje ciemność, pomijając stożkowaty promień ośmiomilimetrowego projektora Bell and Howell i migające czarno-białe obrazy Gabinetu doktora Caligari wyświetlane na drzwiach sypialni Simona. Jedynymi słyszalnymi odgłosami są trzask projektora i stłumione, rytmiczne postękiwania chłopców uprawiających seks na podłodze zamiast na łóżku, żeby nie wydały ich jęki sprężyn w materacu.

W takiej sytuacji zastaje ich staruszek. Przyklejony do wanny Nelson jeszcze raz słyszy film trzeszczący z projektora, czuje charakterystyczny zapach gorącej żarówki, ciepłego celuloиду i spalonego kurzu, widzi dziadka Childsa stojącego w niespodziewanie otwartych drzwiach, z przerażonym wyrazem twarzy, takim samym, jak u postaci z filmu migoczącego, falującego i zniekształconego na przodzie jego białej koszuli, bladej twarzy i gładkiej głowy.

Dla Simona właśnie wtedy zaczęło się najgorsze w życiu lanie, natomiast Nelson złapał swoje ubrania i na wpół nagi wypadł z domu, przebiegając obok Missy stojącej z otwartymi ustami i skrzywionej Granny Wilson. Nie żeby stary Childs śmiał podnieść na niego rękę – jego ojciec był prawnikiem, do tego niezbyt lubiącym swego sąsiada. Jednak Nelsonowi i Simonowi już na zawsze zabroniono się ze sobą

kontaktować.

To „na zawsze” trwało dwa dni, czyli tyle, ile Simon potrzebował czasu na dojście do siebie po laniu. Spotkali się w starym domku na drzewie Nelsona. Simon pokazał swoje siniaki i zmusił przyjaciela do poprzysięgnięcia zemsty. Wszystko wyglądało bardzo dramatycznie, ale Nelsonowi trudno było wziąć to na serio.

W przeciwieństwie do Simona, który był śmiertelnie poważny i miał plan.

– Każdy ma jakąś słabość – powiedział Nelsonowi – jakiś słaby punkt. Każdy się czegoś boi. W przypadku starca jest to ogień, dziadek Childs śmiertelnie się go boi. Ale będziemy musieli być bardzo, bardzo cierpliwi – zastrzegł Simon. – Będziemy musieli poczekać całe dwa tygodnie, aż Missy pojedzie do domu Grani na przedświąteczną pidżama party.

Trzydzieści sześć lat później, leżąc w wannie, Nelson przeżywa to raz jeszcze. Jest w swojej sypialni i czeka na telefon od Simona. Próbuje się uczyć, ale jego oczy tylko przeslizgują się bez zrozumienia po tekście podręcznika do historii Ameryki. Dzwoni telefon. Odbiera, zanim rodzice zdążą podnieść słuchawkę.

– Pośpiesz się – mówi Simon.

To wszystko. Tylko dwa słowa i trzask przerwane połączenia.

Początek akrofobii ma nadejść dopiero za kilka lat. Nelson nie ma problemu z wyjściem przez okno, przebiegnięciem przez podwórze za domem i patio do Simona czekającego przy tylnym wejściu.

– Jest pod prysznicem – Simon szepcze ponaglająco.

Wszystko gotowe. W ciągu ostatnich dwóch tygodni, gdy w domu nikogo nie było, przećwiczyli to tuzin razy. Biegnąc przez kuchnię, z szuflady obok kuchenki Simon zabiera pudełko zapalek. Nelson wyciąga wielką brytfannę do pieczenia indyka z szafki pod ladą, zabiera gazetę ze stołu, pędzi po schodach i dogania Simona, który właśnie wyłania się ze swojego pokoju, niosąc metalowe krzesło o prostym oparciu. Biegną korytarzem, wpadają przez otwarte drzwi głównego apartamentu. Chwila jest elektryzująca. Nawet Nelson jest bardziej podekscytowany niż przerażony, kiedy pomaga Simonowi zablokować krzesłem gałkę drzwi do łazienki. Po drugiej stronie słychać szum prysznica.

– Chcesz czynić honory? – szepcze Simon.

Nelson potrząsa głową. Simon wzrusza obojętnie ramionami. Bierze od niego gazetę, zwija ją w rulon, zapala, a gdy zajmuje się ogniem, zanoszą ją do gniazdka elektrycznego, do którego podłączona jest cenna lampa od Tiffany’ego. Po odłączeniu lampy, podpaleniu wtyczki, tapety pod gniazdkiem i samego gniazdka Simon wraca po swoich śladach, podpalając dywan, aż wreszcie znowu dociera do drzwi łazienki. Trzyma zapaloną gazetę przy szczelinie pod drzwiami tak długo, że prawie się parzy, a potem z rozmachem sztukmistrza wrzuca płonąca „Kronikę” do brytfanny.

Gdy szum pod prysznicem nagle milknie i pokój zaczyna wypełniać się dymem, Simon cofa się, by dołączyć do Nelsona stojącego w drzwiach. Patrzą podekscytowani, z szeroko otwartymi oczami, jak gałka w drzwiach zaczyna się kręcić jakby w magiczny sposób, a potem rozlega się oszalałe walenie. Chwilę później – bam! – drzwi drżą, krzesło zaczyna się chwiać. Bam, bam, bam – znowu. Nelson wyobraża sobie starego mężczyznę rzucającego się na drzwi. Chłopca przebiega dreszcz strachu, ale drzwi trzymają, krzesło trzyma. Teraz słychać, jak starzec krzyczy: „Iiiii, iiii, iiii” – to przeraźliwy, ostry dźwięk.

– Posłuchaj. – Simon chichocze, obejmując Nelsona i delikatnie ściskając jego waleczki. – Posłuchaj, piszczy jak stara baba.

– Jak stara baba – przytakuje Nelson. – Chodź, musimy...

Ale zanim dokończą swój plan: pozbyć się popiołu, odłożyć na miejsce zapalnika, brytfannę i krzesło i uciec, zanim stary ramol zorientuje się, że drzwi od łazienki nie są już tajemniczo zatrzaśnięte (stary pierdoła, stara lampa, stare przewody, piecyk elektryczny – to się przecież zdarza, prawda?), drzwi przestają drżeć, kobiecy pisk cichnie i słyszą głuchy odgłos upadającego ciała, a potem charczące, sapiące bulgotanie, po którym z kolei następuje...

Nic nie następuje. Cichy trzask gazety dopalającej się w brytfannie. Z łazienki nie dochodzi już żaden odgłos. Aż wreszcie kilka minut później stają razem w drzwiach pomieszczenia, patrząc na łysego starego mężczyznę w coraz większej kałuży krwi, z gardłem przeciętym od ucha do ucha, wciąż trzymającego brzytwę martwą dłonią, i w tym momencie Simon zwraca się do Nelsona, a w jego głosie bardziej słychać podziw niż strach, poczucie winy czy żal:

– Czasami ma się szczęście, Nellie. A czasami go brakuje.

Coś wybudziło Nelsona z hipnotycznej drzemki. Ból. Prawa noga, przyklejona do boku wanny znacznie wyżej niż lewa, zaczęła się luzować. Przez chwilę Nelson odczuwał ulgę, lecz potem znowu pojawił się ból. To zupełnie nowy porządek cierpienia – w wyniku działania grawitacji delikatne włoski na jego łydce były wyrwane w boleśnie zwolnionym tempie. Napiął mięśnie i podtrzymywał nogę wbrew sile przyciągania tak długo, jak tylko mógł, oddychając płytko przez nos. W końcu jednak się zmęczył, noga opadła, tortura zaczęła się od samego początku. W jego oczach stanęły łzy, stawiając obraz ciemnogrnatowych kafelków za mgłą. Odmówiono mu nawet możliwości wypłakania się – jego nos się zapychał, z pewnością mógł się przez to udusić.

Wreszcie nie mógł już wytrzymać. Zebrał całą odwagę i siłę płynącą z rozpacz i jednym konwulsyjnym szarpnięciem uwolnił nogę od porcelany, zostawiając na wannie fragment owłosionej, zakrwawionej skóry o wielkości i kształcie przybliżonym do wkładki do butów. Jednak wzbierający ból był gorszy, niż sobie wyobrażał, i mimo że stawał się lżejszy, mężczyzna już wiedział, że nie zbierze się ponownie na odwagę ani nie znajdzie w sobie tyle siły, by ponownie stawić temu czoła.

Wraz z odejściem tej ostatniej kropli nadziei, że może będzie mógł jakoś uwolnić każdą kończynę po kolei, nadeszła nagła jasność. I choć Nelson zdawał sobie sprawę, co niedługo nastąpi, wciąż tliła się w nim zaskakująco silna wola życia – gdyby nie ona, zakończyłby swoje życie lata temu, setki razy. Kiedy więc użył wolnej pięty, by kopnąć w korek zamykający odpływ, a następnie szturchnięciem odkręcił kurek z prawej, potem kurek z lewej, wciąż wmawiał sobie, że po prostu weźmie kąpiel. Żeby się rozgrzać. I może woda rozpuści klej, zanim...

Szum napuszczanej wody był pierwszym dźwiękiem, jaki Nelson słyszał od wyjścia Simona, pomijając, oczywiście, wysokie piski jego dławionych siłą krzyków. Zamknął oczy. Poziom wody wciąż się podnosił. Już zakrył uszy, więc Nelson przestał słyszeć jej huk. Teraz brzmiał jak odległy wodospad, którym mężczyzna spadał w dół. Wszystko było bardzo spokojne i fantasmagoryczne, dopóki pierwsza strużka wody nie zaczęła łaskotać górnej wargi. Nelson spróbował podnieść głowę i prawie ze zdziwieniem odkrył, że jest przytwierdzona.

Nie w ten sposób – pomyślał. Śmierć – tak. Bycie martwym oznacza, że nie będziesz już musiał się bać. Zabawne, że wcześniej nie przyszło ci to do głowy. Przez utonięcie – jasne. Ponoć jest jakiś odruch, do którego dochodzi, gdy płuca są już pełne wody, dzięki czemu utopienie się jest o wiele spokojniejszym sposobem na śmierć, niż wiele osób sądzi. Ale nie powoli, nie tak, jak teraz, nie cienką strużką. Potem strużka zamieniła się w regularny przyływ, a z przyływu zrobiła się ciepła, dławiąca powódź. Nelson zaczął młócić dziko wodę wolną stopą, próbując odnaleźć kurki, próbując otworzyć odpływ, kiedy ciepła woda zaczynała już zamykać się nad jego głową.

7

Mówcie co chcecie na temat niedogodności płynących z bycia poszukiwanym za najpoważniejsze przestępstwa, ale Simonowi nie tylko udało się utrzymywać w ryzach ślepego szczura prawie tak skutecznie jak dzięki grze strachu, lecz także poczuł się wyzwolony. Nie było potrzeby pozbycia się ciała Zapa Struma ani nawet ukrycia swojej winy – mogą skazać cię tylko na jedną karę śmierci albo na jedno dożywocie.

Z drugiej strony w rozumieniu Simona każda strona internetowa, każdy adres e-mailowy i każde przyciśnięcie klawisza na tym komputerze mogło w jakiś sposób zostawić ślad. Co oznaczało, że gdzieś w tym szurzym gnieździe w lofcie znajdowała się informacja, która nie tylko mogła powiedzieć glinom (gdy teraz myślał o policji, od razu widział przed oczami twarz Pendera), gdzie przebywał Simon, lecz również zostawić im wskazówki odnośnie do jego planów.

– Nie mogę na to pozwolić – wyjaśnił Zapowi, wciąż leżącemu w swym drogim krześle.

Wyjechał nim sprzed biurka i przechylił je do przodu, by je opróżnić. Ciało spadło ciężko na podłogę z głuchym łoskotem. Jak się okazało, była to bezpodstawna nieuprzejmość ze strony Simona – krzesło i poduszka były przesiąknięte krwią.

Niezrażony Simon przystawił do biurka skórzany podnózek, usiadł na nim okrakiem i zaczął losowo uderzać w klawiaturę. Założył, że system Zapa miał podobne zabezpieczenie z trybem fail-safe, jakie zainstalował na jego komputerze. Rzeczywiście, wygaszacz ekranu – blondynka z piersiami większymi od

głowy robiąca niekończący się striptiz – rozpadł się na setki małych znaków ASCII. Kilka sekund później ekran pociemniał.

Jednak żeby się zabezpieczyć, Simon postanowił wykorzystać również tradycyjne rozwiązanie techniczne. Schylił się pod biurko, odpiął komputer od ogranicznika przepięciowego i rozpoczął proces rozbijania nie tylko tego komputera, lecz każdego komputera i napędu Zip w pomieszczeniu, a potem wziął młotek z kulistą główką i roztrzaskał każdy srebrny dysk, jaki znalazł. Było tam również małe pudełko z dyskietkami – spalił je w tosterze Zapa razem z wyjętą z biurka kasetą wideo, która wyglądała, jakby miała coś wspólnego z kamerą monitorującą korytarz.

Piętnaście minut później, gdy z tostera zaczynały się wydobywać kłęby gęstego, gryzącego, prawdopodobnie toksycznego czarnego dymu, Simon znalazł zapas narkotyków za fałszywym kompletem starego wydania Encyklopedii Britannica.

– Dziękś, stary – mruknął, chowając do teczki kilka fabrycznie zapakowanych uncji sinsemilli razem z eklektycznym, kolorowym asortymentem środków pobudzających, uspokajających i łagodnych psychodelików, takich, jakie preferował.

Potem, po chwili czekania w dole schodów, by korytarz był pusty, nastąpiło sayonara, Zap, sayonara, SoMa i sayonara, San Francisco. Simon wraz z teczkę pełną gotówki, lekarstwami i, co najważniejsze, wydrukiem dotyczącym Pendera, pojechał volvo Nelsona cieniłą dolną częścią Mostowej Zatoki w kierunku Concord, azylu i miejsca ostatecznego spotkania z przyklejonym do wanny przyjacielem z dzieciństwa – ostatnim żyjącym przyjacielem, jak sobie myślał.

Uświadomienie sobie tego było zaprawione kroplą goryczy. Ogarnęło go uczucie smutku i samotności, jednak tak wyzwalające, jak bycie ściganym mordercą. Skoro nie ma już Missy ani Grani, po śmierci Nelsona Simon będzie sam na świecie. Pomijając, oczywiście, starą kobietę w Atlantic City nazywaną się Rosie Delamour, ale ona się nie liczyła. Walić ją i konia, którego ujeżdżała, brzmiało motto Simona.

Nawet myślenie o niej mogło sprawić, że człowiek czuł tylko samą gorycz. A przecież przed pożegnaniem z najstarszym przyjacielem nie powinno się być w takim nastroju – pomyślał, kierując się do podjazdu Nelsona i używając pilota, wiszącego na osłonie przeciwsłonecznej, do otwarcia i zamknięcia za sobą bramy garażowej.

W garażu znów poczuł spokój – przynajmniej po tym, jak kilka razy sztachnął się najlepszymi substancjami Zapa Struma. Przycmione szare światło, zapach starych plam oleju i pyłu cementowego. Jedynymi odgłosami były szum podgrzewacza wody otoczonego przytulną izolacją i odległy, swojski bulgot wody w rurach, co przypomniało Simonowi o Missy i jej niekończących się kąpielach. W jego gardle pojawił się niewielki ścisk i nawet jeśli uśmiechnął się na to wspomnienie, powróciło uczucie zaprawione goryczą.

Ale nie na długo. Gdy wszedł do domu, nagle uświadomił sobie, że nie powinno być żadnego szumu grzejnika na wodę ani bulgotania w rurach. W tym domu nie powinna lecieć żadna woda, chyba że pękła rura albo Nelson jakimś cudem...

Nie, to niemożliwe. To musi być rura – pomyślał, odsuwając się, gdy kropla wody spadła z głośnym pluskiem na przesiąknięty już dywan obok niego. Spojrzał w górę i na suficie zobaczył ciemną, rozprzestrzeniającą się plamę wody, kształtem przypominającą kontynent, i kroplę, zbierającą się na samym jego środku. Pobiegnął korytarzem do salonu i zobaczył, że powódź przy wejściu była względnie niewielka w porównaniu z wodospadem lejącym się po schodach od półpiętra, tak jakby schody były przepławką dla ryb. Zaczął wbiegać po dwa stopnie, chlapiąc naokoło, skręcił za róg, przebiegł przez sypialnię Nelsona, poślizgnął się i zatrzymał w drzwiach łazienki. Spod obcasów pożyczonych rano od Nelsona czarnych mokasynów na twardych podeszwach wytrysnęły małe fontanny.

I chociaż Simon nieświadomie bał się wody od czasu, gdy przed blisko półwieczem dziadek Childs leczył go ze strachu przed utopieniem się, stanął jak skamieniały w drzwiach, niezdolny do ruchu, patrząc bezradnie, jak rwący potok łał się z kranu, hałaśliwie burzył w wannie i przelewał przez jej brzeg jak miniaturowa Niagara. Nelson był widoczny tylko jako kilka pasemek blond włosów falujących po zmaconej wodzie jak wąsy wodorostów.

– Tchórz! – krzyknął, zarówno do siebie, jak i do Nelsona. Simon mógł sobie wybaczyć wszystko poza tchórzostwem. – Ty pierdolony tchórz! – Jego buty zamokły, nogi były mokre do kostek, ale dorwała go fobia i wiedział, że dopóki znowu nie przejmie nad nią władzy, nie będzie w stanie ani się wycofać, ani pójść do przodu.

„Dasz radę – powiedział sobie. Robiłeś już w życiu trudniejsze rzeczy, przezwyciężałeś większe

trudności. Dasz radę, dasz radę, dasz radę. I gdy się skupił, gdy mocno się wstuchał, słyszał w plusku lejącej się wody ludzki głos, słyszał Missy śpiewającą, by dodać mu otuchy. Była to piosenka, którą śpiewała zawsze, kiedy musiała dodać sobie odwagi: „Cinderello, Cinderello, dasz radę, Cinderello”.

Może i było to głupie, nawet infantylne, ale jego stopy powoli zaczęły się ruszać, szurając przez wodę, krok po kroku, jedna za drugą, aż doszedł do wanny.

Nie pamiętał momentu zakręcania wody. Wszystko, co wiedział, to, że znowu zapanowała cisza, jeśli pominąć odgłos wody kapiącej ze schodów. Potem pochylił się jeszcze nad wanną, patrząc na biednego, utopionego Nelsona.

Mój ostatni żyjący przyjaciel na świecie – pomyślał smutno. Nadeszła pora, by wyruszyć w drogę.

8

Gdy telefon Pendera ponownie zadzwonił, zaspana Dorie przewróciła się z boku na bok i poklepała mężczyznę po gipsie.

– W porządku, już nie śpię.

Mniej więcej. Drzemała, unosząc się w przyjemnych fazach przyptyków i odpływów odurzenia vicodinem, pokrzepiona dźwiękiem głosu Pendera i pewną obecnością jego wielkiego ciała obok. Jeszcze się nie kochali. Gdy już byli w łóżku poprzedniej nocy, połamani, wyczerpani i pod wpływem lekarstw, do głosu doszedł zdrowy rozsądek – a może to kwestia dojrzałości? Ale na pewno do tego dojdzie, może nawet wkrótce – Dorie była tego pewna jak niczego dotąd.

– Kto dzwonił?

– Najpierw McDougal, mój szef. Wyzaczył Lindę Abruzzi do kierowania dochodzeniem. Potem dzwoniła Pool.

– A kto to jest?

– Pracuje w FBI. Pomyślałem, że może przed rozpoczęciem pracy Abruzzi mogłaby usłyszeć kilka dobrych rad. Tylko że McDougal pozwolił jej kierować śledztwem pod warunkiem, że nie będę się wtrącać.

– Ale gdybyś się wcześniej nie wtrącił... Gdzie by... Dokąd by to... Co by się ze mną stało? – Dorie nie potrafiła zmusić się do dokończenia tego pytania, prawdopodobnie dlatego, że znała odpowiedź: skończyłaby w piwnicy Simona.

– Sid Dolitz mówi, że jest takie stare powiedzenie w jidysz, które można przetłumaczyć: „W kraju Agdyby wszyscy podróżni są nieszczęśliwi”. Oczywiście, znając Sida, mógł to sobie zmyślić. Jak twój nos?

– Podejrzewam, że boli okrutnie, ale wzięłam jeden vicodin, gdy się obudziłam, i drugi, gdy obudziłam się po raz drugi, więc ból nie dociera do mózgu. A jak twoja ręka?

– Jakby mi ktoś przypieprzył żeliwną patelnię.

– Mogę polecić vicodin?

– Już jeden wzięłam.

– Weź drugi.

– Myślisz?

– U mnie zadziałało.

9

Linda była podekscytowana faktem, że wreszcie ma coś sensownego do roboty, ale zaczęła się zastanawiać, czy to jej nie przerośnie. W końcu co wiedziała na temat koordynowania dochodzenia takich rozmiarów i o takiej złożoności, obejmującym pięć osobnych śledztw w pięciu różnych jurysdykcjach – a z pewnością będzie ich więcej – w połączeniu z międzystanowym pościgiem i rosnącym zainteresowaniem mediów, które nagle groziły wpadnięciem w szaf?

Zupełnie nic – brzmiała odpowiedź. Uważała, że nie powinna pytać Pendera o radę dotyczącą pokierowania resztą śledztwa, nie po tym, jak McDougal podkreślił, że tę część zadania miała trzymać jak najdalej od emerytowanego agenta.

Po raz kolejny z ratunkiem przybyła Pool, choć Linda z pewnością jej nie wzywała. Pojawiła się znikąd

około trzeciej trzydzieści, w stroju niebiznesowym, ale nadającym się do grabienia liści w sobotę po południu. Odbierała telefony, wezwała kilka osób do wyświadczenia przysługi, kilka innych zaszantażowała i o szóstej (wcześniejsze Biuro-kratyczne machinacje Pool były zdumiewające, ale ta przypominała cud rozstąpienia się Morza Czerwonego) nie było już podrabianych wyciągów z kont, a niewielkie biuro Lindy w Departamencie Sprawiedliwości zostało przemienione w ministanowisko dowodzenia CSIO (Centrum Strategicznej Informacji i Operacji), razem z dodatkowym telefonem, łączami danych i tablicą korkową z przybitą mapą USA zajmującą całą ścianę za biurkiem oraz kolorowymi pinezkami, którymi zaznaczono miejsca pojawienia się Childsa: białe – zgłoszone, czerwone – potwierdzone.

Gdy wieszano mapę, Pool, jakby za sugestią Pendera, przekopowała na komputer Lindy program z bazą danych opracowany dla Pendera przez Thoma Daviesa przed kilkoma laty. Był to kaskadowy wzór kalendarza: rok rozwija się w miesiące, miesiące w dni, dni w godziny. Pod pretekstem nauczania Lindy jego obsługi łagodnie przypominała jej o znaczeniu ułożenia osi czasu dla podejrzanego: jeśli chcesz wiedzieć, gdzie się ktoś wybiera, najpierw musisz wiedzieć, gdzie był.

Lindzie nie trzeba było tego powtarzać. Zabrała się do pracy, zbierając dane na temat Simona Childsa z każdego możliwego źródła, od listu Dorie Bell począwszy, a skończywszy na wstępnych ustaleniach Wydziału Dowodowego, który nadal przeczesał dom na Grizzly Rock Road, i samodzielnie wpisując je do bazy. Trzy godziny później nie tylko miała wyjściową oś czasu – wprowadzie więcej było tam luk niż wpisów – śledząc życie podejrzanego od narodzin aż do wczoraj, lecz także była już po swego rodzaju terapii zanurzeniowej, rozpoczęła nieprzyjemny, acz konieczny proces dostawania się do umysłu zabójcy poprzez uprzednie wpuszczenie zabójcy do swojej głowy.

Działo to w ten sposób, że należało tak długo przyswajać i zapamiętywać każdy fragment informacji na temat podejrzanego, aż w końcu było się świadomym jego skłonności, tego, co lubi i czego nie lubi, jakby się nim w rzeczywistości było. Jeśli dobrze poszło, dany bodziec wywoła skojarzenia mnemoniczne, jakby były one twoje własne. Tym sposobem (przynajmniej w teorii; Linda nigdy wcześniej tego nie robiła) w odpowiednim czasie nie tylko będziesz wiedzieć, w którym kierunku skoczy twój podejrzany, ale także kiedy i jak wysoko. Była na samym początku tego procesu, ale z pewnością to nie przypadek, że tego dnia w drodze do domu, gdy zatrzymała się w Safeway w Potomacu, by kupić coś, co wyglądało jak kanapka z kiepskich delikatesów, i zobaczyła na parkingu nastoletnią dziewczynę z zespołem Downa, natychmiast pomyślała o Missy Childs.

A później tego wieczoru, kiedy leżała w łóżku i próbowała zasnąć, zamiast chorobliwie krążyć myślami wokół SM, jak zazwyczaj od postawienia diagnozy, zaczęła myśleć o tym, co Kim Rosen napisała na stronie OSZF na mniej niż tydzień przed swoją śmiercią.

Wiem, co ludzie myślą. Myślą, że robisz to celowo albo próbujesz zwrócić na siebie uwagę, ale gdyby ktoś złapał cię za kołnierz i porządnie tobą potrząsnął, może dał kilka razy w twarz i powiedział, że to wszystko jest w twojej głowie, idiotko, tylko w twojej głowie, to byłbyś ozdrowiony. Nie rozumieją, że życie zdrowo już nas wytrzęsło i pobiło do nieprzytomności. A świadomość, że strach kryje się w twojej głowie, nie ułatwia znoszenia tego, tylko utrudnia. Przed czymś z zewnątrz można się bronić, można uciec, zamknąć drzwi, sięgnąć po broń. Ale nie ma dokąd uciec, jeśli strach znajduje się w tobie, a nawet jeśli uciekniesz, nie masz się gdzie schować.

Święta prawda – pomyślała Linda. Otworzyła oko. Była prawie pierwsza w nocy, jak pokazywały zielone fosforyzujące wskazówki na budziku. Coś nie dawało jej spokoju. Nie Kim, nie Simon – coś bliżej domu. Może czegoś nie zrobiła? Nie dokończyła? Trudno. Jeśli to coś ważnego, to...

I wtedy do niej dotarło: pranie. Jedno pranie zostawiła w pralce, drugie w suszarce. Abrootz, staruszko – pomyślała. Jutro będziesz miała sporo prasowania.

Jeszcze nie – myślał Simon, płynąc przez ciemność w kierunku świadomości. Jeszcze nie. Śnił. Była tam Missy. Nie chciał znowu tak szybko jej stracić.

Ale było za późno, już się obudził, otoczony czernią. Przez chwilę w jego umyśle panowała cudowna

luka – nie potrafił umieścić siebie w czasie ani w przestrzeni. Mógłby być wszędzie i w dowolnym wieku, mógłby być dzieckiem w swoim łóżku, budzącym się z popołudniowej drzemki albo osiemnastolatkiem, który odleciał po zażyciu heroiny w jakimś zakątku Haight. Potem otworzył oczy, odwrócił głowę, zobaczył świecące na czerwono cyfry na tanim radiobudziku obok łóżka. Trzecia nad ranem. Zrozumiał: odleciał na Halwane około północy.

Usiadł, poszukał włącznika światła. Wokół niego zmaterializował się motelowy pokój. Pastelowe ściany, na komodzie włączony telewizor. Tutaj mieszka ślepy szczur – przyszło mu na myśl. W zwykłym motelu pod Winnemucca w Nevadzie, o trzeciej w nocy. Z ulgą stwierdza, że przynajmniej można tu palić i zapala na wpół wypalonego jointa, zostawionego w popielniczce właśnie na taką okoliczność.

W oczekiwaniu na działanie zioła zaczyna się zastanawiać, gdzie jest Missy. Prawdopodobnie na wysuwany stole w kostnicy w czarnej jak smoła szufladzie w piwnicy koronera. Nie bój się – chce jej powiedzieć. Nie musisz się już bać.

Rozkłada mapę na biurku i, używając kciuka i palca wskazującego jak suwmiarki, mierzy, jak daleko zajechał drogą numer 80. Potem to podwaja, dwa razy obracając kciuk i palec wskazujący, by wyliczyć, jak daleko zajedzie jutro. Za drugim razem jego palec łąduje na Ogallala w Nebrasce. Jeszcze dwa piruety i palec wskazuje La Farge w Wisconsin, gdzie mieszka siostra Pendera.

Zatem przy obecnym tempie dotrze do La Farge w poniedziałek wieczorem. Jutro rozpocznie się uwertura. Jeśli prawdziwy Arthur Bellcock jeszcze się z nią nie skontaktował, umówi wywiad. Po drodze będzie musiał kupić dyktafon albo chociaż notes. Przyjedzie wcześniej, wybada teren, poszuka oznak ewentualnego nadzoru.

Jeśli będzie czysto, zjawi się u niej jako Bellcock. Jeśli nie, przejdzie do kolejnego nazwiska z...

Nie! Uświadomił sobie, że jeśli będą jakiegokolwiek oznaki nadzoru lub chociaż podejrzenie, że ktoś go śledzi, to plan z Arthurem Bellcockiem w ogóle nie wypali. Co z kolei oznacza, że Pender wie, iż ktoś go śledzi – Simon utraciłby element zaskoczenia.

W związku z tym pytanie, które powinien zadać sobie na tym etapie, brzmi: czy warto? Czy dowiedzenie się, czego boi się Pender, jest warte ryzyka obudzenia jego czujności?

Simon ponownie podpałił skręta, porządnie się zaciągnął i czekał na odpowiedź.

Wdowi ptak

1

– Dziękujemy Ci za kolejny dzień, o Panie, wieczna Ci cześć i chwała.

Zapowiadało się, że rzeczywiście będzie to wspaniała niedziela z babim latem. Słoneczna, jeśli znikną te wysokie chmury, około dwudziestu stopni – jakieś pięć stopni więcej niż zwykle o tej porze roku w Wisconsin. Ida Day zaczęłaby dzień od tej samej dziękczynnej modlitwy, nawet gdyby lało przy dziesięciu stopniach albo gdyby sypał śnieg przy minus trzydziestu. Gdy w wieku siedemdziesięciu lat wciąż jest się sprawnym i ma się większość swoich zębów, każdy dzień jest dobry.

Należy zauważyć, że pomysł Idy na spędzenie niedzieli ku chwale Pana różnił się od wypoczynku większości obywateli, zwłaszcza tych skupionych wokół La Farge. Po pierwsze nie wybierała się do kościoła. Ona i Walt nigdy nie ufali zorganizowanej religii. Im bardziej była zorganizowana, tym mniej jej ufali. Gdy pragnęła Słowa Bożego, wystarczyło zerknąć na makatkę, wiszącą nad sekretarzykiem. Księga Powtórzonego Prawa 31, 8: „Sam Pan, który pójdzie przed tobą, On będzie z tobą, nie opuści cię i nie porzuci. Nie lękaj się i nie drzyj!”.

Wyhaftowała to własnoręcznie dla Walta, żeby dodać mu otuchy w jego trudnych ostatnich dniach. Nowotwór krtani – żadnej cholernej szansy. W dolnej szufladzie sekretarzyka Ida wciąż trzymała starego wojskowego kolta męża. Była przekonana, że jeśli znajdzie się w podobnej sytuacji, odnajdzie w sobie właściwą kombinację odwagi i tchórzostwa, by go użyć.

Ale to nie był dzień na złe myśli. Dzisiaj był dzień na... zobaczmy... na jabłka! Nadal zostało jej sporo z Festiwalu Jabłek w Gays Mills. O, tak, Ida prawie już to czuła – słodki, lekko winny zapach jesiennych jabłek, z których przyrządza się cydr.

Chociaż jeśli nad tym pomyśleć, lepiej robić cydr w chłodny dzień. Nie tylko przyciągasz mniej os, lecz także możesz podgrzać pierwszy galon, żeby się rozgrzać.

Potem Ida przypomniała sobie o dyniach czekających na przednim ganku. Powiedziała sobie, że w tym roku nie będzie wykrawać w nich twarzy, ale wczoraj mały Steinmuller przyciągnął po chodniku pod górę zardzewiały czerwony wózek wypełniony własnoręcznie wyhodowanymi dyniami: dolar za dużą, pięćdziesiąt centów za małą, dwadzieścia pięć centów za tykwę. Były jak z okładki „Saturday Evening Post”. Jak mogła im się oprzeć?

Czyli dynie. Po śniadaniu składającym się z dwóch jajek, plasterka bekonu, czarnej kawy i pierwszego pall malla tego dnia (spokojnie można wygłosić jej kazanie: pochowała już dwóch lekarzy; trzech, jeśli wliczyć Walta), naostrzyła nóż do krojenia mięsa na zwilżonym octem kamieniu z Washity, rozłożyła gazety na ganku, zaczęła obracać najładniejszą dynię, aż znalazła jej naturalną twarz. Właśnie skończyła odcinanie góry, gdy zadzwonił telefon.

– Zawsze w odpowiedniej chwili – mruknęła zrzędliwie, wstała z odwróconej skrzynki po mleku, na której siedziała, i pośpieszyła do domu, by odebrać w salonie, zanim włączy się automatyczna sekretarka w kuchni. Najbardziej na świecie Ida nienawidziła krzyczenia „chwileczkę!” do słuchawki, podczas gdy własny płaski głos z akcentem z Cortlandu mamrotał jej do ucha: „Nie ma mnie w domu, po sygnale nagraj wiadomość”.

– Słucham? – Zdążyła.

– Ida Day?

– Tak.

– Ida Pender Day?

– Tak?

– Pani Day, z tej strony Arthur Bellcock.

– To pan pisze książkę o Eddim?

– Jedną z niewielu zalet nazwiska takiego jak moje, pani Day, jest fakt, że nigdy nikt nie pomylił mnie z żadnym innym Arthurem Bellcockiem.

– Tak, chyba ma pan rację. Eddie powiedział mi, że dał panu mój telefon i prawdopodobnie pan

zadzwni. Tylko spodziewałam się, że nastąpi to w przyszłym miesiącu.

– Taki miałem plan, ale nałożyły nam się pewne wydarzenia i musieliśmy przyspieszyć prace o kilka tygodni. Zastanawiam się... Ale zrozumieć, jeśli to będzie kłopot... Właśnie jestem w Madison, kończę inny projekt i byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybym mógł do pani podjechać jutro wieczorem.

– Och, panie Bellcock, myślę, że uda mi się zmieścić pana w grafiku. Eddie upoważnił mnie do udzielenia odpowiedzi na wszystkie pańskie pytania.

– Świetnie. Zdecydowanie chcę opisać go bez upiększeń.

– Zrobię, co w mojej mocy. Ale mam nadzieję, że pan zdaje sobie sprawę, że gdy Eddie się urodził, miałam czternaście lat, a wyprowadziłam się z Cortlandu, gdy miał lat dziesięć.

– Rozumiem. Ale na tym wczesnym etapie wielką pomocą będzie wszystko, co może mi pani opowiedzieć o swoim bracie. Przy okazji, czy pan Day będzie jutro w pobliżu?

– Tylko duchem – odrzekła. – Doktor Day odszedł dziesięć lat temu.

– Przykro mi. Czyli mieszka pani sama?

– Sama, ale nie samotna, jak lubię mawiać.

– Postawa godna pochwały. W takim razie do jutra, pani Day.

– Do jutra, panie Bellcock.

2

W niedzielę Linda wstała o świcie. Z okna swej sypialni widziała mgłę unoszącą się spokojnie nad wodą kanału, wyglądającą jak para nad miską zupy. Jesienne kolory drzew wokół były przyćmione, zamoczone w porannej rosie.

Gdy zaspana szła przez korytarz do łazienki, uświadomiła sobie, że nikt nie powiedział jej, w jakich godzinach powinna pracować. Tak jak na przykład dzisiaj. Czy powinna przychodzić do biura w niedzielę? Jeśli tak, co miałyby robić? Odbierać telefony? Wystarczyło włączyć przekierowywanie rozmów. Pracować nad linią czasu? Wydruki zawierające szczegóły korzystania z karty kredytowej i bilingi rozmów telefonicznych Childsa zostaną dostarczone najwcześniej jutro. Więc po co miałyby jechać do biura?

Odpowiedź nadeszła po śniadaniu, gdy Linda była na dole i prasowała, podczas gdy część prania suszyła się w suszarce. Informacje o poszukiwaniach Simona Childsa z pewnością zostały wysłane do każdego organu ścigania w USA. Ale każdego dnia rozsyłano tuziny takich komunikatów. Ambitni uczyli się ich na pamięć, osoby zajmujące się głównie maczaniem donatów w kawie je ignorowali, ale co z przeciętnym gliną, przepracowanym, mierzącym się z przesytem informacji, tonącym w morzu czerwonej taśmy i papierkowej roboty? Czy jakiś telefon, faks albo ostrzeżenie od prawdziwego (no, prawie) agenta specjalnego FBI nie przykułyby jego lub jej uwagi do znaczenia komunikatu o poszukiwaniach konkretnego podejrzanego, przynajmniej dopóki lista dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców nie zostanie zaktualizowana?

To więcej niż prawdopodobne – pomyślała Linda, podnosząc swoją ulubioną bluzkę do nieosłoniętej abażurem żarówki zwisającej z poprzecznej belki, żeby zobaczyć efekty prasowania. Po dwudziestu czterech godzinach w suszarce bluzka nadal była trochę pognieciona, ale nadawała się do pracy dla „rzundu”, jak mawiali w San Antonio. A już na pewno do pracy dla „rzundu” w pustym biurze w niedzielę rano.

3

Dla Pendera i Dorie sobota była dniem na odpoczynek i rekonwalescencję. W ogóle nie wychodzili z domu – ledwo wyszli z łóżka. Wspomagali się snem i zupą z puszek, których w kuchennej szafce Dorie było więcej niż na zgromadzeniach szkockich klanów. Dla Dorie, która nigdy nie wyszła za mąż ani nawet nie żyła z żadnym mężczyzną na kocią łapę przez dłuższy czas, takie dzielenie łóżka bez podtekstów seksualnych było czymś nowym. Dla Pendera, który wytrwał w małżeństwie dwadzieścia lat, chociaż jego relacje z żoną popsły się po pierwszych pięciu, było to, ma się rozumieć, coś normalnego.

W niedzielę rano, po dwóch nocach, Pender mógł już stwierdzić, że Dorie nie żartowała w kwestii chrapania – naprawdę była głośna. Ale jemu to nie przeszkadzało – gdy chrapała, to przynajmniej nie

rzucała się, nie jęczała ani nie krzyczała przez sen.

Nie żeby ją za to winił. Po tym, co przeszła, będzie miała szczęście, jeśli zaburzenia snu będą najgorszym lub ostatnim z jej problemów. A na jawie, mimo tego wszystkiego, co przeszła w piwnicy w Berkeley, nigdy się nie skarżyła, co Pender uważał za zdumiewające w czasach, gdy każdy, kogo w dzieciństwie klepnięto w tyłek, każe zwać się osobą, która była wykorzystywana seksualnie, a użalanie się nad sobą praktykowano w każdym domu. Pender był pod wrażeniem – jedyne, czego chciał, to ocalenia jej przed psychologicznym i emocjonalnym kryzysem z taką skutecznością, z jak udało mu się ochronić ją fizycznie.

Oczywiście wiedział, że rola rycerza na białym koniu niesie ze sobą dość duże ryzyko. Cmentarz dla związków był przepelniony ciałami nieudanych romansów rycerzy z damami w opałach. Obecnie przed tym syndromem ostrzega się nawet rekrutów w Akademii.

Ale cóż miał uczynić ukryty sentymentalista? Pender był skończony na długo przed tym, jak ich związek został skonsumowany późnego niedzielnego ranka. Sam akt był siłą rzeczy bardzo delikatny. Z uwagi na obrażenia musieli się kochać, jak to określił Pender, jak jeżozwierze – bardzo ostrożnie. Ale być może ze względu na czas, który spędzili już razem w łóżku, było niewiele skrępowania, dyskomfortu emocjonalnego czy niepewności, tak częstych podczas pierwszych kontaktów seksualnych, nawet w ich wieku.

Potem Dorie znowu usnęła. Wkrótce zaczęła się rzucać i jęczeć. Pender mocno poklepał ją po ramieniu zdrową ręką, pogłaskał aż do zagłębienia nad biodrem i z powrotem, szepnął, że już teraz wszystko będzie dobrze.

Kłamał – nic nie było dobrze. Simon Childs, mężczyzna, który jej to zrobił, cały czas gdzieś tam był. A jeśli ta sprawa była osobista już wcześniej, to teraz była podwójnie osobista. Wyszedł na palcach z łóżka – tym razem udało mu się nie zbudzić Dorie – i zabrał ze sobą do łazienki telefon komórkowy.

4

Telefon zadzwonił akurat wtedy, gdy Linda myślała o skończeniu pracy. W dochodzeniu nie nastąpił żaden przełom, nikt nie widział Childsa, nic nie zostało zgłoszone ani potwierdzone. Uznano, że prawdopodobnie zniknął na dobre. Jeśli intensywność poszukiwań się utrzyma, prędzej czy później będzie musiał wypłynąć na powierzchnię, chociażby po to, żeby zmienić kryjówkę.

Wykonała kilka telefonów, ucięła sobie małą pogawędkę o tym, jak to beznadziejnie dostać niedzielną zmianę, no ale cóż poradzić, i wysłała kilka komunikatów o poszukiwaniach, które mogły się zawieruszyć w czyjejś skrzynce pocztowej. Gdy za kwadrans trzecia zadzwonił telefon, pomyślała, że ktoś do niej oddzwania. A to był Pender. Próbowала, naprawdę. Powiedziała mu, że McDougal przekazał jej dochodzenie pod wyraźnym warunkiem, że Pender ma się trzymać od tego z daleka.

Nie zrobiło to na nim zbyt dużego wrażenia.

– Jak długo pracujesz dla Biura?

– Siedem lat.

– I nadal nie potrafisz powiedzieć, kiedy twój szef próbuje chronić swoją dupę?

– Nie brzmiał, jakby tylko próbował chronić swoją dupę. Brzmiał, jakby był zatroskany.

– Tak, młoda, troszczy się o swoją dupę. Zadam ci dwa pytania. Pierwsze: jaki mamy tutaj priorytet, na czym polega zadanie?

– To łatwizna. Zadanie polega na jak najszybszym dorwaniu Childsa. Jak brzmi drugie pytanie?

– Czy szybciej dorwiesz Childsa, korzystając czy też nie z mojego dwudziestoletniego doświadczenia?

– Korzystając. Ale McDougal powiedział...

– Lindo, mam naprawdę gdzieś to, co powiedział ci McDougal. Jego priorytety są dokładnie takie same jak twoje. I moje. I każdego w Wydziale Dochodzenia, kto nie ma głowy w swej dupie tak głęboko, że może policzyć własne plomby. Zgadzasz się z tym? – A potem dodał, nie czekając na odpowiedź: – Dobra dziewczynka. Zatem pierwszą rzeczą, jaką musisz zrozumieć...

I to by było na tyle w kwestii McDougala i hierarchii, i to by było na tyle w kwestii wcześniejszego pójścia do domu. Według Księgi Pendera pierwszą rzeczą, jaką Linda musiała zrozumieć, było to, że policjanci na ulicy, zarówno miejscowi, jak i federalni, nie będą potrzebowali od niej żadnej pomocy w standardowo prowadzonym dochodzeniu. Z Wydziałem łączności czy bez niego, technicy przeanalizują

każdy fragment dowodu i wszystkie ślady. Policjanci z Berkeley przeczesały wszystkie zgłoszone miejsca, w których przebywał Childs. Śledztwa w sprawie samobójstw w Vegas, Fresno i Chicago zostaną ponownie otwarte jako śledztwa w sprawie morderstw, a każdy przyjaciel, sąsiad czy okazjonalny znajomy Childsa, do którego dzwonił lub go odwiedził albo wypisał mu czek w ciągu ostatniego roku, będzie objęty choćby pobieżną obserwacją wymiaru sprawiedliwości.

Jak zapewnił Pender, ogromną pomocą będzie opracowywana przez Lindę oś czasu (gdy tylko o niej wspomni, Linda zrozumiała, dlaczego Pool w tak magiczny sposób zjawiła się w jej biurze w sobotę po południu) i prędzej czy później wydarzenia zaczną wyznaczać kierunek działania. Na przykład prawie na pewno mógł jej obiecać więcej pracy, niż będzie w stanie wykonać, gdy Zespół Dowodowy w Berkeley zacznie wydobywać kolejne ciała z piwnicy Childsa.

Ale do tej pory, jak wyjaśnił, mogła się spodziewać, że wymiar sprawiedliwości rzuci się na niedaleką przeszłość i przewidywaną przyszłość Simona Childsa jak Miś Yogi na kosz piknikowy. Pender zasugerował więc, że gdy tylko oś czasu będzie gotowa, Linda powinna spróbować zagłębić się w przeszłość Childsa. Może byli jacyś przyjaciele z dzieciństwa, których dawno nie widział, a do których zwróciłby się jako zdesperowany uciekinier? I co z danymi medycznymi? Nie chodzi tylko o obecnych lekarzy – dochodzeniowcy będą się ustawiać kolejkami pod ich drzwiami – ale o wcześniejsze leczenie, aż do pediatri. Pomijając bycie psychopatą, Childs był, jak zasugerował Sid, antyfbodem, więc może jako dziecko leczył się u psychiatry. To byłby świetny punkt wyjścia dla profilerów.

Linda, zmotywowana i wzmocniona, a nawet zainspirowana telefonem Pendera, zamiast iść do domu, wypruwała sobie żyły przez resztę popołudnia (z dziesięciu kilogramów, które zrzuciła w tym roku, co najmniej pięć musiała stracić w ciągu ostatniego tygodnia), ale o ósmej, czyli o piątej na Zachodnim Wybrzeżu, zrobione było już wszystko, co można było zdziałać w niedzielę wieczorem, więc wykończona kobieta rzuciła to w cholerę.

Basta, jak zwykle mawiała matka do ojca, który pracował w niedziele. Co za dużo, to niezdrowo, nawet Bóg odpoczywał siódmego dnia. Oczywiście potem mama Abruzzi brała się za prasowanie, może odkurzanie zasłon, gotowanie pięciodaniowego włoskiego obiadu i łatanie ubrań. I to wszystko w ciągu jednego odcinka magazynu telewizyjnego „60 Minutes”. W rodzinie żartowało się, że po tych wszystkich latach mama nadal nie miała pojęcia, jak wyglądał prowadzący program Mike Wallace, bo nigdy nie podnosiła wzroku znad przyborów do szycia.

Na myśl o domu Linda zawsze robiła się głodna. Po powrocie do siedliska Pendera poszła prosto do kuchni i otworzyła lodówkę, jeszcze zanim zdjęła płaszcz. Zamrażarka była pełna, w pewnym sensie. Jeśli ktoś przeszedłby się w supermarkecie po dziale z mrożonkami i wybrał gotowe dania do mikrofalówki wyłącznie według klucza: im więcej tłuszczu, tym lepiej, otrzymałby zawartość zamrażarki Pendera.

Postawiła na spaghetti carbonara, a gdy kolacja się podgrzewała, Linda wykonała tradycyjny, żeby nie powiedzieć obowiązkowy, niedzielny telefon. Poszło nieźle – mama nie truła o powrocie do domu. Wspomniała o tym trzy czy cztery razy, ale według standardów włoskich matek nie zaliczało się to do wiercenia dziury w brzuchu. Potem przekazała słuchawkę tacie, który poinformował Lindę, że nie może długo rozmawiać, bo leci Rodzina Soprano.

Och, tato – chciała jęknąć – ty też? Raz spróbowała obejrzeć ten serial – to był odcinek, w którym pierdołowaci agenci FBI chcieli podłożyć pluskwę w piwnicy Tony’ego. Miała ochotę cisnąć butem w telewizor. A ze wszystkich ludzi Charlie Abruzzi powinien wiedzieć najlepiej, jak naprawdę wygląda mafia – w końcu prowadzenie przez czterdzieści lat sklepu mięsnego na Bronksie do czegoś zobowiązywało. Do dupy z Big Pussy!

Ale rozmowa przynajmniej pomogła wypędzić z Lindy nostalgię. Ostatecznie – pomyślała, kładąc się do łóżka tego wieczoru – dom jest tam, gdzie go sobie urządzisz. A życie jest takie, jakie sobie stworzysz. Zrozumiała, że miała ogromne szczęście, mogąc w swej pracy robić coś ważnego.

Gdy powiedziała tacie, że chce zmienić zawód i złożyć papiery do FBI, ten odrzekł, że sekretem szczęścia jest taka praca, że idąc spać w niedzielę wieczorem, nie można doczekać się jej rozpoczęcia w poniedziałek rano.

– A ty tak masz? – spytała.

– Do diabła, nie – odparł. – Kiedy to pojąłem, miałem już żonę i trójkę dzieci do wykarmienia.

– Jak chciałby pan zapłacić za nocleg, doktorze Keene? – spytał recepcjonista w Holiday Inn Express w Ogallala w niedzielę wieczorem. (Kilka z fałszywych tożsamości to lekarze – Simon często myślał, że gdyby sprawy potoczyły się inaczej, chciałby nim zostać. Oczywiście najpierw musiałby skończyć studia, ale gdyby mu się to udało, mógłby wyspecjalizować się w leczeniu osób z zespołem Downa – wtedy Missy miałyby zapewniony przeszczep serca).

Simon był przygotowany na to pytanie. Poprzedniego wieczoru recepcjonista w Holiday Inn Express w Winnemucca zadał dokładnie takie samo.

– Chciałbym zapłacić łupinami orzechów – zażartował. – Ale podejrzewam, że ma pan na myśli coś innego. – Położył na blacie recepcji kartę Visa należącą do Andrew Keene’a.

Recepcjonista spojrzął na kartę, a następnie włożył ją do terminalu. Simon doświadczył chwili wspaniałego napięcia – nie był to strach, chociaż do chwili zaakceptowania transakcji czujność Simona z pewnością była zwiększona. Jednak kartę zawsze przyjmowano – doktor Keene to najbardziej wiarygodne alter ego. Mieszkanie w Puerto Vallarta było na niego. Simon opłacał rachunki elektronicznie przez podwójnie ślepe zagraniczne konto na Kajmanach, które Zap pomógł mu założyć kilka lat temu.

– Dziękuję, doktorze Keene. Oto pański numer pokoju... – Recepcjonista napisał 318 na tekturowej kopercie zawierającej klucz i odwrócił ją, by pokazać Simonowi. Obecnie recepcjoniści nigdy nie wymawiali na głos numeru pokoju, nawet jeśli przy kilkumetrowej ladzie nie było nikogo innego. Simon zastanawiał się, czy w przeszłości miała miejsce fala przestępstw popełnionych przez podsłuchujących włamywaczy o nadnaturalnie rozwiniętym słuchu. – Winda jest za rogiem. Miłego pobytu.

„Miłego pobytu”. Mało prawdopodobne. Po szesnastu godzinach w ciasnym volvo z niczym, co przysporzyłoby rozrywki, poza krajobrazem i ziołem Zapa (w górach jest kiepski zasięg – z jakichś względów przebijały się przez nie tylko stacje country), Simon stanął w identycznym pokoju motelowym, z jakiego wymeldował się rano.

I co teraz? Dobrze byłoby się przespać, sen byłby wspaniały, ale przez całą drogę pił kawę, a kiedy gdzieś na wschód od Salt Lake City zaczął odpływać, zażył kilka meksykańskich tabletek z krzyżykiem – dziesięć miligramów deksedryny na sztukę – więc nie wiedział, czy nawet po Halwane byłby się w stanie wyłączyć.

Jednak nadal musiał coś robić – czuł przyczajonego ślepego szczura. Zdawało mu się, że ostatnio szczur ciągle się czaił. Kiedyś między rundami gry strachu mógł minąć nawet rok. Ostatnio cykl skrócił się do miesiąca czy dwóch, a teraz był chyba jeszcze krótszy. W tym miesiącu odbyły się już trzy gry: Wayne, Dorie i Nelson. Zap się nie liczył, ale Dorie już tak – Simon zawsze powtarzał sobie, że nie chodzi o samo morderstwo, które trzeba popełnić, żeby po prostu nie trafić do więzienia. Październik jeszcze nawet się nie skończył, a on znowu tu był, niespokojny jak weekendowy narkoman w piątek rano, który robi sobie namiot z kołder i odpala pod nimi jointa grubego jak palec, i jak fan baseballu w styczniu, powtórnie rozgrywający w swej głowie dni chwały. Rozmyślanie o grze było lepsze niż nic.

Dzisiaj, może ze względu na porę roku, Simon zaczął wspominać tę kościstą małą kurwę z La Honda. Za żadne skarby nie mógł przypomnieć sobie jej imienia, a przecież bez niej mogłoby w ogóle nie być żadnej gry.

To było w 1969 roku, w październiku. Ulubionym narkotykiem Simona w tamtym czasie była kokaina. Ostatnio osiągnął pełnoletniość, a gdyby nie złe towarzystwo, nie miałby żadnego. Oczywiście poza ślepym szczurem, który nękał go od chwili, gdy Nellie trafił do domu wariatów. Wyglądało na to, że na świecie nie było dostatecznej ilości koki, która utrzymałaby szczura w ryzach, seks też niewiele dawał, chociaż okazji ku niemu było wiele. W porównaniu z ekstazą podczas gry strachu z Nelliem seks był mało satysfakcjonujący, zwłaszcza w świetle problemów z przedwczesnym wytryskiem.

I chociaż z perspektywy czasu rozwiązanie kwestii utraty zdolności odczuwania przyjemności było oczywiste, a nawet nieuniknione, to dopiero incydent z... Corky! – tak, miała na imię Corky – pozwolił mu dopasować do siebie części układanki.

Corky Jakośćam. Biała dziewczyna, chuda jak szkielet. Kręciła się w pobliżu rancza Brzydkiego George’a Harleya, robiąc loda za lodem, kiedy tylko ktoś chciał, a przez resztę czasu motocykliści traktowali ją jak worek treningowy.

Chodziły słuchy, że Corky miała zostać awansowana na główną aktorkę ośmiomilimetrowego filmu

snuff, więc gdy pojawiła się na podłodze z tyłu pierwszego mercedesa Simona gdzieś w pobliżu Daly City (Simon podrzucił wcześniej swojego hoga do naprawy na ranczo), oparł się pokusie, żeby zabrać ją z powrotem do La Hondy i być naocznym świadkiem, jak powstaje magia kina.

Kto wie, może trochę zadziałał tutaj syndrom rycerza na białym koniu – z pewnością nie zrobił tego dla szybkiego numerka. Ale chociaż Corky była w potrzebie, z pewnością nie była damą. Wciągnęła olbrzymie ilości niedawno zakupionej przez Simona koki, a gdy wreszcie miała dość, okazała się potwornie napalona i do tego jeszcze ordynarna. Kolejnym i ostatnim błędem w jej nędznym życiu były docinki z powodu braku zainteresowania seksem, nazwanie go pedałem, a na końcu stwierdzenie, że nawet pedzio powinien być zadowolony z dobrego loda.

Szybciutko zmieniła płytę, gdy Simon jej powiedział, że ma dość i wolałby wsadzić do szamba niż do tego ścieku w jej gębie, a gdy już będzie mógł prowadzić, zawiezie ją na ranczo, żeby nakręcić jej debiut filmowy. I wtedy sytuacja stała się interesująca. Najpierw zaczęła się przymilać, potem błagała, a kiedy już ją związał i wsadził jej chusteczkę do ust, sprawa została przesądzona – w jej oczach pokazało się przerażenie.

Wywarło to natychmiastowy i tak elektryzujący efekt, jak w najbardziej intensywnym momencie gry strachu. Trzydzieści lat później, prawie co do dnia, owinięty w zadymioną kołdrę w pokoju 318 w Holiday Inn Express w Ogallala w Nebrasce, wciąż pamiętał szok, którego doznał, gdy wreszcie zrozumiał. Nie był pedałem, nie chodziło o Nelliego ani o innych mężczyzn, nie nakręcał go nawet seks sam w sobie. Najważniejsze było to: nagły spokój, pociemniałe i bezbronne źrenice, rozwarte siłą usta, drżące wargi prawie tak białe jak wepchnięta między nie chusteczka. Nie tyle chodziło o strach Corky, co o sposób, w jaki ją zmienił, o to, że była teraz bardziej naga niż „naga”, aż wreszcie jej dusza została tak obnażona jak jej smutne, blade, małe i chude ciało.

Był tak poruszony tym doświadczeniem, że nawet zastanawiał się nad jej wypuszczeniem. I chociaż skończyło się to zupełnie inaczej, to gdy film snuff Brzydkiego George'a był już nagrany, Simon posiadał kolejną ważną wiedzę – że ból działał łagodząco na strach.

Z czasem Childs dokładniej zdefiniował swoje potrzeby i pragnienia. Wspecjalizował się w prawdziwych fobach, skutkiem czego przemienił się z łasucha w smakosza, miłośnika strachu. I chociaż w ciągu tych lat zasady gry strachu uległy zmianie – od prymitywnych porwań przy nadarzącej się okazji do apoteozy gry strachu oplakiwanego niedawno Stowarzyszenia OSZF – swe korzenie miała ona w tych dwóch osobach: Nelsonie Carpenterze i Corky Jakość. Simon Childs wiedział, że tej dwójce – z których żadne już nie żyło – będzie dozgonnie wdzięczny.

6

Czwartej nocy podczas pobytu na wsi Lindzie wreszcie udało się zasnąć mimo okropnej ciszy, więc w poniedziałek rano obudził ją wrzask ptaków. Chociaż wciąż nie mogła doczekać się pójścia do pracy, to gdy po zastrzyku z Betaseronu przygotowała sobie koktajl sojowo-proteinowy i wyniosła go na ganek, żeby w spokoju wypić, zrozumiała, że od tej pory do chwili, w której Simon Childs znajdzie się w areszcie, te wczesne śniadania będą prawdopodobnie jedyną szansą w ciągu dnia na nacieszenie oczu wspaniałymi jesiennymi liśćmi.

Miała rację – w poniedziałek zaczął się kocioł. O szóstej rano czasu pacyficznego agencji federalnej, uzbrojeni w nakaz przeszukania otrzymany na podstawie wyciągów z kont Simona Childsa, weszli do loftu w SoMa należący do Kennetha „Zapa” Struma. Odkrycie ciała Zapa, ustalenie godziny śmierci przez lekarza medycyny sądowej i fakt, że odciski palców Childsa znajdowały się nie tylko w całym pomieszczeniu, lecz także na narzędziu zbrodni, pozwoliło domniemywać, że był w San Francisco nie później niż w sobotę.

W tym czasie technicy ciężko pracowali, przekopując piwnicę rezydencji Childsa. Wszystkie ciała, w różnym etapie rozkładu, były pochowane na tej samej głębokości – od jednego do półtora metra. Childs nie układał ich pionowo, lecz najwyraźniej wylewał cienką warstwę cementu na podłogę całego pomieszczenia za każdym razem, gdy chował jedno ciało. Robił to albo żeby zmniejszyć intensywność zapachu, albo żeby uniknąć wyróżniania się świeżego cementu wylanego tylko w jednym miejscu. Do tej pory znaleziono jedynie cztery ciała: trzy kobiece i jedno męskie, ale pomiędzy cienkimi warstwami znajdowało się ich tuzin. Na sugestię Pendera Linda zleciła Thomowi Daviesowi z Wydziału Informacji

w Clarksburgu przeszukanie odpowiednich baz danych w celu ewentualnego dopasowania odnalezionych ciał do zaginionych osób.

Poprosiła go również o kopie wszystkich raportów o nowych tak zwanych morderstwach „obcych” (w których założono, że ofiara nie znała zabójcy), gdy tylko zostaną przysłane z Krajowego Centrum Informacji Kryminalistycznej. Jakikolwiek wzór czy podobieństwo do ofiar lub miejsc, które już odkryto lub zostaną odkryte w toku śledztwa, nie pozostaną niezauważone.

Lindzie nie umknęło jeszcze jedno: wszystko to robiła z krzesła w biurze. Wiedziała, że agenci FBI w całym kraju wykonywali zadania niewymagające większej sprawności fizycznej. Jedyne różnica polegała na tym, że oni byli agentami specjalnymi, a ona specjalistką śledczą. Oczywiście nie powinno to mieć dla niej żadnego znaczenia, ale z jakichś względów miało. Dzień, w którym odczuwała największą dumę, był dniem, w którym otrzymała prawo do nazywania się agentką specjalną Abruzzi. Pomyślała sobie, że nie powinno się zabierać człowiekowi czegoś takiego bez poważnej przyczyny.

Nie miała jednak czasu na rozpamiętywanie. W południe, kiedy na Zachodnim Wybrzeżu ludzie zaczynali pracę, Linda skontaktowała się z szanowaną firmą prawniczą z San Francisco, Bobbeck, Pflueger i Morrison, która zarządzała majątkiem powierniczym Childsów od śmierci Marcusa Childsa w 1963 roku. Po przedarciu się przez jednego operatora centrali, dwie sekretarki i praktykanta adwokackiego udało jej się wreszcie dobić do prawdziwego Szanownego Pana Hearsta Pfluegera IV, który podczas zaskakująco przyjemnej rozmowy powiedział jej, że jest trzecim ze swego rodu, którego nazwisko ma zaszczyt znajdować się w nazwie firmy. Była przygotowana na dużo większy opór, ale gdy powiedziała, dlaczego dzwoni i czego szuka, Pflueger stał się nieoczekiwanie pomocny jak na taką prawniczą szychę.

Przyznał, że czekał na telefon, odkąd przeczytał gazetę w sobotę rano.

– Chciałbym móc powiedzieć, że jestem bardziej zaskoczony, ale mój ojciec, który był osobistym doradcą Marcusa Childsa, zawsze powtarzał, że za jego śmiercią kryje się coś więcej, niż wydaje się na pierwszy rzut oka.

– To byłby Hearst Pflueger Trzeci?

– Trey, wszyscy nazywali go Trey. Jego zdaniem we wnuczku było coś fałszywego, chyba właśnie tego słowa używał.

– Czy kiedykolwiek spotkał pan Simona osobiście?

– Tak. Właśnie skończyłem szkołę prawniczą...

– Którą?

– Boalt, oczywiście.

– Ja kończyłam Fordham. – Może informacja o tym, że ona również była prawnikiem, pozwoli nawiązać nie porozumienia.

– Tak mi się wydawało, że słyszę nowojorski akcent. Jak już wspomniałem, właśnie skończyłem Boalt i zdałem egzamin adwokacki, gdy Trey powierzył mi zarządzanie funduszem. W zasadzie kontrolowałem pieniądze Simona od 1967 do 1969 roku, kiedy to skończył dwadzieścia jeden lat, i w ciągu tego okresu musiał dzwonić do mnie co najmniej raz na sześć tygodni z prośbą o uwolnienie funduszy przekraczających miesięczny przydział, który był niemały.

Kilka razy pojawił się nawet w biurze, oczywiście pod wpływem narkotyków. Nasze relacje wcale nie były przyjemne, agentko Abruzzi. Zwykle nazywał mnie, proszę mi wybaczyć, kutasem. Gdy tylko ktoś dzwonił na centralę i prosił o rozmowę z panem Kutasem, operator przełączał prosto do mnie.

– Fakt, że pan żyje i teraz do mnie mówi, panie Ku... O Boże...

– Nie szkodzi.

– Spróbuję jeszcze raz. Fakt, że pan żyje i teraz do mnie mówi, panie Pflueger, oznacza, że wasze relacje mogłyby być o wiele mniej przyjemne. Jak długo zajmie panu zdobycie dla mnie tych zapisów?

– Zaproponuję pani układ. Jako prawnik sama pani rozumie, że nie mogę tak po prostu wydać pani poufnych dokumentów klienta. Mogę za to poprosić moich ludzi, by je odszukali i zaczęli je kserować, podczas gdy pańscy ludzie uzyskają dla nich nakaz umożliwienia dostępu do archiwum. Nie będziemy tego podważać. Gdy tylko go otrzymamy, dokumenty będą do pani dyspozycji.

– Bardzo panu dziękuję, panie Pflueger.

– Jestem członkiem Orkiestry Symfonicznej San Francisco, agentko Abruzzi. Może mi pani podziękować, łapiąc tego potwora, zanim zabije jakiegoś innego młodego, obiecującego wiolonczelistę.

– Robimy, co możemy, sir.

– Wiem.

Pocztę doręczono, gdy Linda rozmawiała przez telefon z Eddiem Ericksonem, agentem z San Francisco, o pozyskaniu nakazu umożliwienia dostępu do archiwum funduszu powierniczego Childsa. Wraz z szarą kopertą z Departamentu Policji we Fresno dostarczono pudełko z taśmą wideo od policji w Las Vegas.

Zamiast zejść na lunch do restauracji Departamentu Sprawiedliwości, Linda zjadła przy biurku. Ciągle puszczała i przewijała kopię ziarnistego poklatkowego nagrania z kamery nadzorującej ukazującego dwóch mężczyzn wchodzących do windy 4 listopada 1999 roku o godzinie o 23:57.

Oczywiście byli to Simon Childs i Carl Polander w lobby Olde Chicago Hotel and Casino, w którym odbywał się zjazd OSZF. W niedzielę wieczór zjazd się skończył, większość uczestników się wymeldowała i pojechała do domu. Linda, która widziała Childsa tylko na zdjęciu z prawa jazdy, nie mogła oderwać wzroku od mężczyzny. Oglądała nagranie tak długo, aż przygarbiona postawa, aura spokojnej pewności siebie, sposób, w jaki wygładził dłonią wdowi szpic, wsiadając do windy (prawdopodobnie zobaczył swoje odbicie w którymś z luster), stały się częścią niej – tak znajomą, jak chód ojca rzeźnika, którego bolały stopy, czy mały dzióbek, który mama robi do lustra, nakładając pomadkę.

– To on, co?

Zaskoczona spojrzała w górę – w drzwiach stała Pool.

– To on.

Zatrzymała taśmę, przewinęła do tyłu, wyłączyła odtwarzacz.

– Gdy to oglądałam, coś do mnie dotarło: prawdopodobnie nigdy go nie zobaczę.

– W sensie na żywo?

– Tak. Kiedy to się skończy, będę wiedzieć o nim więcej, niż wiedziałam o moim pierwszym chłopaku, ale nigdy nie spotkam go osobiście. – Linda zadumała się, otwierając kopertę z Fresno i kładąc na biurku plik kolorowych zdjęć.

– W przeciwieństwie do tej biednej kobiety – stwierdziła Pool, wskazując na pierwszą fotografię na stercie.

Została ona zrobiona w łazience i ukazywała ofiarę siedzącą w wannie. Ciężkie piersi kobiety rozjechały się na boki, a jej głowa była odrzucona do tyłu tak, że włosy opadały kaskadą za wannę. Miała zamknięte oczy i usta rozchylone jak w ekstazie.

Oczywiście była to Mara Agajanian. Mimo pierwszego wrażenia zdjęcie nie było materiałem soft porno, lecz dowodem, jak należało wnioskować po reszcie fotografii – różowa woda, zbliżenia rozciątych nadgarstków. Jednak po ich przejrzaniu Linda wróciła do pierwszego ujęcia. To było jak gra w Zgadnij, który element nie pasuje do reszty. Załapała przy trzecim podejściu.

– Spójrz na to – powiedziała do Pool, wskazując długie czarne włosy wiszące za wanną. – No, spójrz.

Pool zyskała jej uznanie, odgadując za pierwszym razem.

– Rozczesał jej włosy – stwierdziła. – Ten skurwiel rozczesał jej włosy.

7

Czego by nie powiedzieć o górnym Środkowym Zachodzie, trzeba przyznać, że mają świetne stacje z muzyką klasyczną. Nebraska, Iowa, Minnesota – gdy jedna stacja traci zasięg, w dolnej części skali publicznego radia pojawia się kolejna. I to nie tylko standardy takie jak: Vivaldi, Mozart, trzech panów B. Ale też szeroki wybór mniej znanych barokowych kompozytorów z całego świata, takich jak: Albinoni, Stradella i Guerrieri. Dla Simona była to lekcja muzyki – w trakcie podróży zapamiętywał sobie tytuły płyt, które zamówi do swej kolekcji, gdy następnym razem będzie online.

Pomijając oczywiście fakt, że nie miał już ani komputera, ani kolekcji CD, ani adresu. Kiedy volvo jechało wielkim żelaznym mostem nad Missisipi w kierunku La Crosse, był w dziwnym, niejednoznacznym nastroju. Cechowała go inteligencja, i jak zauważył Sid Dolitz zaledwie pięć dni wcześniej, jego mania to zdecydowanie sans délire. Na jednym poziomie rozumiał, że dotychczasowe życie dobiegło końca. Teraz był uciekinierem, skazanym na krótką, pełną udręki egzystencję i brutalny koniec, który nastąpi albo z rąk własnych, albo ze strony wymiaru sprawiedliwości.

Simon z natury nie potrafił wyobrazić sobie, że po jego śmierci wszechświat wciąż będzie istnieć – na drugim, głębszym poziomie, tam, gdzie swoje korzenie ma osobowość, jego majestatyczna samoświadomość, nadnaturalna, psychopatyczna pewność siebie i niemożność odczuwania empatii

(Missy się nie liczyła, jak powiedziała Sid, ponieważ siostra nie stanowiła dla Simona osobnego bytu, lecz była przedłużeniem jego ego) lub uznania, że inni ludzie posiadali takie samo życie wewnętrzne jak on. W związku z tym, przy całej swojej inteligencji i zdolnościach postrzegania, był jak niemowlę niezdolne do stworzenia kontaktów ze światem zewnętrznym, do powiedzenia: „w tym miejscu kończę się ja i zaczyna się świat”. Simon był wszechświatem, a wszechświat był Simonem niezdolnym do zrozumienia nieuchronności własnego nieistnienia.

I teraz pędził w kierunku pewnej, krwawej śmierci.

Instynktownie, nieświadomy problemu, Simon znał rozwiązanie: cel, skupienie, koncentracja. O czymkolwiek by nie myślał podczas jazdy, a jechał od szóstej rano, za każdym razem, gdy żywe kolory jesieni, wspaniała muzyka czy zawrotna prędkość na autostradzie przestały zajmować jego uwagę, myślami wracał do Pendera.

Do Pendera odpowiedzialnego za śmierć Missy. Do Pendera odpowiedzialnego za wygnanie Simona. Pender, Pender, Pender. Simon przechowywał w pamięci obraz tej łysej głowy z blizną, tych śmiesznych ubrań, tego głupiego uśmiechu. Były jego gwiazdą przewodnią. Każdy kilometr, jak sobie mówił, przybliżał go o kolejne tysiąc metrów do wytarcia ironicznego uśmiechu z tej gęby i zastąpienia tępego, zadowolonego z siebie wyrazu twarzy czystym, rozkosznym strachem.

8

– Nie ruszaj się! – krzyknęła Dorie, gdy Pender otworzył oczy.

– Dlaczego nie?

Drzemał na kocu piknikowym, rozłożonym pod rzeźbionym wiatrem cyprysem na Cyplu Zakochanych, podczas gdy Dorie malowała. Zobaczył, że cofnęła się o piętnaście metrów i ustawiła krzesło oraz sztalugę tak, by go widzieć.

– Jesteś na obrazie.

– Poczekaj. – Pender poczuł wiatr na łysej czaszce i doszedł do wniosku, że jego beret musiał się zsunąć. Zaczął się za nim rozglądać. Znowu krzyknęła, żeby się nie ruszał. – Ale mój beret, muszę go...

– Jest tutaj. – Siedziała z tyłu i delikatnie na prawo względem sztalugi. Cały czas patrząc to na obiekt, to na płótno, malowała szybko lewą ręką. Nawet o tej porze dnia światło wciąż się zmieniało, a jeśli malowanie zajmie ci zbyt dużo czasu, skończysz zupełnie inny obraz, niż zacząłeś. – Musiałam go zdjąć.

– Co masz na myśli, mówiąc „musiałam go zdjąć”?

– Braź się zlewał. Z pnem drzewa. Za tobą – pokrzykiwała między kolejnymi pociągnięciami pędzla. – Potrzebowałam plamy. Rózu. Do kompozycji. A teraz przestań się wiercić.

– Chcę mój beret.

– Pomyśl o tym. Jak o poświęceniu. Dla sztuki.

Chociaż nienawidziła przerywać pracy, po rosnącym napięciu leżącej postaci wyczuwała, że później będzie trzeba nałożyć na nią trochę olejku TLC. Odłożyła pędzel, przeszła przez bujny zielony trawnik i przyklękła na brzegu koca. Pender, leżący na lewym boku z prawą ręką zawieszoną na czystym temblaku (trapezoidalna biała plama na obrazie – kolejny powód, dla którego Dorie potrzebowała biało-różowej głowy dla zachowania równowagi), zaczął siadać. Delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Pen, proszę, to dla mnie ważne. – „Pen” to jej prywatne przezwisko dla niego. Z jakichś względów uważała, że Ed do niego nie pasuje. – Odkąd próbowałam umieścić na jakimś obrazie ludzką postać, minęły wieki.

– Problem z maskami?

Pokiwała głową.

– Twarze. Nie potrafiłam ich dokończyć, a nie mogłam zostawiać ich pustych.

– No to żeś sobie wybrała niezłą twarz na początek...

– Jest taka malutka. – Kciukiem i palcem wskazującym pokazała niecały centymetr. – Pen, proszę? Zrobię to dobrze, obiecuję.

Po krótkiej naradzie kochanków, podczas której omawiali, w jaki sposób Dorie mu to wynagrodzi, wróciła triumfalnie do swej sztalugi, a Pender do drzemki. Gdy skończyła, spakowała sprzęt, znowu przeszła przez trawnik, założyła beret na czaszkę z blizną i położyła się obok niego.

– Kiedy musisz wrócić do Waszyngtonu? – Bardzo ceniła sobie zarówno swoją niezależność, jak

i prywatność, ale ponieważ Simon wciąż był na wolności, nie tęskniła za samotnym zasypianiem i budzeniem się.

– W piątek mam spotkanie z moim ghostwriterem. Mam nagrać mu moje wspomnienia. Zabawny mały człowieczek o nazwisku Bellcock, polubisz go. Twierdzi, że jest współautorem tylu książek, że jego przyjaciele są przekonani, że jego imię brzmi Tekstspisał. Pożyczył mi dyktafon i powiedział, że mam po prostu zacząć mówić i się nie przejmować, bo taśma jest tania, a on to potem wszystko uporządkuje. Nakazał, żebym nie wprowadzał sobie cenzury, bo słyszał w życiu już chyba wszystko. A ja sobie pomyślałem: przyjacielu, nie wiesz, co mówisz. – Potrząsnął gwałtownie głową, jakby chciał opróżnić ją z ćwierćwiecza z seryjnymi mordercami: rozpruwaczami, wielbicielami makabry, kolekcjonerami i nekrofilami tworzącymi jego „wszystko”.

– Czyli w czwartek? – spytała Dorie, mocno się do niego przytulając.

– Najpóźniej. Abruzzi prawdopodobnie też przydałaby się jakaś pomoc. – Wsunął zdrową rękę pod jej głowę jako poduszkę i leżeli razem, słuchając hałaśliwych mew i fok, szumu fal łagodnie rozbijających się o skały na szczycie cypla. – Chociaż mógłbym się do tego przyzwyczaić – dodał po kilku minutach.

Och, przyzwyczaj się – pomyślała.

– Słuchaj, a nie chciałabyś polecieć ze mną? – spytał od niechcienia, jakby ten pomysł dopiero co przyszedł mu do głowy. A przecież myślał o tym już od jakiegoś czasu. Childs wciąż był na wolności, więc Penderowi wcale nie podobała się perspektywa zostawienia Dorie samej.

– Miałabym lecieć z tobą? Do Waszyngtonu?

– Właściwie to do Maryland. Tylko na trochę, przynajmniej do czasu złapania Childsa.

– Myślisz...

Szybko się wycofał.

– Nie, nie. Oczywiście, że nie. Nie ma powodu, by myśleć, że po ciebie wróci. Nie jest aż tak głupi. Ale może przydałby ci się krótki urlop. Oprowadziłbym cię, mogłabyś sobie coś namalować...

– Niestety nie mogę.

Propozycja była kusząca, ale nie było sensu nad nią dyskutować.

– Dlaczego nie?

– Awiofobia.

– Co to jest?

– Strach przed lataniem.

– Może czas, by się z tym uporać.

Usiadła poirytowana.

– A ty co, zabawiasz się w mojego psychiatrę?

– Nie – odrzekł. – Ale wiem dostatecznie dużo o strachu, żeby zdawać sobie sprawę, że sługa z niego przydatny, ale pan parszywy.

– Bosko – mruknęła Dorie. – Najpierw jest psychiatrą, a teraz Yodą.

– Przemyśl to, słonko. Zrób mi tę przysługę i po prostu to przemyśl. Cały czas będę obok, trzymając cię za rękę.

– To nie tylko strach przed lataniem. – Zaczęła grać na zwłokę. Fobowie byli w tym dobrzy. – Mam tutaj mnóstwo pracy. Muszę na czas namalować pół tuzina obrazów na moją wystawę.

– No to świetnie. O tej porze roku drzewa wokół śluzy Tinsmana wyglądają rewelacyjnie. Klon jesionolistny, jesion amerykański, klon cukrowy, figowiec sykomora, orzesznik, wiąz. Obstawiam, że będziesz musiała kupić sobie nowe kredki.

– Hej, Pender.

– Co?

– Opuścisz w końcu?

– A jak myślisz? – odrzekł, odnotowując w pamięci, żeby podczas rezerwacji kupić dwa bilety. Miał do oddania bilet w pierwszej klasie, z pewnością pokryje koszty dwóch biletów w ekonomicznej.

– Pani Day?

– Panie Bellcock, zapraszam do środka.

Przyjechał około szóstej, godzinę wcześniej, niż się umówili. Ale to nie był żaden problem: na poniedziałek zawsze zostawało dużo mięsa z wdowiego ptaka, którego właśnie wyjęła z lodówki (wdowi ptak to lokalna nazwa kurczaka, którego samotna kobieta piekła w niedzielę, by mieć kolacje na cały tydzień), więc zaprosiła go na posiłek.

Nie wiedziała, czego się spodziewać, nigdy wcześniej nie spotkała ghostwritera, ale z jakiegoś powodu wyobrażała sobie małego człowieka w okularach i z dyktafonem, nie była więc przygotowana na tego wysokiego, raczej odrażającego, bezwłosego, nonszalanckiego faceta o hipnotycznym spojrzeniu stojącego z pustymi rękami w progu jej domu.

Ale Ida Day nie oceniała ludzi po wyglądzie – Walt też nie był Ronaldem Colmanem. Zresztą gdy Arthur Bellcock włączył swój urok, łatwo było zapomnieć o jego aparycji. Zachwalał jej gotowanie, komplementował wygląd – gdyby była dziesięć lat młodsza albo on dziesięć lat starszy, mogłaby nawet podejrzewać, że się do niej zalecał.

Jednak po kolacji, gdy wrócili do salonu i zaczęli rozmawiać o Eddiem, Bellcock stał się przesadnie skrupulatny, spisywał każdą odpowiedź w spiralnym kieszonkowym notesiku. Znowu ją zaskoczył – nie takich pytań się spodziewała. Zdawał się mniej zainteresowany faktami, bardziej obchodziły go sprawy ogólne. Jaki był Eddie jako chłopiec? Czym się interesował, co lubił, a czego nie lubił, jakie były jego ulubione i najmniej ulubione rozrywki? Ida miała wrażenie, że do czegoś zmierza, ale nie wiedziała, do czego.

– Jak już powiedziałam panu wczoraj przez telefon, panie Bellcock – wyjaśniła, pochylając się nad kominkiem z cegły, by rozpaścić ogień – wyjechałam z Cortlandu, gdy Eddie miał zaledwie dziesięć lat, więc nigdy nie miałam okazji poznać go tak dobrze, jak bym chciała.

– A kiedy ostatni raz rozmawiała pani z bratem? – spytał. Oparł się na fotelu, splótł z tyłu swe długie ręce, a nerwowy tik w lewym udzie, przez który drżała jego pięta, zdradzał, że swobodna postawa była wymuszona.

– Kilka tygodni temu. Zadzwoił i powiedział mi o panu.

Silnik ci chodzi – miała ochotę mu powiedzieć. Walt zawsze mówił tak do Stana, którego noga również tak irytująco drżała, gdy był zaniepokojony lub podekscytowany.

Prawie jestem u celu – pomyślał Simon. Ale zanim zadał jedyne pytanie, które tak naprawdę się liczyło, musiał się dowiedzieć, czy wiedziała cokolwiek o ostatnich wyczynach brata. Jeśli, powiedzmy, śledziła sprawę w wiadomościach, bezpośrednio pytanie o strach mogłoby wzbudzić jej podejrzenia. W takim przypadku musiałby znaleźć sposób na pozabawienie pytania tego kontekstu.

– Nie mieliście kontaktu przez kilka tygodni. Wie pani, czym on się teraz zajmuje?

– To znaczy teraz, gdy jest na emeryturze? Podejrzewam, że gra w golfa. Mówił mi, że on i jego przyjaciel Sid planują lecieć do Kalifornii. O ile pamiętam, był szalenie podekscytowany perspektywą gry na Pebble Beach.

– A, prawda.

Na emeryturze! To dlatego nie wyciągnął broni – pomyślał Simon. Po prostu jej nie miał. W takim razie, skoro był na emeryturze, dlaczego węszył wokół Carmel? Co takiego powiedziała mu Dorie, że przyjechał do Berkeley? I co to mówi o Simonie, który pozwolił, by jego życie (i życie Missy – nie zapominaj o Missy) zniszczył jakiś emerytowany, stary niedojda?

Ale teraz to nieważne – upomniał się, hamując rosnącą wściekłość najlepiej, jak potrafił. Wszystkie te sprawy miały w tym momencie znaczenie drugorzędne. Nadszedł czas na przejście do sedna. Zaczął przeszukiwać notes, udając, że się zgubił.

– Spójrzmy... na czym skończyliśmy? Co lubił, czego nie lubił, ulubiony sport, bla, bla, bla, pierwsza dziewczyna... O, mam. Kolejne pytanie: czy Eddie miał w dzieciństwie jakieś fobie?

– Fobie?

– Tak. Czy było coś, czego bał się w szczególności?

– Wiem, co oznacza to słowo, panie Bellcock, po prostu próbuję sobie przypomnieć. Była taka sytuacja, kiedy Eddie miał... pomyślmy, byłam na ostatnim roku w Ithaca, gdy zadzwoniła mama i kazała mi natychmiast wracać do domu... czyli Eddie musiał mieć osiem lub dziewięć lat. On i jego kolega bawili się fajerwerkami. Wrzucili jednego do komina, żeby zobaczyć, co się stanie, i wybuchł Eddiemu w twarz.

Przez kilka tygodni nie było wiadomo, czy odzyska wzrok.

– Czyli fajerwerki? – spytał, przechodząc do rzeczy. – Boi się fajerwerków?

– Nie, nie – powiedziała Ida. – Ślepoty. Potwornie się jej boi. Jako chłopiec nigdy nie chciał założyć przepaski podczas gry w ciuciubabkę. A jako dorosły... pomyślmy. To były urodziny Stanleya, Eddie właśnie ukończył Akademię FBI, więc musiał być 1972 rok. Mieliśmy piñatę i Eddie stanowczo odmówił założenia opaski na oczy, nawet gdy Stanley go błagał. A Eddie uwielbiał Stanleya, zrobiłby dla niego wszystko.

Chociaż Arthur Bellcock cały czas skrzętnie spisywał słowa Idy, Simon Childs nie zwracał już na nie uwagi.

Czyli ślepotą? – myślał. To dobra, ciekawa fobia. Możemy zrobić z tego grę, mój mały Eddie, zdecydowanie możemy zrobić z tego grę.

I gdy wszystko było już jasne, pozostało zadać jeszcze tylko jedno pytanie:

– Z czystej ciekawości, pani Day, skoro już jesteśmy przy temacie. Czy jest coś szczególnego, czego pani się boi?

– Było coś takiego – odrzekła, kładąc nacisk na czas przeszły. A potem, prawdopodobnie dlatego, że pan Bellcock był takim wyjątkowym słuchaczem, chłonącym każde słowo, Ida, pod wrażeniem jego rozchylnych ust i dziwnie nagich oczu, w których odbijały się płomienie, powiedziała mu co to było.

Micrurus Fulvius

1

Zadrzewione zbocze poniżej domu Pendera opadało na wąski trawnik przylegający do wschodniego brzegu. Wysoki parawan z jesionów amerykańskich, klonów jesionolistnych, głogów, figowców sykomora i klonów cukrowych rósł w szeregu wzdłuż ścieżki biegnącej równoległe do zachodniego brzegu. Z ganku Linda widziała szeroką srebrną wstążkę Potomaka, wijącą się leniwie w oddali przez różnokolorowy jesienny krajobraz wsi.

Widziała również swój oddech. Ciesz się widokiem, póki możesz – powiedziała sobie. Za kilka tygodni te drzewa będą nagie.

Spojrzała na zegarek. Była 6:30 – popiła garść witamin resztkami śniadaniowego koktajlu, sięgnęła po laskę i podniosła się z krzesła. Potem jazda wzdłuż River Road do Departamentu Sprawiedliwości w podmiejskiej Wirginii, gdzie spotkało ją znajome przywitanie ze strony strażnika przy bramie, który sprawdził tylne siedzenie, bagażnik i podwozie jej samochodu.

Dzienny kod bezpieczeństwa do garażu podziemnego: 2012, składał się z liczb stanowiących dzień i miesiąc urodzin jej mamy. Linda powiedziała sobie, że to będzie szczęśliwy dzień.

Z pewnością był bardzo pracowity. W piwnicy Simona Childsa odkryto dwa kolejne ciała – no dobrze, szkielety – więc cały poranek spędziła na przeglądaniu informacji o zaginionych osobach z zachodnich stanów. Thom Davies zebrał wszystkie dane z bazy KCIK. Niektóre były jeszcze z 1968 roku. Tam, gdzie istniało chociaż niewielkie prawdopodobieństwo dopasowania, Linda przefaksowywała wstępne dane sądowe do odpowiednich lokalnych władz.

Około pierwszej przyjechało jedenaście pudeł danych od Bobbecka, Pfluegera i Morrisona – pan Pflueger dotrzymał słowa. Poprosiła Pool o pomoc przy katalogowaniu zawartości, co zajęło większość popołudnia. Mamusiu, co robiłaś w FBI? – wyobraziła sobie swoje dzieci, zadające jej takie pytanie w odległej przyszłości. Kochani, przewalałam sterty niepotrzebnych papierzyk.

Potem przypomniała sobie, że nie będzie miała żadnych dzieci ani, prawdopodobnie, żadnej odległej przyszłości. I chociaż to nie była dla niej nowość, trochę zdenerwował ją fakt, że takie myśli naszły ją bez ostrzeżenia. Ojoj, jaka jesteś biedna. Daj już spokój – nakazała sobie i wróciła do przekładania papierów.

2

Po amfetaminie nadchodzi moment, kiedy dawka zdolna do utrzymania cię jeszcze przy świadomości jest jednocześnie dostatecznie duża, by spowodować zaburzenia widzenia podobne do halucynacji. Światła błyskające na skraju pola widzenia, smugi i zniekształcenia pryzmatyczne – nie widzisz rzeczy, których nie ma, ale prawie widzisz rzeczy, których nie było sekundę temu i których nie będzie, gdy spojrzysz ponownie.

Simon doszedł do tego etapu późnym wtorkowym popołudniem. Uciekł z La Farge głęboko wstrząśnięty tym, jak ogromne wrażenie zrobiła na nim starsza kobieta. Chociaż jechał na oślep przez noc aż do świtu, zdawało mu się, że nie ma odpowiedniej prędkości ani odległości, która pozwoliłaby pozbyć się Idy Day z umysłu. Czułe spojrzenie w jej oczach, gdy opowiadała mu o swym dziecku z zespołem Downa, Stanleyu. Szczery gniew w jej głosie, gdy wspominała, jak lekarze powiedzieli, że najlepszym, co mogłaby zrobić dla całej ich trójki: Stanleya, jej męża i niej samej, było oddanie dziecka do zakładu, zanim wszyscy się ze sobą zżyją. Wstyd, gdy się przyznała, jak bliska była ich posłuchania.

– Nie pozwolili mi karmić go piersią. Powiedzieli, że za bardzo się przywiążę. Gdy miał trzy tygodnie, włożyliśmy go do małego koszyka i zawieźliśmy do stanowego zakładu przy Madison. Papiery były już podpisane. Wszystko, co miałam zrobić, to odwrócić się i odejść, ale wie pan co, panie Bellcock? Czułam, jakby moje nogi zamieniły się w kamienne słupy. Do dzisiaj, do dzisiaj, panie Bellcock, nadal nie mogę

zrozumieć, jak jakakolwiek matka mogłaby, w sensie fizycznym, odejść i zostawić swoje dziecko.

W Atlantic City żyje pewna stara kobieta, której chciałbym zadać to pytanie – pomyślał. Nagle, chociaż nie potrafił nazwać zaniepokojenia, które zaczęło w nim wzbierać – była to dziwna kombinacja rozczulenia się nad samym sobą i empatii – zrozumiał, że nie mógł już dłużej znosić wysłuchiwania o tym, jak to jest być Idą Day czy matką w ogóle, ani jak to jest być kimkolwiek innym poza Simonem Childsem. Zapytałem ją tylko o strach – powiedział sobie. Jedyne, co chciałem wiedzieć, to czego się boi, żebyśmy mogli rozpocząć grę.

Ironia sytuacji polegała na tym, że gdy wreszcie mu powiedziała, tylko pogorszyła sprawę. Oczywiście wiedział, że na świecie istniały inne dzieci z zespołem Downa, dziesiątki tysięcy innych dzieci z tą chorobą, i gdyby wysilił się, żeby o tym pomyśleć, zrozumiałby, że ich rodzice przeżywali podobne problemy jak on, gdy opiekował się Missy, a do tego mieli prawdopodobnie dużo mniej pieniędzy. Ale tak naprawdę dotarło to do niego dopiero wtedy, kiedy Ida podeszła do kominka i zdjęła z niego zdjęcie Stanleya w wyszywanej srebrną nicią ramce. Pokazała je Simonowi i opowiedziała, jak każdej nocy przez trzy lata między śmiercią Walta i Stanleya nie mogła spać z przerażenia wywołanego myślą o tym, że umrze pierwsza i zostawi Stanleya bezradnego, samotnego i przestraszonego.

Za każdym razem, gdy mówiła „Stanley”, słyszał „Missy”. Bezimienne, nieznanne i niepokojące uczucie narastało. Gdy wyznała mu, jak czasami myślała o zrobieniu pożytku z rewolweru schowanego w szufladzie i zastrzeleniu siebie i syna, jeśli zaczęłaby podupadać na zdrowiu, Simon ledwo to zniósł. Uciekł z La Farge o północy, potrzebując gry o wiele bardziej niż wtedy, gdy tam przyjechał. We wtorek po południu, gdy wreszcie zjechał z międzystanowej autostrady gdzieś w samym środku Pensylwanii, żeby poszukać motelu, zatrzymując się na poboczu, by uniknąć czegoś, co nie istniało, potrzeba zamieniła się w głód.

Tak, a ludzie w piekle błagają o wodę z lodem, jak mawiał dziadek Childs. Simon powinien był o tym pamiętać, kiedy ujrzał kierunkowskaz do Egzotarium Grahama Grahama na trasie numer 15 w Allenwood na końcu drogi zjazdowej i natychmiast przypomniał sobie o ofidofobie nazywającej się Przestraszonykot (albo o ofidofobie, chociaż większość ofidofobów to kobiety), ostatnim owocem drzewa OSZF. Według informacji Zapa Kot mieszkał w Georgetown, niedaleko od domu Pendera w Maryland. Simon powinien też pamiętać, co dziadek czasami dodawał: jeśli ci ludzie w piekle kiedykolwiek dostaną wodę z lodem, odkryją, że diabeł wcześniej ją posolił.

Egzotarium Grahama Grahama! Childs, którego zainteresowanie węzami sięgało dzieciństwa, gdy miał swojego pieszczocha Chudzielca, i którego późniejsze hobby często wiązało się z kontaktem z ofidobofami (to była jedna z najpopularniejszych fobii), często widział to miejsce w telewizji i całymi latami pragnął odwiedzić to miejsce. Jednak dopiero tego wieczoru los rzucił go w pobliże Allenwood w Pensylwanii.

Z zewnątrz budynek wyglądał dość mizernie – jak połączenie małej galerii handlowej z budką z kanapkami – ale jego wnętrze nie zawiodło Simona. Mamby, kobry, pytony, żmije, kilkumetrowy aligator, olbrzymie żółwie, egzotyczne żaby i jaszczurki. Simon widział nawet samego Grahama Grahama w stroju khaki jak na safari, oprowadzającego grupę uczniów. W innych okolicznościach chciałby uściskać dłoń temu mężczyźnie, kupić mu drinka, porozmawiać o gadach. Ale to byłoby nieostrożne, bądź co bądź Simon planował okraść to miejsce tuż po zamknięciu.

3

– Kto to powiedział: „Wystrzegaj się wszelkich przedsięwzięć, które wymagają nowych ubrań”? – spytał Pender.

Dorie prawie siłą zaciągnęła go do centrum handlowego i do Khaki's, w którym można było kupić odzież męską z wyższej półki.

– Na pewno nie kobieta – odrzekła.

Jedyne ubrania, jakie posiadał, to te spakowane do bagażu podręcznego na dwudniową wycieczkę, która nieco się przedłużyła. We wtorek rano Dorie oznajmiła, że jeśli jeszcze raz zobaczy tę żółtą koszulkę Ban Lon, to się zrzyga.

Jednak wybór sklepu zwrócił się przeciwko niej. Według reklam w sklepie można było kupić ubrania z klasą, ale Pender ruszył prosto do półki z hawajskimi koszulkami i wybrał spośród nich kilka bardzo

drogich. Właśnie przymierzał kapelusz panama, gdy jego telefon zaczął dzwonić.

Dziwne – pomyślała Dorie, obserwując, jak Pender podchodzi do drzwi, żeby mieć lepszy zasięg. Nigdy wcześniej nie zabujała się w brzydkim facecie, musiała się do tego przyzwyczaić. Co ciekawe, wcale nie był kiepski w łóżku. Zaskoczył ją fakt, że podczas uprawiania seksu wygląd ma aż tak małe znaczenie. Jednak w dziennym świetle te oczy pod łysym czołem z blizną wydawały się o wiele za małe, a ten kulfoniasty nos i te uszy jak u Lyndona B. Johnsona były o wiele za duże. Tylko pełne usta były w porządku. Jakimś sposobem, gdy rozciągały się w przyjaznym uśmiechu, cała twarz też była w porządku.

Mimo wszystko nie mogła się powstrzymać przed porównywaniem go z Rafaelem, stolarzem z Big Sur. Wystarczyło przejść się z nim do knajpy, a już wszystkie inne baby skręcały się z zazdrości jak palce Złej Czarownicy pozbawionej rubinowych pantofelków. Gdy Rafe pracował, jego mięśnie prężyły się pod przepoconą koszulką jak u Brando w Tramwaju zwanym pożądaniem, a ciężki zamszowy pas z narzędziami stolarskimi wisiał ukośnie na jego wąskich biodrach...

– Hej, Dorie! – Pender zawołał ją, zasłaniając mikrofon telefonu. – Słyszałaś kiedyś o psychiatrze o nazwisku Luka, Janos Luka?

– Janos Luka? Jasne, a kto o nim nie słyszał?

– Na przykład ja i Abruzzi.

– To słynny terapeuta Gestalt. Pracował między innymi z Perlem i Maslowem. Musi mieć teraz z milion lat, ale nadal prowadzi Instytut Lethe w Big Sur. Dlaczego pytasz?

– Najwyraźniej swego czasu był psychiatrą Simona Childsa. – A potem powiedział do słuchawki: – Lindo? Tak, Dorie go zna.

– Hej! Nie powiedziałam, że...

Pender przyłożył palec do ust i mrugnął do niej.

– Tak, to jej stary przyjaciel. Mówi, że facet jest odludkiem, więc może to my powinniśmy nawiązać pierwszy kontakt... Oczywiście, oczywiście, samo przesłuchanie powinien przeprowadzić ktoś z miejscowej agencji... Tak, tak zrobię... Okej, pogadamy później.

– O co chodzi? – spytała Dorie.

– Taki mały Biuro-kratyczny wybieg. Ile się tam jedzie?

– Dokąd?

– Do Big Sur – odrzekł.

I znowu ten uśmiech, rozświetlający całą twarz przepędził brzydotę.

4

Linda Abruzzi nie była naiwna – doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że obietnica Pendera w kwestii miejscowej agencji, która miałaby rozmawiać z doktorem Luką, prawdopodobnie nie miała pokrycia. Ale skoro priorytetem było schwytanie Childsa, to odmówienie legendzie Biura przeprowadzenia dla ciebie wywiadów środowiskowych przypominało posadzenie Dereka Jetera na ławce rezerwowych. A jako absolwentka prawniczej szkoły Linda była nieźle zaznajomiona z pojęciem wiarygodnego zaprzeczenia – żywiła przekonanie, że znał je również zastępca dyrektora Stephen P. McDougal.

Poza tym musiała się zająć inną sprawą. W tym samym pudle, w którym znajdowały się dokumenty medyczne – w zasadzie same rachunki – znalazła akty urodzenia zarówno Simona, jak i Melissy, więc gdy tylko skończyła rozmawiać z Penderem, zadzwoniła do Thoma Daviesa i poprosiła go, by trochę poczarował.

Kilka minut później, gdy wyjmowała z faksu najnowszy raport kryminalistyczny z Berkeley dotyczący kobiety w średnim wieku z tytanową śrubą w lewej kości udowej – jak zapewnił lekarz medycyny sądowej, takie śruby były stosowane od 1992 roku – Davies oddzwonił i oznajmił, że dawno zaginiona matka Simona Childsa już się odnalazła.

– Świetna robota – pochwaliła go Linda.

– Łatwizna – odparł Brytyjczyk mieszkający w USA. – Według danych opieki społecznej od piętnastu lat wiedzie żywot pod tym samym adresem w Atlantic City. Oczywiście o ile egzystencję za czterysta pięćdziesiąt dolarów można nazwać życiem.

– Kimberly Rosen z pewnością nie miałaby nic przeciwko – odparła ponuro Linda, patrząc na dwie

fotografie z policji w Chicago, które przyczepiła na tablicy z ofiarami. Pierwsza to radosne ujęcie Kim z półprofilu z kroniki szkolnej New Trier, rok 1995. Druga, na której widać całą twarz, została zrobiona w kostnicy Cook County, rok 1999.

- Słucham?
- Dzień dobry, czy rozmawiam z panną Delamour?
- Nie Delamor, tylko Dela-moor, comme le français.
- Przepraszam, panno Dela-moor.
- Eee tam, mów mi Rosie, wszyyyscy tak mówią.

Na bani – pomyślała Linda. Czwarta po południu, a ona już jest na bani. Rozmawianie z pijanymi było jak łowienie ryb – najpierw pozwalasz im trochę poszarpać się na żyłce, potem podciągasz, pozwalasz się szarpać i znów podciągasz.

- Rosie, dzwonię w sprawie twojego syna.
- Nie mam syna. – Sposób, w jaki to powiedziała, był raczej zaprzeczeniem niż wyparciem się. – Próbowałam mu to wyjaśnić, ale nie ściaaał słuhać.
- Co wyjaśnić, Rosie?
- Dlaaszego.
- Ponieważ próbuję się z nim skontaktować.
- Nie dlaaszego. Wyjaśnić dlaaszego. Dlaaszego odeszłam.

Osz kuźwa – pomyślała Linda. Zaczyna nam się z tego robić Abbott i Costello.

- Kiedy to było, Rosie?
- Za późno. Było za późno. Chyba za długo czekałam. Stelefonem.

Linda spróbowała raz jeszcze. To powinien być przełom, którego tak szukali.

- Rosie, muszę wiedzieć, kiedy ostatnio rozmawiałaś z Simonem. – Podstawy psycholingwistyki: oświadczenia w pierwszej osobie liczby pojedynczej często pomagają uzyskać odpowiedzi tam, gdzie zawiodło zadawanie pytań.

– Nie wiem, w tym roku, w zeszłym... Nie, chwileczkę, pamiętam. To był luty, szwarty lutego. Urodziny Missy. Nie posfolił mi... Powiedział, że to by tylko... Nie posfolił...

Czyli nie ostatnio – pomyślała Linda, gdy po drugiej stronie słuchawki Rosie zaczęła szlochać. I to tyle, jeśli chodziło o przełom.

- Czwartego lutego tego roku?

Najpierw przeciągły, pijacki płacz, który w innych okolicznościach mógłby być niemal śmieszny, a potem cisza, przzerwana odgłosem kostek lodu wrzucanych do szklanki o cienkich ściankach.

- Rosie?
- Kto mówi?
- Linda Abruzzi. – Linda postanowiła jeszcze nie zdradzać, że jest agentką FBI. Nie chciała wzbudzać instynktu macierzyńskiego, który kazałby chronić syna. – Próbuję skontaktować się z Simonem, to bardzo ważne.

- So się stało, zrobił si bachora szy jak?

- Nie, ja...

– Słuchaj, skarbie, nie widziałam dzieci od 1951 roku. To jest... to prawie... to cholerny szmat czasu. Nie wie, gdzie jestem, a jak nie ma go w domu, to ja nie wiem, gdzie on jest. Więc jeśli nie podnieca cię doprowadzanie starych kobiet do płaszu, to pozwól mi wrócić do moich seriali, a ja pozwolę ci wrócić do tego, co robiłaś fsześniej.

- Rosie, jest coś, co powinnaś...

Trzask. Linda zadzwoniła raz jeszcze, ale słuchawka była odłożona. Pieprzyć to – pomyślała, odkładając telefon i biorąc kolejny faks od lekarza medycyny sądowej w Berkeley. Niech ktoś inny powie Rosie, że jej córka nie żyje, a syn jest potworem. Na pewno istnieją ludzie, którym za to płacą.

Simon ukrył się w stojącej daleko od wystawy węży szafie, w której trzymano środki czystości, i poczekał, aż ostatni pracownik wyjdzie z egzotarium. Nastąpiło to kilka minut po wpół do ósmej. Gdy

opuścił kryjówkę, świecąc sobie latarką w ołówku (w volvo, które należało do Nelsona, znajdowało się mnóstwo latarek i rac), w pomieszczeniu z węzami panowały egipskie ciemności, pomijając czerwoną poświatę symbolu wyjścia ewakuacyjnego nad drzwiami.

Szklane fronty klatek z węzami znajdowały się na równi z zaokrągloną ścianą otoczoną pochyłą, wyłożoną wykładziną dywanową rampą, z której odwiedzający mogli bezpiecznie oglądać węże. Simon szedł rampą dookoła tak długo, aż dotarł do drzwi z napisem: „Tylko dla personelu. Zakaz wstępu”. Prowadziły one, jak się dowiedział po południu, do pracowni pośrodku koła z klatek. Były zamknięte, ale puściły pod wpływem mocnego uderzenia. Chwilę później Simon znalazł się wśród klatek zamieszkałych przez prawdziwą śmietankę towarzyską najbardziej jadowitych węży świata.

Światło latarki błędziło po okrągłych ścianach. Tutaj mamy czarną mambę (która tak naprawdę była szara), tutaj żmiję pluającą, tam kobrę, kilkumetrowego pytona, mokasyna błotnego, grzechotnika teksaskiego. Ale on nie przyszedł po żadne z nich. Mamby były zbyt szybkie i zwinne, grzechotniki – zbyt hałaśliwe, kobry, mokasyny i żmije – zbyt jadowite, a dusiciele nie były jadowite wcale.

Nie, Simon przyszedł po koralówkę arlekina, *Micrurus fulvius*, należącą do rodziny zdradnicowatych, o czarno-żółto-czerwonych paskach. Miała mały pysk i krótkie zęby jadowe, a jej jad wykazywał opóźnione, neurotoksyczne działanie – ofiara po ukąszeniu znajdowała się na granicy śmierci, co idealnie nadawało się do celów Simona. Jeszcze lepiej, bo dla celów edukacyjnych trzy węże koralowe były trzymane z przedstawicielami innych podobnych gatunków – niejadowitymi lancetogłowami mlecznymi, *Cemophora coccinea* i *Lampropeltis elapsoides*. W całej tej płataninie węży pracownicy egzotarium z pewnością nie będą szczególnie tęsknić za jedną koralówką i jednym *Lampropeltis elapsoides*.

Wziął skórzaną rękawicę ochronną i hak na węże, który tak naprawdę był kijem golfowym z hakiem zamiast główki, i zawlókł pod klatkę plastikowy pojemnik na śmieci. Ostrożnie otworzył drzwiczki i, trzymając latarkę w ustach, pojemnik w jednej ręce, a hak na węże w dłoni w rękawiczce, delikatnie włożył hak do klatki i podłożył go pod jedną z koralówek, która usłużnie owinęła się wokół kija.

Teraz nastąpiła najniebezpieczniejsza część – przez kilka sekund wynoszenia węża z klatki gad znajdował się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od ręki w rękawicy. Śmiertelnie jadowity wąż owinął się wokół haka i bez przeszkód mógłby podpełznąć przez kij do rękawicy i zatopić swe krótkie zęby w przedramieniu Simona. Jednak koralówka miała to już przećwiczone – leniwie odwinęła się z kija i wpadła do pojemnika. Simon szybko go zamknął – *fait accompli*.

No, w połowie *accompli*. Drugi wąż okazał się równie chętny do współpracy. Jedyne niebezpieczeństwo przy manewrze polegało na tym, że koralówka być może będzie chciała uciec, gdy Simon po raz drugi otworzy pojemnik. Na szczęście niedawno była karmiona i już prawie zasnęła, spokojna i zwinięta na dnie pojemnika, bez wątplenia śniąc o grubych szczurach i soczystych, powolnych myszach.

6

– Powinniśmy najpierw zadzwonić – powtórzyła Dore z kierownicy toyoty wypożyczonej przez Pendera. Kręta, prowadząca wzdłuż urwiska dwukierunkowa autostrada numer 1 między Carmel a Big Sur z pewnością nie była odpowiednią trasą dla człowieka o jednej sprawnej ręce.

– Powinniście byli najpierw zadzwonić – oznajmiła młoda neohipiska, która przywitała ich przy drzwiach Centrum Równowagi Duchowej Instytutu Lethe w Hot Springs. Za nią znajdowało się wspaniałe monumentalne wnętrze – sklepiony sufit, belki z sekwoi, a na zachodniej ścianie wielkie okno z różowymi szybami z widokiem wyłącznie na ocean i niebo. W powietrzu unosił się zapach kadzidła, w tle słychać było kosmiczne, newage’owe dźwięki muzyki, a pół tuzina postaci w białych strojach do medytacji albo ćwiczyło jogę, albo przechodziło trening dla akrobatów cyrkowych.

– Tak mi powiedziano. – Pender, który miał na sobie jedną ze swoich nowych hawajskich koszul i cudowny nowy biały kapelusz panama z szerokim rondem, w ciągu wielu lat nauczył się, że ludziom dużo trudniej przychodziło przegonić go sprzed swoich drzwi, niż odmówić mu rozmowy przez telefon. A ponieważ zaparkował toyotę na szczycie czegoś, co wyglądało jak urwisty klif, i szedł tak stromą brukowaną ścieżką, że Wielki Kanion mógłby się schować, nie miał zamiaru pozwolić, by jakaś byle służbistka go odesłała. – Ale właściwie to dlaczego?

– Ponieważ doktor Luka nie spotyka się z nikim bez uprzedniego umówienia się – odrzekła młoda kobieta.

– Rozumiem. Jak ci na imię?
– Lakshmi.
– Lakshmi, chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła. – Linda Abruzzi nie była jedyną osobą, która znała się na psycholingwistyce. – Chciałbym, żebyś powiedziała doktorowi Luce, że agent specjalny E.L. Pender z FBI chce krótko z nim porozmawiać na temat jego byłego pacjenta, Simona Childsa. A my tutaj poczekamy – dodał. Wszystko to miało na celu przejęcie inicjatywy.

– O w mordę, ale widok – szepnął Pender do Dorie, gdy Lakshmi wyszła z pomieszczenia przez boczne drzwi.

– Na pewno robi wrażenie – odrzekła. – Ale można by to namalować wałkiem.

Lakshmi wróciła, skinęła na nich spod bocznych drzwi i zaprowadziła kolejną przerażająco stromą ścieżką do słynnych łaźni Lethe, kompleksu naturalnych gorących źródeł wydrążonych przez wieki w zboczu klifu i zadaszonych wspaniałym granitowym nawisem, który wywoływał w kąpiących się wrażenie, jakby znajdowali się w jaskini. W najgorętszym i najgłębszym zbiorniku, najbliżej źródła siedział najbardziej owłosiony staruszek, jakiego Dorie kiedykolwiek widziała (lub chciałaby widzieć) nago – białe włosy do ramion, bujna broda świętego Mikołaja oraz skołtunionie, pokrywające klatkę piersiową i ramiona białe futro, którego nie powstydziliby się nawet Yeti.

– Wchodźcie, woda jest świetna. – Jego akcent stanowił dziwne połączenie bycia na czasie i wysokiej kultury, Berkeley i Budapesztu.

Pender wzruszył ramionami, wskazał na gips i usiadł na marmurowej ławce bez oparcia przodem do źródła, tyłem do oceanu. Słyszał rozbijające się poniżej spienione fale. Srebrzyste refleksy ze światła odbijające się od powierzchni wody tańczyły na błyszczących, granitowych ścianach klifu jak setki szalonych Dzwoneczków.

– A ty, moja droga?

Dorie również wzruszyła ramionami i usiadła obok Pendera.

– Chyba już nigdy nie wejdę do niczego, co choć trochę przypomina wannę.

– Ablutofobia?

– Simonochildsofobia.

– Hę?

Spojrzała na Pendera, który pokiwał głową. Podejrzewał, że jej historia będzie o wiele bardziej wymownym argumentem mającym przekonać mężczyznę do nawiązania współpracy niż cokolwiek, co on by powiedział. Gdy mówiła, wilgotne ściany płytkiej jaskini stopniowo zaczęły nabierać różowawego odcienia, takiego jak zachodnia część nieba. Kiedy skończyła, Luka spytał, czy Pender mógłby zostawić ich samych. Agent przeszedł więc kilkadziesiąt kroków po płytach chodnikowych w górę i przypatrywał się słońcu unoszącemu się nad zakrzywionym horyzontem. Nigdy nie widział niczego tak rozległego jak ten horyzont.

Dorie stanęła na zakręcie ścieżki.

– Chce z tobą rozmawiać.

– Co ci powiedział?

– Chciał się upewnić, że mam dobrego terapeutę. Powiedział, że jeśli bym chciała, może podać mi kilka nazwisk.

Zaproponowała, że poczeka na niego w budynku. Pender wrócił do doktora. Światło przy źródłach miało teraz połyskujący kolor różowego pierwiosnka. Można było odnieść wrażenie, że siedzi się w lampie Tiffany'ego.

– Proszę mi powiedzieć, agencie Pender – zaczął doktor Luka – czy polityka FBI polega teraz na ciąganiu ofiar po przesłuchaniach?

– Nie, ja...

– Twoje relacje z panną Bell są bardziej osobistej natury, jak rozumiem.

– Tak, my...

– W takim razie pozwól, że dam ci profesjonalną poradę, zupełnie za darmo. Albo panna Bell ma jedną z najlepiej zintegrowanych psychik w zachodnim świecie – czemu zaprzecza jej historia zmagania się z poważnymi fobiami – albo zmierza ku załamaniu psychicznemu wielkości Hindenburga.

– A czy to możliwe, że pomaganie we wsadzeniu Childsa za kratki w jakiś sposób, jak to się mówi, ją wzmacnia?

– Tak podejrzewam. Ale gdyby była moją pacjentką, a ja byłbym trzydzieści lat młodszy, kopnąłbym cię

w dupę tak, że spadłbyś z tego klifu. A więc w czym według ciebie mógłbym ci pomóc, agencie Pender?

– Proszę mi powiedzieć wszystko, co wiesz o Simonie Childsie. Im więcej się dowiemy, tym większa szansa na to, że nikt nie będzie już musiał przechodzić przez to, co Dorie. Albo jeszcze coś gorszego.

– O rety, czyżbym stracił już kontakt ze światem zewnętrznym? Kiedy dokładnie unieważniono tajemnicę lekarską?

– Doktorze, proszę z tym skończyć. Doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że nie tylko można, ale należy złamać zasadę tajemnicy lekarskiej w przypadku zagrożenia życia osób trzecich. Nie możesz co prawda zeznawać w sądzie bez odstąpienia otrzymanego od Childsa, ale też nie możesz ukrywać informacji, które mogą pomóc nam go złapać.

– Agencie Pender, minęło trzydzieści pięć lat, moja pamięć nie jest już tak dobra.

– Moja również – odparł Pender. – Nie pamiętam, co jadłem dzisiaj na śniadanie, ale jestem w stanie zacytować ci każdy akapit i linijkę sprawy, nad którą pracowałem, i obstawiam, że ty też wszystko pamiętasz.

Luka zanurzył się aż po brodę w parującej wodzie, a jego długie białe włosy unosiły się na jej powierzchni.

– Agencie Pender, znasz ten stary dowcip, w którym gej mówi przyjacielowi, że matka zrobiła z niego homoseksualistę?

– A on go pyta, czy jeśli poprosi, to zrobi też z niego milionera?

– Właśnie. Matka i dziadek Simona Childsa nie mogliby z większą łatwością zrobić z niego lepszego antyfobicznego foba. Z tego, co Simon mówił mi w 1963 roku (pamiętam, kiedy to było, bo właśnie w tym czasie zabito mojego przyjaciela, Jacka Kennedy'ego), cierpiał na szereg konkretnych fobii już w czasie, gdy matka porzuciła jego i siostrę na przysłowiowym progu domu dziadka ze strony ojca. Było to po śmierci ojca – utopił się, zjechawszy po pijaku samochodem do zatoki, o ile dobrze pamiętam.

Po pierwsze, co zrozumiałe, mały Simon bał się utonięcia. Więc jego dziadek wziął na swoje barki trud wyleczenia dziecka z tej słabości poprzez bicie, trzymanie głowy malca pod wodą, bicie i tak na przemian, aż Simon nauczył się panować nad swym przerażeniem. Potem przyszła kolej na strach przed ciemnością, który dziadek wyleczył poprzez bicie, zamykanie chłopca w piwnicy, a potem znowu bicie. A po nyktofobii nadszedł czas na kynofobię, czyli strach przed psami (z tego, co pamiętam, zwłaszcza przed dwoma wyszkolonymi do ataku dobermanami dziadka), który dziadek wyleczył, zmuszając Simona do spania w budzie i, oczywiście, spuszczać mu manto.

Kolejne fobie, między innymi strach przed wysokością, pajakami i lustrami, były leczone według podobnych „homeopatycznych” zasad, aż w okresie, w którym osiągnął dojrzałość, powiedział mi, że nie boi się niczego. W ten sam sposób zaprzeczał uczuciom do siostry, którą dziadek uwielbiał i rozpieszczał do granic możliwości. Simon przyswoił sobie rywalizację między sobą i siostrą do tego stopnia, że, w pewnym sensie, internalizował siostrę. Ten syndrom częściej spotyka się u identycznych bliźniąt. Nie trzeba mówić, że jest bardzo niezdrowy.

– I to dlatego był na terapii?

– Nie. Podobno on i chłopak z sąsiedztwa zostali przyłapani in flagranti przez dziadka. Simon opowiadał, że chłopcy założyli coś, co nazwali Klubem Horroru. W oczywisty sposób był on powiązany z polifobią Simona i kompensacyjną antyfobią. Późnymi wieczorami oglądali horrory, a potem się razem masturbowali. Ze wszystkich powodów, dla których Simon Childs powinien iść na terapię, eksperymentowanie z homoseksualnością w wieku dojrzewania było najmniej ważne. Oczywiście dziadek uważał inaczej. Zabił się kilka tygodni po tym, jak chłopak rozpoczął terapię. Potem już nigdy nie widziałem młodego Childsa.

– A może pamięta pan imię tego drugiego chłopca? Tego z Klubu Horroru?

– Obawiam się, że nie. Dlaczego pan pyta?

– Childs prawdopodobnie ukrył się gdzieś wokół Zatoki. Chcemy mieć na oku jego wszystkie możliwe bazy.

– Mogę panu tylko powiedzieć, że jesienią 1963 roku jego rodzina mieszkała obok Childsów i... Nie, chwileczkę, coś sobie przypominam. Simon nazywał go... nieśmiały...? nerwowy...? Nerwowy Norman? Nie, już wiem: Nerwowy Nellie. Jeśli dobrze pamiętam, to skrót od Nelsona.

– Podejrzewam, że nie ma pan dla mnie nazwiska, prawda?

Stary psychiatra westchnął.

– Teraz wiem, jak czuł się Jezus. Im więcej cudów dokonasz, tym więcej od ciebie oczekują.

To był pierwszy wtorkowy wieczór od blisko miesiąca, kiedy Jim i Gloria Gee mieli wreszcie swój dom i – co równie ważne – swój komputer tylko dla siebie.

Gloria szczerze przyznała, że zaoferowanie dachu nad głową byłej współlokatorce było błędem. Gloria i Linda mieszkały razem podczas studiów w Stony Brook, zanim rozjechały się do różnych szkół prawniczych – Linda do Fordham, Gloria do Georgetown. Gee za późno uświadomili sobie, ile znaczą dla nich sesje Wtorkowego Klubu Swingersów – Linda zdążyła już wprowadzić się do wolnego pokoju. Chociaż uważali się raczej za wyzwolonych, jak na standardy chińsko-amerykańskie, żyjących na pełnym gazie, żadne z nich nie czuło się na tyle pewnie, by brać udział w cyberorgii, mając Lindę za ścianą.

Tego wieczora mieli zamiar nadrobić stracony czas. Gloria, prawniczka w konsorcjum tajwańskich eksporterów, wyszła spod prysznicza już o dziesiątej, wyszorowana, wydepilowana i nasmarowana olejkami, a Jim, pnący się po szczeblach kariery w potężnej firmie prawniczej w Waszyngtonie, przyszedł do domu z tabletkami, które kupił u jednego z chłopców z kancelarii przyjmującej i rozdzielającej korespondencję. Gdy siedzieli w salonie i czekali, aż tabletki zaczną działać, Gloria cesała swoje błyszczące, sięgające za pas czarne włosy, będące jej dumą i radością. Jim rozebrał się do czerwonych slipów, ustawił kamerę internetową i zalogował się na stronę WKS.

Sesja już trwała. W pięciu z sześciu segmentów na podzielonym ekranie widać było awatary zalogowanych par łącznie z obiecującą parą świeżynek o nickach Gorący i Gorętsza. Kiedy w górnej lewej części ekranu pojawiło się zdjęcie Gee, otworzyło się okienko powitalne czatu.

Witamy przyjaciół z tajemniczego Orientu – napisała Ciasteczko ze Śliwką z pary Ciasteczko ze Śliwką i Słup, zaangażowanych pięćdziesięciolatków, gospodarzy strony. Musieli być naprawdę zaangażowani: w Amsterdamie była trzecia nad ranem. Tęskniliśmy za wami.

My za wami też – odpisała Gloria vel Dziewczyna-Smok. Z jakichś względów zawsze to kobiety pisały.

To wzruszające – napisała kobieca połówka pary znanej jako Mężczyzna-Wilk i Kobieta-Wilk. Rozpocznijmy grę.

Jak u wielu innych par uprawiających cyberseks, u Gee mężczyzna był podglądaczem, a kobieta ekshibicjonistką. Glorię nakręcała sama obecność kamery i często kochała się z zamkniętymi oczami, natomiast Jim z reguły patrzył na ekran, nawet podczas orgazmu. Jego żonie to nie przeszkadzało – dodatkowo podniecała ją myśl, że inni mężczyźni patrzyli zachłannie, jak Jim uprawia z nią seks, tak samo jak on wpatrywał się, jak inni pieprzyli swoje żony.

Dzisiejszy wieczór był dobry dla obojga. Nie tylko byli wyposzczeni po trzytygodniowej przerwie, lecz także nowe dzieciaki rzeczywiście były gorące – różne rasy, on z wielkim, ona cycata. Obie pary natychmiastowo i niezaprzeczalnie nawiązały nic porozumienia – wybrały się wzajemnie do obserwowania. To było prawie jak prywatny czworokąt, zwłaszcza pod wpływem ekstazy.

Jednak około pierwszej nad ranem, akurat gdy zalogowały się dwie pary, prawdopodobnie z Zachodniego Wybrzeża, które wypełniły puste miejsca po parach ze Wschodniego Wybrzeża i Europy, Jim zamarł w połowie ruchu.

– Nie – zakazała Gloria, myśląc, że miał zamiar przedwcześnie wytrysnąć, przynajmniej według niej byłoby przedwcześnie. – Jeszcze nie doszłam.

– Słyszałaś to? – szepnął jej do ucha, a jego penis w jej ciele natychmiast się skurczył.

– Co?

– Chyba ktoś się włamuje. Ty dzwoń pod 911, ja idę po broń. – Stoczył się z niej, skoczył na nogi, wcisnął się w czerwone slipki, zbyt duże jak na jego wymiary, a potem wypadł z salonu.

Chwilę później wrócił z rękami w górze, a przód jego majtek był tak płaski jak u Kena. Za nim szedł wysoki łysy mężczyzna z rewolwerem o długiej lufie. Stał w drzwiach, poza zasięgiem kamery.

– Wyłącz to – powiedział cicho.

Gloria, będąca pod wpływem ekstazy, oszołomiona nagłym zwrotem akcji i dziesiątkami, może setkami kolidujących ze sobą hormonów i neuroprzebieżników w organizmie, była z początku zbyt zdumiona, by odpowiedzieć. Na ekranie Gorący i Gorętsza wybuchnęli śmiechem.

Wygląda na to, że ktoś złożył wam niezapowiedzianą wizytę – napisała Gorętsza jednym palcem.

Gloria wstała, próbując okryć się prześwitującym peniuarem. Na ekranie monitora zobaczyła samą

siebie, jak podchodzi do biurka dziwnie skulona, jedną ręką zasłaniając wstydliwie piersi, a drugą krocze. Patrzenie na siebie w takiej sytuacji było dezorientujące, ale nie potrafiła odwrócić wzroku ani zmusić się do wyłączenia komputera, jakby chciała zobaczyć, jak zakończy się to całe show.

– Powiedziałem, wyłącz to!

Wciąż tkwiła w bezruchu. Nagle przez ekran przewinał się Jim. Po sekundzie pojawił się na skraju jej zasięgu wzroku, idąc na czworakach w kierunku listwy przeciwprzebiegiowej. Nastąpił trzask, ekran monitora zrobił się biały, potem czarny. Gloria odwróciła się w kierunku pokoju.

– Jeśli chcesz pieniędzy... – zaczął Jim.

Po wyłączeniu komputera wyszedł spod biurka i stanął przed Gloria, ochraniając ją swoim ciałem, a potem zaczął iść w kierunku mężczyzny, który zrobił jeden długi krok, złapał go za rękę, obrócił go i uderzył lufą rewolweru w tył głowy.

– Przestraszonykocie, przepraszam za to – powiedział intruz, przechodząc nad wstrząsanym drgawkami ciałem Jima. – Ale nie powinnaś była kłamać, że mieszkasz sama.

8

Nakręcony meksykańskimi tabletkami z krzyżykiem i wyczekiwaniem Simon pojechał prosto z Allenwood do Georgetown, robiąc tylko jeden przystanek na zatankowanie i zakup mapy Waszyngtonu oraz taniej materiałowej torby podróżnej, do której przełożył węże. Zaparkował volvo na M Street i przeszedł na Conroy Circle. Wchodząc do budynku, zastosował prosty środek doraźny: założył skórzaną rękawicę i wybił szybę w tylnych drzwiach.

Gdy już związał kobietę – cały czas zakładał, że to ona była Przestraszonymkotem – zaczął przeszukiwać mieszkanie, z mieszanym skutkiem.

Z jednej strony to miejsce było okropnie urządzone. Amerykański modernizm w połączeniu z neogregoriańskim czerwonym piaskowcem – dajcie spokój! Z drugiej strony nie było tu żadnych łóżeczek z żadnymi dziećmi. Po trzydziestu latach gry był bardzo dumny z tego, że nigdy nie skrzywdził ani nawet nie przestraszył dziecka. Ponieważ ten zakazany owoc mógłby być niezwykle kuszący, Simon sam narzucił sobie ostrą zasadę, że jedyną cechą wspólną wszystkich jego ofiar będzie brak potomstwa. Życie pozbawiło go obojga rodziców i po prostu nie mógłby zafundować podobnego losu żadnemu dziecku.

Gdy wrócił do salonu, Przestraszonykot rzucała się po metalowo-skórzanej sofie, przewracając oczami i wydając charakterystyczne dźwięki mmmfff, mmmfff świadczące o tym, że była gotowa na wyjęcie knebla.

– Jesteś pewna? – spytał, głaszcząc ją po czole i gładząc te wspaniałe kruczoczarne włosy.

Ochocze kiwanie głową.

– Bo jeśli wyjmę knebel, a ty znowu zaczniesz krzyżeć, gorzko tego pożałujesz.

Pokiwała, że rozumie. Obszedł sofę i odwiązał knebel – pasek od szlafroka frotté. Wypluła go, odwróciła się i patrzyła, jak Simon wraca i siada obok niej na sofie.

– Dobrze. A teraz, Przestraszonykocie, czy jest coś, co chciałabyś mi powiedzieć?

– Dlaczego cały czas mnie tak nazywasz?

– Przestraszonymkotem? Sama wybrałaś sobie takiego nicka.

– Ale ja nie... Proszę, ja nie mam pojęcia, o czym mówisz. Musisz mi uwierzyć, zaszło jakieś nieporozumienie.

Delikatnie złapał i podniósł jej brodę, by spojrzeć Glorii prosto w oczy. Była jego pierwszą Azjatką – w łagodnym łuku górnej powieki było coś bardzo pociągającego, niemal dziecięcego. Te brązowe oczy wcale nie były skośne, ale uroczo eliptyczne, jak u Missy. Wreszcie zobaczył w nich strach, teraz, gdy minęły szok i wściekłość.

– Mówisz prawdę, co?

– Tak.

– Wierzę ci, ale chcę przeprowadzić mały test, mały eksperyment, tylko po to, żebyś mogła znaleźć się po bezpiecznej stronie – wyjaśnił, ponownie ją kneblując. – Zaraz wracam.

Przeszedł nad ciałem mężczyzny i udał się korytarzem w kierunku tylnych drzwi. Strzepnął połyskujący, szklany pył ze skórzanego rękawicy, otworzył płócienną torbę podróżną i zaświecił latarką do wnętrza.

Wężę znowu spały. Przypomniał sobie wierszyk ułożony do rozróżnienia jadowitej koralówki i jej niejadowitych, ale bardzo do niej podobnych kolegów: „Jeśli czerwony dotyka żółtego, niedługo zginiesz, mój miły kolego. Jeśli widzisz czarny pyszczek, wkrótce zaczniesz z bólu piszczeć”. Sięgnął do torby i złapał niegroźnego węża. To był ten z czerwonym pyskiem i czarnymi pierścieniami rozdzielającymi czerwone i żółte pasy.

Gdy wrócił do salonu z gadem, w ciągu kilku sekund zorientował się, że Przestraszonykot, czy raczej Gloria, mówiła prawdę. Była przerażona na śmierć – kto by nie był – ale nie była ofidiofobką. Nie mógł sprawić, by zemdląca, ani wywołać u niej niczego, co przypominałoby prawdziwy atak paniki, nawet gdy machał jej głową węża tuż przed oczami. Przerażony wąż odegrał jednak swoją rolę, zanurzając w ciele kobiety nieszkodliwe zęby i wystawiając wąski, rozwidlony język, by ją powąchać.

Simon wyszedł z pokoju i wrzucił węża z powrotem do torby. Koralówka spojrzała na niego obojętnie. Wrócił na palcach i wyjrzał zza łuku. Gloria patrzyła na mężczyznę leżącego na podłodze. Gdy ujrzała Simona, szybko odwróciła wzrok, ale było już za późno. Zobaczył rozmazaną strużkę krwi na dywanie i zrozumiał, że mężczyzna tylko symulował omdlenie. Udało mu się dowlec kilkanaście centymetrów bliżej biurka, na którym stał telefon. Simon wcale się tym nie przejął – jego ofiara miała przed sobą jeszcze długą drogę. Poza tym ten biedny koleś mógł się jeszcze przydać.

– To on? – spytał Glorię, siadając obok niej. – Czy to on boi się węży?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Wiedział, że mówiła prawdę. Prawie wszyscy mówili prawdę, gdy tylko opanowali frustrację i uświadomili sobie, że Simon był nie tylko człowiekiem, który mógł ich zabić, lecz także jedynym człowiekiem mogącym ich ocalić. Lubił tę fazę gry.

– Glorio, chcę, żebyś się bardzo mocno zastanowiła. Tak, jakby zależało od tego twoje życie. Czy w ciągu ostatniego tygodnia dostęp do twojego komputera miała jakaś inna osoba?

Nie musiała nic mówić, widział odpowiedź w jej oczach.

– Kto to był, Glorio? – spytał łagodnie.

– Linda.

– Linda jaka?

– Linda Abruzzi.

– A kim jest Linda Abruzzi?

– Agentką FBI.

Czyli wabik. Przestraszonykot był tylko wabikiem. Co oznaczało, że dał się złapać w pułapkę. Czyżby właśnie próbowano ją zatrzasnąć?

– Ale ty nie jesteś, prawda?

– Kim?

– Agentką FBI.

– Nie, nie, przysięgam. Przysięgam na Boga. Dzieliłam z nią pokój na studiach. Ostatnio mieszkała u nas, ale znalazła inne miejsce. Mówiłam jej, kurwa mać, mówiłam tej zdirze, żeby nie...

Uderzył ją lekko w bok głowy.

– Nie przeklinaj.

– Przepraszam.

– Wybaczam. – Nigdy nie czuł się bardziej wielkoduszny niż wtedy, gdy miał całkowitą kontrolę. – Mów dalej.

– Mówiłam jej, żeby nie korzystała z komputera. Wyprowadziła się w zeszły czwartek. To wszystko.

– Twoja stara współlokatorka zostawiła swój nowy adres, prawda?

Gloria nie zawahała się ani przez sekundę.

– Z boku biurka przyklejona jest żółta kartka.

W drodze do biurka zatrzymał się na krótko, by sprawdzić stan niepotrzebnego pana Gee. Zdawał się powoli dochodzić do siebie. Muszę pamiętać, żeby ograniczyć jemu przestrzeń życiową – pomyślał Simon, po czym spojrzał na karteczkę. „Mieszkam u E.L. Pendera” – przeczytał.

– Proszę, proszę! – mruknął, zaskoczony, wsuwając ją do kieszeni spodni.

Nie potrzebował adresu Pendera – już go miał z wydruku Zapa, łącznie ze wskazówkami dojazdu dokładnie opisanymi przez nieoceniczonego pana Bellcocka.

Dobrze, a więc Gloria nie była Przestraszonymkotem. Simon nie zawsze ograniczał się do fobów. Jednak mimo jego starań gra nie mogła się rozkręcić, coś było nie tak. Wtedy zauważył na podłodze obok kanapy buteleczkę po tabletkach, leżącą tuż przy pudełku z różnymi zabawkami erotycznymi i lubrykantami. Z buteleczki zdjęto etykietę, co dla takiego starego ćpuna jak on było sygnałem ostrzegawczym. Na wieczku napisano „X”. W środku znajdowały się dwie ręcznie robione tabletki. Simon znał ten kod.

– Ecstasy – powiedział na głos. – Ach, Glorio, a więc taka z ciebie imprezowiczka. I nie poczęstowałaś swego gościa.

– Bardzo proszę, są twoje.

– Tak jak i ty, pani Gee, tak jak i ty.

Prawda była taka, że bez prawdziwego foba gra nigdy nie mogła się w pełni rozwinąć. Simon, który w oczekiwaniu na działanie ecstasy wziął kolejną tabletkę z krzyżykiem, cieszył się, że będzie mógł improwizować. Skoro nie udało mu się uzyskać satysfakcjonującej reakcji poprzez groźenie Glorii, próbował dotrzeć do kobiety przez jej męża, wykorzystując go jako swego rodzaju próbę generalną przed nadchodzącą grą z Penderem.

Jednak akurat w chwili, gdy pod wpływem ecstasy zaczął wyżywać się na Jimie do tego stopnia, że wokół zrobiło się purpurowo, Gloria odwróciła głowę w przerażeniu – a może nawet ze wstrętem. W ten sposób dała Simonowi wskazówkę, której tak potrzebował. Już same jej włosy powinny dać mi do myślenia – stwierdził. Ich pielęgnacja kosztowała ją mnóstwo czasu i wysiłku. Dorosła kobieta z włosami do tyłka musi być próżna. A druga strona próżności to...? Strach przed oszpecceniem. No jasne.

Aby odciągnąć jej uwagę od tego, co zrobił z jej mężem, wziął swój bagaż i zaprowadził ją do sypialni na drugim piętrze. Zostawił Glorię związaną i zakneblowaną na łóżku, poszedł do łazienki za potrzebą, co, prawdopodobnie z uwagi na amfetaminę, zamieniło się w „śmierdzącą sprawę”, jakby to powiedziała Missy. Przez cały czas, gdy tam siedział, nie potrafił pozbyć się wrażenia, że nie był sam.

Pomyślał, że taka paranoja musi wynikać z braku równowagi – za dużo amfy albo za mało ecstasy. Ponieważ nie mógł zmniejszyć poziomu amfetaminy w organizmie, wyjął ostatnią tabletkę z buteleczki z napisem „X”, nalał wody do szklanki i gdy przypadkowo zerknął w lustro, tajemnica dziwnego samopoczucia została rozwiązana.

– To ty – powiedział do wykrzywionego starca w lustrze.

– To ty – odparł dziadek Childs.

Nie powinno to rozdrażnić Simona do tego stopnia. Bądź co bądź oglądał tę brzydką starą mordę już od czterech dni – ale nie przy podwójnej dawce tabletek z krzyżykiem i psychodelikach na bazie fenyloetyloaminy. Tym razem jednostka po drugiej stronie lustra zdawała się żyć własnym życiem. To nie była dokładnie halucynacja, tylko raczej coś jak ta mała dziewczynka, którą stary Señor Wences malował na boku dłoni: wiedziałeś, że nie była prawdziwa, ale co jakiś czas przyłapywałeś się na tym, że to przekonanie zniknęło.

Simon postanowił trochę się tym zająć.

– Juszdzopsze – powiedział tak jak Señor Wences.

– Juszdzopsze – powiedział jednocześnie dziadek.

– Kurwakutaschujdupa – rzekł Simon, który nigdy nie przeklinał.

– Kurwakutaschujdupa – rzekł dziadek Childs, który również nigdy tego nie robił.

– Zasłużyłeś na to, wiesz o tym – stwierdził Simon.

– Zasłużyłeś na to, wiesz o tym – stwierdził dziadek Childs.

– Nienawidzę cię.

– Nienawidzę cię.

– Kocham cię.

– Kocham cię.

– Nie jesteś zdolny do miłości.

– Nie jesteś zdolny do miłości.

– Kochałem Missy – rzekł Simon.

– Kochałem Missy – rzekł dziadek Childs. – Ty ją z...

Simon wiedział, co jego dziadek chciał powiedzieć. Złapał leżącą w koszyku obok umywalki szczotkę do

włosów z cynową rączką i cisnął nią w twarz starca, tłukąc w ten sposób lustro.

– To Pender zabił Missy, nie zapominaj o tym – powiedział.

– To Pender zabił Missy, nie zapominaj o tym – powiedział dziadek Childs, chociaż jego twarz leżała teraz w odłamkach na całym marmurowym blacie.

Po powrocie do sypialni Simon odwiązał Glorię, posadził ją na krześle przed toaletką z chromowanego metalu i kazał patrzeć w lustro, jak dziadek Childs obcina włosy ładnej Azjatce. Po sposobie, w jaki obie Glorie wzdrygnęły się, gdy nożyczki zaczęły ciąć, Simon zrozumiał, że był na właściwej drodze. Wiedział również, że dziadek Childs w lustrze nie był prawdziwy – ecstasy nie wywołuje halucynacji – lecz zaczynał się uczyć, że czasami o wiele prościej jest przerwać niewiarę niż do niej powrócić.

Pierwsze podejście, zaledwie kilkanaście centymetrów od dołu. Gloria zdawała się bardziej wściekła niż przerażona – obie emocje były przytłumione przez narkotyki i traumę – i nadal nie wiedziała, do czego to wszystko zmierza. Chciał, by ona sama to odkryła. Chciał zobaczyć ten cień zrozumienia w jej oczach, zanim rozetnie jej skórę. I kto wie – pomyślał – jeśli jej pierwotna reakcja będzie dostatecznie intensywna, dostatecznie prawdziwa, może w ogóle nie zmasakruję tej ślicznej buźki.

W każdym razie miał świadomość, że im dłużej to przeciągał, tym lepiej. Gdy natnie jej skórę – o ile w ogóle pojawi się taka konieczność – rozpocznie się wyścig po jej duszę, wyścig między strachem, szokiem i bólem. Więc powoli obcinał jej włosy, kilka cięć tu, kilka cięć tam, aż wreszcie Gloria miała fryzurę Ingrid Bergman z Komu bije dzwon.

– No i proszę.

Czule pogłaskał ją po głowie. Czarne włosy były zaskakująco miękkie, przypominały mu jedną z pluszowych maskotek Missy. Delikatnie otarł łzy płynące po policzkach kobiety. Przynajmniej miał wrażenie, że jest czuły i delikatny, ale kiedy starzec w lustrze zrobił to samo swojej kobiecie, wszystko wyglądało ironicznie i obłudnie.

– Odrasną – szepnął, pomagając jej wstać i prowadząc ją z powrotem na łóżko. Szczerze mówiąc, zaczynał mieć dość widoku swego martwego dziadka w lustrze. – Włosy odrastają. – Powtórzył z delikatną zmianą intonacji. – Włosy odrastają.

Wciąż żadnej reakcji. To by było na tyle w kwestii subtelności.

– W przeciwieństwie do ust czy nosa.

Bingo. Nie trzeba było oszpecać Glorii poza kilkoma płytkimi draśnięciami dla większego efektu – wkrótce odkrył, że wystarczyło przybliżyć do twarzy Glorii jednostronne ostrze nożyka do papieru znalezionego w kuchennej szafce, żeby wywołać strach, którego tak łaknął.

W tym samym momencie zrozumiał, że to, co im zostało, to dostrojenie się: odnalezienie idealnego rytmu, wycucie, kiedy i jak mocno nacisnąć, kiedy i na jak długo dać spokój, kiedy wystarczy zwykła groźba czy udawany manewr, a kiedy trzeba naprawdę pchnąć nożem. W grze być może nie chodziło o seks, ale gdy była dobra, bardzo go przypominała – tak przynajmniej powinno wyglądać uprawianie miłości u tych, którzy nie cierpią na przedwczesne wytryski.

Objaw Lhermitte'a

1

Gdy w środę rano podczas śniadania Linda czuła się jak śmieć, stwierdziła, że winny temu jest z pewnością Betaseron. Objawy paragrypowe były dość powszechnym skutkiem ubocznym. A jeśli to coś więcej niż reakcja na Betaseron, jeśli jej limfocyty T znowu postanowiły nazreć się mieliny, to nic nie mogła na to poradzić. W loterii stwardnienia rozsianego Linda Abruzzi otrzymała nagrodę pocieszenia. Istnieją trzy rodzaje SM: rzutowo-emisyjne, wtórnie postępujące i pierwotnie postępujące. To ostatnie, które u niej zdiagnozowano, charakteryzuje się tym, że skutki każdego ataku są trwałe od samego początku.

Zwiastunem pierwszego epizodu Lindy, który nastąpił blisko sześć miesięcy wcześniej, było elektryzujące mrowienie w kończynach dolnych, a potem niemal paralizująca słabość w łydkach i kostkach. Mimo wszystko wiedziała, że należała do grupy wybrańców. Dzięki wczesnej diagnozie, postawionej przez jej lekarza w San Antonio, prawie natychmiast rozpoczęto terapię Betaseronem i jak do tej pory nie nastąpiły dalsze ataki. Dobrze widziała, jej pamięć i umysł działały tak samo jak zwykle, ból był znośny, zmęczenie z reguły możliwe do przewyciężenia, a teraz miała łaskę do podpierania się i zapieprzała jak mały samochódzik – poddanie się temu skurwielowi nie miało w tej chwili najmniejszego sensu.

Chyba że... A co jeśli...

Próbowała powstrzymać swój mózg przed dokończeniem tej myśli, ale było za późno. Co będzie, jeśli atak nastąpi podczas prowadzenia samochodu? Albo w biurze, albo podczas lunchu? Może byłoby lepiej zostać w domu, upewnić się, co to jest, zamiast ryzykować...

I wtedy do niej dotarło: to było jak klasyczna agorafobia, to przez to jej biedni fobowie (teraz, po półtora tygodnia śledztwa uważała ich za „swoich”) przechodzili każdego dnia. Nie chodziło o strach przed wyjściem na rynek, do centrum handlowego czy do biura, ale o atak paniki, który mógłby ich tam zaskoczyć. Czy nie lepiej zostać w domu, zamiast ryzykować publiczne upokorzenie?

Oczywiście odpowiedź brzmi: „nie”. Jeśli powiesz „nie” („nie, kurwa”, jeśli jesteś z dzielnicy Lindy), to zmuszasz się do wyjścia na zewnątrz. Ale jeśli powiesz „tak”, jeśli poddasz się strachowi, nie będzie już odwrotu. Wymówki i miganie się pojawią się również jutro, pojutrze, i popojutrze.

W starej dzielnicy Lindy mówiono jeszcze inaczej: „Było zostać w łóżku”. Z początku wydawało jej się, że może w sumie była to niezła myśl, bo w poszukiwaniach Childsa nie nastąpił żaden przełom. Poza jedną jedyną czerwoną pinezką w San Francisco oznaczającą mieszkanie Zapa Struma mapa na ścianie wciąż pozostawała żenująco pusta. Do dzisiaj nie było żadnych zgłoszeń o pojawieniu się Childsa, chociaż w pobliżu Flagstaff policjant patrolujący autostradę ścigał i zakuł w kajdanki siwowłosego prawnika jadącego srebrnym mercedesem kabrio na kalifornijskich blachach. W rezultacie mężczyzna zagroził wniesieniem przeciw stanowi Arizona takiego pozwu, że bankrutami staną się nawet jego nienarodzeni jeszcze obywatele.

Ale kilka minut po dziesiątej z wybrzeża zadzwonił Pender.

– Wcześniej wstałeś.

– Młoda, twoje FBI nigdy nie śpi. Byłem wczoraj w Big Sur. Razem z Dorie wpadliśmy tam, by spotkać się ze starym przyjacielem, doktorem Luką.

– Tym doktorem Luką, z którym obiecałeś nie rozmawiać osobiście.

– Ależ ja nie rozmawiałem oficjalnie, to była tylko nieformalna pogawędka.

Streścił jej rozmowę.

– I dokąd nas to prowadzi? – spytała, gdy skończył.

– Do imienia i przybliżonego adresu z 1963 roku. Jak myślisz, jak można by zyskać dokładniejsze informacje?

Kurwa, klasówkę sobie urządził.

– Podejrzewam, że musiałabym prosić kogoś o sprawdzenie dokumentów własności. Albo miasto

Berkeley, albo powiat Alameda.

- W ten sposób poznasz nazwisko właściciela. Nelson był dzieckiem.
 - Nie wiem, Ed, może jestem głupia, ale założyłam, że miał takie samo nazwisko jak jego rodzice.
 - Słuszna uwaga. Ale jeśli będziesz mieć jakieś kłopoty...
 - Szefie, nie jestem totalnym żółtodziobem. Jak głosi napis na jednej z moich ulubionych koszulek, „Przestań szarpać mnie za ucho. Wiem, co robię”.
- Pender zaczął się śmiać.
- Zadzwoń do mnie, jak już będziesz coś mieć. Wracam do łóżka.
 - Myślałam, że moje FBI nigdy nie śpi.
 - A kto mówił o spaniu?

2

Wycieńczony czy pobudzony, pusty czy syty – Simon nigdy nie wiedział, jak będzie się czuł po grze.

Tego ranka odczuwał wszystko po trochu, a do tego doszedł kac po zażyciu wielu różnych prochów. Obudził się sam w lśniącym łóżku po godzinie czy dwóch tak niespokojnego snu, że tylko fakt przebudzenia uświadomił mu, że w ogóle spał. Satynowa poszewka obok niego była zachlapana krwią. Gdy przewrócił się na plecy, ujrzał dziadka Childsa gapiącego się na niego z góry z lustra na suficie, a kiedy usiadł, stary potwór patrzył na niego z eliptycznego lustra tej potwornej toaletki w nowoczesnym stylu, przy której ostatniej nocy zabawił się we fryzjera.

Nagi począłpał do łazienki, by opróżnić pęcherz. Musiał zasunąć zasłonkę, żeby nie patrzeć na Glorię siedzącą prosto w wannie niczym Marat w kąpeli – coś w opuchniętych rysach twarzy i skośnych oczach z opadającymi powiekami przypominało mu o Missy, wywołując w nim zakłopotanie.

Nie mógł jednak zasłonić luster postawionych w kątach tuż przy drzwiach do łazienki prawdopodobnie po to, by niegdyś próżna pani Gee mogła oglądać się ze wszystkich stron. Spojrzenie w lustro i ujrzenie dziadka Childsa patrzącego prosto na niego było niesamowite i straszne. Tak samo dziwne było widzenie go kątem oka albo wyczuwanie jego obecności za sobą, a potem odwrócenie się i wrażenie, jakby przyłapał go na gorącym uczynku.

Simon wyszedł w pośpiechu z łazienki bez mycia rąk czy zębów przy umywalce, w której tak czy inaczej wciąż znajdowały się odłamki potłuczonego szkła z poprzedniego wieczoru. Nie przerażony, a zdenerwowany (to była istotna różnica) – przykrył lustro toaletki prześcieradłem, palcami zgarnął z krzesła włosy Glorii, położył swoją awaryjną torbę na blacie i zaczął przeglądać farmakopeę w poszukiwaniu leków zarówno na zszargane nerwy, jak i na kaca.

To drugie było łatwe – każdego kaca na świecie można było wyleczyć pięćsetką Percodanu. Ale rozdrażnienie, często zwiastujące wizytę ślepego szczura, stanowiło o wiele większe wyzwanie. Oczywiście istniało Valium w pięcio-, dziesięcio- i piętnastomiligramowych dawkach – jednak w połączeniu z Percodanem mogło zwalić go z nóg. Był też Xanax – ale czasami wywoływał biegunki, a po zeszłonocnym wypróżnieniu Simon z pewnością ich nie pragnął.

A może pójść w zupełnie innym kierunku – pomyślał. Z pewnością podobało mu się po ecstazy Glorii. Co dziwne, był to pierwszy raz, gdy grał w grę X – dziwne, ponieważ, jak teraz o tym myślał, empatogen zdawał się idealnie do niego pasować. Przecież w tej grze chodziło o empatię – strach i empatię.

Czyli ecstazy, ale w jakiej dawce? Zeszłej nocy wziął dwie. Nie pamiętał, czy jego X w różowych pigułkach oznaczonych małymi serduszkami był silniejszy, zdecydował więc, że też zacznie od dwóch. Czekając, aż lekarstwo zacznie działać, drżącymi palcami rozerwał bibułkę i próbował zwinąć jointa na blacie toaletki. Skończył z jednym z tych grudkowatych skrętów, przypominających kształtem pytona zjadającego susła, którego spalił do końca, zanim zszedł na dół w poszukiwaniu bardziej sympatycznej łazienki, w której można by wziąć prysznic.

Ujrzawszy leżące na podłodze w salonie poskręcane ciało w czerwonych slipach w pełnym stężeniu pośmiertnym, był zaskoczony swoją dzikością. Nie pamiętał wyrządzenia aż takich szkód. Szybko minął trupa i poszedł do sypialni dla gości. Nie było tutaj żadnych ciał ani amerykańskiego modernizmu – tylko pojedyncze łóżko, komoda z giełdy używanych mebli i kilka amatorskich martwych natur na ścianach.

A więc to w tym prostym, dziewczęcym pokoju spał prawdziwy Przestraszonykot. A w tej małej łazience brał prysznic. Miał na imię Linda i teraz mieszkał z Penderem. Co oznaczało kolejną premierę: dwie gry

rozegrane jedna po drugiej. Jakie to praktyczne – pomyślał Simon. Jakie to... koszmarnie... praktyczne.

3

– Nieźle, jak na jednorękiego, starego grubasa – oznajmił uradowany, choć zmęczony Pender po porannym wydłużonym seksie, przerywanym drzemkami, przepełnionym endorfinami.

– I jednookiego – mruknęła Dorie, równie zadowolona, ale mniej skłonna do gadania na ten temat. Uważała, że jego chłopięca duma z tego, że współpracował z Dorie podczas ostatniego, głośnego, wielokrotnego orgazmu, była urocza.

– Co?

– „Jednooki, stary grubas”. To cytat z Prawdziwego męstwa.

Pender zadrżał. Nic dziwnego, że nie pamiętał tego cytatu. Na samą myśl o utracie jednego oka ogarniało go przerażenie. Wiedział, że gdy to się zdarzy, od zupełnej ślepoty dzieli człowieka już bardzo niewiele.

Linda oddzwoniła, gdy Dorie była pod prysznicem.

– Nelson Carpenter – oznajmiła.

Pender spojrział na zegarek.

– Trochę ponad trzy godziny, nie mógłbym zrobić tego lepiej. Podejrzewam jednak, że nie masz jego aktualnego adresu?

– Wiesz, gdzie leży Concord?

– W Massachusetts.

– Concord w Kalifornii. Na północ od San Francisco. To chyba powiat Contra Costa. Osiedle nosi nazwę Rancho del Vista.

– Podaj mi adres, to sobie znajdę.

Znowu się zaczyna – pomyślała Linda.

– Ed, prędzej czy później McDougal będzie...

– ...bardzo, bardzo dumny ze swojej małej jednostki Wydziału Łączności. Daję ci moje słowo honoru. Jeśli Nerwowy Nellie ma w ogóle cokolwiek do powiedzenia w kwestii miejsca pobytu Childsa, z pewnością przekazuje te informacje do właściwych władz.

Podawała mu adres, przypominała o obietnicy i życzyła szczęścia. Po niecałej godzinie zrozumiała, że ich umowa powinna zostać sformułowana bardziej precyzyjnie. Zadzwoiła do niego i usłyszała pocztę głosową.

– Ed, tu Linda. Żeby była jasność: „właściwe władze” nie obejmują ciebie. Powtarzam: nie obejmują. Pogadamy później.

– Jak daleko stąd leży Concord? – krzyknął Pender przez drzwi łazienki, gdy usłyszał, że Dorie skończyła brać prysznic.

– Jakies dwie, trzy godziny drogi. To zależy od korków i pory dnia. Można całkowicie ominąć San Fran i Oakland, jeśli zawiniesz na drodze numer 680. Dlaczego pytasz?

– Bo tam mieszka Nerwowy Nellie.

– Super! W takim razie powinniśmy już wychodzić, żeby uniknąć problemów z dojazdem.

– Chwilunia. Co masz na myśli, mówiąc „powinniśmy”?

– Co masz na myśli, pytając, co mam na myśli? – Wyszła, owinięta ręcznikiem kąpielowym, drugim ręcznikiem owijała mokre włosy. – Nie zostawisz mnie tutaj samej, draniu.

– Luka prawie rozerwał mnie wczoraj na strzępy za przyprowadzenie cię do niego. Powiedział, że mogę wyrzucić ci nieopisaną krzywdę.

– Po pierwsze to nie ty przyprowadziłeś mnie, tylko ja ciebie. Po drugie Luka ma co najmniej dziewięćdziesiąt lat i plotki głoszą, że raz w miesiącu bierze LSD. Po trzecie uraz psychiczny już mam – przez Simona. Śni mi się, wyobrażam go sobie czyhającego na mnie za każdym rogiem, a jeśli nie ma ciebie razem ze mną w pokoju, nie jestem w stanie zmusić się do spojrzenia w okno, żeby nie zobaczyć tam jego twarzy. Po czwarte to ty cały czas twierdzisz, że prawdopodobnie przebywa w takiej odległości, że może dojechać do Berkeley na jednym baku, a w razie gdybyś zapomniał, ten dom, mój dom, do którego raz się już włamał, znajduje się właśnie w takiej odległości. Wystarczy? Bo jeśli nie, to mogę

wyliczać dalej.

Podniósł ręce.

– Dobrze, dobrze, poddaję się.

Ale pół godziny później wymknął się z domu przez studio, gdy Dorie rozmawiała z jedną ze swych przyjaciółek. „Lepiej prosić o przebaczenie niż pozwolenie” – taka strategia była bardzo efektywna zarówno w kontaktach z kobietami, jak i z Biurem.

Jak się okazało, nie dotyczyło to jednak wszystkich kobiet – kiedy doszedł do samochodu i zaczął szukać po kieszeniach kluczyków, nic nie znalazł. Pomyślał, że może wypadły, gdy zeszłego wieczoru zdejmował spodnie. Wrócił na palcach do domu i mijał kuchnię, żeby przejść do sypialni, a wtedy usłyszał znajome pobrząkiwanie. Odwrócił się i ujrzał Dorie siedzącą przy kuchennym stole, z telefonem w jednej dłoni i kluczykami wiszącymi między kciukiem i palcem wskazującym drugiej.

– Za minutę do ciebie dołączę, Samotny Jeźdźcu – powiedziała i jeszcze raz potrząsnęła kluczykami.

No i dobrze – pomyślał Pender. Przecież i tak nie dałby rady samemu przestawiać dźwigni zmiany biegów.

4

Konwencjonalna medycyna upierałaby się, że zażycie silnych leków w połączeniu z ogromnym stresem, w którym żył Simon Childs, mogło tylko przyśpieszyć nieuchronny upadek i tak już niestabilnej osobowości.

Simon by się z tym nie zgodził i podczas badań okazałoby się, że zażycie 3,4-Metylenodioksymetamfetaminy, znanej również jako MDMA, Adam lub ecstazy, skutkującej inhibitorem zwrotnego wychwytu serotoniny, w połączeniu z marihuaną i Percodanem rzeczywiście działa uspokajająco.

Ale Simon nie był farmaceutą. Wiedział tylko, że wszedł do małej kabiny prysznicowej w łazience dla gości tuż przed nadejściem ślepego szczura, a wyszedł z kabiny beztronski jak uczeń i tak przepełniony współczuciem dla bliźnich, że wracając na górę, poświęcił czas na ułożenie ciała Jima na skórzano-chromowanej kanapie w jak najwygodniejszej pozycji możliwej przy stężeniu pośmiertnym i przykrył go kocem w paski zabranym z pokoju dla gości.

Prawdę mówiąc, Simon czuł się odprężony do tego stopnia, że po powrocie do sypialni i przed zwinieniem kolejnego skrzyżowania przy toaletce ściągnął prześcieradło, którym wcześniej przykrył lustro, i odegrał krótką scenkę z dziadkiem Childsem i Señorem Wencesem:

– Szystkofporządku?

– Szystkofporządku!

– Jesokej?

– Jesokej!

Ale na tym skończył. Gdy skręcił już swojego jointa – o wiele zgrabniejszego niż ostatnim razem – odwrócił się plecami do lustra, chociaż kusiła go perspektywa ujrzenia starca palącego marychę. Zaciągnął się mocno i jego wzrok padł na płócienną torbę podróżną leżącą na podłodze. Odsunął zamek błyskawiczny na kilka centymetrów, by zerknąć na węże śpiące spokojnie na dnie torby, splecione ramionami jak stare małżeństwo.

– Tyle że nie macie ramion, co nie? – zachichotał Simon, zamknął torbę, a potem ponownie ją otworzył. – Szystkofporządku...? Szystkofporządku! – krzyknął dwoma różnymi głosami.

Skąd ta nagła obsesja dotycząca Señora Wencesa? – zaczął się zastanawiać. Przez całe lata nie myślał o starym brzuchomowcy z telewizyjnego programu „Ed Sullivan Show”, a teraz ten facet praktycznie przez niego przemawiał. Wreszcie zrozumiał: tęsknił za siostrą. Missy była tak zafascynowana Señorem Wencesem, że przez większość 1959 roku chodziła z buzią namalowaną na piąstce. „Łaaatwe dla ciebie, truuudne dla mnieee” – nuciła do ręki. Tylko ja potrafiłem ją zrozumieć – pomyślał ze smutkiem.

Ale to był dobry smutek, uroczy, kochający smutek, który zaczął w nim wzbierać, wypełniając pustkę jak duża, ciepła, złota pianka cukrowa. Potem kątem oka zarejestrował ruch w dolnej części widzenia obwodowego, spojrzał w dół na czas i zobaczył węża wypełzającego z torby podróżnej – Bogu dzięki zostawił tylko mały otwór. Z torby wyłoniła się druga głowa, badająca powietrze językiem. Na szczęście druga głowa była czarna. Simon złapał szczotkę do włosów i zmusił węża do schowania się do torby.

– Nic się nie stało – mruknął do siebie, zapinając torbę. Niejadowite stworzenie miało tylko podkreślić atmosferę. Simon chciał, żeby to właśnie ono najpierw kilka razy ugryzło Przestraszonegokota – co oczywiście było niewykonalne z koralówką – by móc obserwować, jak panika kobiety powoli narasta w oczekiwaniu na działanie jadu. Gdy zaczęłoby do niej docierać, że ten wąż jest niegroźny, nadszedłby czas na przyniesienie koralówki.

Taki był plan. Z koralówką gra Przestraszonegokota będzie prosta. A po Przestraszonymkocie nadejdzie czas na Pendera. Plan tej gry powstawał już od czasu La Farge, czego milczącym świadectwem było bezokie ciało na kanapie w salonie.

Pod wpływem spokoju wymuszonego przez ecstazy Simon miał niewielką świadomość rodzącego się w nim zniecierpliwienia. W pewien sposób zdawało się, że im bliżej było do gry Pendera, tym Simon był mniej podenerwowany. To pewnie dlatego po La Farge pojechał na wschód, zamiast na południe do Maryland. Zaczął rozumieć, dlaczego zrobił objazd przez Allenwood i Georgetown, ryzykując życie i wolność dla gry z Przestraszonymkotem. Od czasu śmierci Missy gra Pendera go nakręcała, ale myślenie o tym, co miałyby nastąpić później, było jak spekulowanie o wydarzeniach po nieskończoności, o tym, co znajduje się poza granicami wszechświata.

Można oszaleć, próbując ogarnąć umysłem taki paradoks, zwłaszcza jeśli – jak Simon Childs – było się tak naćpanym i z natury niezdolnym do zastanowienia się nad nieuchronnym przemijaniem. Zamiast tego Simon zaczął więc myśleć, czy tutaj na wschodzie ma jeszcze jakieś niezłałatwione sprawy. A skoro odpowiedź brzmiała „tak”, to wiedział już, jaki powinien być następny krok.

5

Dorie prowadziła toyotę szerokimi, pustymi podmiejskimi ulicami Rancho del Vista. Mijali niemal identyczne kolonialne domki z szerokimi, pustymi podmiejskimi trawnikami.

– Gdybym miała tutaj mieszkać i malować krajobrazy, padłabym z głodu – powiedziała. – Nigdy żadnych rancz.

– Ale zobacz, ile jest miejsca do parkowania. – Pender siedział obok i sprawdzał drogę na mapce, na której trasę do miejsca wyznaczył serwis MapQuest.com, ostatnio wybrany jedną z dziesięciu „Stron internetowych, które nie są do dupy”. – Okej, w lewo w Guerrero, w prawo w Oaxaca... – Nazwy wszystkich ulic wywodziły się od meksykańskich stanów. Według miejscowych dowcipów chodziło o to, żeby ogrodnicy czuli się jak w domu. – No i proszę... oto dwanaście jedenaście Baja Way.

Podjazd był pusty, ale Pender kazał Dorie zaparkować na ulicy dwa domy dalej. Zaczęła drwić.

– Daj spokój, Pen. Po pierwsze jakie są szanse na to, że w ogóle się tutaj pojawił? Obstawiam, że...

Przerwał jej w tym miejscu.

– Ty jesteś malarką, ja jestem agentem FBI – powiedział, odpinając pasy i zakładając nowy kapelusz, który musiał zdjąć w samochodzie, ponieważ się nie mieścił. – Będę robić takie przedstawienie, dopóki nie ustalę na sto procent, że go tam nie ma. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– Świetnie. Poczekaj tutaj.

– Tak, sir! – odparła Dorie, dla której strategia „lepiej prosić o przebaczenie niż o pozwolenie” również nie była obca.

Wypchana skrzynka na listy. Pusty podjazd. Żaluzje zasłonięte i na górze, i na dole. Drzwi wejściowe zamknięte, drzwi garażowe zamknięte.

Przeszedł na tył. Architektura ogrodowa była ograniczona do minimum, ogrodzenia niskie – mimo ogromnych działek mieszkańcy Rancho del Vista nie mieli zbyt dużo prywatności. Był oszklony z jednej strony taras, ale ze spuszczonej zasłonami. Pender przyłożył ucho do szyby – z wnętrza domu nie dochodził żaden dźwięk.

Nikogo nie ma w domu – pomyślał, próbując otworzyć drzwi na taras, które również były zamknięte. Zdarza się, takie wady składania niezapowiedzianych wizyt. Mimo wszystko kontynuował swoją wędrówkę, a gdy wrócił na przód budynku, ujrzał Dorie stojącą na podjeździe i rozmawiającą z listonoszem. Pomachała do niego.

– Ted, powtórz agentowi specjalnemu Penderowi to, co właśnie mi powiedziałeś.

– FBI, co? Powiedziałem pańskiej partnerce, że nie było mnie w poniedziałek, ale wróciłem wczoraj

i poczta z soboty wciąż jest w skrzynce, razem z korespondencją z poniedziałku. Ten facet, Carpenter, jest jakiś dziwny, nie lubi otwierać drzwi. Jeśli potrzeba podpisu czy czegoś, to nigdy nie odpina łańcucha, ale pracuję na tym osiedlu już pięć lat i przez cały ten czas jeszcze nigdy nie opróżniałem jego skrzynki na listy. Miałem zamiar dać mu jeszcze jeden dzień, a potem to zgłosić. Mamy zgłaszać takie sprawy. Zdziwilibyście się, ile trupów znajduje się właśnie w ten sposób.

– To smutne podsumowanie naszych czasów – powiedział Pender. – Dziękujemy za czujność.

– Czyli już nie muszę tego zgłaszać? – spytał listonosz.

– Nie – odrzekł Pender. – Moja partnerka i ja zajmiemy się tym.

Pender otworzył drzwi na taras zestawem wytrychów, które nosił w portfelu od czasu kariery zastępcy szeryfa w Cortland. Za pięć dni, gdy oficjalnie rozpocznie się jego emerytura, noszenie go przy sobie będzie wykroczeniem w większości stanów. Tak samo jak wejście do domu w Baja Way bez nakazu – pomyślał, otwierając drzwi.

Jednak po ćwierćwieczu w FBI Pender nigdy z własnej woli nie odwrócił się plecami do dziewiczego miejsca zbrodni – o ile to w ogóle było miejsce zbrodni. Jeśli nie, cała akcja powinna trwać pięć minut, bez wyrządzenia żadnych szkód i powiadamiania o tym kogokolwiek.

Musiał cały czas mieć oko na Dorie, ponieważ mogła nie przestrzegać instrukcji.

– Trzymaj się blisko, chodź po moich śladach i niczego nie dotykaj.

– Jasne.

Nie zdawała sobie do końca z tego sprawy, ale aż do poprzedniego tygodnia miała życie urządzone w ten sposób, że bardzo rzadko przekraczała próg obcego domu czy nieznanego pomieszczenia, jeśli ktoś go wcześniej nie sprawdził – musiała być pewna, że na ścianach nie wisały żadne maski. Teraz zaczęła żałować swej nowo nabytej odwagi. Zaniepokoił ją nie tylko zatęchły zapach dywanu, lecz także sposób zachowania Pendera, ściszony, ale rozkazujący ton jego głosu, grymas na jego twarzy, pozycja pełnej gotowości, gdy zaczął wchodzić po wyłożonych wykładziną schodach, które skrzypiały pod stopami. W jakiś sposób jej przyjazny, sympatyczny i powolny Pen na jej oczach zmienił się w agenta FBI.

– Poczekaj tutaj – powiedział, gdy wszedł na piętro.

– Pen, co to za zapach?

Panowała tam duchota, jakby ktoś nie wietrzył od miesięcy. Albo nie, to nie duchota, bardziej coś jak odrażająca słodycz, jak stary melon psujący się w śmieciach.

Pender zniknął w jednej z sypialni. Poczekać tutaj? – pomyślała Dorie. Sama? Będziesz musiał przykuć mnie do poręczy. Poszła za nim i zobaczyła go stojącego w otwartych drzwiach do łazienki. Gdy się odwrócił, po jego twarzy wywnioskowała, że przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, jakby zapomniał, że w ogóle jest w tym domu. Ruszyła do niego – złapał ją w połowie drogi do łazienki, objął, by nie poszła dalej.

– Nie powinnaś tego oglądać – powiedział miękko.

– Czy to jest Nelson?

– To był Nelson.

6

Siedemdziesięciosześcioletnia kobieta, oglądająca opery mydlane w kawalerce w podupadającym, jeśli już nie upadłym sąsiedztwie na obrzeżach Atlantic City, z domu nazywała się Rose Ella Moore, a swe najszcześniejsze lata przeżyła jako Rosella Childs. Czasami czuła się więc dziwnie, gdy uświadamiała sobie, że większość życia spędziła pod nazwiskiem Rosie Delamour, które było wynikiem żartu, 0,7 litra i połączenia Rose Moore i Roselli Childs.

Jej ulubioną używką w czasach, gdy przyjęła nowe nazwisko, był marokański hasz – nic dziwnego, mieszkała wtedy w Tangerze. Ostatnio zadowalała się wódką – im była tańsza, tym lepsza. Zapytana przyznałaby się, że jest jeśli nie alkoholiczką, to osobą ostro pijącą na imprezach. Przyciśnięta wyznałaby, że jej obecna impreza trwa od lutego, od nieudanych urodzin Missy.

Urodziny dzieciaków zawsze były dla Rosie ciężkim okresem. Kiedy wreszcie zebrała się na odwagę (no dobrze – kiedy wypić dostatecznie dużo), żeby zadzwonić po tych wszystkich latach i po tych wszystkich próbach (odkładanie słuchawki w połowie wykręconego numeru albo w połowie sygnału oraz

nieagrywanie się na automatyczną sekretarkę) tylko po to, żeby Simon rzucił słuchawkę podczas rozmowy, poczuła, że trzeźwienie nie ma najmniejszego sensu.

Jak wielu alkoholikom, wprowadzenie dyscypliny do sposobu picia dawało Rosie poczucie kontroli. Spożycie alkoholu było więc wyznaczane emisją seriali. Jeden tonik z wódką na każdą poranną operę mydlaną, puszka Ensure na lunch, potem po wódcę z tonikiem na kolejne odcinki seriali. Wieczorem albo jadła na mieście z jednym ze swych dżentelmenów, albo zostawała w domu z gulaszem wołowym. W obu przypadkach jej wieczorny przydział zależał nie od programu telewizyjnego, a od tego, ile wódki zostało w butelce. Rosie miała żelazną zasadę – nigdy nie otwierała dwóch flaszek jednego dnia.

Oczywiście jeśli któryś z jej dżentelmenów miał pieniądze, żeby kupić coś do kolacji lub później przynieść piersióweczkę do kawalerki Rosie, limit tego nie obejmował.

Ostatnio miała wieczór z gulaszem wołowym. Tego ranka obudziła się z potężnym kacem i niewyraźnym wspomnieniem telefonicznej rozmowy o Simonie. Jednak nie pamiętała, kto dzwonił ani po co, a Rosie wiedziała już, że nie należało zagłębiać się we wspomnienia – jedyne, co w nich odnajdywała, to frustracja.

Niezależnie od tego, czy była to rozmowa, czy coś innego, zawsze rozwalalo to grafik Rosie. Pod koniec Szpitala miejskiego, ostatniego serialu, w półlitrowej butelce z czerwoną nalepką zostało już tylko około ośmiu centymetrów „wódki marki wódka”, a gdy skończyła się Oprah, było już mniej niż pięć centymetrów. Zapowiadał się bardzo ciężki wieczór, oczywiście jeśli nie była to środa. W środy Rosie mogła liczyć na Cappy’ego Kaplana, który chętnie przepuszczał pieniądze na wino.

Pomyślała, że może uda jej się namówić Cappy’ego do wejścia do monopolowego na rogu w drodze do mieszkania. Fakt, był koniec miesiąca i dla ludzi o stałych dochodach nastaly ciężkie dni, ale finanse Cappy’ego wyglądały lepiej niż jej, ponieważ otrzymywał dodatek dla weteranów.

Ale czy rzeczywiście była środa? Rosie spróbowała „nawigacji zliczeniowej”. Na pewno pamiętała poniedziałek, bo Ralph Rosen, jej poniedziałkowy dżentelmen, zabrał ją do baru w jednym z kasyn. Więc skoro wczoraj był gulasz, to dzisiaj musiała być środa. Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Spojrzała na zegar na dekodekierze: 17:05. Wywróciła oczami. Cappy i jego przeceniane o zmierzchu obiady dla seniorów.

Domofon nie działał od miesiący. Rosie wpuściła Cappy’ego, potem odsunęła zasuwę w drzwiach i poszła do łazienki, żeby się odświeżyć. Cappy należał do najbardziej dziarskich amantów Rosie – nawet jeździł na motocyklu – ale wejście do niej na piąte piętro i tak zajmowało mu kilka minut. Czasami czekała na swych dżentelmenów w lobby, by oszczędzić im wchodzenia po schodach dwa razy jednego wieczoru, ale jeśli pojawiali się tak wcześnie po południu, z pewnością nie mogli oczekiwać od niej tej grzeczności.

– Wcześniej jesteś! – krzyknęła z łazienki, gdy usłyszała odgłos otwieranych drzwi wejściowych. – Za chwilę wyjdę.

– Nie śpiesz się.

Ten głos nie brzmiał jak Cappy’ego, może był przeziębiony. Rosie ochlapała twarz wodą, poprawiła makijaż i otworzyła drzwi łazienki.

Jej pierwsza reakcja była taka jak Nelsona Carpentera – albo kogokolwiek, kto ujrzał żywego ducha. Jeśli coś nie może istnieć, ale istnieje, to w takim razie nastąpiło przesunięcie w rzeczywistości, a nawet w całym wszechświecie.

Oczywiście pod warunkiem, że to nie była delirka. Rosie uczepiła się tego wytłumaczenia jak tonący kawałek dryfującego drewna. Niektórym ukazują się różowe słońce, próbowała sobie wmówić, ja dostałam Marcusa Childsa siedzącego na moim łóżku.

W głębi duszy wiedziała jednak, że to nie halucynacja, a gdy spojrzał na nią dziwnym, błagalnym wzrokiem, jakby prosił, by go rozpoznała, jego prawdziwa tożsamość rozkwitła najpierw w jej sercu.

7

– Jak się czujesz, słonko? – spytała panna Pool od drzwi. Miała już na sobie płaszcz.

– Jakby ktoś mnie przeżuł i wypluł – odrzekła Linda.

Ociężałość i trudności w poruszaniu się towarzyszyły jej cały dzień. Nie wystąpiły żadne objawy, które kazałyby jej podejrzewać reakcję na Betaseron, ale jeśli rzeczywiście o nią chodziło, to trwała dłużej niż kiedykolwiek wcześniej.

– A może skończymy już pracę?
Linda spojrzała na zegarek: 17:10.

– Ty idź do domu, ja pozamykam.
Taki żart: oczywiście biuro zamykało się samo.

– Nad czym pracujesz?
Linda podniosła przefaksowany akt zgonu.

– Elaine Ferry, Petaluma. Była farmakofobką, bała się przyjmowania lekarstw, nawet tych przepisanych. Dwanaście lat temu znaleziono ją na dnie jej basenu w płaszczu z kieszeniami wypchanymi kamieniami.

– Virginia Woolf – stwierdziła Pool.
– Słucham?
– Tak utopiła się Virginia Woolf.
– Chodzi o to, że wczoraj do biura terenowego w San Francisco zadzwoniła matka Elaine Ferry. W Simonie Childsie rozpoznała przyjaciela swej córki. Lekarze śledczy dostali pozwolenie na ekshumację i sekcję zwłok, mają przeprowadzić badania toksykologiczne kości, zębów, włosów, jeśli jakieś zostały, pod kątem obecności lekarstw lub metabolitów.

– I po tylu latach mogą jeszcze coś znaleźć?
Linda wzruszyła ramionami.

– To tak jak w dowcipie o facecie, który zgubił zegarek na Czterdziestej drugiej, ale szukał na Czterdziestej trzeciej, bo tam było lepsze światło. Robimy wszystko, co przychodzi nam do głowy. A kto wie, być może odnajdą wetkniętą między żebra notkę: „To moja sprawka, serdeczności, Simon”.

– O czymś mi to przypomniało – rzekła Pool. – Masz plany na Halloween?
– To już?
– W tę niedzielę. Pytam, bo zawsze urządzamy przebieraną imprezę i organizujemy dom strachów dla dzieciaków zbierających słodycze. Może wpadniesz? Bardzo byśmy tego chcieli.

Linda uświadomiła sobie, że po dziesięciu dniach pracy z Pool nadal nie miała pojęcia, co oznaczało „my”. Mąż, partnerka, starszy rodzic?

– Nie wiem... Nie mam kostiumu ani niczego...
– Coś wymyślimy. Możesz być zakrwawionym ciałem w domu strachów.
– Wiesz, bycie zakrwawionym ciałem jakoś nigdy nie należało do moich ambicji – zauważyła Linda, gdy zadzwonił telefon. Pool ruszyła w kierunku swojego biurka, by odebrać, ale Linda machnęła do niej, żeby poszła do domu, i sama podniosła słuchawkę.

Dzwonił Pender.

– Młoda, masz na swej mapie jakieś czerwone pinezki?
– Tylko jedną, w San Francisco.
– To wbij kolejną w Concord. – Opowiedział jej o znalezieniu Nelsona Carpentera w wannie.
– Samobójstwo?
– Jeśli własnoręcznie przykleił się do wanny.

Linda skrzywiła się.

– Masz wstępnie oszacowaną godzinę śmierci?
– Lekarz sądowy jeszcze nie przyjechał. Mnie to wygląda na jakiś tydzień.
– O Booże.
– Właśnie.

Oszczędził jej jednak najgorszego szczegółu – unoszącego się na wodzie wzdętego ciała i skóry, która zeszała płatami.

– Zgadnij, co znaleźliśmy w garażu.
– Srebrnego mercedesa kabrio.
– I zgadnij, czego nie znaleźliśmy.
– Samochodu Carpentera.
– Późnego modelu sedana volvo, jak twierdzi listonosz. Zadzwonię do ciebie, gdy tylko wyciągną numer rejestracyjny z jego prawa jazdy.
– Zaktualizuję informację o poszukiwaniach. Chcemy powiadomić o tym opinię publiczną?
– Nie, wstrzymaj to. Jeśli się dowie, że szukamy volvo, nie będziemy już mieli szans na schwytanie go. Wtedy pewnie znajdziemy samochód porzucony gdzieś... ups, idzie Erickson. Muszę kończyć. Zadzwonię,

gdy będę mieć numery blach i VIN.

Rozłączył się. Linda otworzyła szufladę biurka, wyjęła pudełeczko z pinezkami, a potem przesunęła krzesło z lewej strony dużej mapy na prawą. Jednak gdy próbowała wbić pinezkę w punkt oznaczający Concord, ta wypadła jej spomiędzy palców, których koniuszki jakby ścierpły.

Musiałam źle ją złapać – pomyślała Linda, schylając się, żeby ją podnieść. W następnej chwili znalazła się na podłodze – zgięcie karku wysłało w dół kręgosłupa szarpący kości impuls elektryczny, który rozszedł się po całym układzie nerwowym.

– To tak jakby trafiła mnie błyskawica – Linda wyjaśniła pielęgniarce przez telefon, gdy już była w stanie go użyć.

– Proszę podać mi swój numer – rzekła pielęgniarka. – Poproszę lekarza, żeby do pani oddzwonił.

O piątej po południu? – pomyślała Linda. Akurat! Już to widzę!

– Obiecuje pani?

– Obiecuję. Tylko proszę się nigdzie nie ruszać.

– Nie ma sprawy – odparła Linda cierpko.

8

Dla Cappy'ego Kaplana kluczem do udanej i satysfakcjonującej randki z Rosie Delamour – i żeby nie było wątpliwości, w wieku lat siedemdziesięciu czterech definicja udanej randki u Cappy'ego niczym nie różniła się od definicji takiej randki u jakiegokolwiek innego mężczyzny w wieku lat trzynastu aż do śmierci – był odpowiedni czas zabrania jej na konsumpcję.

Należało przyjść po nią wcześniej – po zachodzie słońca zostawiona sama sobie Rosie była już mocno pijana. Za to do każdego obiadu mógł kupić butelkę wina, na którą było go stać tylko dlatego, że wczesne rozpoczęcie posiłku uprawniało go do korzystania z przecenionego menu dla seniorów, proponowanego w jadłodajniach, do których uczęszczali ludzie starsi z Atlantic City. Kiedy Rosie zaczynała pić tanią wódkę, którą preferowała, bardzo szybko następowało przejście od kochanicy do pijanicy, jak mawiano za czasów Cappy'ego.

Podobnie jak większość mężczyzn z marynarki wojennej, emerytowany starszy bosman był punktualny. Zatrzymał swój motocykl Harley Electra Glide rocznik '68 (wciąż potrafił jeździć wielką maszyną, tylko nie mógł jej podnieść, gdy się przewróciła) z tłumikami w kształcie rybich ogonów i nabijanym świekami kowbojskim siodłem przed budynkiem, w którym mieszkała Rosie. Wprowadził go do holu (nie był całkowicie bezpieczny nawet tam i czasami trochę wyciekał z niego olej, ale Cappy za cholerę nie zostawiłby go na ulicy w tym sąsiedztwie) i zadzwonił do mieszkania 5B dokładnie o piątej piętnaście. Gdy Rosie go nie wpuściła, w pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że zasnęła na kanapie, oglądając swoje seriale. Potem pomyślał, że jego nadzieje na randkę zwieńczoną sukcesem były prawdopodobnie i tak skazane na niepowodzenie, jak jego pierwszy okręt, lotniskowiec eskortowy „Ommaney Bay”, który zatonął w pobliżu wyspy Luzon w styczniu czterdziestego piątego.

Ale jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby Cappy odwrócił się na pięcie i pojechał do domu. Może Rosie go potrzebuje – mogła zemdleć, upaść, uderzyć w coś głową. Od rozcięcia skóry na głowie można było umrzeć, tak zginął Bill Holden. Jak to mawiają, to nie upadek cię zabija, tylko to, w co uderzysz po drodze.

Wcisnął więc swą dużą dłoń wszystkie piętnaście przycisków domofonu i poczekał przy drzwiach, aż ktoś go wpuści. Głośnik pewnie nadal jest spitolony – pomyślał, wchodząc po schodach. Ktoś powinien wezwać dozorcę.

Trochę zdyszany przystanął pod drzwiami Rosie, by złapać oddech, a potem zadzwonił. Żadnej odpowiedzi, ale słyszał dzwonek wewnątrz mieszkania. Mimo wszystko zaczął pukać.

– Rosie, wszystko w porządku?

Judasz pociemniał.

– Idź stąd. – Męski głos.

Cappy wiedział, że nie był jedynym amantem Rosie. Do diabła, ona też nie była jego jedyną kobietą – przynajmniej do czasu, gdy zmarła Helen Breen, wdowa po Tommym Breenie. Ale środowy wieczór należał do nich, do Cappy'ego i Rosie, tak było od lat. Coś się tutaj nie zgadzało.

- Gdzie jest Rosie?
- Ty jesteś Cappy?
- Tak.
- Nie chce cię oglądać.
- Chcę, żeby osobiście mi to powiedziała.
- Kazała mi to przekazać.

Cappy wyprostował się najbardziej, jak mógł. Kiedyś miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, teraz wciąż ponad sto osiemdziesiąt. Skrzyżował ręce na piersi.

- Albo zobaczę Rosie, albo dzwonię na policję.

Drzwi się otworzyły. Cappy stanął twarzą w twarz z jednym z najbardziej odrażających typów, jakich kiedykolwiek widział. I do tego łysym bardziej niż Cappy w najgorszym czasie, i to łysym aż po powieki.

- Właź.

Cappy przemknął obok niego. W ciągu trzydziestu lat służby w marynarce miał do czynienia z bardziej bezwzględnyymi osobnikami, kurwa, gorsi ludzie wydawali mu rozkazy. Rosie leżała na łóżku wyciąganym z szafy z zimnym kompresem na czole. Usiadła.

– Cappy, to mój syn, Simon – powiedziała słabo, ale z cieniem dumy w głosie. – Simonie, to mój przyjaciel Cappy, o którym ci mówiłam.

Simon wyciągnął prawą rękę, lewą sięgając za siebie, by zamknąć drzwi.

- Miło mi poznać.

– Minutę temu miałem odmienne wrażenie. – Ale uściśnął dłoń tego człowieka. Wiedział, że dla Rosie to bardzo ważne. Często wspominała dzieci, które musiała porzucić, gdy były niemowlętami. – Rosie, kochanie, może wykorzystamy bon na obiad w inny dzień? Pewnie chcesz spędzić trochę czasu sam na sam ze swoim synem.

- Tak, to jest niezły...

– Nie myślałbym o tym – przerwał szybko Simon. Starzec zdawał się nie mieć pojęcia o złej sławie Simona, ale nigdy nic nie wiadomo. Mógł stąd wyjść, włączyć radio, przeczytać jakąś gazetę, obejrzeć wiadomości i złożyć wszystko do kupy. – To ja wpadłem bez uprzedzenia. Może zjedzmy obiad wspólnie, zamówimy coś na wynos. Ja stawiam.

– To bardzo miło z twojej strony – rzekł Cappy, próbując ominąć Simona, który stał, zasłaniając plecami drzwi. – Ale ja nie mógłbym...

– Oj tak, mógłbyś – rzekł Simon, sięgając za plecy i wyciągając kolta zza pasa. – Naprawdę, naprawdę mógłbyś.

Cappy cofnął się spod drzwi. Rosie dojrzała broń.

- Simonie, co ty...

– Mam kłopoty. Mamo. – Wypowiedzenie tego słowa było dla Simona bardzo dziwne, nie nazywał tak nikogo od czasu, gdy miał trzy lata. – Nie mogę zaryzykować, że Cappy ściągnie na mnie gliny. – Zwrócił się do mężczyzny: – Połóż się na łóżku obok swojej dziewczyny. Jestem przekonany, że już często razem leżeliście.

9

Ku zaskoczeniu Lindy lekarz, z którym wcześniej spotkała się tylko raz wkrótce po przeniesieniu do Waszyngtonu, oddzwonił w ciągu kilku minut. Z ulgą stwierdziła, że nie był zbyt przejęty.

– To objaw Lhermitte'a – wyjaśnił. – Jeśli do tej pory nie zostałyby pani zdiagnozowana pod kątem SM, to byłby sygnał ostrzegawczy, ale w pani przypadku mówi nam to, co już wiemy. Bardziej martwi mnie uczucie zdrętwienia i mrowienie w palcach. To nowy objaw, prawda?

- Tak, proszę pana.

- I jest pani na codziennej kuracji Betaseronem?

- Tak, proszę pana.

- Jakież skutki uboczne?

- Tylko czerwone wybroczyny po wbijaniu igły i objawy grypy, o których panu opowiadałam.

– W takim razie zostaniemy przy tym, w razie konieczności pomyślimy nad zwiększeniem dawki po kolejnej ocenie stanu zdrowia. Kiedy ma pani przyjść?

- Pierwszego przyszedł miesiąc, to chyba poniedziałek.
- W takim razie do zobaczenia w poniedziałek. Chciałbym, żeby pani w międzyczasie się oszczędzała. Unikała stresu i nie przeciążała się fizycznie. Oczywiście musi pani też unikać nagłego zginania szyi lub kręcenia głową.
- Tak, proszę pana – odparła natychmiast. Jeśli o nią chodziło, to jeden objaw Lhermitte’a w życiu wystarczył.

Została w biurze dostatecznie długo, by zobaczyć zaktualizowaną informację o poszukiwaniach i zorganizować pilne przesłanie jej do wszystkich organów ścigania w całym kraju. Potem wyszła do domu. Chociaż informacja o samochodzie, jakim mógł poruszać się Childs, była jak dotąd najbliższa przełomowi, nie oczekiwano, że przyniesie natychmiastowe efekty.

I tak by pewnie było, gdyby pojazd wciąż znajdowałby się w Kalifornii czy nawet w sąsiednim stanie. Ale na M Street w Georgetown volvo na blachach z Kalifornii mogło zwrócić uwagę, nawet gdyby nie miało już za wycieraczkami dwóch mandatów za parkowanie i ostrzeżenia o odholowaniu zebranych od wtorkowego wieczoru.

Linda wyszła z biura w chwili, gdy patrol próbował się z nią skontaktować. Jechała na północ River Road i właśnie minęła drogowskaz na Piney Meetinghouse Road (bardzo jej się ta nazwa podobała), co oznaczało, że była już tylko kilka kilometrów od służby Tinsmana, kiedy jej telefon zaczął dzwonić.

- Abruzzi.
- Joe Buchanan, Metro. – Metropolitalne Biuro Terenowe FBI na Czwartej ulicy miało jurysdykcję nad Waszyngtonem. – Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, że patrol uliczny znalazł to volvo w Georgetown.
- W Georgetown – powtórzyła głucho.
- Tak. Na razie ani śladu Childsa. Od razu go odstawili i wyznaczili nadzór. Jeśli ten s...
- Joe, na jakiej ulicy stoi ten samochód?
- Nie pamiętam dokładnie. Myślę, że może gdzieś na M Street. Dowiem się, jeśli to ma znaczenie.
- Proszę – powiedziała tak spokojnie, że trudno było uwierzyć, że jej świat i to, co jeszcze zostało z jej kariery, właśnie zaczęły się walić.

– Chwilka.

Trwało to dłużej niż chwilę. To był wiek, cała wieczność, podczas której Linda próbowała sobie wmówić, że wprawdzie sklepy i restauracje na długiej M Street znajdowały się w niewielkiej odległości – nawet jak na jej kryteria – od domu Gee, to mógł być to przypadek. Ale w głębi duszy wiedziała lepiej, nawet jeszcze zanim Buchanan podniósł słuchawkę, by potwierdzić jej najgorsze obawy – volvo było zaparkowane tylko dwie przecznice od Conroy Circle – jej umysł przełączył się w tryb kryj-swoj-tyłek. Nic nie musisz im mówić – przypominała sobie. To nadal mógł być przypadek. Może wcale nie chodziło o Przestraszonegokota, może trafił tam w jakiś inny sposób.

Jasne. I może Bóg nie stworzył małych zielonych kwaśnych jabłek i może Hoover i Tolson byli po prostu dobrymi przyjaciółmi.

– Joe, dwie przecznice dalej jest adres, który trzeba jak najszybciej sprawdzić. Conroy Circle siedemnaście, C-O-N-R-O-Y jeden siedem. To jednorodzinny budynek z piaskowca. Mieszkałam tam przez kilka tygodni tuż po przyjeździe do Waszyngtonu. Powinny tam mieszkać dwie osoby, James i Gloria Gee, G-E-E.

Powiedział, że za pięć minut ktoś tam będzie, agenci Metra zdążyli już zjechać się do Georgetown. I chociaż nie spytał, dlaczego Gee byli zagrożeni ani jaki to miało związek z Childsem, doskonale zdawała sobie sprawę, że to pytanie padnie.

Tak jak kilka innych. Na przykład: co ty sobie, do kurwy nędzy, myślałaś, sprowadzając takie zagrożenie na cywilów?

– Nie mam żadnego wytłumaczenia, sir – mruknęła do siebie, wyłączyła telefon i wrzuciła go z powrotem do kieszeni czarnego wełnianego prochowca. Spojrzenie w tylne lusterko – czysto. Dała po hamulcach i skręciła kierownicę w lewo, zmuszając biednego geo do nagłego manewru w kształcie litery U i driftu na czterech kołach ze ślizgiem i piskiem.

Gdy przejeżdżała obok Piney Meetinghouse Road, tym razem z drugiej strony, telefon w kieszeni zaczął dzwonić.

– Terry Marks, Zespół Rozwiązywania Sytuacji Zakładniczych. Tworzymy obwód wokół siedemnaście Conroy. W środku nie ma oznak życia, nikt nie odbiera telefonu, w tylnych drzwiach jest potłuczona

szyba. Chcemy wejść tam jak najszybciej, by zachować element zaskoczenia, ale potrzebuję więcej informacji. Rozumiem, że zna pani ten dom?

– Tak.

– Mieszkają tam dwie osoby?

– Tak. Gloria Gee, kobieta pochodzenia chińsko-amerykańskiego, lat trzydzieści siedem, metr sześćdziesiąt wzrostu, waga około czterdziestu siedmiu do pięćdziesięciu kilogramów. Jim Gee, mężczyzna pochodzenia chińsko-amerykańskiego, przed czterdziestką, waga około sześćdziesięciu trzech kilogramów.

– Niscy Chińczycy, to dobrze, nikt nie pomyli zakładników z podejrzanym.

– Chyba że wpuscicie tam Steviego Wondera.

– Jakies wejścia lub wyjścia poza drzwiami wejściowymi i tylnymi?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Jaki jest układ domu?

Opisała Marksowi układ pomieszczeń najpierw od frontu, potem od tyłu.

– Dobra robota. Jeszcze jedno, czym jeżdżą?

– Jim jeździ jednym z tych nowych SUV-ów Mercedesa, niebieskim ze złotymi wykończeniami. Gloria ma najnowszego lexusa w kolorze szampana, nie znam numerów rejestracyjnych.

– Mercedes jest, numery rejestracyjne lexusa dostaniemy z Wydziału Komunikacji, dzięki.

Linda życzyła mu powodzenia, którego skrycie życzyła również sobie. Istniały tylko dwie możliwości, żeby to się skończyło bez uszczerbku na jej karierze. Po pierwsze mógł to być całkowicie fałszywy alarm i w tym przypadku, gdy nieporozumienie zostanie wyjaśnione, mogło się skończyć na upomnieniu i nieprzyjemnej notatce od BOZ w jej teczce z aktami.

Po drugie Zespół Rozwiązywania Sytuacji Zakładniczych mógł tam wejść, zabić Childsa i znaleźć dwa kolejne ciała – w tym przypadku nie będzie trzeba wyjaśniać żadnych nieporozumień. Tylko ona będzie wiedziała o tym, że Childs został przyciągnięty do domu wabikiem, którego dla niego zostawiła, wabikiem, który ostatecznie osiągnął cel i ściągnął myśliwego do swej ofiary.

Oczywiście Gee nadal będą martwi, ale Linda będzie czysta. I właśnie to się liczy, prawda? – pomyślała gorzko.

10

Dzielili postanie we troje. Cappy i Rosie siedzieli obok siebie u wezglowia staromodnego łóżka chowanego na dzień do wnęki. Rosie trzymała między nogami nowo otwartą butelkę taniej wódki. Walić odmierzanie – postanowiła. Walić również szklanekę, lód i tonik.

Simon siedział po turecku w nogach łóżka. Co dziwne, przybycie Cappy'ego nie zdenerwowało go tak bardzo. Nie wyszło tak, jak się tego spodziewał, gdy z kuchni Gee zadzwonił na informację i wydebił od operatora adres Rosie, sprzedając kliwą bajeczkę o tym, że jego mama ma urodziny i chciałby wysłać jej kwiaty. Przebywanie sam na sam z matką po tych wszystkich latach było przeżyciem aż nadto intensywnym. Ale oprócz tego, że byli matką i synem, byli sobie praktycznie obcy. Obecność trzeciej osoby zmieniła sytuację – Simon poczuł, że gra dla starego mężczyzny, jakby był on jednoosobową widownią.

– Właśnie opowiadałem matce o kobiecie o imieniu Ida, którą spotkałem w Wisconsin – wyjaśnił. – Ida zadała mi pytanie, które odbijało się echem w mojej głowie całymi dniami. Miałem nadzieję, że może obecna tutaj mama będzie potrafiła mi na nie odpowiedzieć.

Przeniósł wzrok z Cappy'ego na Rosie. Mimo presji, pod jaką się znajdował, mimo ecstazy, sinsemilli i niedoboru snu zdawało mu się, że jego umysł był jaśniejszy niż wtedy, gdy zaczął się ten cały cyrk. Chociaż mogły mieć z tym coś wspólnego również tabletki z krzyżykiem, które połykał niczym drażetki przez całe popołudnie.

– No i, mam? W czym tkwi sekret? Jak matka może odwrócić się i odejść od rocznej córki z zespołem Downa i trzyletniego synka, który właśnie stracił ojca?

W tym momencie zrozumiał, że odpowiedź nie miała już żadnego znaczenia. Chodziło o to, by w końcu zadać to pytanie. To ono przywiodło go do tego miejsca, w którym wszystko stało się jasne.

Przestraszonykot

1

Media zaczęły się już gromadzić wokół Conroy Circle, które było ślepą uliczką. Dojście zasłaniały kozły do piłowania drewna. Linda pokazała odznakę i waszyngtońscy policjanci pilnujący blokad przepuścili ją.

Prawdopodobnie możemy wykluczyć fałszywy alarm – pomyślała gorzko, gdy jej geo mijał „cyrk dziennikarski”, by dołączyć do „cyrku policyjnego”. Samochody patrolowe, nieoznakowane pojazdy Biura, karetki, Zespół Rozwiązywania Sytuacji Zakładniczych w pełnym rynsztunku ninja wychodzący spod numeru siedemnastego, Wydział Dowodowy wchodzący do środka, sanitariusze składający nosze szpitalne, ludzie koronera rozkładający swoje, waszyngtońscy policjanci stojący wszędzie. Linda zaparkowała za służbami weterynaryjnymi. Gdy wyciągała laskę, podszedł do niej agent w granatowej wiatrówce z żółtymi literami FBI na plecach.

– Abruzzi?

– Tak, sir.

– Jestem Joe Buchanan. Dziękuję, że przyjechałaś. – Otworzył jej drzwi i pomógł wysiąść. – Pomyśleliśmy, że skoro znasz ten dom, to może będziesz w stanie zauważyć, czy czegoś brakuje. Dasz radę pójść ze mną?

– Tak, sir – odparła, zaskoczona tym, z jaką łatwością przestawiła się na zachowanie energicznej profesjonalistki. Może ułatwiło jej to poczucie odrętwienia gdzieś w środku. Jeśli tak, to całą sobą była za odrętwieniem. – Co tu mamy?

Może jednak było po niej widać więcej, niżby tego chciała. Buchanan położył dłoń na jej ramieniu.

– Rozumiem, że ci ludzie byli twoimi przyjaciółmi?

Ostrożnie pokiwała głową.

– To nie jest przyjemne do oglądania.

– Więc miejmy to już za sobą – powiedziała.

Było zbyt późno na okazywanie wrażliwości. Zabawiła się ich życiem i była odpowiedzialna za ich śmierć. Jedyne, co mogła zrobić, to popatrzeć na ich ciała. Czuła, że w jakiś sposób jest im to winna.

Z początku spacer po budynku nie był najgorszy, chociaż było to jej pierwsze „świeże” miejsce zbrodni co wcale nie było dziwne. Biuro bowiem rzadko było instytucją pierwszego kontaktu w przypadku dopiero co popełnionych morderstw. Ale gdy dokuśtykała na parter, właśnie zdejmowano koc przykrywający ciało na kanapie. Jak można było przewidzieć, prawdopodobnie szok wywołany ujrzaniem potwornie okaleczonego ciała Jima w odruchu obronnym kazał jej się wycofać z miejsca rzezi.

Kiedy zajrzała do łazienki dla gości, jej obojętność została poddana wielu próbom. Nie zastała tam nic makabrycznego – szokujące było to, że pomieszczenie wyglądało tak samo jak wieczoru, którego się wyprowadziła. I to ją tak bardzo poruszyło. Przez chwilę ujrzała własne ciało leżące na łóżku, na którym spała przez trzy tygodnie i w którym by była również ostatniej nocy, gdyby nie najzwyczajniejszy, niezaskuszony łut szczęścia.

Otrząsnęła się, poszła za Buchananem na górę do sypialni Gee z poczuciem, że widzi i słyszy wszystko jakby przez kombinezon nurka. Na jednej z poszewek na poduszki były ślady krwi, na podłodze wokół toaletki wały się czarne włosy. Linda spojrzała pytająco na Buchanana.

– Jest w łazience – odpowiedział. – W wannie.

– O tak, lubi ich kąpać – zauważyła Linda.

Gloria nie była sama.

– Chyba znalazłem miejsce ukąszenia – powiedział Reilly, technik medycyny sądowej klęczący obok wanny, gdy Buchanan i Linda stanęli w drzwiach. Dłońmi w rękawiczkach podniósł i przechylił na bok ostrzyżoną głowę Glorii, by pokazać małą wystrzępioną dziurkę w szyi.

– Nie tak wyobrażałem sobie ukąszenie węża – stwierdził Buchanan, zerkając nad ramieniem technika.

– Węże koralówki mają małe pyski i krótkie, grube zęby, muszą się dobrze wgrzyźć.

– A okaleczenia na twarzy?

– Ostrze to prawdopodobnie nożyk do papieru albo nóż uniwersalny z ostrzem wysuniętym na kilka milimetrów.

Węże koralówki... wgrzyźć się... ostrze. Pomyśl o czymś innym.

– Dlaczego jej powieki tak dziwnie opadły? – spytała.

– To jeden ze skutków działania neurotoksyny, co pasuje do charakterystyki koralówki. Węże te należą do zdradnicowatych, wypuszczają neurotoksyczny jad, przez który ofiara znajduje się na granicy śmierci.

– Potem zwrócił się do Buchanana: – Znaleźli go już?

– Nie, czekają na psa. – Zwrócił się do Lindy, cały czas stojącej w drzwiach: – Pierwszy człowiek, który wszedł na schody, zobaczył prążkowanego węża wypełzającego z sypialni. Czerwono-czarno-żółtego. Myślał, że albo przedostał się do ściany, albo jest na strychu.

– Mam nadzieję, że jednak na strychu – powiedziała Linda słabym głosem.

– Proszę się nie martwić – odparł Reilly. – Jak wspomniałem, jad koralówki sprawia, że ofiara tylko znajduje się na granicy śmierci, poza tym reakcja często jest opóźniona, zresztą służby weterynaryjne powinny być już w drodze z odpowiednim antidotum.

– Reilly, od kiedy jesteś takim ekspertem od jadowitych węży? – spytał go Buchanan.

– Od jakichś piętnastu minut, odkąd Herro dostał wydruk z Wydziału Nadzoru nad Truciznami. – Reilly skinął głową w kierunku faksu wetkniętego do ekwipunku. – Myślisz, że inaczej w ogóle bym się tutaj zjawił?

– Mogę zobaczyć? – spytała Linda.

– Proszę.

...reakcja na ukąszenie może być opóźniona od czterech do dwunastu godzin... Objawy kliniczne... obustronna ptoza, diplopia, anizokoria, mialgia, duszność, paraliż mięśni oddechowych. Śmierć w wyniku ostrej niewydolności oddechowej.

Oddała kartkę Reilly'emu.

– Może pan to przetłumaczyć? – zapytała.

– Ptoza to opadanie powieki. Diplopia to podwójne widzenie, anizokoria to źrenice różnej wielkości, mialgia to ból mięśni. Paraliż mięśni oddechowych to paraliż przepony. W zasadzie to się udusiła. Musiał trzymać węża tuż przy żyłce szyjnej, widzicie? – Znowu podniósł głowę Glorii.

– Niech pan tak nie robi – poprosiła Linda, która duchem była milion kilometrów dalej, ale zaczęła zbliżać się do ziemi z prędkością światła.

– O co chodzi? Gwarantuję, że jest jej to obojętne.

– Mieszkałam z nią w koledżu – powiedziała miękko, a Buchanan ponownie objął ją ramieniem i poprowadził z powrotem do sypialni.

– Abruzzi, czegoś mi tutaj brakuje. Co to ma wspólnego z Childsem, co on tutaj robił?

Do tej pory Linda powinna być już gotowa na to pytanie. Miała sporo czasu na ułożenie sobie odpowiedzi. Gloria bała się węży. Badałam sprawę, powiedziałam jej o Phobia.com. Musiała wejść na tę stronę. Childs w jakiś sposób zdobył jej adres.

Tak, to by zadziało – pomyślała. To by zagrało. Ale to było jeszcze zanim ujrzała potwornie okaleczone, bezokie ciało Jima w tych groteskowych czerwonych slipach, zanim jedyny raz w życiu zobaczyła nagą, odkrytą i bezbronną Glorię. Mieszkała z nią przez dwa lata, ale nigdy nie widziała jej nagiej ani bezbronnej.

Nagle Linda poczuła się potwornie zmęczona.

– To długa historia – powiedziała Buchananowi. – Czy mogę gdzieś usiąść?

2

– Zostawiłam cię. To właśnie ci powiedział? – Rosie napiła się z butelki, a potem podała ją dalej.

Cappy pokręcił głową. Simon również odmówił – dzięki tabletkom z krzyżykiem jego umysł był ostry jak brzytwa i chciał, by tak zostało.

– „Jak Mojżesza w sitowiu” – to były jego słowa. Zawsze wyobrażałem sobie nas w wiklinowym koszyku porzuconych na progu.

– Co jeszcze ci powiedział? – Podniosła butelkę i znowu się napiła.

Ujrzenie ducha Marcusa Childsa obudziło w niej jakieś okropne uczucie. Simon sięgnął po butelkę z zamiarem zabrania jej, zanim matka straci zdolność rozumowania, ale spojrzenie, jakie mu rzuciła, przyciskając butelkę do piersi, tak bardzo przypomniało mu o Missy, że nie potrafił się na to zdobyć.

– Że nazywałaś nas gnojami i mówiłaś, że te gnoje nie pasowały do twojej elegancji.

– Nie wspomniał nic o waszym ojcu?

– Nigdy o nim nie mówił. Jaki on był? – spytał z przejęciem.

– Danny? Był najbardziej uroczym człowiekiem pod słońcem. Prawdziwy księżę z bajki. Tak właśnie go nazywałyśmy, my, dziewczyny pracujące przy linii.

– Przy linii?

– Linii montażowej. Zaczęłam pracę w fabryce Emeryville w 1942 roku. Gdy w czterdziestym szóstym Danny wyszedł z marynarki wojennej, twój dziadek kazał mu nadzorować w fabryce przekształcenie produkcji z czasów wojny. Wszyscy uważali, że po powrocie weteranów zostaniemy zwolnione, ale on jakimś cudem zatrzymywał każdą dziewczynę, która chciała pracować, zatrudniał też weteranów. Nazywaliśmy go następcą tronu. I w pewnym sensie było jak w bajce. Pewnego wieczoru podwiózł mnie do domu. Nie wierz nikomu, kto twierdzi, że miłość od pierwszego wejrzenia nie istnieje.

Ale gdy twój dziadek się o tym dowiedział, dostał szału. Powiedział, że nie jestem wystarczająco dobra dla Danny'ego, powiedział mi to prosto w twarz. Nazwał mnie śmieciem z Oklahomy, naciągaczką. Twojemu ojcu postawił ultimatum: ja albo spadek, miłość albo pieniądze.

– A on wybrał miłość. – Simon chciał, by jego słowa zabrzmiały szyderczo, ale mu to nie wyszło.

– My wybraliśmy miłość. Przeprowadziliśmy się do Vallejo. Jeden z dawnych członków załogi załatwił Danny'emu pracę w stoczni. Urodziłeś się sześć miesięcy później. Byliśmy biedni, ale szczęśliwi. Wiem, że to taki banał: „biedni, ale szczęśliwi”, jednak to była prawda. Nawet gdy urodziła się Missy. To był szok, wszyscy mówili, by umieścić ją w zakładzie, ale myśmy strasznie ją kochali – wszyscy ją kochaliśmy. Ty też – zawsze byłeś dla niej taki grzeczny. Oczywiście, że pieniądze stanowiły problem, ale potem wybuchła wojna koreańska i stocznia została przekształcona w fabrykę, w której przeprowadzano konserwacje łodzi podwodnych. Pewnego wieczoru Danny zadzwonił do mnie z wiadomością, że właśnie awansowano go na brygadzystę. Planował to uczcić i wypić z kumplami kilka piw.

Uniosła butelkę do ust i napiła się, patrząc na Simona, jakby prowokując go do kolejnej próby wyrwania jej trunku.

– Kilka piw z kumplami – powtórzyła. – W drodze do domu jego samochód zjechał z trasy i wpadł do zatoki San Pablo. Twojego ojca nie zabił wypadek, ponoć się utopił. Zadzwoniono do mnie, gdy karmiłam Missy. Tej nocy zanikł mi pokarm i już nigdy nie miałam mleka.

– I to wtedy podrzuciłaś nas dziadkowi?

– Nie, wtedy poszłam do niego z prośbą o pomoc. Nie miałam grosza przy duszy, a bądź co bądź byliście jego wnukami. Do kogo jeszcze mogłam się zwrócić? I zgadnij, co się stało? Postawił mi ultimatum. Twój dziadek uwielbiał to robić. Uwielbiał też kupować ludzi. Nie mógł kupić syna, ale mógł kupić wnuki. Powiedział, że da mi pięćdziesiąt tysięcy dolarów i zapewni moim dzieciom dorastanie w luksusie, a Missy dostanie najlepszą możliwą opiekę. W zamian miałam prawnie rzec się praw rodzicielskich i na zawsze zniknąć z waszego życia.

– To dwadzieścia pięć tysięcy za głowę. W tamtych czasach to były niezłe pieniądze.

– Simonie, spróbuj postawić się w mojej sytuacji. Miałam dwadzieścia kilka lat, dwójkę dzieci, w tym jedno z zespołem Downa. Jedyna praca, jaką kiedykolwiek wykonywałam, to praca przy linii montażowej w fabryce Childsa, a w 1951 roku do takich zadań nikt nie zatrudniał już kobiet. A nawet jeśli znalazłabym zajęcie, jakie życie mogłabym wam zapewnić? W najlepszym razie latalibyście z kluczem na szyi, w najgorszym ty trafiłbyś do rodziny zastępczej, a Missy do zakładu.

– Nigdy – wymamrotał Simon. – Jakoś byśmy sobie dali radę.

– Łatwo ci mówić. Simonie, czy ty kiedykolwiek byłeś biedny? Czy kiedykolwiek szedłeś do łóżka głodny? Czy kiedykolwiek czegoś pragnąłeś? Czegokolwiek? Nie wiem, kim była ta Ida, ale miała rację co do jednego: nie ma nic trudniejszego na tym świecie niż oddanie własnych dzieci. Nawet jeśli alternatywą jest patrzeć, jak głodują. Każdego dnia zastanawiałam się, czy podjęłam właściwą decyzję.

I znowu to nieznajome uczucie – ukłucie empatii. Simon z nim walczył.

– Ale musiałaś wiedzieć, jakim był potworem.

– Nie, ja...

- Bił mnie, mammo, tłukł mnie każdego wieczoru.
- Simonie, proszę. – Rosie zakryła uszy.
- Zamykał mnie w piwnicy, mammo. – Pochylił się do przodu, odciągnął jej rękę, przybliżył swoją twarz do jej. – Przytrzymał mi głowę pod wodą, mammo. Kazał mi spać z psami, mammo. On...
- Simonie, nie. Proszę.

Ale Simon nie miał zamiaru się zatrzymywać. Chodziło o coś więcej – pomyślał. Od początku chodziło o coś więcej. Była cwana starą babą, trzeba jej to przyznać. Prawie przekonała go tą swoją bajeczką, ckliwą historią. A przecież ostatecznie była taka, jak opisywał ją dziadek Childs. Nawet gorsza. Nie tylko porzuciła maleńką Missy i małego Simona – ona ich sprzedała.

Simon wyciągnął butelkę wódki spomiędzy nóg matki i jej ją podał.

– Bardzo proszę, mammo, napij się jeszcze. Wtedy nie będziesz musiała myśleć o tym, jak Missy codziennie wieczorem wypłakiwała sobie oczy, trzymając w swej małej dłoni twoją szczotkę do włosów. To była jedyna rzecz, jaką po tobie miała i która budziła jakiekolwiek wspomnienia o tobie. To była...

– Wystarczy – powiedział cicho Cappy, gdy szlochająca Rosie ukryła twarz w dłoniach. Był to pierwszy raz, gdy otworzył usta, odkąd Simon wyciągnął broń. – Nie widzisz, że wycierpiała już dostatecznie dużo?

A kto nie wycierpiał? – pomyślał Simon, podnosząc kolta, celując dokładnie w twarz mężczyzny i odciągając ciężki kurek. Dzięki nowo uzyskanej jasności umysłu potrafił zobaczyć następne sekundy, jakby już się wydarzyły, tylko w spowolnionym tempie. Pocisk wylatujący z lufy, siła uderzenia, sam środek między oczami, rozprysk, siedzące ciało podniesione z łóżka siłą uderzenia, uderzające w ścianę za łóżkiem, ześlizgujące się w dół, powoli rozchodzący się zapach krwi. A może tylko widział to w filmie? Oczywiście – jakie to głupie z mojej strony. W prawdziwym życiu byłoby inaczej. Nie byłoby żadnej lekkości w czterdziestopięciomilimetrowym pocisku trafiającym z bliska w twarz.

Z drugiej strony z twarzy nic by nie zostało.

Rosie wciąż szlochała. Simon zignorował ją i cały czas mierzył w Cappy'ego. Już nie chodziło o nią. Pytanie zostało zadane i padła na nie odpowiedź. Miała możliwość opowiedzenia swojej wersji. Teraz chodziło o Simona, o jego przetrwanie. Plan, a przynajmniej to, co wymyślił po wyjściu od Gee, polegał na zakończeniu niedokończonych interesów z Rosie (choć nie pozwolił sobie myśleć o tym, w jaki sposób by się to rozegrało), a potem na powrocie do Maryland i podwójnej, ostatecznej grze, kończącej wszystkie inne.

Jednak teraz, dzięki nowo odzyskanej jasności umysłu, uświadomił sobie, że był to plan żalony, ułożony pod wpływem narkotyków. Pender i Przestraszonykot to nie słabeusze, nie neurotyczni członkowie Stowarzyszenia OSZF. Byli wyćwiczonymi agentami FBI, nawet jeśli – jak twierdziła Gloria – Przestraszonykot miała SM. Jeśli odkryto ciało Nelsona, jeśli znaleziono volvo lub zaniepokojono się nieobecnością Gee w pracy – albo zaistniała jedna z kilkunastu podobnych okoliczności, to w najlepszym razie Pender i Kot zwiększyli czujność, a w najgorszym zastawili pułapkę.

W Simonie pojawiła się wizja pozbawionego twarzy ciała. Plan sam się układał. Z początku niewyraźny – tylko seria krótkich, szybko zarejestrowanych ujęć. On i Cappy byli mniej więcej tego samego wzrostu. Pozbawione twarzy ciało i list pożegnalny. Ale FBI nie uda się na długo zwieść ciałem starca. A może pozbawione twarzy ciało i pożar? Absurd, jak ktoś miałby się zastrzelić, a potem sam się podpalić? Czyli tylko ogień. Ale gdzie podrzucić list? W łazience? Razem z ciałem Rosie? Tak!

Nie. Dublerskie ciało będzie musiało być zwęglone do tego stopnia, żeby trudno było przeprowadzić identyfikację. Tylko że wtedy każdy agent FBI z pewnością wywęszy zasadzkę – któż inny, poza mnichem buddyjskim, popełniłby samobójstwo przez samospalenie?

To tyle, jeśli chodzi o plan A. Cappy i Rosie wciąż trwali w bezruchu. Albo jeszcze nie zamrugali, albo czas się zatrzymał, albo myśli Simona miały prędkość światła, gdy zaczął rozmyślać nad planem B. W tej chwili Cappy i Rosie wciąż byli nieświadomi natury niewielkiego problemu Simona z policją. Może powinien uczynić z nich sojuszników? Nie dało się prowadzić gry strachu przez trzydzieści lat bez nauczania się kilku aktorskich sztuczek.

No dobrze, więc ich przekonasz. Z Rosie pójdzie łatwo, będzie też kluczem do Cappy'ego. Tylko co potem? Czy był jakiś sposób namówienia ich na krycie go? Żeby zmylić swoich prześladowców, jakoś opóźnić ich działania, wysłać ich, żeby szukali wiatru w polu? Jednak gdy Rosie i Cappy nawiążą kontakt z władzami, dowiedzą się o naturze problemu Simona. To wszystko będzie trwało zbyt krótko.

I wtedy doznał olśnienia. Plan C. C jak Chytróść. Trochę z planu A, trochę z planu B – ale nie w tej kolejności. Simon powoli opuścił kurek, potem broń, potem głowę.

– Masz rację – rzekł. – Przepraszam, bardzo mi wstyd. Może powinniście mnie wydać. To nie ma już dla mnie żadnego znaczenia. Od śmierci Missy nic nie ma już dla mnie znaczenia.

3

– Czy mogę gdzieś usiąść?

To nie było pytanie retoryczne – nie można było tak po prostu klapnąć sobie w samym środku miejsca zbrodni. Buchanan zaprowadził Lindę do kuchni, z której technicy już wyszli, zabezpieczywszy wcześniej dużo niewidocznych gołym okiem odcisków palców z brudnej szklanki, by wysłać je do Zintegrowanego Automatycznego Systemu Identyfikacji Odcisków Palców, błyskawicznego systemu Wydziału Informacji.

Przyniósł jej szklankę wody, usiadł obok na szklano-metalowym taborecie kuchennym o kształcie sześcianu, ale nie naprzeciwko niej, żeby nie wyglądało to jak przesłuchanie. Doceniła jego grzeczność. Nie wiedziała, jak mężczyzna zareaguje na opowieść o Przestraszonymkocie. Czy odwróci się od niej z obrzydzeniem? Powiadomi BOZ? Poprosi o jej odznakę?

Nic z powyższych. Buchanan był agentem terenowym, a oni z reguły są ludźmi praktycznymi. Czekał, słuchał, kiwał głową, a gdy skończyła, zadał tylko jedno, najpilniejsze pytanie:

– Ile Childs wie?

Przez kolejne dwadzieścia minut rozważali możliwe scenariusze. Czy Childs rzeczywiście założył, że Gloria jest Przestraszonymkotem i działał stosownie do okoliczności? Zarówno sposób jej śmierci, jak i fakt, że Childs zostawił koralówkę (wciąż zakładali, że to była koralówka), zdecydowanie przemawiały za tym scenariuszem, sugerował Buchanan.

– Chciałabym w to wierzyć – powiedziała Linda niemal smutnym głosem. – Ale mógł mieć więcej niż jednego węża. I to niemożliwe, żeby Childs ani razu nie wspomniał, co tu robi, dlaczego włamał się do ich domu, albo żeby Jim i Gloria, którzy byli bardzo inteligentni... – przerwała – ...byli bardzo inteligentni, żeby żadne z nich nie zorientowało się, jak to się stało, że ktoś o nicku Przestraszonykot kontaktował się z OSZF przez ich komputer.

– Wyłączmy z tego Jima – powiedział. – Doznał pęknięcia czaszki, widziałaś substancję szarą, założmy, że nastąpiło to na samym początku. Zostaje nam Gloria. Była twoją przyjaciółką, mogła cię kryć.

– Myślisz? Kiedy pierwszy raz zauważono volvo?

– O dziesiątej trzydzieści.

– A jaki jest przybliżony czas jej śmierci?

– Reilly mówi, że jakoś między północą a świtem dzisiejszego dnia. Ale ponieważ była w wodzie i w ogóle, nie będą mogli określić tego dokładniej, dopóki nie położą jej na stole w kostnicy.

Kostnica. Strumienie krwi. Otworzą ją od góry do dołu jak...

Nie. Nie tam – rozkazała sobie. Nie idź tam. Zajmij się pracą, póki jakąś masz.

– Dobrze, powiedzmy, że trwało to minimum dwie godziny. Gdybym to była ja, wygadałabym się po dwóch minutach.

– Miała twój nowy adres?

– Tak, mieszkam u Eda Pendera.

– Nad kanałem?

– Tak.

– Myślisz, że za tobą pójdzie?

– Jeśli powiedziała mu, że to ja jestem Przestraszonymkotem, to na pewno. Jeśli powiedziała mu również, że jestem z FBI, to prawdopodobnie nie.

– Ale może warto spróbować – rzekł Buchanan z przejęciem. – Znam to miejsce, byłoby idealne na zasadzkę. Jedna jedyna droga, mnóstwo miejsc do ukrycia się dla snajperów. Jeśli pójdzie za tobą, jest nasz.

Ekscytacja Buchanana była zaraźliwa.

– Prawdopodobnie podszedłby od tyłu. Mogłabym być na ganku. A wtedy, kiedy on... Co?

Buchanan kręcił głową.

– Jakby powiedziała moja córka, takie rzeczy się nie zdarzają.

– Ej, mogłabym...

Przerwał im inny agent.

– Mogę jeszcze raz wybrać numer?
– A zebrałeś już odciski palców?
– Nie, Joe, jestem kompletnym idiotą – powiedział mężczyzna, zdejmując telefon z haka na ścianie. – Oczywiście, że zebrałem, co ty sobie myślisz? – Wcisnął guzik na klawiaturze, słuchał przez sekundę lub dwie, a potem rzekł: – Prawdę mówiąc, proszę pani, muszę wiedzieć, w jakim mieście się pani znajduje... Nie, z tej strony agent specjalny Stroud z FBI. Dzwonię z telefonu z miejsca zbrodni. Próbowemy ustalić... Dobrze, dobrze, zaczekam. – Odwrócił się do Buchanana i zasłonił dłonią mikrofon w słuchawce. – To informacja telefoniczna w Atlantic City, poszła po przełożonego.
– Atlantic City? – Linda odwróciła się tak gwałtownie, że prawie zafundowała sobie kolejny objaw Lhermitte'a.
– Tak, ja...
– Nieważne, wiem, do kogo dzwonił.
– Do kogo?
– W Atlantic City mieszka jego matka, dzwonił do matki.
Buchanan wyjął już swój telefon komórkowy i skorzystał z przycisku szybkiego wybierania.
– Tu Buchanan. Połącz mnie z agencją w Atlantic City. Jeśli nikogo nie ma, to ich odnajdź, to najwyższy priorytet. – Spojrzał na Strouda, który nadal czekał przy telefonie stacjonarnym. – Jak będziesz rozmawiać z przełożonym, weź od niego numer telefonu i adres pani...? – Utkwił wzrok w Lindzie.
– Delamour – odparła. – Rosie Delamour.
– Ile ona wie?
– Wczoraj o czwartej po południu nie miała o niczym zielonego pojęcia.
– No to miejmy nadzieję, że nadal żyje w błogiej nieświadomości... – A potem powiedział do telefonu:
– Tak? Tak, dobrze... LaFeo, z tej strony Buchanan z Waszyngtonu. Wydaje nam się, że Simon Childs może zmierzać w waszym kierunku.

4

Po zajęciu się mało istotnymi kwestiami administracyjnymi w domu (tak, drzwi na patio w 1211 Baja Way zostały otwarte; nie, Pender się nie włamał; tak, Pender miał powody, by sądzić, że pan Carpenter mógł znajdować się w fizycznym niebezpieczeństwie; nie, panna Bell nie zmyliła celowo listonosza, żeby myślał, że jest agentką federalną) Pender i Dorie wrócili do Carmel.

Nie opowiadał jej ze szczegółami o tym, co zastał w łazience, a ona nie pytała. To nie było największe zmartwienie Dorie w drodze powrotnej. Największe polegało na tym, że miała to być ich ostatnia noc razem – na ósmą rano Pender zabukował lot z San Francisco.

Zupełnie ją zaskoczył pytaniem, oczywiście czysto hipotetycznym, ile zajęłoby jej pakowanie się.

– Na co? – spytała podejrzliwie.
– Hipotetycznie? Nazwijmy to krótkim urlopem.
– Na jak długo?
– Nie wiem, tydzień czy dwa. To by zależało od ciebie.
– Kiedy wyjazd?
– Jutro. Ze mną. Kupiłem dwa bilety. – A potem, zanim zdążyła zaprotestować: – Słuchaj, dziewczyno, najtrudniejsza część to oczekiwanie, prawda? Nie mówiąc ci tego, zmniejszyłem oczekiwanie do minimum. W drodze do domu weźmiemy pizzę na wynos, ty się spakujesz i poprosisz panią Jakjejtam mieszkającą obok, panią Tibsen, żeby miała oko na dom. O czwartej trzydzieści nad ranem, bing, jesteśmy w drodze, a jutro o tej porze będziemy siedzieć na moim tylnym ganku, wcinać ciastka z krabem i patrzeć na zachód słońca nad kanałem. A twoja awiofobia to kwestia przeszłości tak samo jak twoja prosofino... prosofino... nieważne, jak to...

– Dobrze.
– ...się zwie... Co?
– Zgodziłam się. Zrobię to. Tylko nie chcę już o tym rozmawiać.
– Moja dziewczyna – powiedział. – Lwie serce, odwaga włamywacza, chabrowe oczy, za które można by zginać, i wielkie piersi.
– Pender.

- Co?
- Zamknij się, zanim zmienię zdanie.

5

Po raz kolejny czas zademonstrował swoją elastyczną naturę, gdy Linda i Buchanan czekali na telefon od Larry'ego LaFeo.

– Piętnaście minut – powiedział. – Dotarcie do mieszkania Rosie Delamour zajmie mi piętnaście minut. Była ósma trzydzieści, ale duński nowoczesny zegar w kuchni Gee mógłby równie dobrze być zegarem Dalego, ponieważ czas zdawał się mijać wyjątkowo wolno.

Oczywiście poczucie winy nie było niczym nowym dla dobrej, katolickiej dziewczyny takiej jak Linda. Jednak nawet gdy człowiek daje sobie ostry wycisk, może odpocząć między kolejnymi rundami. A bycie agentem FBI, jak przypomniał jej agent Buchanan, to jak bycie chirurgiem lub kontrolerem lotów: jeśli popełnisz błąd, może się zdarzyć, że ktoś zginie. Ryzyko jest wpisane w ten zawód – jeśli ci się to nie podoba, powinieneś iść do reklamy, gdzie najgorszą rzeczą, jaka się przytrafi, to zakup kiepskiego samochodu.

Co nie oznaczało, że BOZ nie dobierze jej się do dupy. Chociaż na pewno, biorąc pod uwagę obecną atmosferę, nie będzie zbyt chętny do rozgłoszenia, że jeden z jego agentów naraził na niebezpieczeństwo dwóch cywili, z fatalnym skutkiem. Prawdopodobnie zadowolą się rentą medyczną, a w jej planie ubezpieczenia zdrowotnego jest prowizja, która...

Zadzwoił jego telefon. Oboje podskoczyli.

– Buchanan... Tak, to ten... Dobrze... Dobrze, rozumiem... Potwierdzam, informuj mnie na bieżąco. – Rozłączył się, ale nie schował telefonu.

– No i? – spytała. – Bo ja tu umieram. – Pieskie popołudnie było jednym z jej ulubionych filmów.

– Lexus jest zaparkowany przed budynkiem. Policja z Atlantic City ściga oddział taktyczny.

Znowu wpatrywanie się w zegar Dalego. Buchanan wyszedł z kuchni i wrócił z dwiema filiżankami gorącej kawy. Linda przełączyła się z poczucia winy względem Gee na próby określenia, czy zaniedbała sprawę i czy powinna wcześniej wysłać kogoś do Rosie, żeby ją obserwować. Wczoraj, jak sobie przypominała, nie było podstaw, żeby podejrzewać, że Childs w ogóle był na zachód od Missisipi. Więc chyba może sobie to odpuścić.

Albo i nie. Kolejny raz telefon zadzwonił o dziewiątej piętnaście.

– Buchanan... Pierdolisz?... Brzmi nieźle... Daj znać. – Znowu się rozłączył.

Zapadła cisza, która mogła doprowadzić do szału.

– Wyduś to z siebie. – Linda nie wiedziała, ile napięcia będzie jeszcze w stanie znieść.

– W porządku, jest tam. Mają na linii jego matkę. Zadzwoniła do nich, gdy wchodził tam oddział taktyczny. Powiedziała negocjatorce, że synalek trzyma ją na muszce i mówi, że nie chce jej zastrzelić, ale robi to, jeśli spróbują wejść. Obecnie sytuacja jest stabilna, więc skoro mają go na miejscu, chcą go przetrzymać i zobaczyć, co się wydarzy.

– Jeśli mają go na miejscu. Joe, Rosie jest jego matką. Może go kryć. On może być już zdecydowanie dalej.

– Na pewno o tym pomyśleli – zauważył. Ale zadzwonił do LaFeo. – Larry, Abruzzi chce wiedzieć, skąd wiecie, że on naprawdę tam jest... Sprawdźcie, rozumiem. Dam jej znać. – Pokazał jej kciuk do góry. – Negocjatorka mówi, że słyszy go w tle.

– Chyba zaczynam popadać w paranoję.

I to tyle na temat wszystkich naszych scenariuszy – pomyślała. Możesz kombinować i planować do upadłego, a na końcu i tak wszystko wyjdzie inaczej. Chciał zobaczyć matkę.

Ostatnia rozmowa z agentem Lawrencem LaFeo miała miejsce o dziewiątej trzydzieści siedem. Policjanci z Atlantic City oczyszczali budynek piętro po piętrze, a sam LaFeo wchodził na piąte piętro z Markiem Scottem, jednym z najlepszych negocjatorów FBI, który właśnie przybył z Filadelfii, z biura terenowego z jurysdykcją nad Atlantic City.

Ostatnie słowa agenta specjalnego LaFeo, przynajmniej do Buchanana, brzmiały: „Robię się za stary na to gówno” i prawdopodobnie odnosiły się do długiej wspinaczki po schodach. Obiecał, że oddzwoni i będzie informować na bieżąco, więc gdy o dziesiątej telefon nadal nie dzwonił, Buchanan wybrał jego

numer i usłyszał w słuchawce komunikat: „Wybrany numer nie odpowiada”.

– Coś się musiało stać – powiedział do Lindy. – Kurwa mać, chciałbym tam teraz być.

Linda też chciała. Przynajmniej do dziesiątej piętnaście, kiedy to sprzed budynku zadzwoniła partnerka LaFeo, agentka specjalna Lisa Kingmore. Buchanan ledwo ją słyszał przez trzask płomieni i wycie syren, ale w tym momencie nie było zbyt dużo do powiedzenia poza tym, że nastąpiła bardzo potężna eksplozja, która objęła dwa górne piętra.

Linda i Buchanan zaczęli wydzwaniać po różnych miejscach i wreszcie udało im się złożyć w całość fragmenty informacji. O dziewiątej czterdzieści sześć, akurat w czasie, gdy LaFeo i Scott wchodzili na piąte piętro, Rosie wspomniała negocjatorce z Atlantic City, że czuje gaz. W wyniku eksplozji, która nastąpiła w ciągu kilku sekund (negocjatorka wciąż była głucha na jedno ucho od huku), w ścianie kuchni sąsiedniego mieszkania powstała wielka wyrwa (przynajmniej tak uważano).

Ofiarami, pomijając na wprost głuchą negocjatorkę i kilku lekko rannych w wyniku spadających na ziemię części ścian policjantów z Atlantic City, byli Childs i Rosie, którzy prawdopodobnie zginęli w eksplozji, oraz LaFeo, Scott, sierżant z oddziału technicznego i pani Schantz, osiemdziesięcioletnia sąsiadka, która zginęła w ogniu.

Pożar opanowano po godzinie, a po kolejnych czterdziestu pięciu minutach go ugaszono. Dopiero wtedy dochodzeniowcy z Wydziału Podpaleń mogli rozpocząć makabryczną operację wydobywania ciał. Kompletnie wycieńczona Linda nie pozwoliła sobie na odpoczynek ani tym bardziej na powrót do domu, dopóki agentka Kingmore, która przyłączyła się do ekipy od podpaleń (zawsze byli pierwsi tuż po – a czasami jeszcze przed – pożarem), nie stanęła w pozostałościach kuchni Rosie i nie spojrzała na dwa zwęglone ciała, kobiety i mężczyzny.

I tak mężczyzna, choć teraz zwinięty w kłębek, prawdopodobnie miał za życia około metra osiemdziesięciu – stwierdził oficer śledczy od podpaleń, który się na tym znał, bo widział już w swej karierze trochę, jak to nazywał, prażynek.

Lindzie przekazano, że na dokładniejsze badania będzie trzeba poczekać do czasu otrzymania od dentysty Childsa, prawdopodobnie mieszkającego gdzieś nad zatoką, zdjęcia jego szczęki i porównania jej z uzębieniem martwego mężczyzny. Ale w tej chwili nikt nie wątpił, że to był Childs – a już na pewno nie Linda. Więc dlaczego nie chciała zostawić tego i pojechać do domu, do tego stopnia, że Joe Buchanan praktycznie musiał wepchnąć ją do samochodu? Prawdopodobnie dlatego, że już wiedziała: to była jej ostatnia sprawa.

I to nie ze względu na objaw Lhermitte'a czy drętwienie w palcach sięgające aż do lewego ramienia, ale dlatego, że Joe miał rację – jeśli w tej pracy coś spieprzysz, to giną ludzie. Najpierw Gee, potem Rosie i cała reszta. Pomyślała o rozmowie z biedną, pijaną, starą kobietą. Przecież to było zaledwie wczoraj po południu.

„Niech ktoś inny powie Rosie, że jej córka nie żyje, a syn jest potworem. Na pewno istnieją ludzie, którym za to płacą”.

Świetnie poprowadzona rozmowa, Abrootz – powiedziała sobie, wsiadając do geo. Potem uświadomiła sobie coś innego: wielki gest wyznania prawdy Joemu Buchananowi był zupełnie niepotrzebny. Jej życzenie się spełniło. Nie, nie życzenie, to nie tak. W drodze tutaj życzyła sobie, żeby to był fałszywy alarm. Zamiast tego nastąpił zupełnie inny scenariusz: Gloria, Jim, Childs – wszyscy nie żyją. Jeśli chodziło o jej sytuację, dzięki temu Linda była bezpieczniejsza – nikt nigdy nie będzie musiał wiedzieć, kim tak naprawdę był Przestraszonykot.

Ale może nie było jeszcze za późno. Mogła wrócić do środka, zacząć błagać Joego o litość, by nie pisał ani słówka. Był agentem terenowym, zrozumiałby. Nawet nie musiałby kłamać, wystarczyłoby, żeby po prostu zapomniał o tym, co opowiedziała mu koleżanka po fachu.

Pewnie, że i tak będzie musiała złożyć wypowiedzenie z powodów, które zdążyła już sobie uświadomić. Ale nie będzie okryta hańbą. Oszczędzi sobie maglowania w BOZ i wszystkich innych nieprzyjemności.

Brzmiało to dobrze – na tyle dobrze, że już samo myślenie o tym zdjęło trochę ciężaru z kościstych ramion Lindy. Zapięła pasy, przekreśliła kluczyk w stacyjce i odjechała, zostawiając w tyle Conroy Circle, swoją karierę zawodową i reputację, ale zabierając ze sobą resztki szacunku do samej siebie.

Piromania, enurezja, okrucieństwo wobec zwierząt – mordercza trójca psychiatrii sądowej. Sid Dolitz miał stały zakład z Penderem: jeśli ten drugi kiedykolwiek złapałby seryjnego mordercę, który w dzieciństwie nie podkładałby ognia i/albo nie moczył się w łóżku i/albo nie torturował małych zwierząt, Sid postawiłby mu obiad.

Jako chłopiec Simon Childs nigdy nie moczył łóżka, a dręczenie małych zwierząt samo przez się oznaczało dla niego wykluczenie ze społeczeństwa, chociaż odczuwał przyjemność podczas karmienia białymi myszami Zgniatacza, boa dusiciela, który zastąpił Chudzielca.

Z pewnością kilka razy podłożył ogień. Wprawdzie dreszcz emocji nie był dla niego tak orgazmiczny jak dla prawdziwego piromana, jednak z patrzenia na płomienie i słuchania wyjących syren z pewnością czerpał erotyczną przyjemność.

Dlatego w pewnym sensie czuł się rozczarowany, że musiał przegapić pożar. Ale poza tym plan C poszedł gładko do tego stopnia, że gdy Simon opuszczał Atlantic City na starym eleganckim harleyu Cappy'ego, nie tylko był słusznie przekonany o tym, że eksplozja nastąpi zgodnie z wyliczeniami, lecz także, że Opatrzność zaakceptowała całe przedsięwzięcie.

Kluczem do pierwszej części ułożonego przez Simona planu była Rosie. Informacja o śmierci Missy ją zniszczyła – dzięki temu miał szansę ją pocieszyć, odegrać cierpiącego, ale kochającego syna, i w ten sposób zjednać sobie zarówno Rosie, jak i Cappy'ego.

Gdy już przygotował podłoże, opowiedział im tę samą historię, co Zapowi Strumowi po śmierci Missy, ponownie ozdabiając opowieść własnymi uczuciami i cierpieniem, i upewniając się, że Rosie oraz Cappy byli już dobrze pod wpływem „wódki marki wódka”. A gdy zakończył opowiadanie swej urzeczonyj dwuosobowej publiczności o tym, jak nieuczciwy agent FBI o nazwisku Pender oszukał Missy, żeby wpuściła go do domu, a potem zaatakował Simona, jak Missy próbowała go powstrzymać i doszło do szamotaniny, jak to przeciążyło jej serce i wreszcie jak Pender później zrzucił winę na Simona, żeby kryć własny tyłek, Rosie nie potrzebowała już żadnego przekonywania. Dostateczną motywacją byłyby dla niej same matczyne wyrzuty sumienia.

Jednak dla pewności, że Cappy również połknął haczyk, Simon wziął mężczyznę na stronę, pokazał mu teczkę wypchaną gotówką i wyjaśnił, że gdy on, Simon, stanie już twarzą w twarz z Penderem, mając przy sobie ukryty dyktafon, i nakłoni agenta do przyznania się do winy, to nie będzie już potrzebował pieniędzy na ucieczkę. I w tym przypadku będzie szczęśliwy – nie, zaszczycony – mogąc zostawić te pieniądze Cappy'emu w dowód wdzięczności za pomoc w oczyszczeniu nazwiska i wymierzeniu sprawiedliwości mordercy Missy, nie wspominając już o zapłacie za harleya.

Po błysku w oku starca na widok wywalonej na łóżko połowy pozostałych plików z martwymi prezydentami, Simon mógł z całą pewnością wywnioskować, że właśnie kupił sobie drugiego współsprawcę. Jednak to nie tylko pieniądze przekonały Cappy'ego – chodziło o perspektywę przygody. Sądząc po jego ekscytacji i entuzjazmie, gdy przeszli do omawiania kolejnej części planu, Simon podejrzewał, że starszy pan sam zapłaciłby mu za możliwość ponownego bycia przydatnym, zrobienia czegoś dla kogoś innego, czegoś ważnego. Chciał znowu żyć pełnią życia i być może przy okazji trochę zabawić się z glinami.

Simon pomyślał o wszystkim. Tych dwoje miało zostać w części kuchennej, gdzie nie było ich widać z jedyne okna w mieszkaniu. Rosie miała odczekać pół godziny, a potem zadzwonić na policję i powiedzieć, że syn trzyma ją jako zakładniczkę. Potem miała już ich tylko zwodzić, a Cappy miał od czasu do czasu odzywać się w tle.

A gdy przyjdzie co do czego – zapewnił ich Simon – nie będą musieli narażać się na niebezpieczeństwo – w życiu nie pozwoliliby, by stała im się jakakolwiek krzywda. Mieli wpuścić gliniarzy, opowiedzieć, że Simon groził im śmiercią, jeśli mu nie pomogą, a potem udać się na wystawną kolację za pieniądze, które szczodry mężczyzna im zostawił.

Przed wyjściem zamienił się ubraniami z Cappym i pocałował matkę na do widzenia. Pomarszczony policzek był zaskakująco miękki, oczy kobiety wypełniły się łzami. Tę starą łatwo było doprowadzić do płaczu – ale czy płakała, wydając pieniądze, otrzymane od dziadka Childsa za porzucenie dzieci? I czy płakała, rozkładając nogi przed tym starcem na łóżku? Czy wtedy płakała za swoimi dziećmi?

Oczywiście, że nie, więc dlaczego ja miałbym płakać po niej? – pomyślał Simon, zamykając za sobą drzwi. Potem zszedł po schodach, głośno tupiąc, a następnie wrócił po cichutku i zadzwonił do drzwi mieszkania obok.

– Kto tam? – spytał drżący, flegmatyczny stary głos. Idealny dla jego celów: jeśli lokatorka była tak

słaba, jak się wydawało, nie będzie trzeba brutalności, którą wcześniej planował. Może nawet nie będzie musiał improwizować z bombą o opóźnionym zapłonie, żeby wywołać eksplozję.

– Gazownia, psze pani – krzyknął. – Obawiam się, że może być problem z pani instalacją.

Dwadzieścia minut później był już w drodze. Być może nawet minął samochód Biura z agentami specjalnymi LaFeo i Kingmore, jadący w drugą stronę. Godzinę później usłyszał eksplozję z budki telefonicznej w pobliżu Deep Water w New Jersey, na wschód od Mostu Pamięci w Delaware na rzece Delaware.

– Dzień dobry, pani Schantz? Z tej strony Joe z gazowni. Pani instalacja jest już drożna, jak to mawiają w marynarce, można już palić... Tak, psze pani, wiem, że zapach jest dość ostry. To preparat antyzapalny, który, jak mówiłem, wpompowaliśmy do pani... Rozumiem, sam palę paczkę dziennie. Teraz mam gorącą prośbę. Ja poczekam, a pani niech zapali zapalniczkę, którą pani dałem, przejdzie się po mieszkaniu i zobaczy, czy płomień drży... Nie, może pani zachować zapalniczkę... Tak, psze pani, poczekam.

Czekając, trzymał słuchawkę w wyciągniętej dłoni, by uniknąć ogłuszenia, którego wkrótce miała doświadczyć negocjatorka z policji w Atlantic City rozmawiająca właśnie z Rosie Delamour. W przeciwieństwie do kobiety, on wiedział, co się święci.

I chociaż powiedział sobie, że nie będzie płakać, po wszystkim, gdy odłożył słuchawkę i powoli poszedł w stronę harleya, w jego oczach stanęły łzy. Nagle uświadomił sobie, że od tej chwili był sierotą – bez matki, bez ojca, bez siostry.

7

Dorie i Pender ucieli sobie drzemkę. Pender bardzo szybko odpłynął – w ciągu dwudziestu minut pomekiwał i pobekiwał jak Sun Ra solo w aranżacji Johna Cage'a.

Dorie nie miała takiego szczęścia, nie w obliczu swojego pierwszego lotu, czekającego ją o siódmej pięćdziesiąt rano. To dziwne – pomyślała. Tak naprawdę nigdy nie uważała się za awiofoba. Może dlatego, że latania można było łatwo uniknąć. Ale strach przed lataniem był jedną z tych podstępnych fobii. To dla mnie żaden poważny problem – powiesz. I tak nie lubię podróżować. Nigdy się nie dowiesz, co było pierwsze: strach przed kurą czy strach przed jajkiem.

Teraz jest mnóstwo czasu na rozmyślania na ten temat. Im dłużej leżała, słuchając chrapania Pendera, tym bardziej niesprawiedliwe jej się to zdawało. Czy to wszystko nie był przypadkiem jego pomysłem? Więc dlaczego zasnął jak niemowlę, podczas gdy ja muszę teraz tutaj leżeć i się zadręczać? Szybko się do niego przesunęła, aż poczuła jego ciepłe i twarde biodro obok swojego.

– Hej, Pen? Pen, śpisz?

– Najwyraźniej.

– Opowiedz mi o twoim domu.

– Wzgórze. Drzewa. Kanał. Sypialnie, mnóstwo sypialni. A teraz Pen idzie spać.

– Nie liczyłabym na to. Po co ci tyle sypialni, skoro mieszkasz sam?

Zgodził się na to, co nieuchronne.

– Tinsman. Facet obsługujący służbę. Za każdym razem, gdy żona rodziła mu kolejne dziecko, dobudowywał sypialnię na końcu domu. Urodziła siedmioro. – Złowróźbna przerwa, jedna z popisowych partii Pendera. – Dobudowano tylko sześć sypialni. – Kolejna pauza.

– Dlaczego? – Dorie przetoczyła się na swoją stronę i podłożyła obie dłonie pod policzek tak, jak w dzieciństwie – jej tata rewelacyjnie opowiadał różne historie.

– Co roku w Great Falls leśniczowie mają specjalny program na Halloween: w strojach z epoki opowiadają wszystkie możliwe historie o duchach i morderstwach nad kanałem i zawsze kończą na służbie Tinsmana. Według ich opowieści ostatnie dziecko nie było Tinsmana. Żona miała romans z rudym poganiaczem mułów z Rock Creek. Ponoć słuzowy poderznął jej gardło, a potem utopił siódme dziecko w kanale. Niektórzy twierdzą, że widzieli jej ducha wędrującego w zakrwawionej koszuli nocnej po skarpach i wałach w poszukiwaniu rudego dziecka.

– Super, historia o duchach – powiedziała Dorie, udając, że się trzęsie, ale ostatecznie rzeczywiście zadrzała. – Draniu, zapamiętaj sobie jedno: jeśli ja nie śpię, to ty też.

- Poklepał ją po ramieniu zdrową ręką.
- Nie masz żadnego powodu do zmartwień. Ponoć ujawnia się tylko w Halloween.
 - Pender.
 - Co?
 - Halloween jest w tę niedzielę.
 - Serio? – Jego oczy zrobiły się wielkie jak u dziecka. Bogu ducha winny, jakby powiedziała jego siostra Ida.
 - Taa, a wiesz, co jest niesamowite? Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, mam to gdzieś, to się nie liczy.
 - Mówiłaś mi, że Halloween zawsze było dla ciebie trudne.
 - A kiedy wypadało w niedzielę, było najgorzej. Wtedy przez trzy dni musiałam kryć się w domu za spuszczone roletami. Nie mogłam iść na zakupy w piątek, bo sprzedawcy mogli być w kostiumach z maskami, w sobotę ludzie w maskach mogli iść na przyjęcia lub z nich wracać, a w niedzielę oczywiście było pełno dzieciaków zbierających słodycze.
 - Tam, gdzie mieszkam, nie zbierają.
 - Ale nie widzisz, że to już się nie liczy? Aż mam ochotę wystawić się na próbę.
 - Mówisz i masz. Pool, sekretarka Wydziału Łączności, i jej współlokatorka zawsze w Halloween organizują wielką przebieraną imprezę, dom strachów . Jeśli chcesz, żebym cię tam zabrał, to nie ma sprawy.
 - Będę musiała się nad tym zastanowić – powiedziała. Podejrzewała, że z każdą godziną pomysł ten będzie dla niej coraz mniej atrakcyjny.

8

Dochodziła druga nad ranem, gdy Linda weszła do domu. Powiesiła płaszcz na haku w przedpokoju. Kiedy przechodziła obok automatycznej sekretarki, zobaczyła mrugające światełko i przesłuchała wiadomość.

„Panie Penderze, z tej strony sędzia Heinz. Mam nadzieję, że otrzymał pan mój list. Jest kilka kwestii, które musimy przeanalizować. Proszę do mnie oddzwonić w odpowiadającym panu czasie”.

Zostawił numer. Telefon stał na małym stoliku obok przedsonka, przy drucianym koszu, do którego Linda wrzucała listy dla Pendera. Znalazła list od Heinza, pełnomocnika z La Farge w Wisconsin, zapisała numer telefonu z tyłu koperty i położyła ją na stosie. Pender miał wrócić jutro późnym wieczorem – założyła, że do tej pory nie wyjdzie z łóżka.

Ani nie będzie odbierać telefonów z Biura. Wyjęła z kieszeni płaszcza telefon komórkowy, zadzwoniła do swojego biura i zostawiła wiadomość dla Pool, że nie przyjdzie jutro do pracy, a jeśli będą jakieś telefony z mediów, z góry lub zwłaszcza z BOZ, to niech będzie tak dobra i przetrzyma ich, każe zadzwonić później, niech powie, że Linda nie żyje, cokolwiek. W poniedziałek Linda do niej zadzwoni i wszystko wyjaśni. Aha, i dzięki za zaproszenie, ale będzie musiała zrezygnować z tego Halloween, bo idzie teraz do łóżka i ma zamiar w nim zostać nie tylko przez całe Halloween, lecz także i przez całe Święto Dziękczynienia.

Była wykończona i tylko świadomość czekającego ją długiego, niczym nieprzerwanego snu sprawiła, że zamiast rzucić się na łóżko i zasnąć w brudnym ubraniu, które miała na sobie przez ponad osiemnaście godzin, zaczęła przygotowywać się do pójścia spać.

Rozebrała się w łazience, siedząc na toalecie ściągnęła spodnie przez buty i wrzuciła brudne ubrania do zagrzybionego ratanowego kosza. Potem trochę się obmyła, wyszczotkowała zęby i poszła korytarzem do swojej sypialni w samych spodniach i usztywniaczach, mocniej niż zwykle podpierając się laską. Od jutra, przypomniawszy sobie, żeby przejść korytarzem będzie musiała założyć szlafrok. Ale dzisiaj nie miała siły włożyć na siebie nawet koszuli nocnej – rozwiązała sznurówki, zdjęła buty i usztywniacze, naga wczołgała się pod kołdrę i usnęła w ciągu kilku minut.

Sen. To musiał być sen. Simon Childs stał przy jej łóżku, w jednej dłoni trzymał rewolwer, a drugą chował za plecami. Ale to nie był ten Childs z filmu z windy, pewny siebie i lekko przygarbiony, nie ten zadbany i przystojny Childs ze zdjęcia w prawie jazdy, z tymi swoimi siwymi włosami i eleganckimi wąsami, wyglądający lepiej niż ustawa przewiduje.

Nie, to była niechlujna, wymizerowana karykatura Childsa – bez włosów, bez wąsów, w rozpiętej czarnej skórzanej kurtce narzuconej na ohydny musztardowo-brązową sportową koszulkę.

– Przestraszonykocie, gdzie jest twój chłopak?

Linda, cały czas żywiąca nadzieję, że to sen, próbowała otworzyć oczy. Ale one były już otwarte. Więc je zamknęła, usłyszała skrzypnięcie sprężyn i poczuła ruch na materacu. Gdy znowu je otworzyła, siedział na brzegu łóżka, uśmiechając się jak najszczęśliwszy wariat w szpitalu psychiatrycznym.

– Spytałem, gdzie twój chłopak. Jeśli mi nie odpowiesz, będziesz musiała odpowiedzieć mojemu przyjacielowi.

Powoli wyciągnął rękę trzymaną za plecami. Widok węża trzymanego tuż przy szyi nie był dla Lindy zaskoczeniem. Przecież to był jej sen: co innego mógłby trzymać w dłoni? Spróbowała się cofnąć, ale siedział na jej kołdrze, więc nie mogła tego zrobić. To nie przypomina snu – pomyślała, próbując uwolnić przykrycie – to wcale nie przypomina cholernego snu.

– Ty nie żyjesz – powiedziała. – Znaleźli twoje ciało.

– Tak sobie wmawiaj – odparł, wsuwając rewolwer za pasek przykrótkich materiałowych spodni. – Dzięki temu zabawa będzie jeszcze fajniejsza. Ale zanim zaczniemy, musisz wiedzieć, że możesz uniknąć niepotrzebnych cierpień, jeśli po prostu powiesz mi, gdzie jest twój chłopak i kiedy wraca.

Niepotrzebne cierpienia. Sen czy nie, Lindzie nie podobały się te słowa. Postanowiła udawać, że podejmuje tę grę.

– Nie mam chłopaka, ale jeśli pytasz o agenta Pendera, to jest na urlopie i nie odzywa się prawie od tygodnia.

– Pomyliłem się. A kiedy agent Pender planuje wrócić? – W głosie Simona nie było niczego, co sugerowałoby sarkazm albo zapowiadałoby nagłe szarpnięcie kołdry w dół i odsłonięcie Lindy do pasa.

– Nie wiem.

– Ciężko mi w to uwierzyć. – Popatrzył na jej nagą klatkę piersiową, potem spojrzał w oczy.

Nie spuściła wzroku, chociaż nie była to para oczu, w które chciałoby się patrzeć, próbując jednocześnie nie zwariować. To samo tyczyło się oczu węża – kątem oka widziała jego wysuwający się i chowający język.

Pogłaskał palcami jej brzuch.

– Wciąż ciężko mi w to uwierzyć.

– Posłuchaj – powiedziała, zdenerwowana intymnością tego gestu. – Jeśli spodziewałabym się go lada chwila, to jak sądzisz, co bym ci powiedziała?

Jego dłoń zaczęła wędrować w górę po jej klatce piersiowej. Długimi palcami złapał ją pod brodę i skierował jej głowę w stronę węża.

– Wreszcie – rzekł.

9

Simon triumfował. Nawet on był zaskoczony łatwością, z jaką wszystkie elementy wskoczyły na swoje miejsca. A przecież nie powinien być tym zdziwiony. Wielkim ludziom zawsze się udaje. Oczywiście gliniarze kupili scenariusz o zwęglonym cielem. Kluczem była sugestia, zasianie przypuszczenia, które stało się spełnionym oczekiwaniem. Nie musiał ich przekonywać, że to jego ciało – sami się do tego przekonali.

Nie zaprzeczał, że w tym wszystkim był łut szczęścia. Miał szczęście, że harley był dostępny – dużo trudniej byłoby ukryć w lesie lexusa. Miał również szczęście, że Przestraszonykot nie zamknęła za sobą drzwi wejściowych. Szczęście sprzyja lepszym, cierpliwym i dobrze przygotowanym. Przyjechał przed nią, ale cierpliwie czekał i obserwował pusty dom, zamiast po prostu się włamać. Nie chciał, by zostały jakiegokolwiek ślady, które mogłyby ją zaalarmować i skłonić do zamknięcia drzwi albo w ogóle do odjechania spod domu.

Natomiast jeśli chodziło o samą grę, Simon nigdy nie wątpił w swoje umiejętności. Niepotrzebne cierpienia... Więcej sugestii, delikatnych wskazówek. Teoria Simona, geniusz Simona: strach pochodzi z wnętrza. Nie można wbić go jak przebijaka, trzeba go zasiać jak ziarno i pielęgnować, aż zakwitnie.

Jednak prawdziwy lęk to kwiat, który wymaga czasu, cierpliwości, uwagi i koncentracji, a żadnej z tych cech Simon nie będzie mógł zapewnić, dopóki nie dowie się, kiedy i w jaki sposób wróci Pender.

W dodatku podstawa tortur, czyli zadawanie bólu – czy to dojmującego, czy łżejszego – nie wchodziło w grę. Ból sam w sobie niwelował poziom strachu, a strach przed bólem warunkował odruch unikania – jak robak, który cofa się przed gorącą igłą. Tym samym więc zadawanie cierpienia fizycznego było dla Simona względnie mało interesujące.

Wywnioskował (a mimo zaledwie kilku godzin snu od czasu wyjazdu z Ogallali dzięki tabletkom z krzyżykiem jego umysł wciąż był tak jasny jak wieczorem), że skoro mężczyzny nie było w domu o drugiej nad ranem, to prawdopodobnie już dzisiaj nie wróci. A nawet jeśli, to Simon z pewnością usłyszy samochód zjeżdżający długą drogą, poza tym wciąż będzie miał w zanadru element zaskoczenia.

Bardziej prawdopodobne było jednak to, że czekała go całonocna zabawa z Przestraszonymkotem. Pozwolił jej więc założyć szlafrok – nago wyglądała jak więźniarka obozu koncentracyjnego, a Simon preferował raczej kobiety o kształtach Dorie – i pomógł jej przejść do salonu, gdzie napalił w kominku suchymi polanami pozostałymi z poprzedniej zimy. I znowu wszystko szło jak po maśle: nie musiał jej związywać – bez laski i usztwygniaczy nie mogła nigdzie pójść. Nawet nie musiał jej kneblować – o tej porze w promieniu kilometra od śluzy Tinsmana nie było żywej duszy.

– Chłodno dzisiaj – powiedział, siadając obok niej i kładąc na kolana płócienną torbę podróżną, w której znajdował się wąż. – Czy tutaj kiedykolwiek pada śnieg?

– Nie wiem. Właśnie się wprowadziłam.

– Wiem, Gloria mi powiedziała. A tak przy okazji: wiesz, jak umarła?

Przy okazji? Kurwa, przy okazji? Linda zignorowała pytanie i wpatrywała się w ogień. Gdy nie patrzyła na Simona, jego słowa brzmiały rozsądnie i swobodnie.

– Gdy zadaję pytanie, oczekuję, że na nie odpowiesz. Pamiętasz, co powiedziałem o niepotrzebnym cierpieniu?

– Przestań pieprzyć. Po prostu chcesz, żebym bała się tego, co możesz zrobić, żebyś nie musiał robić nic.

Wywarła na nim wrażenie. Zaczął również podejrzewać, że czeka go tutaj szamotanina. Ta kobieta jest agentką FBI, będzie walczyć z nim na każdym kroku. Nie miał nic przeciwko – to była gra, mieli na nią całą noc.

– I tak ci powiem. Była w wannie. Spędziliśmy razem noc. Tak jak spędzę tę noc z tobą. Gorąca kąpiel. Żadnej piany. A...

– Tak! – Linda nie chciała krzyknąć.

– „Tak” co?

– Tak, wiem, jak umarła. Koralówka, neurotoksyna, ostra niewydolność oddechowa. Więc oszczędź sobie kłopotu.

– Ale w twoich ustach to brzmi tak obojętnie. A wcale takie nie było. Mianowicie wąż wcale nie chciał jej ugryźć. Musiałem trzymać go przy szyi Glorii, mocno przycisnąć go do żyły, a potem wrzucić jego ogon do gorącej wody. Koralówki mają krótkie zęby, muszą...

– Zamknij się. Zamknij się, do kurwy nędzy.

Uderzył ją pięścią w ucho. Nauczył się tego sposobu od dziadka Childsa. To bardzo bolesne – nawet zawodowi bokserzy unikają otrzymywania takich ciosów. Tak czy siak wyglądało na to, że staruch był przy nim przez cały czas.

– Ciąg dalszy nastąpi – powiedział. – Gdzie jest kuchnia?

Poczuła, jakby wygrała małą walkę – przynajmniej przestał udawać uprzejmość. Jednak oparła się pokusie dalszego prowokowania go. Pozwoliła zaprowadzić się do kuchni i milczała, gdy parzył kawę.

Potem nalał im po filiżance, usiadł naprzeciwko Lindy przy stole i zaczęło się od nowa. Robiła, co mogła, by go ignorować, ale nie da się zamknąć uszu, tak jak zamyka się oczy. Można spojrzeć w inną stronę, ale słyszy się wszystko. Dochodziła więc do niej większość jego słów, najgorszych słów, gdy ze wszystkimi szczegółami opowiadał o tym, jak umierała Gloria.

Miał rację. To wcale nie było obojętne. Ożywił przedśmiertne męczarnie Glorii. Ukazywał jej ból i to, jak stopniowo stawała się odrętwiała, jak opadały jej powieki, jak na końcu w tych na wpół schowanych pod powiekami oczach pojawiło się zaskoczenie, gdy próbowała nabrać powietrza, a płuca jej nie usłuchały.

Parszywa śmierć – pomyślała Linda. Ale gdyby chciała, mogłaby to wszystko odgadnąć, wywnioskować na podstawie stanu ciała i faksu z Wydziału Nadzoru nad Truciznami. Zrozumiała, że tak naprawdę Childs

osiągnął to, że pozbawił ją motywacji do przyjęcia postawy „poddaję się, miejmy to już za sobą”. Czyli pozostawała jej opcja walki do samego końca. Pod względem fizycznym nie mogła mu się równać – nie dałaby rady nawet żelkowemu misiowi – ale może uda jej się go przechytryć.

Dobrym pomysłem w każdej walce jest rozproszenie przeciwnika.

– To jak tam było w Atlantic City? Jak się czuje twoja mama?

– Pijana zdzira. Martwa pijana zdzira. A jak tam twoja mama?

Wyglądał na rozdrażnionego. Wiedziała, że jest na właściwej drodze.

– Chciałeś ją zabić czy to był wypadek?

Prawie odpowiedział, ale w porę się opanował. To nie ta gra.

– Nieważne, jeszcze nie skończyłem opowiadać ci o Glorii.

– Doszedłeś do chwili, w której zginęła. Czyli, kurwa, skończyłeś. Co chcesz zrobić, zabić ją po raz drugi? – Jeśli chciało się przekonać kogoś o swojej sile, na przykład siebie, bycie Włoszką z Bronksu bardzo się przydawało. Pomagało również przeklinanie.

– Nie przeklinaj.

– Pierdol się.

Chwilowo nie miał pojęcia, co począć. Nie mógł pozwolić, by zachowywała się w ten sposób, ale jeśli sytuacja się zaogni, może się okazać, że będzie się zabawiał z zakrwawionym ciałem, co nie przyniesie mu zbytniej satysfakcji.

– Przestraszonykocie, w razie, gdybyś zapomniała: mam władzę nad twoim życiem.

– Wielkie mi co. Władzę nad życiem ma każda łajza z naładowaną bronią.

Zaczęła do niej docierać, że w takich zawodach dobrze jest być nieuleczalnie chorą. Patrzyła, jak kawa leniwie paruje, potem się napiła. Wciąż zbyt gorąca, ale niezła jak na mieszanekę. Linda zaczęła doceniać małe rzeczy – to również zdawała się być jedna z zalet bycia chorą. Tak, jasne. A potem przyszło jej do głowy, że jakąś godzinę temu szanse, że umrze na SM, drastycznie zmaleły.

– Naprawdę się o to prosisz – powiedział Childs. – Rozumiesz to, prawda?

Założyła, że być może jest jakiś sposób na pokierowanie rozmowy na swoją korzyść.

– Panie Childs, chcę żyć. Ale czasami w kartach jest zapisane inaczej. I to właśnie pan, ze wszystkich ludzi na świecie, powinien o tym wiedzieć. Nie będziesz żył znacznie dłużej ode mnie. Och, zapomniałam. Jesteś bogaty. Jesteś chory psychicznie, przynajmniej według standardów większości ludzi. W tym kraju nie wykonuje się egzekucji na chorych, bogatych ludziach. Jeśli się poddasz, jeśli zrezygnujesz, jeszcze długo po tym, jak to pieprzone SM pośle mnie do grobu, będziesz wieść światowe życie w jakimś bardzo dobrym wariatkowie, tak jak ten du Pont, który zabił tego zapaśnika.

– Dobrze powiedziane – odparł. – Jak twoja kawa?

Miły ton jego głosu powinien był ją zaalarmować, zamiast tego przez chwilę myślała, że może udało jej się przekonać go do swojej racji.

– Bardzo smaczna. Tylko czekam, aż ostygnie.

Podniósł kubek i chlusnął jej kawą w twarz.

– Proszę – powiedział. – Teraz ostygnie trochę szybciej.

Jakby chciał okazać jej swoją pogardę, zostawił ją w kuchni, a sam wrócił do salonu po torbę. Niestety nie pozwolił jej założyć usztywniaczy ani zabrać do kuchni laski. Z twarzą piekącą od gorącej kawy Linda powoli przesuwiała swoje krzesło w kierunku szuflady z nożami, gdy Simon wrócił. Nie zatrzymując się ani nawet na nią nie patrząc, złapał jej krzesło i przysunął je z powrotem do stołu, jakby nikt na nim nie siedział.

– Myślę, że nadszedł czas. – Rzucił torbę na jej kolana. – Myślisz, że nadszedł czas?

– I tak zrobisz to, co masz zamiar zrobić.

– Cóż, tak. Ale nie wolno ci tracić nadziei.

– Dlaczego nie? – To mogło być powiedziane z ironią albo i nie. Childs zdawał się brać to na poważnie.

– Bo to popsuje całą zabawę – powiedział.

Żadnych niespodzianek – pomyślała, gdy Simon założył ciężką skórzaną rękawicę i sięgnął do torby. Najpierw wywołuje w kimś strach, potem dopasowuje rodzaj śmierci – wszyscy o tym wiemy. Zaczęła się przygotowywać, a jeśli można krzyczeć na siebie w monologu wewnętrznym, to krzyczała:

Dobrze, skurwielu, zagram w tę twoją pieprzoną grę. Bóg wie, że nie umrę już młodsza. No chodź,

pokaż to, zobaczymy, co tam masz. Kurwa, i to już wszystko? Niezbyt duży, prawda? I jakiś taki chudy. Czarny pysk, czarna głowa, ładne prążki, czerwony-żółty-czarny-żółty-czerwony-żółty-czarny aż do czarnego ogona. Tak, świetnie, trochę bliżej, daj go trochę bliżej. Uwielbiam to, chcę mu się lepiej przyjrzeć. Kocham to, kocham tego pieprzonego węża. Rozwidlony, wysuwający się język. Tak wachają, tylko mnie wacha. Czuje kawę. Obudź się i poczuj kawę. Dobry wąż, ładny wąż, uwielbiam obserwować, obserwować, obserwować, czerwone i czarne pierścienie są szersze niż żółte, czerwone mają małe czarne plamki, źrenice są okrągłe, nie takie szczelinki, jak myślałam, tak, jasne, przysuń go do mojego pieprzonego oka, kocham to, ja...

Gdy zrobiła ruch, to nie w kierunku węża, nie w kierunku Childsa, chociaż chciała rozerwać go na strzępy, ale w kierunku rękawiczki. Ominęła węża, złapała oburącz rękawicę przy nadgarstku, jednocześnie rzuciła się do tyłu, ze wszystkich sił trzymając szorstką skórę, aż krzesło się przewróciło. Uderzyła w podłogę, wciąż ściskając pustą rękawicę.

Dobrze, zagrałam w twoją pierdoloną grę – pomyślała, kiedy wąż błyskawicznie, ale z gracją pełzł po podłodze w kuchni. Childs niezgrabnie rzucił się za nim w pogoń.

Jedną z zalet wychowywania się w domu dziadka było to, że Simon nauczył się radzić sobie z rozczarowaniem. Albo przynajmniej je ukrywać. Niezależnie od tego, czy na urodziny dostałeś bon oszczędnościowy i gryzący sweter, czy na obiad była wątróbka z cebulą i brukselką, lepiej było nie okazywać uczuć innych niż otepiała wdzięczność, inaczej dziadek łoś ci skórę. Żadna z tych rzeczy nie odnosiła się do Missy – ona zawsze unikała kary.

Zatem gdy wracał do kuchni, uspokajał się, argumentując, że swoją porcję rozrywki miał z Glorią. A co z tą żalostną kreaturą czołgającą się po podłodze, wlokącą za sobą swoje nogi? Była bezużyteczna – to właściwe słowo. Można winić za to chorobę – świadomość, że i tak umrze, sprawiała, że nie nadawała się do tej gry.

Ale zawsze jest jeszcze gra Pendera. Pender sprawi, że to wszystko będzie warte zachodu – pomyślał. Przeszedł przez pomieszczenie i ściągnął Lindę z bufetu – próbowała się podnieść, prawdopodobnie z nadzieją na wydostanie się przez to małe okienko nad zlewem. Odwróciła się, zaczęła drapać go po twarzy obgryzionymi paznokciami. Złapał ją za nadgarstki, wykręcił jej ręce i zmusił do uklęknienia.

– Wiesz, co ci zrobię? – spytał, klękając przed nią i patrząc jej w oczy. Ujrzał wściekłość i pasję, ale ani śladu strachu.

– Nie, i gównu mnie to obchodzi – odrzekła. Naplułaby w jego twarz, ale nie chciała dać mu satysfakcji obserwowania jej, kiedy zbiera ślinę.

– Pozwolę ci żyć – powiedział cicho. – Pozwolę ci patrzeć, jak pozbawiam wzroku twojego przyjaciela Pendera, powoli, po jednym oku, a potem pozwolę żyć wam obojgu.

– Jeszcze zatańczymy na twoim grobie – odwarknęła. – Nawet jeśli ja będę musiała go tam zaprowadzić, a on będzie mnie podtrzymywać, zatańczymy, kurwa, na twoim grobie.

10

Ciemność. Zapach wilgotnego cementu, starych cegieł, spróchniałego drewna, mokrej tektury, mydła do prania i delikatna woń rozkładu z kątów, niezbadanych obszarów piwnicy, gdzie ciała pokoleń gryzoni już dawno obróciły się w pył.

Linda leżała na boku z rękami związanymi na plecach i nadgarstkami przywiązanymi do kostek sznurem do bielizny. Childs zakneblował ją paskiem od jej flanelowego szlafroka. Nad głową słyszała dźwięk telewizora, gdzieś po prawej stronie. Jakby Childs oglądał CNN.

Wstrzymała oddech, próbując zrozumieć słowa. Wiedziała, że w takich sytuacjach działalność mediów była bronią obosieczną – każdy fragment informacji podany w celu ostrzeżenia opinii publicznej informował również zbiega. Więc jeśli technicy od podpaleń zorientowali się, że ciało w 5B nie należało do Childsa, ten dowie się o tym razem z innymi. Wtedy mogła spodziewać się kroków na schodach do piwnicy, jasnego światła przedzierającego się przez ciemność, huku kolta kaliber .45 rozbrzmiewającego w zamkniętym pomieszczeniu.

Z drugiej strony jeśli jeszcze nie odkryli, że Childs żyje, nie było żadnej nadziei na to, że ktoś zadzwoni, by sprawdzić, co się z nią dzieje. Tak czy siak pomyślała, że ma przerąbane. I jeśli była w stanie w ogóle

myśleć o czymś innym niż chwila obecna i jutrzejszy dzień, to myślała o Penderze.

Po temacie dnia – podwójne morderstwo w Georgetown, sześć osób zabitych w Atlantic City, łącznie ze zbiegłym seryjnym mordercą – podano wiadomości sportowe. Coś o Washington Redskins. Jak można było w tych czasach i w tej epoce nazwać zespół Redskins? Było to nie tylko poniżające – pomyślał Simon z oburzeniem – ale na dodatek niepoprawne. Rodzimi Amerykanie nie byli bardziej czerwoni, niż Gloria była żółta. Jej skóra miała odcień kości słoniowej. Piękna, antyczna kość słoniowa.

Na myśl o Glorii poczuł ukłucie żalu. Nie dlatego, że ją zabił, ale dlatego, że na zawsze utracił. Naga, przerażona, uległa, w łóżku czy w wannie, była jego, całkowicie. Zakończenia takiego związku zawsze się żałuje.

Simon wyłączył telewizor w sypialni i położył się na łóżku Pendera. Od deksamfetaminy był otępiały i wyczerpany – nie spał od środy rano – ale kwestią bardzo sporną było, czy zmęczenie stanowiło dostateczny powód do zaśnięcia dla kogoś, kto ma mnóstwo tabletek z krzyżykiem i zaburzenia snu.

Z drugiej strony nie chciał zwalić się z nóg jedną z kilku pozostałych mu tabletek Halwane. Wydawało mu się mało prawdopodobne, by w ciągu trzech kolejnych godzin policjanci nie tylko zorientowali się, że wciąż żyje, lecz także wysłedzili go tutaj – ale jeśliby im się to udało, nie chciał, by dopadli go podczas snu. Nie bez walki – i nie żywego.

Została mu jeszcze jedna z tabletek ecstazy od Zapa. Połknął ją na sucho i w oczekiwaniu na to, by zaczęła działać, karmił ślepego szczura myślami o nadchodzącej grze. Grze Pendera. Gdy przeszukał dom po umieszczeniu Przestraszonegokota w piwnicy, dowiedział się, że informacje, których nie udało mu się od niej wydobyć, miał cały czas przed oczami, przynajmniej wtedy, gdy byli w kuchni. Na lodówce, pod magnesem w kształcie banana znajdowała się karteczka o treści: „P: United 970, wyl. SFO 7:50, Czw, 28.10 – przył. Dul, 4:07 pm”.

Czwarta zero siedem po południu. Simon powtórzył to sobie jeszcze raz w głowie. Dulles wcale nie było tak bardzo oddalone od granic Wirginii. Jeśli wylot będzie punktualny, bagażu Pendera nie poddadzą kontroli i nie trafi na korki, to najwcześniej będzie tutaj o piątej, a nawet raczej o piątej trzydzieści albo o szóstej. Jeszcze będzie świecić słońce. Simon poczeka w środku – przedsiemek będzie go chronił przed zauważeniem.

Ale jeśli z jakichś nieprzewidzianych względów agent postanowi obejść budynek dokoła i wejść do domu przez tylny ganek, w salonie nie będzie żadnego zabezpieczenia. Simon musi więc ukryć się w tej pierwszej sypialni i tam na niego poczekać. Jakby nie było, kolt będzie odbezpieczony i gotowy. Jeśli Pender zignoruje rozkaz nieruszania się, Simon przestrzeli mu kolana. Jeśli Pender posłucha, Simon go skuje – facet był gliną, więc z pewnością miał gdzieś kajdanki. Wtedy zacznie się gra.

Jedynym problemem było to, czy zaprowadzić Przestraszonegokota na górę, czy sprowadzić Pendera na dół. Postanowił zaimprovizować. I cały czas mieć oko na Pendera – pomyślał, tłumiąc chichot. I wtedy zobaczymy, kto zatańczy na czyim grobie.

11

Naturalne środowisko życia koralówki jest zróżnicowane: od buszu, przez lasy po brzegi bagien, ale gatunek jest rzadko spotykany powyżej trzydziestego trzeciego równoleżnika, ponieważ niezbyt lubi zimno. A ten konkretny osobnik urodził się i dorastał w światłach egzotarium i nie tęsknił za dużymi, otwartymi przestrzeniami, skoro tam, gdzie mieszkał, miał zapewnione jedzenie.

Ta koralówka nigdy wcześniej nie polowała, ale też nie była głodna. Tak czy siak jej instynkt był zaprogramowany – plan Matki Natury dla gadów nie przewidywał Mamusi i Tatusia Węża poświęcających dużo czasu na uczenie młodych obrony. Myszy pod domem Pendera były dobrze odżywione. W jego domu dobrze odżywione było wszystko poza fikusem w salonie i nigdy nie polowało na nie coś tak szybkiego i śmiertelnie jak koralówka. Mus musculus kontra Micrurus fulvius nie było równą walką.

Potem zaczął działać kolejny zaprogramowany instynkt, tropizm termalny: znajdź ciepło. Najcieplejszym miejscem w chłodnej piwnicy była podłoga między piecem i bojlerem, ale gdy tylko koralówka się tam położyła, termostat na piecu ryknął tak potężnie, że poczuł to nawet głuchy wąż.

Po raz kolejny wychowanie rozminęło się z planem natury. Koralówka została wyhodowana i, co ważniejsze, wykarmiona przez ludzi. Nie bała się ich – wręcz przeciwnie. A kolejne ciepłe miejsce w zimnej piwnicy znajdowało się po drugiej stronie pomieszczenia, obok człowieka. Z tego, co wiedział

wąż, człowiek mógł zapewnić więcej pożywienia. Może do głosu doszło również klasyczne warunkowanie: ten człowiek pachniał kawą, a kawa to był pierwszy zapach, który koralówka czuła każdego ranka, gdy ludzie przychodzili, by włączyć ciepłe światła, nakarmić ją i wyczyścić klatkę.

A może po prostu czuła się samotna. O ile węże w ogóle mogą czuć się samotne – znajdują się w grupie zwierząt, które najtrudniej zantropomorfizować. Jednak prawdą było to, że ten wąż nigdy nie był sam – aż do ucieczki niejadowego węża. I nawet jeśli koralówka nie pragnęła towarzystwa, z pewnością nie czuła niechęci do człowieka pachnącego kawą i wydzielającego ciepło 36,6 stopnia Celsjusza.

Ludzie też mają swoje instynkty. Koralówka nie wydawała żadnego dźwięku, nie wydzielala ciepła i nawet nie dotykała skóry Lindy, a jednak ta wyczuła obecność intruza. Chciała się odczołgać, ale zbyt długo zajęło jej osiągnięcie obecnej pozycji: leżała na boku z kolanami wysuniętymi do przodu tak daleko, jak pozwalał na to sznurek z wyszczerbioną cegłą z tyłu, wciśnięta między ścianę i spętane kostki.

Jednak ludzie, w przeciwieństwie do węży, potrafią sami siebie przekonać do niesłuchania swoich instynktów. Linda powiedziała sobie, że to „nic” – i wróciła do tarcia sznurkiem o cegłę. Była to ciężka praca z ledwo zauważalnymi postępami. Mogła trzeć sznurkiem tylko przez jakąś minutę, potem przez tyle samo czasu musiała dać odpocząć rękom i ramionom.

Podczas jednego z tych odpoczynków „nic!” zaczęło wiercić się jeszcze bliżej niej, aż wreszcie stało się czymś niezaprzeczalnym. Gdyby Linda wcześniej nie miała bliskiego osobistego kontaktu z wężem, przez długi czas zastanawiałaby się nad tym, co to takiego tak cicho i uporczywie się do niej przyciskało. Zamiast tego niemal natychmiast stanął jej przed oczami konkretny obraz. Czarny pysk, wysuwający się język, okrągłe źrenice, mięśnie poruszające się pod błyszczącymi, trójkolorowymi pierścieniami. Jęknęła w swój flanelowy knebel – ale tylko raz i to po cichu, bo potem do głosu doszło jej poczucie humoru albo przynajmniej ironia. Co będzie dalej? – Zaczęła się zastanawiać. Co będzie, kurwa, dalej, morderczy thugowie Kali?

Cofnęła się jeszcze trochę. Sznur napręzał się na ułamanej cegle, koralówka się przybliżyła. Ku swemu zdziwieniu Linda tolerowała jej obecność.

Przez całe życie bała się węży, naprawdę. Gloria była z nią tego dnia, gdy w ramach zajęć z antropologii pojechali do zoo, głównie po to, żeby zobaczyć ssaki naczelne – te inne naczelne, jak podkreślił ich wykładowca. Wtedy Linda zemdlala pod drzwiami budynku dla gadów, a teraz już się ich nie bała. Musiała to przepracować, kiedy Childs przycisnął węża do jej twarzy. Czytała o tym na Phobia.com.

Nazywano to zanurzeniem: najbardziej ekstremalną i skuteczną formą leczenia lęków. No i oczywiście do tego kilka starych, dobrych informacji, które były w tej chwili pomocne. Childs powiedział, że wąż nie chciał ugryźć Glorii i z pewnością nie ukąsił Lindy, nawet gdy ta brutalnie wyszarpnęła go z uścisku mordercy.

Jednak nawet jeśli wąż nie stanowił realnego zagrożenia, to nadal pozostawał człowiek chodzący po podłodze dokładnie nad jej głową. Szybko wróciła do pracy. Uwolnienie rąk mogło nie pomóc – nadal nie miała żadnej broni – ale z pewnością nie zaszkodzi.

Potem zrozumiała: nie była bez broni. A raczej nie będzie, jeśli tylko uda jej się wyswobodzić ręce przed powrotem Childsa albo odpełnieniem koralówki.

12

Simon nie myślał o Halloween, odkąd półtora tygodnia wcześniej kupił maski do gry z Dorie. Nie mógł spać, a ponieważ ślepy szczur ciągle krążył mu nad głową, przeszedł do salonu, zgasił ogień i zaczął przerzucać kanały w dużym telewizorze, aż znalazł przedhalloweenowy maraton horrorów na jednym z kanałów. Ludzie-koty z Simone Simon. „Była naznaczona klątwą tych, co się skradają, łaszą i zabijają w nocy!” – brzmiało zakończenie. Za chwilę miał nastąpić quasi-sequel, Klątwa ludzi-kotów. Prawdziwa szmira, jak zapamiętał Simon z czasów Klubu Horroru. Żadnej klątwy, żadnych ludzi-kotów – nawet Nerwowy Nellie się nie przeraził.

Po zażyciu ecstazy film okazał się o wiele ciekawszy, ale niewystarczająco dobry, by podtrzymać jego

zainteresowanie. Wreszcie wyczerpanie i serotonina wzięły górę nad tabletkami z krzyżykiem i Simon zasnął w fotelu. Nic dziwnego, że w jego śnie ważną rolę odgrywał Nelson. Znowu byli dziećmi – albo nadal, jak to bywa w snach. Jeździli na rowerach przez Tilden Park, tak jak zwykle. Nagle Nelson gwałtownie zahamował i wskazał na coś w krzakach na poboczu trasy. To było ciało. Nagie ciało mężczyzny leżące twarzą w dół. Nelson uciekł, zostawiając Simona samego ze zwłokami. On też chciał uciec, ale skądś wiedział, że na końcu trasy czeka na niego dziadek Childs – Simon dostanie lanie, jeśli ucieknie jak tchórzliwy Nelson. Odwrócił ciało, oczyścił twarz mężczyzny z ziemi, wilgotnych liści i kompostu.

– Kto to? – Jakimś cudem dziadek Childs zmaterializował się obok i stanął nad chłopcem.

– To Nelson, sir – odrzekł Simon. – Teraz tak wygląda. – Simon też wrócił do siebie z terażniejszości.

Był dorosły i znajdował się w łazience swego domu w Berkeley.

– Zabiłeś go?

– W pewnym sensie, sir.

Dorosły Simon nie bał się już starca, po prostu chciał mu udowodnić, że robi wszystko zgodnie z zasadami.

– Chłopcze, nie gadaj mi tutaj o sensach. Albo to zrobiłeś, albo nie.

– Niebezpośrednio, sir. Przykleiłem go do wanny, ale sam odkręciłem wodę.

– Pochowasz go w piwnicy razem z innymi?

– Wiesz o innych?

– Oczywiście, że tak. Nie bądź głupi. I jeszcze jedno, chłopcze.

– Tak, sir?

– Jak już będziesz to robić, wykop tym razem dziurę również dla siebie.

– Prędzej spotkamy się w piekle – odrzekł Simon.

– Tak – powiedział stary człowiek we śnie. – Prawdopodobnie tak będzie.

Linda była przekonana, że włączył horrory, żeby ją dręczyć. Krzyki, przerażająca muzyka organowa – to musiało być celowe.

Ale również było bezsensowne. Chyba nie ma nas za cykorów? – spytała retorycznie koralówkę. Była zadowolona z towarzystwa węża, on również. Gdy wróciła do prób rozcięcia sznura na nadgarstkach, założyłaby się o własne życie – w zasadzie to właśnie czyniła – że na tym etapie ich relacji koralówka miała taką samą ochotę ukąsić ją, co ona koralówkę.

Ale do rana wszystko miało się zmienić.

Śluza Tinsmana

1

Nocą gwałtownie spadła temperatura. Gdy tuż przed świtem zerwał się lekki wiatr, Simon słyszał kruche jesienne liście szepczące jeden do drugiego. Sto, tysiąc, dziesięć tysięcy króciutkich dialogów, wszystkie na ten sam temat: idzie mróz, śmierć, wielkie spadanie.

Naciesz się tym widokiem – pomyślał Simon, stojąc na tylnym ganku z kocem zarzuconym na nagie ramiona. Cóż to był za widok! Za mężczyzną wschodziło słońce. Na kolorowych liściach i trawie połyskiwała rosa, zamieniając pajęczę sieci w naszyjniki z diamentów. Słońce odbijało się od cichej, ciemnozielonej wody kanału. Mgła zaczynała się unosić.

Gdy się odwrócił i zaczął wchodzić do domu, przestraszył się, wyrwany z tego snu na jawie przez swe odbicie w szklanych drzwiach: zataczało się ku niemu, kurczowo przytrzymywało koc na swych ramionach jak uciekinier. Przypominał nieogolonego, wynędzniałego stracha na wróble z oczami jak dwie dziurki wysikane w śniegu. Mrugnął do niego – dziadek Childs odmrugnął. Wstrząśnięty Simon sięgnął do klamki – dziadek Childs też to uczynił.

Ostatnie strzępy sznurka puściły koło świtu. Piwnica nie miała okien, w suficie nie było żadnych szczelin, ale skądś docierało dostatecznie dużo światła, żeby Linda była w stanie zobaczyć zarys węża. Dzięki Ci, Boże – szepnęła. Mimo wszystkich czynników znajdujących się poza kontrolą Lindy w ciągu tej długiej nocy – zimna, pragnienia, praktycznie wszystkiego oprócz strachu i niekończącego się tarcia sznurem o cegłę – najczęściej rozmawiała z Bogiem właśnie o koralówce. Boże, proszę, niech ona tu leży, gdy już będzie gotowa.

I leżała, luźno zwinięta, jak się zdawało, pogrążona we śnie. Może zapadła w sen zimowy – pomyślała Linda z nadzieją, ostrożnie wyciągając prawą rękę zza pleców, powoli, żeby nie przestraszyć węża, stopniowo, bo tylko w ten sposób mogła poruszać zeszywniałym, obolałym ramieniem. Może zapadła w zimowy sen i będzie tutaj leżeć cały dzień.

Tak, jasne. Nadzieja matką głupich. Czeka, żeby dobrać się do twojego gardła. Szczerze mówiąc, Linda nie wiedziała, czy temu, co zamierzała, podołałby nawet zdrowy, silny człowiek, ale była względnie pewna, że złapanie węża tuż za jego głową i przytrzymanie go aż do powrotu Childsa było lepszym pomysłem niż zostawienie zwierzęcia tam, gdzie leżało.

Czekając, aż prawa ręka odzyska czucie i zdolność poruszania się – w opuszkach palców lewej ręki wystąpiła bardzo nieprzyjemna kombinacja paraliżu i uczucia wbijających się igiełek – Linda rozmyślała o tym, ile rzeczy mogło jej się nie udać. Widziała, z jaką szybkością poruszała się koralówka. Wiedziała, że będzie mieć tylko jedną szansę. Jeśli jej nie wykorzysta, wąż z pewnością ucieknie. Jeśli źle go złapie, może ją zaatakować. Pomyślała o Glorii. Taka śmierć, w bólu, samotności, bez tchu, była niewyobrażalna.

A nawet jeśli uda jej się dobrze złapać węża, to jak długo będzie w stanie go utrzymać? Jeśli będzie wściekły, jeśli zacznie się rzucać w jej uścisku? A jeśli ona zaśnie, jeśli skupi uwagę na...

Nie! – powstrzymała się. To twoja chwila prawdy, Abrootz. Możesz tak sobie pitolić i czekać, aż Childs po ciebie przyjdzie, albo możesz złapać byka za..., to znaczy węża, najpierw złap węża, a potem będziesz się martwić, czy go utrzymasz. Ale co jeśli... o kurwa, zrób to, kurwa, zrób, zrób, o kurwa...

2

Cechą charakterystyczną bezsenności jest to, że człowiek wybiera mniejsze zło i wstaje o czwartej trzydzieści rano.

Mimo poczucia zagrożenia Dorie pozwoliła Penderowi pospać. Pozwoliła mu też prowadzić. Wszystko, co zrobiła, to przesunięcie dźwigni na „R”, a potem na „D”, gdy już zjechali z podjazdu, po czym poszła

spać na tylnym siedzeniu. Pender nie potrzebował jej pomocy aż do chwili, w której dotarli na lotnisko.

Penderowi nie brakowało rozmowy. Zamiast włączyć radio, zaczął podsumowywać w myślach sprawę Childsa. Wciąż nieświadomy wydarzeń z poprzedniego wieczoru, próbował postawić się na miejscu mordercy. Dokąd pojedzie z Concord? Czy człowiek z takimi pieniędzmi nie próbowałby kupić sobie jakiegoś schronienia? Być może w innym kraju. Oczywiście najbliższej leżał Meksyk. Za to Kanada wykazywała mniejszą chęć ekstradycji ściganych, którym groziła kara śmierci.

Była też Kostaryka, wybierana przez bogatszych uciekinierów. Brazylia – czy my mamy z nimi umowę o ekstradycji? Szlag, kiedyś to wiedziałem.

Nieważne, dokąd się wybiera, skoncentruj się na tym, jak się tam dostanie. Jedno jest pewne – prawie pewne – nie przejedzie tym volvo przez żadną granicę. Lotniska i dworce autobusowe były już kryte. Na piechotę? Albo...

Analizował różne możliwości przez większą część drogi, ale po prawie dwóch godzinach miał zaledwie kilka trafień. Dowiedzieć się, czy Childs płacił w innych krajach podatki od nieruchomości. Czy kiedykolwiek zabierał Missy za granicę – dla siebie mógł mieć fałszywy paszport, ale czy miał też paszport dla niej?

Po odstawieniu samochodu uwaga Pendera zwróciła się ku Dorie. Rozumiał z fobii dostatecznie dużo, żeby wiedzieć, że nie bała się samego latania, a strachu przed nim. Mniej bała się katastrofy niż tego, że straci nad sobą kontrolę, dostanie ataku paniki, być może zemdleje. Nie próbował więc uspokajać jej uwagami na temat bezpieczeństwa lotu ani statystykami mówiącymi, że śmierć w samochodzie jest o wiele bardziej prawdopodobna niż w samolocie.

Zamiast tego, gdy usiedli w busie kursującym do samolotu, przysunął się do niej na tyle, na ile pozwalało szerokie rondo kapelusza, i szepnął jej do ucha, że jeśli chce dostać ataku paniki, to nie ma sprawy. A jeśli chce zemdleć, to też nie ma sprawy, bo przez cały czas będzie się trzymał dostatecznie blisko, żeby ją złapać, zanim znowu złamie sobie nos, a potem przetruci ją przez ramię i, przytrzymując jedyną sprawną ręką, zaniesie do samolotu, w razie konieczności pokazując obsłudze odznakę. Nie powiedział tylko, którą ręką wyciągnie odznakę.

Zanim bus stanął przed samolotem w terminalu SFO, Pender określił też, czego by sobie nie życzył. Nie życzyłby sobie, żeby zrezygnowała i się poddała. Nie musiała więc marnować swojej energii na rozważanie odwrotu, bo nie było już takiej możliwości.

Terapia przeprowadzona przez Pendera nie do końca była zgodna z najnowszymi technikami w psychiatrii. Desensybilizacja należała do współczesnych teorii. Najpierw trzeba przegadać problem, potem go zwizualizować, potem zasymulować, następnie pewnego dnia przejechać obok lotniska, ale nie wchodzić na nie, w kolejnym tygodniu przejść przez terminal, i tak dalej, aż – patrzcie i podziwiajcie – jakiś rok, i Bóg wie ile tysięcy wydanych dolarów, później może będziesz gotowy na lot samolotem.

Ale kim był Pender, żeby podważać teorie największych umysłów w psychiatrii? Gdzie przyznano mu stopień naukowy? Jak to gdzie? Na Uniwersytecie Dorie – odpowiedziałby. Mógł nie mieć najmniejszego pojęcia o terapii desensybilizacyjnej, ale znał ludzi – i znał Dorie. Nie potrzebowała rozpieszczania, tylko zanurzenia, wyzwania, prowokacji. Czegoś, co rozbudziłoby to lwie serce.

O siódmej rano kolejki przy bufecie wciąż były krótkie. Zdali bagaże – narzędzia malarskie Dorie znajdowały się w skrzynce, a ubrania w pełnowymiarowej walizce, która nie nadawała się na bagaż podręczny – i poszli w stronę bramki, zahaczając o ten sam bar, w którym Sid i Pender siedzieli sześć dni wcześniej. Jim Beam z lodem dla niego, wódka z sokiem pomarańczowym dla niej – w teorii alkohol działał szybciej i był tańszy niż Xanax, a poza tym nie wywoływał biegunki i nie zmniejszał intensywności orgazmów.

Nie żeby planowali miłosne uniesienia – nawet jeśli Dorie by chciała, to nie było szans, żeby dwie osoby ich gabarytów wbiły się do toalety w samolocie.

Dla kobiety najgorszą częścią było siedzenie w barze i oczekiwanie na wywołanie lotu. Ale to nie Pender jej pomógł, a mały, może czteroletni chłopiec w diabelskiej, czerwonej masce Dartha Maula, prawdopodobnie będącej kostiumem na Halloween, który bawił się w chowanego wokół rzędów plastikowych krzeseł.

Nie da się zaprzeczyć, że gdy za pierwszym razem zobaczyła potworną maskę, się przestraszyła. Przestraszyła się i to wszystko – krzyknęła, przycisnęła dłoń do piersi, potem słabo się zaśmiała – tak jak zrobiłaby większość dorosłych.

Malec, któremu prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu udało się naprawdę kogoś przestraszyć,

zaczął krążyć wokół ich rzędu, a z każdym jego okrążeniem Dorie śmiała się coraz bardziej. I to nie z chłopca, ale z absurdalności tego wszystkiego.

– Na pewno nie chcesz, żebym zapuszkował tego małego drania? – spytał Pender, gdy dzieciak przybiegł po raz czwarty.

– Żartujesz? – spytała. – Ten mały drań to posłaniec Boga.

– Boga, powiadasz? A z jaką wiadomością do nas przybył?

– Wiadomość brzmi: Dorie Bell, zmarnowałaś dwie trzecie swojego życia na strach przed strachem. Może być tak wyluzowała i cieszyła się podróżą?

– No to masz już slogan reklamowy – odparł Pender. – „United Airlines: wyluzuj i ciesz się podróżą”!

3

Gorący prysznic, golenie, ale nie głowy: Simon postanowił zapuścić włosy, chyba że dziadek Childs ponownie zapragnie niespodziewanie się pojawić. Dobre śniadanie, garść tabletek z krzyżykiem, porządny skręt i Simon znowu był sobą. Przeżył trudne chwile, śmierć matki i tak dalej, i być może przez moment stał bliżej przepaści, niż zdawał sobie z tego sprawę, ale to wszystko już za nim. Tego ranka dziadek jest tylko odbiciem – postanowił. Ostatnio było zbyt dużo prochów – albo przynajmniej zbyt dużo nieodpowiednich prochów w złej kombinacji. Od tej pory będzie jechać tylko na tabletkach z krzyżykiem i skrętach. Pierwsze zapewniają energię i jasność umysłu, drugie wyobraźnię i kreatywność – a do gry będą potrzebne wszystkie te czynniki.

Tak jak kajdanki i skalpel albo nóż – w każdym razie coś z ostro zakończoną krawędzią, coś groźnie wyglądającego i ostrego, co wykorzysta razem z nożykiem do papieru zabranym z Conroy Circle. Podczas przeszukiwania domu zrozumiał, że jeśli chciał usłyszeć Pendera błagającego o litość dla Przestraszonegokota i Przestraszonegokota błagającego o litość dla Pendera, musiał zostawić im wolne usta. Co oznaczało, że przynajmniej część gry powinna odbyć się w piwnicy, w której, jeśli błaganie zamieni się w krzyk, będzie on mniej słyszalny wzdłuż kanału. Później, jak postanowił, zniesie do piwnicy jedno z kuchennych krzesel, a teraz skupi się na szukaniu kajdanek i doskonaleniu planu gry.

W ostatnich miesiącach Linda Abruzzi miała okazję doświadczyć bólu, ale nigdy nie zaznała takiego cierpienia jak teraz. Najpierw złap węża, o jego utrzymanie będziesz martwić się później – zganiała w myślach samą siebie.

Siłą rzeczy nie miała wyczucia czasu. Miała wrażenie, że już od paru dni leży na boku u podnóża schodów, trzymając koralówkę na wyciągnięcie dłoni i słuchając kroków Childsa nad swoją głową. Za każdym razem, gdy zbliżał się do kuchni, wkładała knebel i chowała za plecy przerwany sznurek i węża, ale po słabym świetle w piwnicy wnioskowała, że nadal było czwartkowe przedpołudnie.

Childs włączył telewizor w salonie. Z obecnego miejsca Linda nie mogła usłyszeć nic konkretnego. Brzmiało to trochę jak Rosie, Oprah albo Sally Jesse Raphael – w każdym razie coś jak damski głos i nadpobudliwa publiczność. Kroki ucichły na jakiś czas.

Jednak Linda nie mogła zaznać odpoczynku. Jakby ból, pragnienie i głód były niewystarczające, od kilku godzin musiała walczyć ze skurczami zupełnie niespodziewanie przebiegającymi przez jej rękę w górę i w dół – zarówno w kciuku, ramieniu, nadgarstku, jak i w łokciu. Gdyby mogła zmienić ręce, uczyniłaby to, ale nie mogła już zaufać sparaliżowanym palcom lewej dłoni.

Jeszcze bardziej podstępne od bólu i skurczów było zmęczenie, które prowadziło niemal do halucynacji. Nie spała od ranka poprzedniego dnia i wiedziała, że takie wyczerpanie mogło fatalnie się zakończyć. Wąż już się nie rzucał, ale też nie poszedł spać. Czekał na rozwój wydarzeń. Co jakiś czas wystawiał ją na próbę – wykonywał silny, błyskawiczny ruch mięśni pod pierścieniami, jednak gdy zwiększała uścisk, to się uspokajał..

Jeszcze tylko trochę – obiecała mu w myślach. A gdy się to skończy, wypuszczę cię. Będziesz mógł sobie żyć pod tym domem już zawsze i będę przynosić ci tyle grubych myszy, ile tylko zdołasz zjeść, a na każde Boże Narodzenie dostaniesz chomika.

Telewizor ucichł. Znowu rozległy się kroki. W chwili, gdy Childs rzeczywiście otworzył drzwi do piwnicy i zaczął schodzić po schodach, Linda zdążyła wyobrazić sobie tę scenę tyle razy, że miała wrażenie, jakby to było już za nią. Schodzi na dół, ona udaje, że jest nieprzytomna. On się nad nią schyla, ona wpycha

koralówkę w jego oko, jego szyję, jego...

Kroki doszły do połowy schodów, potem zawróciły. Drzwi do piwnicy ponownie się zamknęły. Rozczarowanie było olbrzymie. Dopóki ta gehenna prawie nie dobiegła końca, kobieta nie chciała przed sobą przyznać, że była kompletnie przybita. Teraz nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma.

Osz ty kanalio! – zaczęła krzyczeć za nim w myślach. Wracaj tutaj, ty pierdolony łajdaku...

Waż, być może wyczuł chwilę nieuwagi, zebrał się w sobie i rzucił się do ucieczki. Linda odruchowo zwiększyła uścisk, ale chwyciła koralówkę na środku zamiast przy łbie i próbowała złapać ją wyżej lewą ręką. Wtedy poczuła coś jakby dwie igły wbijające się w zewnętrzną część nadgarstka.

4

To musiał być niezły widok. Para w średnim wieku: wielki facet w kapeluszu i ze złamaną ręką, wysoka kobieta z długim brązowym warkoczem i złamanym nosem, schodzący w podskokach po rampie do terminalu.

– Udało nam się! – cieszyła się Dorie, wciąż promieniejąca dumą z pokonania ostatniej fobii.

– To tobie się udało – odparł Pender.

Oczywiście bardzo radowało go jej szczęście i nie zwracał uwagi na swój wkład w tym wszystkim, ale głównie był zadowolony z tego, że zszedł już z tego pieprzonego pokładu. Jeden lot pierwszą klasą z Sidem wystarczył, by rozpuścić Pendera na zawsze.

Normalnie Sid czekałby przy krawężniku przed punktem odbioru bagażu. Są przyjaciele i przyjaciele, którzy odbierają się nawzajem z lotniska – Sid i Pender należeli do tego drugiego rodzaju. Tym razem jednak nie poprosił go o to – nie wiedział, czy Sid będzie się do niego odzywał po tym, jak w zeszły piątek porzucił go na SFO. Gdy odebrali bagaże Dorie, walizkę i skrzynkę, które – o dziwo – dotarły nieszkodzone i zjechały po odpowiedniej taśmie na odpowiednim lotnisku, Pender zadzwonił po taksówkę.

Podróż z Wirginii do Maryland była pierwszym doświadczeniem Dorie z prawdziwymi urokami jesieni. Penderowi bardzo podobało się patrzenie na kobietę – wyraz jej twarzy był tak bezcenny, jak w reklamie MasterCard: miała minę nie tyle dziecka w sklepie z cukierkami, co nastolatka w burdelu.

Na ostatniej prostej zabawił się w przewodnika, pokazując ważne miejsca z czasów wojny secesyjnej i opowiadając szczegółową historię kanału. Przy końcu drogi do słuzy Tinsmana niebo zasłaniał baldachim z dzikiego bzu o żółtych liściach. Dorie nigdy nie widziała takiego światła – tam, skąd pochodziła, światło w zacienionych miejscach było zawsze zielone.

Pender wskazał podjazd i ostrzegł taksówkarza przed koleinami. Ostatnich kilka metrów porządnie ich wytrzęsło. Później, gdy kierowca wystawił ich bagaże przy frontowych schodach, Dorie powiedziała, że chciałyby zobaczyć kanał w świetle dnia.

– Idź tą ścieżką z boku domu – odparł – i schodź z boczem tak długo, aż ujrzysz kobietę w zakrwawionych szatach szukającą swojego rudego dziecka. Złapię cię, gdy tylko zapłacę taksówkarzowi.

Fasmofobia – strach przed duchami. Mimo zapewnień Dorie wcale na nią nie cierpiała – bądź co bądź czy ktoś słyszał o duchu w masce?

Ścieżka była stroma i wąska. Prowadziła przez gęsty las, a potem otwierała się na krajobraz, który Dorie z całego serca zapragnęła namalować i jednocześnie zwątpiła w to, że kiedykolwiek uda jej się uchwycić jego urok. Pender miał rację – żeby to wszystko ująć, będzie musiała dodać kilka nowych odcieni do swojej palety: na pierwszym planie formalna kolorystyka, szmaragdowozielony trawnik, zieleni malachitowa na wodę, czerwono-brązowe ściany kanału na grubo ciosanych piaskowych blokach, pył w powietrzu, długie czarne cienie, horyzontalne światło sączące się z oddali, ale rozcięte w oślepiające kolumny przez czerwonopomarańczowe drzewa górujące nad ścieżką flisacką prowadzącą wzdłuż drogi na drugim brzegu kanału.

Jednak namalowanie przed zmierzchem tego pleneru ze wszystkimi szczegółami – kładką dla pieszych, miniaturowym, buzującym wodospadem, drewnianymi płotami z poziomych bali, nie mówiąc już o joggerach i spacerowiczach z psami na drodze po drugiej stronie – było po prostu niemożliwe.

Ale trzeba spróbować! Jeśli pogoda się utrzyma, mogłaby trzymać sztalugę przez kilka dni w tym

samym miejscu, malować jedną sekcję na...

– No i? Kłamałem?

Pender przyłapał ją, gdy w myślach zaczęła dzielić krajobraz na poziome sekcje – malarstwo rządziło się swoimi prawami.

– Pen, tu jest przepięknie. Nie mogę się doczekać, kiedy to namaluję. Albo przynajmniej spróbuję. Gdzie jest najbliższy sklep dla plastyków?

– Będziemy musieli sprawdzić to w książce telefonicznej, moja harcerko – powiedział, gdy zaczęli się wspinać z powrotem do domu. – Ostatni artykuł plastyczny, jaki kupiłem, to kredki w pudełku z wbudowaną temperówką.

– Uwielbiałam tę temperówkę – powiedziała.

– Ja też.

Gdy dotarli do domu, Pender wskazał brodą w kierunku ganku.

– Chodźmy tędy, chcę, żebyś zobaczyła panoramę.

– Technicznie rzecz biorąc, panorama to nieprzerwany niczym pejzaż lub seria zdjęć ukazujących stałą scenę – wyjaśniła, z trudem wchodząc za nim po schodach.

Przystanął na półpiętrze i odwrócił się do niej, jakby miał coś ważnego do powiedzenia. Tak naprawdę był po prostu wycieńczony wspinaczką.

– Czy kiedykolwiek ktoś ci mówił, że jesteś cholernie kłótniwa?

– Tak. I zawsze biorę to za komplement.

Musiła przyznać, że widok z ganku był imponujący. Gdy Pender otworzył szklane przesuwne drzwi, pomyślała, że rano mogłaby malować stąd, a po południu schodzić nad kanał. To ciężka robota, ale ktoś musi ją wykonać – pomyślała, wchodząc za Penderem do domu. Boże, jak ja kocham moją pracę.

5

Simon był gotowy. Był gotowy od wielu godzin. Myszkował po domu, oglądał telewizję, wypalił jointa na ganku, dopracowywał szczegóły gry. W ostatniej chwili zmienił zdanie względem wcześniejszego zniesienia krzesła do piwnicy. Był już w połowie schodów, gdy przyszło mu do głowy, że jeśli Pender wejdzie od strony ganku, prawdopodobnie najpierw uda się do kuchni, więc lepiej było zostawić wszystko, jak jest.

Simon zawrócił na schodach. Wciąż był w kuchni, gdy usłyszał samochód wjeżdżający na podjazd. Pobiegł do salonu, zerknął przez opuszczone zasłony i zobaczył taksówkę stojącą za geo. Ujrzał wysiadającego Pendera. Staaary, świetny kapelusz. Co się stało, ktoś złamał ci rękę? Potem zobaczył, że z samochodu wysiada ktoś jeszcze.

Serce Simona zaczęło walić jak oszalałe. Proszę, niech to będzie współtowarzysz podróży, który pojedzie sobie dalej. Kiedy zobaczył Dorie Bell, opadła mu szczęka. Ostatnim razem, gdy ją widział, leżała naga w galwanizowanej wannie w piwnicy, a on trzymał jej głowę pod wodą. Wiedział, że nie utonęła, ale po prostu była jedynym uczestnikiem, który przeżył grę strachu, i w pewien sposób przedostała się do innego wymiaru świadomości Simona. Nie uważał jej ani za żywą, ani za martwą. Co prawda gdyby ujrzał, dajmy na to, Wayne'a Summersa, byłby zaskoczony jeszcze bardziej, ale i tak nie mógł dojść do siebie.

Kierowca taksówki postawił walizkę przed przednimi drzwiami i wrócił po skrzynkę, a w tym czasie Simon pobiegł do pokoju Pendera. Cały czas gorączkowo rozmyślał. Obecność Dorie mogła wcale nie być taka najgorsza. Najpierw ją złap, przyłóż pistolet do głowy, zyskaj kartę przetargową. Bądź jak Edward G. Robinson: stój, agencie, albo rozwalę jej łeb. Taki bohater jak Pender z pewnością stanie w jej obronie. Zrobi wszystko, co mu każe – przecież ona jest teraz jego ukochaną. Jakiż z niego bohater: najpierw uratował, potem zerznął.

Gdy zamykał za sobą drzwi sypialni, oddychając ciężko, tak podekscytowany i przejęty jak żołnierz idący na wojnę, zrozumiał, że druga okazja z Dorie była jedyną rzeczą, która tak naprawdę mogła jeszcze poprawić jakość bardzo obiecującej Ostatecznej Gry Strachu. Nie tylko będzie to potrójna gra, lecz także szansa na wymazanie jedynej przegranej. Gdy skończy z Dorie (a tym razem nie zrezygnuje z tego, czym tak bardzo rozkoszował się Pender, nawet jeśli wpychanie kutasa w Dorie miałyby zająć całą noc), końcowy wynik w grze strachu będzie następujący – Childs: 27, reszta świata: 0. I to bez

względnienia Zapa, żadnego ze staruszków, żadnego z gliniarzy i męża Glorii, tego Chińczyka w czerwonych gaciach.

Linda wypluła knebel. Jakimś cudem cały czas trzymała koralówkę. Znowu udało jej się złapać węża za szyję zdrowszą, prawą dłonią. Postanowiła, że nie będzie panikować – aż tak mocno jej nie ugryzł. Jak powiedział Reilly, małe pyski i krótkie, grube zęby, muszą się dobrze wgryźć. Poza tym zapewniał, że jad prowadził tylko na skraj śmierci, a reakcja zawsze występowała z opóźnieniem. A może użył słowa „raczej” zamiast „zawsze”? A może tylko „czasami”? I o ile opóźniona – ile czasu jej zostało?

Pytanie powiązane: co działo się na górze? Słyszała, jak Childs pobiegł z kuchni do salonu, potem z salonu do kuchni. Czy Pender już wrócił? Nie słyszała jego kroków – a przecież przy jego wadze na pewno by je usłyszała. Co oznaczało, że być może nie da już rady uratować siebie, ale może uratować jego.

Jak? Skup się, nie zwracaj uwagi na ból. Wykorzystaj go do koncentracji. Poczekaaj, aż usłyszysz otwieranie drzwi i ciężkie kroki. Potem wrzaśnij: „Penderze, uważaj! Penderze, Childs tutaj jest!”. Jeśli ty słyszysz go z dołu, on usłyszy cię z góry.

Ale co jeśli Childs już będzie miał go na muszce? Wtedy jedyne, co będziesz mogła zrobić, to wziąć go z zaskoczenia.

Nie, masz jeszcze jedną przewagę: już ci powiedział, że planuje oślepić Pendera, a ty będziesz musiała na to patrzeć. Nie zastrzeli go więc od razu, masz trochę czasu. Wiesz też, że w końcu musi zejść do piwnicy. Czy nie byłoby rozsądniej...

Ale wtedy poczuła palenie w ręce, a gdy bolesne uczucie dotarło do łokcia, zrozumiała, że czekanie na Childsa przestało być opłacalne.

6

Gdy Pender przechodził przez salon w kierunku przedsiionka – torby wciąż stały przy drzwiach wejściowych – zauważył koszyk na listy stojący obok automatycznej sekretarki. Wzrok agenta przyciągnęła koperta na samej górze. J. Heinz – prawnik Idy. Wszyscy w La Farge zwali go Sędzią. Imponujący, nieprzyjemny mężczyzna o zimnych niebieskich oczach i siwej grzywie. Zawsze nosił szelki i granatowe garnitury z serży, tak ciemne, jak ciemny może być niebieski, nadal pozostając niebieskim. Ale po co Sędzia miałby do niego pisać? Pender stwierdził, że bagaż może poczekać.

– Gdzie jest łazienka?

Spojrzał szybko w górę. Dobrze było widzieć Dorie w swoim salonie. Wyglądała świetnie. Rzeźkie powietrze zaróżowiło jej policzki, sińce wokół oczu przybrały wyblakły odcień żółtej zieleni, a niebieskie oczy były tak jasne, jakby się naćpała. Może i się naćpała – pomyślał Pender. Może jej narkotykiem były krajobrazy.

– Pierwsze drzwi na prawo albo trzecie na lewo.

W kopercie od Sędziego znajdowała się kolejna koperta z imieniem Pendera napisanym charakterem pisma Idy. Zaczął mieć złe przeczucia. Wyjął lawendową papeterię siostry, tak cienką, że niemal przezroczystą.

29 maja 1997 roku

Kochany Eddie,

jeśli to czytasz, to znaczy, że już mnie nie ma. Zorganizowałam wysłanie Ci kilku rzeczy. Dokumenty i zdjęcia rodzinne, biżuterię mamy, kilka drobiazgów z domu w Cortland itd. Wszystko inne zostanie przekazane Fundacji dla Osób z Zespołem Downa. Sędzia Heinz zajmie się posiadłością, która, jak mówi, jest marzeniem prawnika. Większość mojego majątku, łącznie z tytułem do domu, została już przekazana FOZD, więc wujek Sam zagarnie bardzo mało, co niezmiernie mnie cieszy. Aukcję poprowadzi Cleland's, a Dom Pogrzebowy Selanda zawiezie moje zwłoki do krematorium w La Crosse. Dostali zakaz zwracania czegokolwiek rodzinie. Wymalowane zwłoki w zbyt drogiej trumnie czy proch w zbyt drogiej urnie to zupełnie nie w moim stylu. Popiół to popiół, a kasa to kasa. Traktowanie prochów, jakby były czymś innym, jest strasznym nadużyciem.

Jeśli chodzi o pogrzeb czy nabożeństwo żałobne – wiesz, co o tym sądzę. Nie pochowałam Walta, nie pochowałam Stanleya i nie życzę sobie, żebyś pochował mnie. Jeśli chcesz, możesz wznieść za mnie kielszek, ale nie schlej się na moje konto.

To chyba wszystko, poza tym, że muszę Ci napisać, że z całego serca Cię kocham, tak jak Walta i Stanleya, i że żadna starsza siostra nigdy nie była tak dumna z młodszego brata, jak ja jestem z Ciebie.

Twoja kochająca siostra
Ida

Pender wciąż próbował to pojąć – tak naprawdę nie przetrawił jeszcze nawet pierwszego zdania – gdy w drzwiach prowadzących do części sypialnianej stanęła Dorie.

– Pen?

Spojrzał na nią. Rumieniec zniknął z jej twarzy.

– Dorie, co...

Kiedy Dorie niechętnie weszła do pokoju z brodą w górze, Pender najpierw ujrzał lufę pistoletu przystawioną do karku kobiety, potem rękę trzymającą w mocnym uścisku warkocz, a po sekundzie Simona Childsa, pchającego Dorie przed sobą tak, by stała między nim i Penderem.

– Jeśli się ruszysz, ona zginie – oznajmił Childs.

Wszyscy giną – pomyślał Pender, wypuszczając z dłoni list od Idy. Cieniutka lawendowa kartka zaczęła wolno opadać na podłogę.

Dwanaście drewnianych schodów, każdy z wystającą krawędzią. Ściana i poręcz po prawej stronie, podłoga piwnicy po lewej. Trzymając rzucającego się węża wysoko w prawej ręce, Linda złapała się poręczy lewą, chorą ręką, i podciągnęła się do pozycji stojącej. Ból, który przeszył jej ramię, był... wspaniały. Pierwszorzędny.

Podniosła lewe kolano i udało jej się unieść sflaczałą lewą stopę na tyle wysoko, by postawić ją na pierwszym stopniu. Gdy stała już pewnie, Linda pochyliła się do przodu, przeniosła na nią ciężar i udało jej się wciągnąć zwisającą prawą stopę, mimo że walnęła palcami o wystającą krawędź.

Jeden już jest, jeszcze jedenaście.

Simon był z siebie bardzo zadowolony. Kontrolował sytuację. To będzie najlepsza gra – pomyślał. Chociaż było tak wcześniej, już czuł się połączony z Penderem. Wystarczyło raz na niego spojrzeć, by zrozumieć, że właśnie dowiedział się o śmierci siostry.

Simon wiedział, jak to rozegrać na swoją korzyść. Nie chciał rozwścieczyć olbrzyma – w każdym razie najpierw musiał go skrępować. Ale przed tym należało zająć się zbędną panną Bell. Jej towarzystwo wprawiało go w zakłopotanie – to tak jakby tuż za tobą krążył duch.

Niedobrze – wchodzenie po schodach na stojąco było bardzo niewygodne. Lewa ręka Lindy nie miała już siły uścisku, palce były zbyt odrętwiałe, by poczuć poręcz, a ból zajmujący coraz większą część ręki, gdy tylko kobieta próbowała unieść ją powyżej ramienia, był potwornie dotkliwy. Za każdym razem dłoń ześlizgiwała się z poręczy, Linda machała prawą ręką, by utrzymać równowagę, dodatkowo denerwując i tak już rozwścieczonego węża.

Na trzecim stopniu upadła na kolana. Trzy już, jeszcze dziewięć.

Childs kazał im wrócić do sypialni, gdzie najpierw zaskoczył Dorie, gdy nakazał jej położyć się na łóżku z rękami przy znajdującej się u wezgłowia belce łóżka, a potem kazał Penderowi ją skuć.

Tak – pomyślał Pender, starając się ukryć swoją skwapliwość. Świetnie. Jego ostatnia dziewczyna była agentką w Wydziale Walki z Narkotykami i tak jak wszyscy ludzie, którzy tam pracowali, miała trochę niestabilną psychikę. Poza tym była jędzą. Lubiła delikatne sado-maso i dominację – to dlatego pod łóżkiem leżały kajdanki. Pender nie miał nic przeciwko – przynajmniej do czasu, gdy to ona wykonywała całą robotę – ale za cholerę jej nie ufał. I właśnie dlatego schował zapasowe kluczyki do kajdanek pod materacem u wezgłowia łóżka. Mógł ich dosięgnąć, nawet gdy był przykuty do belki.

Ale jak powiedzieć o tym Dorie, skoro Childs nad nim stał? Pochylił się nad nią, majstrując jedną ręką przy kajdankach.

– Pod materacem – szepnął.

Nie powiedział tego zbyt głośno, ale Childs się przybliżył. Pender poczuł na mężczyźnie zapach własnej wody po goleniu. Dostrzegł szansę, obrócił się i spróbował uderzyć Childsa gipsem.

Childs odskoczył. Pender chybił. Dorie zobaczyła, jak kolba pistoletu uderza agenta w kark. Pender przewrócił się na nią z impetem. Całym ciężarem swego ciała naciskał na jej klatkę piersiową przez co nie mogła złapać tchu. Zobaczyła gwiazdy. Biały kapelusz potoczył się po podłodze niczym zabawka. Potem, gdy zaczęła już tracić przytomność, ciężar się z niej stoczył. Wzięła haust powietrza.

Pender leżał nieruchomo na ziemi. Simon położył się obok Dorie i przypiął jej nadgarstki do belki. Próbowana kopnąć go kolanem. Z łatwością tego uniknął, a potem boleśnie wbił jej kolano w udo,

wciskając jej do ust jeden z jaskrawych krawatów Pendera.

Widzę go po raz ostatni – pomyślała, gdy Simon wyciągał agenta z sypialni, trzymając go za kostki. Miała na myśli Pendera – była przekonana, że Simona jeszcze zobaczy.

Aby nie spaść w dół podczas wdrapywania się na schody na kolanach, Linda musiała przechylić się do przodu i zgiąć w pół (nie zapomniała o swym starym przyjacielu Lhermitcie i jego „błyskawicy”) oraz z trudem oprzeć się na lewym łokciu, żeby nie upaść na twarz.

Kolana potwornie ją bolały, a dwa stopnie były uszkodzone od uderzeń w wystające listwy. W kółko powtarzała mantrę: „pierdolić ten wspaniały ból, pierdolić ten wspaniały, znakomity ból”. Przy szóstym stopniu przynajmniej usłyszała Childsa i Pendera rozmawiających w kuchni. Gdy dojdę na górę, będzie już po wszystkim – pomyślała. Nie będzie musiała wlec swej żalostnej dupy przez resztę domu.

Osiem już, jeszcze cztery.

7

Wrażenie unoszenia się, płynięcia przez ciemność, wyzbywania się snów. Pływak, marzyciel – jeszcze nie czuł, że on to on – usłyszał głos, podobny do echa i zniekształcony. Przez chwilę znowu był chłopcem robiącym kawał swej mamie, wstrzymującym oddech pod wodą jeziora Little Lake, by ją przestraszyć.

Wraz z pamięcią wróciła tożsamość. Gdy Pender przypomniawszy sobie, kim jest, przypomniał sobie wszystko. Był to drugi raz w ciągu czterech miesięcy, gdy utracił świadomość. W lipcu przeżył tak zwane doświadczenie śmierci. Białe światło, tunel, odwiedziny ojca w mundurze marynarki – zaliczył wszystko. Tym razem był tylko chaos, a sny przypominały raczej wirujące fragmenty wspomnień.

Otworzył oczy, zorientował się, że leży powykrecany na podłodze w kuchni, z lewą ręką boleśnie wyciągniętą za plecami i przypiętą kajdankami do prawej kostki. Rozejrzał się na boki i zobaczył Childsa siedzącego na kuchennym krześle.

– Przykro mi z powodu twojej siostry – zaczął Simon.

Pender założył, że Childs przeczytał list. Spróbował naśladować ton głosu mordercy – spokojny i uprzejmy:

– Miała dobre życie.

– Nie chodzi mi o jej śmierć, tylko o to, że musiałem ją zabić.

– Nie pierdol. Załatwiłeś też sędziego Cratera i małą Ramseyównę?

– Nie, to nie oni zabili moją siostrę.

– Nie zabiłem twojej siostry. Lekarz powiedział, że przyczyną jej śmierci była wrodzona wada serca.

– „Wrodzona” oznacza, że miała ją przez czterdzieści dziewięć lat. Jak myślisz, dlaczego jej serce poddało się akurat podczas walki z tobą?

– Walki? Próbowwała mnie obronić przed swym bratem, który chciał rozwalić mi łeb pogrzebaczem.

Simon odpuścił, nie miał zamiaru się kłócić.

– To prawie jak w Biblii, nie sądzisz? Mam na myśli surową karę. Zabiłem twoją siostrę, bo ty zabiłeś moją. Ale muszę ci powiedzieć, że naprawdę nie chciałem zabijać Idy, chociaż mi to pasowało. Była naprawdę bardzo miłą kobietą, aż do chwili, w której wsypałem do jej soku zawartość niebieskiej kapsułki. Jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie, była martwa, zanim jeszcze upadła na ziemię. I, jak mówię, nie chciałem tego zrobić, ale nie mogłem zaryzykować, że opowie ci o naszej rozmowie. Eddie, chcesz usłyszeć o naszej rozmowie? A może powinienem nazywać cię Penem, tak jak ta dziwka czekająca na mnie w sypialni?

Oczywiście Pender chciał zabić Childsa. Pragnął go uśmiercić tak bardzo, jak jeszcze niczego nigdy w życiu nie pragnął. Ale przypomniał sobie, że najważniejszą rzeczą, jaką miał teraz do zrobienia, było rozwiązanie problemu.

A problem – jak dostać się do kieszeni spodni, by wybrać 911 – należał do terażniejszości. Jeśli Childs rzeczywiście zabił Idę, była to już przeszłość. Nic nie mogło przywrócić jej życia. Natomiast groźby względem Dorie należały do przyszłości i na pewno nie były bez pokrycia. Gdy wróg ci grozi, to albo kłamie, co oznacza, że się boi, albo potwierdza swoje intencje, przez co masz do uwzględnienia więcej informacji. Im więcej informacji, tym lepiej.

– Nazywaj mnie jak chcesz. I tak, chcę usłyszeć o waszej rozmowie.

Childs odchylił się do tyłu, założył dłonie za głowę i swobodnie splótł nogi w kostkach, co było dość trudne, biorąc pod uwagę, że krzesło miało proste i sztywne oparcie.

– To spotkanie rzuciło nowe światło na wiele spraw. Z jakiegoś względu Ida była przekonana, że mam na nazwisko Bellcock.

Pender poczuł się, jakby ktoś wymierzył mu policzek. Ida była mądra i doświadczona. Nie powiedziała nic Childsowi niezależnie od tego, jak bardzo by jej groził czy nawet ją torturował. Ale Pender osobiście pozwolił jej na rozmowę z Bellcockiem, więc może Childs jednak nie kłamał i rzeczywiście ją zabił.

– Opowiedziała mi wszystko o Stanleyu i doktorze Walcie, którego broń mam teraz przy sobie – ciągnął dalej Simon. – Powiedziała mi też, jakim niegrzecznym chłopcem był jej mały braciszek Eddie. Jak wrzucił fajerwerki do komina i prawie oślepl. I jak nigdy sobie z tym nie poradził. Jak jako dzieciak nie pozwalał sobie zawiązać oczu podczas gry w ciuciubabkę. Nawet podczas urodzin Stanleya dorosły, ważny agent nie chciał się bawić w rozbijanie piñaty.

Chciałeś informacji, to je masz – pomyślał Pender, gdy Childs zaczął wyjmować różne narzędzia z szafki obok, prezentując każde z nich agentowi niczym magik, który zaraz włoży wszystko do kapelusza. Potem ostrożnie ułożył je na stole. Były tam składany nóż, ostentacyjnie rozłożony przez Simona, obieraczka do jabłek i nożyk do papieru.

Więcej danych – pomyślał Pender. Pracuj nad problemem. Czyli Childs wie o twoim lęku. I co z tego? Ból, ciemność, śmierć – tak czy siak wszystko skończy się bólem, ciemnością i śmiercią. Nic się nie zmieniło. Telefon wciąż jest w twojej kieszeni. Kilkanaście centymetrów poniżej, choć równie dobrze mogłoby to być też kilka metrów.

Istniała możliwość, że Dorie usłyszała jego szept i znalazła kluczyki pod materacem. Jeśli udało jej się już oswobodzić i zadzwonić pod 911 albo pobiec po pomoc, to Pender musiał po prostu jeszcze trochę wytrzymać. Po prostu wytrzymać. I przeciągać, jak tylko się da. Musiał być nieustraszonym sukinsynem z Ef-Bi-kurwa-Aj. I cały czas zbierać informacje.

– Co zrobiłeś z Abruzzi?

Przestraszonykot! Dzięki, że mi przypomniałeś – pomyślał, testując na swoim kciuku czubek ostrza składanego noża. Tak bardzo skupił się na tej chwili, na Penderze, że prawie zapomniał o Przestraszonymkocie. Prawie zapomniał też o tym, że gra, obie jej części, miały odbyć się w piwnicy, gdzie nikt nie będzie słyszeć wrzasków. Oczywiście nikt poza Dorie.

– Jeszcze nic. Chcesz ją zobaczyć?

– Tak... Tak, chcę.

– Jest w piwnicy. Wszystko, co musisz zrobić, to przepełznąć po podłodze i schodach. Przytrzymam ci drzwi.

Dorie szarpała za belkę tak długo, aż otarła sobie nadgarstki. Zostaw to Penderowi – pomyślała. Dom wyglądał, jakby w każdej chwili mógł się zawalić, ale rama łóżka nie mogłaby być bardziej wytrzymała. Cały czas wyobrażała sobie Childsa wchodzącego przez drzwi, zlanego krwią Pendera i rzucającego się na nią. Chociaż wizja była przerażająca, Dorie wiedziała, że byłaby to jej najlepsza – i ostatnia – szansa na zabicie go, zanim on uczyni to pierwszy.

Ale tym razem, obiecała sobie – i Penderowi, i wszystkim innym – jeśli jakimś cudem przeżyje drugi atak, trzeciego nie będzie. Zabije go pierwsza, jeśli będzie trzeba, to nawet gołymi rękami.

Czekając na łóżku, żeby zabić lub zostać zabita, nie mając zielonego pojęcia o tym, że klucz do wolności znajdował się kilka centymetrów dalej, pod materacem pod jej głową, Dorie zaczęła wspominać pierwsze spotkanie z Simonem Childsem. To było na zjeździe, w powitalnym apartamencie hotelu Olde Chicago. Zostały przygotowane specjalne identyfikatory: w pierwszej linii puste miejsce na imię i nazwisko, w drugiej napis „Osoba z”, a na dole trzeba było napisać nazwę swojej fobii. Tak jak w nazwie OSZF, wszystko było powiązane ze sposobem myślenia: fobię się miało, ale nie można było się z nią utożsamiać.

I chociaż romans był ostatnią rzeczą, o jakiej myślała Dorie, kiedy zebrała się na odwagę, by wyjechać ze Środkowego Wybrzeża pierwszy raz od trzech lat, w chwili, gdy ujrzała wysokiego, przystojnego, siwowłosego mężczyznę stojącego za stolikiem ze zgłoszeniami, była gotowa na zmianę swych zapatrywań.

„Simon Childs. Osoba z katapontyzmofobią” – przeczytała na jego tabliczce.

– To dla mnie nowość – rzekła Dorie.
– Strach przed utopieniem się – wyjaśnił. – Czasownik katapontidzo oznacza „rzucić się w morze”. Rzeczownik katapontidzes oznacza „pirat”, ale podejrzewam, że więcej osób boi się utonięcia niż piratów.
– Lubię piratów – oznajmiła.
– Aaarr – powiedział przystojny pan Childs, mrużąc jedno oko.
Była to najgorsza parodia Długiego Johna Silvera, jaką kiedykolwiek widziała, ale w tym kontekście była bardzo zabawna. Dorie śmiała się tak bardzo, że mało nie urwały jej się piersi. A gdy ujrzała jej tabliczkę, okazało się, że był pierwszą osobą – nie wyłączając nawet jej ówczesnego terapeuty – która bez sprawdzania wiedziała, że prosoponofobia to lęk przed maskami. Pomyślała, że być może znalazła kochanka, a na pewno przyjaciela.
No, kochana, jak ty potrafisz dobierać sobie przyjaciół – pomyślała Dorie. Chwilę później rozległ się strzał i ktoś zaczął krzyczeć.

Jedenaście już, jeszcze jeden. Linda słyszała, jak Childs powiedział Penderowi, że przytrzyma dla niego drzwi. Wciąż klęczała, nie miała czasu, by wstać, nawet gdyby była w pełni sił.

Childs patrzył na nią w osłupieniu. Za nim, na podłodze w kuchni leżał Pender.
– Proszę, proszę, Edzie Penderze, spójrz tylko na to – rzekł Simon. – Zobacz, co zdołało się oswobodzić.
– Podniósł jedną stopę, jakby chciał zepchnąć kobietę z powrotem po schodach.
Zadrżała, ale nie ruszyła się z miejsca. W razie konieczności weźmie nogę, ale czekała na jego twarz, a przynajmniej na szept.
– A co tam masz za plecami, Przestraszonykocie? Duuuzży koci nóż? To na pewno nie broń, przeszukałem całą piwnicę. – Uklęknął, wyciągnął rękę. Pistolet trzymał w drugiej ręce, poza zasięgiem Lindy. – No dalej, pokaż to.
Bliżej – pomyślała Linda, gdy wąż wił się dziko za jej plecami. Twarz, chcę twarz.
– No dalej, Przestraszonykocie, oddaj to Simonowi, zanim ci to zabierze i wsadzi ci tam, gdzie słońce nie do...
Dostatecznie blisko.

8

Wszyscy obrońcy sądowi – łącznie z większością gliniarzy i kilkoma prokuratorami, którzy zechcą to przyznać – powiedzą ci, że jedyne, do czego przydaje się większość świadków naocznych, to wywieranie wrażenia na sędziach. Prawda jest przeważnie szybsza od oka, tak samo jak proces powstawania założeń, nawet w przypadku tak wytrawnego obserwatora, jakim był Pender.

Nie wiedział, na przykład, że Linda klęczała – widział ją spomiędzy nóg Childsa i założył, że po prostu stała na niższym stopniu. Widział, jak Childs uklęknął, szydził z niej, usłyszał słowo nóż i założył, że właśnie taką miała broń. Zobaczył, że Linda rzuciła się do przodu, usłyszał strzał, widział, jak się przewróciła, i założył, że została postrzelona. Gdy Childs zachwiał się do tyłu, a kolt wyleciał mu z ręki, Pender dalej snuł przypuszczenia, że Abruzzi w jakiś sposób go skaleczyła, i dopiero gdy zabójca, wciąż na kolanach, na oślep zwrócił się ku Penderowi, ten zaczął rozumieć, co tak naprawdę się stało.

Może „rozumieć” to za duże słowo. Broń, nóż, pałka policyjna, nawet ostry śrubokręt – te przedmioty umysł potrafił ogarnąć. Ale co zrobić z mężczyzną na kolanach, trzymającego oburącz węża zwisającego z jego lewego oka? Takich rzeczy nie próbuje się zrozumieć, po prostu trzeba je zaakceptować.

Albo odrzucić, nieważne. Ważne jest, że wojskowy kolt doktora Walta leżał pod stołem, niecałe dwa metry dalej. Pender oparł lewą nogę – jedyną wolną kończynę – o szafkę, odepchnął się, pośród wrzasków Simona krzyknął do Dorie, że kluczyk od kajdanek znajduje się pod materacem, a potem zaczął czołgać się po nieoheblowanych deskach podłogi kuchni.

Strzał, kobiecy krzyk. Dorie założyła najgorsze. Następných kilka sekund było najstraszniejsze ze wszystkich w ostatnim tygodniu – a to już coś znaczyło. Gdy usłyszała Pendera krzyczącego, że klucz znajdował się pod materacem, poczuła się jak smagnięta emocjonalnym biczem. Szybko doszła do siebie i spróbowała się uwolnić. Łatwiej było krzyknąć, że klucz jest pod materacem, niż go dosięgnąć,

zwłaszcza jeśli leżało się na plecach z rękami skutymi na belce.

A jednak to możliwe. Trzeba podnieść tyłek do góry i jak najbardziej wykręcić ciało na bok, obrócić ręce w dół, niezależnie od tego, jak mocno ściśnięto kajdanki, a potem wsunąć palce pod materac, przylegający do sprężyn pod ciężarem twojego ciała, więc trzeba jeszcze mocniej przechylić się na bok, co jeszcze bardziej obciąża nadgarstki – ale można to zrobić. Jeśli klucz znajduje się tuż przy krawędzi materaca, to można go znaleźć i wyciągnąć. A potem, jeśli wyciągnie się szyję pod kątem – pod którym nawet sowa skręciłaby kark – żeby widzieć, co się robi, włoży się klucz do dziurki, nie upuściwszy go wcześniej – niezależnie od tego, co robisz, nie wolno ci go wypuścić – i przekręci się go, usłyszysz się najpiękniejszy dźwięk na świecie.

Klik.

Dorie pobiegła do kuchni za odgłosami ryków i wrzasków, szybko uklękła za Penderem i otworzyła jego kajdanki. Gdy agent stanął z trudem na nogi, zobaczył, jak Childs próbuje wstać z kolan, rycząc, z jedną ręką wciąż przyłożoną do oka, a drugą machającą w powietrzu, jakby był ślepy. Pender przyłożył mu w żebra, żeby go powalić, a potem kilkakrotnie uderzył Childsa w głowę, aż ten przestał się ruszać. To się nazywało unieszkodliwienie podejrzanego.

Gdy Pender skuwał Childsa, Dorie uklękła obok kobiety leżącej w drzwiach do piwnicy.

– Wszystko w porządku?

– Zostałam ugryziona.

– Zostałaś postrzelona? – Dorie słyszała strzał, ale nie widziała węża.

– Ugryziona. Dopadła mnie koralówka, wąż – powiedziała Linda. – Ale Childsa dopadła bardziej – dodała. W tych czterech słowach słychać było cały triumf świata.

Pender rozmawiał już z operatorem 911.

– Mówisz, że jaki to był wąż?

– Koralówka. – Linda z trudem podniosła głowę. – Powiedz im, że służby weterynaryjne miały antidotum w Conroy Circle.

– Koralówka, antidotum, Conroy Circle, rozumiem – rzekł Pender, nie mający pojęcia, o czym mówiła.

Dorie wciągnęła kobietę – założyła, że była to Linda Abruzzi – po schodach do kuchni. Wyglądała strasznie. Jej chuda twarz była ciemna i opuchnięta, obie powieki zaczęły opadać. Dorie spojrzała na Childsa, który się nie poruszył, odkąd Pender go „unieszkodliwił”.

– Czy on nie żyje? – spytała agenta, gdy skończył rozmawiać.

– Jeszcze żyje.

– A umrze?

– Nie wiem. – Pender usiadł na podłodze obok Lindy, pomógł jej przekręcić się na plecy i położył jej głowę na swoich kolanach. – Chyba jesteś naszą etatową zaklinaczką węży – powiedział głównie po to, by zachowała jasność umysłu. Nie wiedział zbyt dużo o ukąszeniach węży, ale zdawał sobie sprawę, że nie powinno się pozwolić na to, by ofiara się zbyt szybko wyłączyła. – Co sądzisz?

I chociaż trudno jej było skoncentrować się na czymkolwiek innym poza bólem i walką o kolejny oddech, spróbowała zebrać te informacje, które miała. Wąż ugryzł Glorię, kobieta zmarła. Linda natomiast została ugryziona przed Childsem, ale cały czas żyła. Jednak koralówka tylko drasnęła ją w nadgarstek, a Childsa zaatakowała w oko. I musiał dostać dwa razy tyle jadu – rozwścieczony wąż chciał się zemścić i wbił kły z całych sił. Z drugiej strony mężczyzna ważył prawie tyle, co Linda i Gloria razem wzięte. No i jeszcze opóźnione działanie, o którym wspominał Reilly.

– Jeśli... oboje będziemy żywi... gdy przyjedzie antidotum – powiedziała do Dorie, dysząc ciężko – to chyba oboje damy radę.

– I tyle chciałam wiedzieć – rzekła Dorie, zerkając na rewolwer, który dojrzała pod stołem, gdy weszła do kuchni. Ale już go tam nie było. Leżał na podłodze obok Pendera. – Możesz mi na chwilę pokazać tę broń? – spytała.

Obezwładniając Simona w ten sposób, Pender prawdopodobnie wyrządził mu przysługę. Nie tylko uwolnił go na kilka minut od agonii, lecz także gdy Childs był nieprzytomny, jego serce i układ oddechowy znacznie zwolniły, spowalniając proces rozprzestrzeniania się neurotoksyny przez układ krwionośny.

Żyje... antidotum... damy radę... – ktoś powiedział. Kobieta. Nie wiedział, gdzie się znajduje ani co się wydarzyło, ale w jakiś sposób, przez zamęt w głowie i ból zrozumiał, że mówiono o nim. Wyobraził sobie

pielęgniarkę w białym fartuchu. Widzisz, dasz radę – pomyślał, odpływając w ciemność. Bądź co bądź nie ma się czego bać.

Dorie stanęła nad Penderem i wyciągnęła rękę po kolta.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli to ja będę go trzymać – powiedział. Oboje wiedzieli, o co prosiła. Wiedzieli również, jak będzie brzmieć jego odpowiedź.

– Rób, co uważasz – powiedziała, biorąc ze stołu składany nóż.

– Co masz zamiar z tym zrobić?

– Poderżnąć mu gardło – odparła rzeczowo.

– Nie rób tego – odparł. – Proszę.

– Dlaczego nie?

– Wiesz, dlaczego.

– Nie, nie wiem – oznajmiła, spoglądając na nóż w swej dłoni. Była niemal pewna, że potrafiłaby zastrzelić Simona – chociaż strzelała tylko raz w życiu, w wieku lat dwudziestu dwóch, i to do papierowego celu – ale nie wiedziała, czy zachowa na tyle zimną krew, by zabić go tym. – Może mi powiesz?

– Bo... nie wiem, bo to jest złe. – Pender był zaskoczony faktem, że musiał szukać odpowiednich słów.

– Bo w ten sposób niżymy się do jego poziomu.

Dorie podniosła głowę, wsłuchując się nie w głos Pendera, a w odgłos syren w oddali. Teraz albo nigdy. Ukłękła obok Simona, plecami do agenta. Twarz Childsa była ciemna. Z jednego oka został krwawy strzęp, dziwnie naga powieka drugiego oka była na wpół przymknięta, ale drgała, jakby próbował ją podnieść.

– Cofnij się – krzyknął Pender, zdejmując z kolan głowę Lindy i odsuwając się, by jej nie ogłuszyć, w razie gdyby musiał strzelić. – Odejdź.

Dorie podniosła głowę Simona i przyłożyła ostrze do jego gardła.

– Najpierw będziesz musiał mnie zastrzelić – odparła, nie odwracając się.

Jakby w odpowiedź padły dwa strzały. Ciało podskoczyło. Huk odbił się echem po kuchni. Dorie nadal się nie poruszyła. Powoli cofnęła nóż, na którym wciąż nie było śladów krwi. Miała się nigdy nie dowiedzieć, czy byłaby w stanie to zrobić. Ujrzała ciemną, lepłą ciecz sączącą się z dwóch dziur musztardowobrazowej koszulki polo Simona tuż poniżej falującej klatki piersiowej. Patrzyła, jak falowanie zaczęło zwalniać, potem ustało, tak jak kapanie krwi, żółci i płynu z jelit. Odwróciła się do Pendera, w jej uszach wciąż huczało.

– Mamy jakieś dwie minuty na ustalenie wspólnej wersji – powiedział, gdy wycie syren stało się głośniejsze. – Linda, kochanie, jesteś jeszcze z nami?

Uniosła słabo głowę.

– Wy to ustalcie.

– Trzymaj się – rzekł Pender. – Karetka już prawie tutaj jest.

Trzymaj się? – pomyślała Linda, zamykając oczy i opuszczając głowę na drewnianą podłogę. Trzymałam się przez dwanaście pierdolonych godzin. Kiedy wreszcie będę mogła odpuścić?

Epilog

31 października 1999 roku

Chłodna, przejrzysta pogoda utrzymywała się przez trzy dni. Gdy słońce zachodziło za wałem nad kanałem, Dorie kończyła obraz Zachód słońca: śluzą Tinsmana, a Pender, otulony kocami i leczący stłuczone kręgi szyjne Jimem Beamem i vicodinem, drzemał obok na leżaku. Ostatnim elementem obrazu była samotna postać na ścieżce – pionowe muśnięcie czarną farbą na horyzoncie, z jak najciemszym fioletowym półcieniem, jaki mógł namalować jej pędzel, by nadać blask temu magicznemu zmierzchowi.

Żadne z nich nie miało ochoty na imprezę halloweenową u Pool. Jak żołnierze po bitwie woleli przebywać tylko w swoim towarzystwie. Po części dlatego, że mogli rozmawiać o tym, co przeszli, z kimś, kto tam był i mógł to zrozumieć, po części dlatego, że wcale nie musieli o tym rozmawiać. Z tego samego powodu Pender przełożył swoje spotkanie z prawdziwym Arthurem Bellcockiem o co najmniej tydzień. W końcu decyzja zapadła w domyśle, po wymianie zdań typu „pójdę, jeśli chcesz – to ja pójdę, jeśli ty chcesz”.

Współlokatorka Pool przywitała ich we frontowych drzwiach drewnianego domu w pobliżu Annandale. Smukła, przed pięćdziesiątką, obcisła czarna suknia, poliestrowa szara peruka do pasa. Pender przedstawił ją jako Bunny.

Poprawiła go:

– Dzisiaj jestem Morticią, Ed. Cieszę się, że przyszliście. Nigdy nie widziałam jej tak przybitej. Próbowałam wszystkiego. Może ty mógłbyś z nią porozmawiać?

– Gdzie ona jest?

– W sypialni. – Bunny zwróciła się do Dorie, która miała na sobie ten sam strój, co podczas pierwszego spotkania z Penderem, i przyjrzała jej się krótko. – Wiedźma czy drag king?

– Słucham?

– Kostium. Mam wspaniały kostium czarownicy z rewelacyjnym dekoltem, który podkreśli twoje walory, albo mogę dać ci smoking, taki jak nosiła Julie Andrews w Victor/Victoria.

– Smoking – odparła Dorie.

– Psujesz zabawę – zauważył Pender.

Pender zapukał do drzwi sypialni.

– Idź sobie.

– Tu Ed Pender.

Drzwi się otworzyły. Pool była przebrana za Gomeza Addamsa, stanowiącego parę dla Morticii Bunny. Smoking z absurdalnie szerokimi kłapami, przylizane ciemne włosy z przedziałką na środku, namalowane cienkie wąsy.

Pender przytulił ją. Zawsze miał Pool za kobietę z żelaza i był zaskoczony, jak lekka i krucha była w jego ramionach.

– Ed, ona była pierwsza.

– Pierwsza? – Usiedli na brzegu łóżka.

– Była pierwszą osobą, jaką kiedykolwiek straciłam.

Pomyślał przez chwilę i zrozumiał, że miała rację. W 1979 roku przyłączył się do Steve’a McDougala w Waszyngtonie, by pomóc w utworzeniu ich wydziału. Pool doszła do nich rok później, a przez te wszystkie lata nigdy nie stracili ani jednego agenta.

– Opowiedzieć ci o tym?

– Czytałam akta. Chcę ci powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu twojej siostry.

– Dzięki – powiedział Pender. – Dowiedziałem się o tym w taki sposób, że nadal trudno mi w to uwierzyć. To znaczy jakaś część mnie wie, że Ida nie żyje, ale druga część cały czas myśli, że w każdej chwili mogę podnieść słuchawkę i do niej zadzwonić.

– Mniej więcej to samo czuję w przypadku Abruzzi. Wydaje mi się, że gdy jutro otworzę drzwi biura, ona jak zwykle będzie siedzieć za swoim biurkiem i uśmiechnie się do mnie z za sterty raportów

z autopsji. Ed, ona nigdy się nie skarżyła, a czasami była tak zmęczona, że musiałam pomóc jej wstać z krzesła, ale nigdy się nie poddawała i nie narzekała.

– Uratowała nam życie – stwierdził po prostu. – Mnie i Dorie.

– Wiem. – Twarz Pool trochę pojaśniała. – Ale zgadnij, co jest załatwione? Galeria Honorowa. Idzie do Bohaterów na Służbie.

– Żartujesz? – Pender był pod wrażeniem. Galeria Honorowa była przeznaczona dla agentów specjalnych zabitych podczas służby, a pośród nich była osobna część dla Bohaterów na Służbie. Trzy dni temu wisiały tam trzydzieści trzy nazwiska z całej historii Biura, teraz były trzydzieści cztery. – Nie będzie problemu z tym, że nie była agentką specjalną?

– Lepiej, żeby nie było. Kiedyś mi powiedziała, że największą dumę w życiu odczuwała w dniu, w którym mogła napisać „agentka specjalna” przed swym nazwiskiem. Tak właśnie będzie podpisane jej zdjęcie: „Agentka Specjalna Linda Abruzzi”. A jej rodzice otrzymają pamiątkową gwiazdę, na której będzie napisane „Pamięci Agentki Specjalnej Lindy Abruzzi”. Jeśli któraś z tych rzeczy się nie wydarzy – ciągnęła dalej Pool głosem kogoś, kto wie, gdzie pochowane są ciała i ma zdjęcia z pogrzebu, by to udowodnić – to odsetek rozwodów na najwyższym szczeblu Biura zwiększy się do niewiarygodnego wręcz stopnia.

– Na pewno.

W Wydziale mawiało się „jeśli nie masz Boga po swojej stronie, to zyskaj przychyłność Pool”.

– Á propos najwyższych szczebli, to wiem z wiarygodnego źródła, że w BOZ uwierzyli w twoją historię o tym, jak Childs zagroził nożem panie Bell i musiałeś go zastrzelić, by ją chronić.

– Co masz na myśli mówiąc, że „uwierzyli”?

– To znaczy, że ja tego nie kupuję. Zeznałeś, że wysłałeś ją, żeby zobaczyła, co z Childsem, a jeśli istniałoby jakiegokolwiek prawdopodobieństwo, że byłby w stanie wyciągnąć nóż, nie dopuściłbyś jej w jego pobliże. Nie żeby mnie to obchodziło. Po prostu wolałabym, żeby jego śmierć była bardziej powolna.

Pender pochylił się do przodu.

– To nie może wyjść poza ściany tego pokoju, ale prawda jest taka, że gdybym go wtedy nie zastrzelił, Dorie użyłaby tego noża, by poderżnąć mu gardło.

– Im więcej dowiaduję się o tej kobiecie, tym bardziej ją lubię – przyznała Pool.

Rozmowa z agentem musiała jej pomóc, bo postanowiła wziąć udział we własnej imprezie. Zastali Dorie na dole, rozdającą torebki z cukierkami wampirom, duchom i Power Rangersom, którzy wyłaniali się z Domu Strachów urządzonego w piwnicy. Zmieniła zdanie co do stroju i miała na sobie kostium wiemy z tak głębokim i seksownym dekoltem, że przekonałby papieża do zmiany wyznania na wicca.

– Och, Pen! – krzyknęła spod stożkowego kapelusza. – Czyż one nie są słodkie?

– Oczywiście, że są – odparł, unosząc brwi.

– Dzieci, rozpustniku. Mam na myśli dzieci. Zwłaszcza te małe dziewczynki, baleriny i wróżki. Mój Boże, normalnie chce się je schrupać.

– To wszystko jest dla ciebie zupełnie nowe, prawda? – spytała Pool.

– To moje pierwsze Halloween, odkąd... chyba odkąd skończyłam trzy lata.

– Nie masz problemu z maskami?

– Był taki jeden dzieciak. Chłopak, ze czternaście, piętnaście lat. Miał, nawet nie wiem, jak to nazwać, maskę jakiegoś ghula, zombie czy czegoś w tym rodzaju. Otwarte rany i sztuczne oko zwisające na sznurku z zakrwawionego oczodołu. Obok stała młodsza siostra tego chłopca – chyba nie bardzo był zadowolony z tego powodu. Nie widziałam, jak się zbliżał – po prostu się odwróciłam i stał przede mną. Podskoczyłam aż do sufitu – ze strachu prawie się zsikałam – a gdy wreszcie doszłam do siebie, powiedziałam: „Jezu, ale mnie wystraszyłeś”. A on przybliżył swoją twarz do mojej i wiecie, co mówi? „Proszę pani, mamy Halloween, właśnie o to w tym chodzi”.

Pender zaśmiał się i uniósł szklanę.

– Za Halloween – powiedział. – Za duchy i ghule, i długonogie bestie, i za straszliwe odgłosy w nocy.

– To wcale nie tak – rzekła Dorie. – Po pierwsze nie „za”, a „przed”. Po drugie ominałeś najważniejszą linię. Przed duchami i gbulami, i długonogimi bestiami, i przed straszliwymi odgłosami w nocy uchowaj nas, dobry Panie!

– Amen – powiedziała Pool.

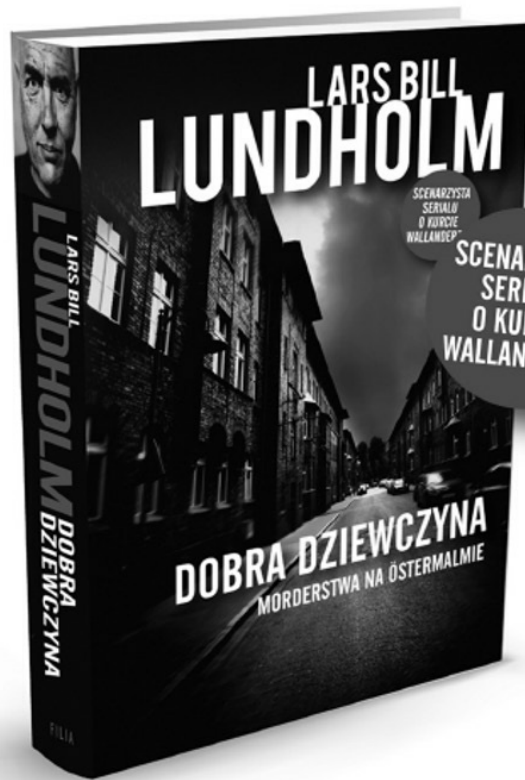
– Wypiję za to – stwierdził Pender.

Agent Pender
powróci w kolejnej części cyklu

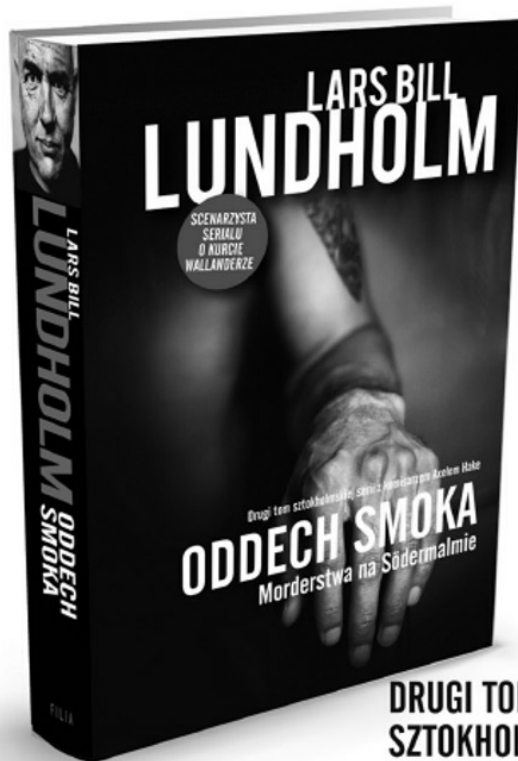
27 kości

Jesień 2015 r.

FILIA



FILIA



DRUGI TOM
SZTOKHOLMSKIEJ SERII
Z KOMISARZEM AXELEM HAKE
ODDECH SMOKA
Morderstwa na Södermalmie



FILIA